

KEVIN J. ANDERSON

**OPOWIEŚCI Z KANTYNY MOS
EISLEY**

PRZEKŁAD JAROSŁAW KOTARSKI

TYTUŁ ORYGINAŁU TALES FROM THE MOS EISLEY CANTINA

STAR WARS TOM 69

KEVIN J. ANDERSON

OPOWIEŚCI Z KANTYNY MOS EISLEY

PRZEKŁAD JAROSŁAW KOTARSKI

**TYTUŁ ORYGINAŁU TALES FROM THE MOS EISLEY CANTINA
STAR WARS TOM 69**

Spis treści

NIE GRAMY NA WESELACH 5

Opowieść orkiestry 5

Kathy Tyres 5

LOS ŁOWCY 17

Opowieść Greedo 17

Tom Yeitch i Martha Veitch 17

1. Uchodźca 17

2. Czerwony Navik 20

3. Nar Shaddaa 21

4. Łowcy nagród 22

5. Korelianin i Wookie 25

6. Nauczyciel 29

7. Vader 30

8. Mos Eisley 34

9. Jabba 36

10. Solo 39

11. Kantyna 44

HAMMERTONG 47

Opowieść „Sióstr Tonnika” 47

TimothyZahn 47

ZAGRAJ TO JESZCZE RAZ, FIGRIN 73

Opowieść Muftaka i Kabe 73

A.C. Crispin 73

OPIEKUN PIASKÓW 94

Opowieść Ithorianina 94

Dave Wolverton 94

BIZNES JEST BIZNES 108

Opowieść barmana 108

David Bischoff 108

NIGHTLILY 118

Opowieść romantyczna 118

Barbara Hambly 118

EMPIROWY BLUES 134

Opowieść Devaronianina 134

Daniel Keys Morann 134

UDANA TRANSAKCJA 152

Opowieść Jawy 152

Kevin J. Anderson 152

HANDEL PONAD WSZYSTKO 167

Opowieść Ranata 167

Rebecca Moesta 167

KIEDY WIEJE PUSTYNNY WIATR 171

Opowieść szturmowca 171

Doug Beason 171

ZUPA PODANA 195

Opowieść palacza 195

JenniferRobertson 195

NA ROZDROŻU 205

Opowieść pilota 205

Jerry Oltion 205

DOKTOR ŚMIERĆ 216

Opowieść doktora Evazana i Ponda Baby 216

Kenneth C. Flint 216

KARTOGRAFIA TO NIEŁATWA RZECZ 230

Opowieść właściciela farmy wodnej 230

M. Shayne Bell 230

Dzień 1: Nowy kalendarz 230

Dzień 2: Losy się ważą 232

Dzień 3: W fortecy 235

Dzień 5: Powitanie 238

Dzień 15: Eywind i Aviela 240

Dzień 32: Sąsiedzka wizyta 241

Dzień 50: Wesele 244

Dzień 50: Wczesne popołudnie: ostatnia woda 246

Dzień 50. Noc: Zostaję Rebeliantem 249

OSTATNIA NOC W „KANTYNIĘ” 250

Opowieść Wolfmana i Lamproida 250

Judith i Garfield Reeves-Stevens 250

NIE GRAMY NA WESELACH

Opowieść orkiestry

Kathy Tyres

Przestronna i mroczna Sala Przyjęć w pałacu Jabby wyglądała jak krajobraz po bitwie i śmierdziała potem oraz wszelkiego rodzaju używkami. Wewnętrzne kraty uniesiono i wszędzie widać było leżące postacie - tancerki, strażnicy, totumfaccy, łowcy nagród, leżeli bądź na kupie, bądź indywidualnie, jak komu wygodnie czy gdzie kto padł. Tu Jawa i człowiek spali obok siebie, tam Arcona obejmował Weeąuaya, a większość do tego chrapała w rozmaitych tonacjach. Był to ranek po kolejnej wesołej nocy, które w pałacu Jabby stanowiły regułę.

Kraty przeważnie zamykano, dzięki czemu rzezimieszki nie miały tu dostępu, ale też stanowiły przeszkodę w pospiesznej ewakuacji. Najgorszym z rzezimieszków był zresztą gospodarz, ale ponieważ Jabba Hutt lubił dobry swing, płacił nam całkiem dobrze. Nawet machał ogonem do rytmu. Swojego, ma się rozumieć, nie naszego.

Aha, zapomniałem: tworzymy zespół Modal Nodes i jesteśmy członkami Międzygalaktycznej Federacji Muzyków. Znanymi członkami. No i jesteśmy (albo byliśmy) nadworną kapelą Jabby. Co prawda nie udało mi się dostrzec u niego uszu, ale faktem jest, że lubił dobrą muzykę. Zresztą lubił także zarabiać pieniądze, a zadawanie bólu sprawiało mu znacznie większą przyjemność niż muzyka. Teraz spał wraz z innymi, toteż pakowaliśmy instrumenty starając się nie robić hałasu. Włożyłem Fizzz (dla muzycznych tępaków doremiański *beshniguel*) do cienkiego, ale wytrzymałego pokrowca, pasującego niczym rękawiczka i czekałem, aż pozostali uporają się ze swoimi instrumentami.

Wszyscy jesteśmy Bith. Na wypadek gdyby ktoś nie wiedział: Bith charakteryzują się wysoko sklepionymi, pozbawionymi owłosienia czaszkami (uznawanymi za dowód wysokiego rozwoju ewolucyjnego) i ustami tak ukształtowanymi, że stanowią idealne dopełnienie instrumentów dętych. Dla nas dźwięki są czymś tak naturalnym i wyraźnym jak” dla innych ras barwy.

Szefem zespołu jest Figrin Da'n, grający na Rogu Kloo (żeby złapać dowcip, trzeba znać bithoński). Instrument ten ma długość dwa razy większą od mojego Fizzza i daje głębsze i bardziej pastelowe formy, choć nie takie słodkie. Tedn i Ickabel to fanfarzyści, Nalan gra na Bandfilku (czyli na dzwonach rogowych), a Tech na Ommni.

Techa łatwo rozpoznać, bo ma mało przytomny wyraz oczu, czemu trudno się dziwić - gra na Ommni wymaga prawdziwego geniuszu. Tech nienawidzi także Figrina, czemu też się trudno dziwić, jako że w zeszłym sezonie Figrin wygrał od niego Ommni w *sabacca*.

- Doikh - odezwał się Figrin ocierając pot z czoła (dzień był jak zwykle upalny, a termostat pałacowego klimatyzatora najwyraźniej wymagał naprawy).

- Czego? - warknąłem, odruchowo przyciskając do siebie Fizzza.

- Nie zagrałbyś partyjki?
- Wiesz, że nie gram - odparłem opryskliwie: nie miałem ochoty ani na grę, ani na pogawędkę.
- Ty, Doikh, jesteś szurnięty.
- Wszyscy muzycy są szurnięci.
- Ty jesteś szurnięty bardziej niż przeciętny muzyk. Kto kiedy słyszał o muzyku nie grającym w karty?

Może i nikt nie słyszał, ale ten Fizzz towarzyszył mi już w sześciu systemach, sam go reperuję i nie mam zamiaru stawiać go w jakiejś bezsensownej, karcianej rozgrywce. Nawet żeby zrobić przyjemność Fi-grinowi Da'n, szefowi zespołu, który krytykuje każdą źle zagrana nutę i jest właścicielem wszystkich (pozostałych) instrumentów. No i rządzi nami jak oficer.

- Wiesz, że nie gram - powtórzyłem. W wejściu pojawiła się ciemna postać.
- Figrin - poleciała. - Odwróć się. Powoli.

Poruszający się na gąsienicach droid miał wąską talię i szerokie bary. Był to najnowszy model - E522 Assassin, ale zapamiętałem go, bo wkrótce po tym, jak zaczęliśmy grać u Jabby, uratował mi życie. Jeden z ludzi stanowiących obsługę barki Jabby oskarżył mnie o wyżeranie pryszczatych ropuch z prywatnego zbiornika szefa; na szczęście automatyczny zabójca potwierdził moje alibi. Dałem sobie wtedy słowo, że nigdy więcej nie będę zadawać się z ludźmi. Nie był to zresztą koniec całej historii - Jabba miał taką ochotę rzucić kogoś rancoro-wi, że z braku winnych kazał wrzucić robota, wysmarowanego krwią i wnętrznościami zwierząt. Co prawda sprawiedliwiej byłoby wrzucić tam tego, który mnie fałszywie oskarżył, ale Jabba i sprawiedliwość rzadko chodzili w parze. Rancor naturalnie nie był w stanie zjeść dro-ida, ale uczciwie próbował - gdy skończył zajmować się E522, robot nie nadawał się do niczego. Przynajmniej wszyscy tak myśleli - teraz się okazało, że został naprawiony, tyle że obie kończyny górne urywały się na stawach łokciowych, czyli zdemontowano mu podstawowe uzbrojenie. Co bynajmniej nie znaczyło, że jest bezbronny - dro-idy-zabójcy zawsze mają zapasowe uzbrojenie. W dodatku nie miał zamocowanego ogranicznika. Jeśli przybył, żeby się zemścić, to nawet nie miałem świadków. Wszyscy spali jak zabici.

- Figrin Da'n? - powtórzył basem w tonacji zielonkawej.
- A po co ci on potrzebny? - spytał Figrin, starając się brzmieć bezbarwnie.

Zacząłem żałować, że nie mam miotacza. Prawdę mówiąc i tak na nic by mi się nie przydał, ale zawsze raźniej.

- Mam dla niego wiadomość. I nie musisz się bać: moje oprogramowanie zabójcy zostało wymazane, a broń zdemontowana. Nowy właściciel zrekonstruował mnie i używa jako posłańca.
- Nie pamięta nas - odetchnął Figrin po bithańsku. - Pamięć też mu wymazano.

Też się uspokoiłem i przypomniała mi się stara zasada dotycząca dro-idów-zabójców: „Nie bój się tego, którego widzisz”. Poza tym zawsze lepiej mi szło współżycie z droidami niż z większością ras rozumnych. Zwłaszcza z ludźmi. Rozbrojony E522? Tak bym się czuł, gdyby mi uratowano życie amputując wszystkie palce...

- Kto jest twoim nowym właścicielem? - spytałem. Odpowiedział mi syk pełen białego szumu.
- Kto? - powtórzyłem szeptem.
- Lady Valarian - padła równie cicha odpowiedź i przestałem się dziwić.

Val, jak ją potocznie zwano, była główną konkurentką Jabby w porcie Mos Eisley. Hazard, handel bronią i informacjami - działali w tym samym, tyle że ona na mniejszą skalę, ponieważ niedawno pojawiła się na Tatooine. Stąd robot z odzysku.

- Czego chce? - spytałem nieco uspokojony.- Pragnie was wynająć, żebyście zagrali na jej ślubie w Mos Eisley. Konkretnie w hotelu „Lucky Despot”.

- Nie gramy na weselach - odparliśmy z Figrinem wyjątkowo zgodnym chórem.

I trudno nam się dziwić - taka impreza to dwa do trzech dni (w zależności od rasy) plus czas potrzebny na opanowanie nowej muzyki, a traktują cię jak odtwarzacz. Każą powtarzać w kółko te same kawałki, grać kretyńskie fanfary, a w końcu wszyscy tak się urzną, że nie słyszą, czy ktoś gra, czy nie. I to wszystko za połowę normalnej stawki, o satysfakcji nie wspominając.

- Lady Valarian znalazła oblubieńca z własnego świata - dodał droid, wpatrując się w Figrina.

Dobrze, że nic nie piłem, bo bym się zakrztusił. Jedyńm stworem paskudniejszym nawet od Hutta jest Whipid - przerośnięty, pokryty śmierdzącą szczecina prymityw z żółtymi kłami. Wyobraziłem sobie, co będzie, jak zobaczy Tatooine. Musiała mu naobiecować nie wiadomo jakie luksusy i wspaniałe polowania.

- Macie grać jedynie na oficjalnym przyjęciu za trzy tysiące kredytów - ciągnął droid. - Transport i lokum zapewnione, jedzenia i picia ile chcecie. I pięć przerw podczas przyjęcia.

Trzy tysiące kredytów?! To zmieniało postać rzeczy - za swoją część mógłbym założyć własny zespół.

- A gry hazardowe? - spytał Figrin.

- Poza czasem występów, oczywiście - odparł droid. Zabrzęczałem, chcąc zwrócić uwagę Figrina - Jabba podpisał z nami kontrakt na wyłączność i występ u konkurencji mógł mu się nie spodobać. A jak Jabbie coś się nie spodobało, to ktoś ginął. Figrin jednak mnie zignorował - mając w perspektywie *sobace* zabrał się za negocjacje.

Do Mos Eisley poleciliśmy o pierwszym zmierzchu, to jest, gdy zaszło pierwsze słońce. Pojazd był ciasny, ale za to nie rzucający się w oczy, co nam odpowiadało - w Mos Eisley obowiązywała stara zasada maskująca: jeżeli cię nie widzą, to do ciebie nie strzelają. Wlecieliśmy od strony południowego sektora, zgrabnie pilotowani przez pomarańczowego droida. Podobnie jak E522 nie miał ogranicznika, co skłaniało mnie do cieplejszych uczuć względem ich właścicielki.

Trzy piętra nad jedną z bezimiennych ulic portu rozbłysły dwie lampy oświetlając szeroko otwartą śluzę, ku której skierował się nasz pojazd. Z poziomu ulicy prowadziła do niej rampa i schody, a nieco poniżej głównego wejścia widać było trzy wielkie iluminatory - najbardziej charakterystyczny element hotelu mieszczącego się w zwrakowanym statku kosmicznym. Jakiś dureń chciał tu zarobić. Jedna czwarta starego transportowca tkwiła we wszechobecnym piachu. Pełno tu było gruzu i kurzu nawianego przez ostatnie sztormy.

- Wsiadajcie panowie - zabręczał droid, lądując na rampie.

Wysiedliśmy, wyładowaliśmy z luku bagażowego instrumenty. Bagażu nie mieliśmy dużo, bo oprócz kostiumów wzięliśmy tylko po jednym ubraniu, pozostawiając resztę u Jabby. Ruszyliśmy do wnętrza.

Jaskrawe światło w holu o mało nas nie oślepiło, toteż dopiero po chwili, gdy wzrok się przyzwyczaił, zauważyliśmy strażnika-człowieka w pomarańczowym kombinezonie, który rozsiadł się niedbale w rogu. Po szefowej ani śladu, toteż straciłem do niej całą sympatię - może i ufała droidom, ale artystów traktowała niczym pomywaczy.

- Tędy proszę - nasz kierowca okazał się też przewodnikiem i poprowadził nas obok recepcji do schodów.

Recepcjonistka należała do nie znanej mi rasy, ale była nadzwyczaj atrakcyjna. Jej

wielopłaszczyznowe oczy ślicznie błyszcząły.

Przyjęcie miało się naturalnie odbyć w słynnej kawiarni „Gwiezdna Komnata”, zajmującej prawie cały pokład. Konkretnie trzeci, licząc od góry. Ściany pokryto lustrzaną czernią, podobnie jak podłogę, a wewnątrz ustawiono kilkanaście stolików, co na pierwszy rzut oka robiło imponujące wrażenie. Drugi rzut niestety ujawniał, że stoliki mają uszkodzone nogi, a spod czerni przebijają plamy bieli, którą pierwotnie pomalowano grodzie transportowca. Gości było niewiele i to zajętych obiadem, toteż zaczęliśmy od tego samego. Kilka minut później włączono projektory i koło głowy Figrina przemknęła kometa, odbijając się w mojej zupie.

Tu i tam pojawiły się hologramy stołów do *sabacca* i przypomniała mi się pewna plotka. Otóż podobno Jabba dopilnował, by konkurencja nie dostała zezwolenia na gry hazardowe, dzięki czemu Valarian musiała robić to nielegalnie i dopiero po zmroku. Podobno Jabba uprzedzał ją o planowanych nalotach policyjnych - za odpowiednią opłatą.

Figrinowi więcej nie było potrzeba do szczęścia - wyjął swoją talię i ruszył do gry. Dziś zgodnie z planem miał przegrywać. Pozostali dołączyli do meczu *schickele*, który odznaczał się niskimi stawkami i długością gry.

Natomiast ja znalazłem znużonego strażnika i wdałem się z nim w pogawędkę. Kubaz to doskonali strażnicy - ich długie, delikatne nosy rozróżniają zapachy równie skutecznie jak my rozróżniamy dźwięki, a zielono-czarna barwa skóry ułatwia rozplątanie się w cieniu. W zamian za kufel średnio mocnego płynu dowiedziałem się, że nazywa się Thwirn urodził się na Kubindi i że oblubieniec, imieniem D'Wopp, jest doskonałym myśliwym, czego zresztą należało się spodziewać.

Przy okazji dostrzegłem też znajomą gębę. Nie tyle przyjazną, ile właśnie znajomą - Kodu Terrafin był kurierem między pałacem a domem Jabby w Mos Eisley. Jak każdy Arc ona, wyglądał niczym brudny wąż z pazurzystymi kończynami i łbem jak kowadło. Wyróżniał się wśród pobratymców tym, że przeważnie paradował w kombinezonie pilota. Obserwowałem go kątem oka - laził od stolika do stolika, najwyraźniej szukając kogoś znajomego. W pewnej chwili ślepia mu rozbłysły i ruszył w moją stronę.

- Figrin, to ty? - Najwyraźniej przedstawiciele mojej rasy miesza mi się dokładnie.

- Nie całkiem - odparłem zgodnie z prawdą.

- A, Doikh. Przepraszszam - syknął. - Informacja na sssprzedaż. Gdzie Figrin?

Biorąc pod uwagę, czym akurat zajmował się Figrin, nie był to najlepszy czas, by mu przeszkadzać. Hazard podobno wciąga.

- Nie mam czasssu - dodał Kodu. - Jak go nie ma, to ty kup.

- Niech będzie. Dam dziesięć. - Figrin zwracał koszty, jeśli informacja była warta wysłuchania.

Thwim zmarszczył wydatny nos - obok przemknął Jawa, więc ten odruch wydał się całkiem naturalny.

- Sssto - Kodu nawet się nie zawahał. No to zaczęliśmy się targować.

Po minucie stanęło na trzydziestu pięciu, więc przelałem mu kwotę z karty na kartę i spojrzałem wyczekująco.

- Jabbajessst zły.

- Na kogóż to tym razem? - spytałem niewinnie. - I dlaczego?

- Na wasss. Złamaliśście kontrakt.

Moje żołądki zawiązały się na ciasny węzeł: kto by pomyślał, że ten przerośnięty bęcwał zauważy naszą nieobecność? Meloman ze śluzu!

- Co zrobił? - spytałem, siląc się na spokój.

- Rzucił dwóch ssstrażników rancorowi. - Kody wzruszył kościstymi ramionami. - I obiecał nagrodę...

No, to żegnajcie nadzieje na spokojną starość. Na jakąkolwiek starość, prawdę mówiąc - wieku mojej mamuśki, żyjącej w różowych bagnach Clak'dor VII, na pewno nie dożyję.

- Dzięki, Kodu - postarałem się, by brzmiało to szczerze.

- Cześć, Doikh. Powodzenia.

Skinałem głową i zacząłem lawirować w stronę Figrina, wpatzonego jak w obrazek w krupiera tasującego karty.

- Kończ! - szepnąłem, ciągnąc go za kołnierz, by wyrwać z tego urzeczenia. - Złe wieści!

Poskutkowało - przeprosił pozostałych i wstał. Stwierdziłem, że jak się cały czas patrzy za siebie, to droga strasznie się wydłuża, ale Jabba miał zwyczaj płacić ekstra za martyrologię.

- Co jest? - spytał Figrin, gdy znaleźliśmy pusty stolik w pobliżu baru.

No to mu powiedziałem.

- Mamy instrumenty i ubrania - podsumował. - Ale ja przegrałem, zgodnie z planem...

A pieniądze były nam potrzebne bardziej niż zazwyczaj - choćby po to, by kupić żywność potrzebną na przeczekanie pierwszego entuzjazmu łowców skuszonych łatwym celem. Przypomniałem mu o tym, ale energicznie zaprotestował:

- Nie będziemy się kryć, tylko odlecimy z tej planety!

- A twój zapasik w pałacu?

- Nie jest wart życia. Jutro zaraz po ślubie wyruszamy. Potrzebujemy większej widowni, czas wrócić na ścieżkę sławy.

- I lepszego bufetu - dodałem z błyskiem w oczach. - Sławy nie da się zjeść.

- Ktoś dziś w nocy musi czuwać - zakończył Figrin. - Słyszałem, że zgłosiłeś się na ochotnika?

- No to... wezmę pierwszy dyżur.

Rano wstaliśmy niewyspani i zmęczeni. Po śniadaniu rozstawiliśmy się na estradzie kawiarni, a w jakiś kwadrans później zaczęli pojawiać się goście. Schodzili się, pełzali i przyczłapywali, ale nie wchodząc do środka - najwidoczniej powitanie młodej pary miało się odbyć w korytarzu. Thwim, tak jak mi wczoraj powiedział, obstawiał wolny (to jest nie przytykający do ścian) koniec baru, a służba panny młodej zastawiała stoly i ozdabiała jak mogła salę. Tak na wszelki wypadek rozejrzałem się po kawiarni - odkryłem dwie windy, wejście do kuchni i okrągły właz będący zapewne niegdyś wyjściem awaryjnym. Ciekawe, czy Whiphi-dy się całują - przy ich wystających kłach musiałoby się to odbywać z niezłym trzaskiem... Albo czy szczytując wznoszą okrzyk wojenny... Te rozmyślenia przerwały mi dobiegające zza drzwi windy wiwaty.

- Chyba się wreszcie pobrali - mruknął Figrin.

I faktycznie, do środka zaczął się wlewać tłum gości. Zagraliśmy wstępny kawałek, a zanim skończyliśmy, byłem mokry - nie od gorąca zresztą: wśród zbieraniny ras i gatunków, z których przynajmniej połowy nie byłem w stanie zidentyfikować, bez trudu rozpoznałem pół tuzina podwładnych Jabby. Coś mi jednak przestało pasować: nawet jeśli zaplanowałem dla nas wycieczkę do Wielkiej Dziury Carkoona, to przysłał w tym celu zdecydowanie zbyt liczną ekipę. Nagły błysk światła zwrócił moją uwagę. Przy wyjściu awaryjnym stał E522 z lśniącym, nowym uzbrojeniem i równie nowym i lśniącym ogranicznikiem, przymocowanym do metalowego torsu. Najwyraźniej zaufanie Val do droidów też miało swoje granice.

Do estrady podszedł młody człowiek w wyjątkowo czystym i całym ubraniu i pociągnął Figrina za nogawkę. - Zagrajcie „Tears of Aaquanna”.

Figrin uwolnił nogawkę, więc człowiek skierował się ku mnie. Nie mając ochoty na wyciągnięcie spodni z jego rąk skinąłem głową i zacząłem. Skąd mogłem wiedzieć, że jakiś lokalny gang przerobił ten utwór na swój nieoficjalny hymn? Kilkunastu z nich zebrało się przed estradą i zaczęli wyśpiewywać, że aż się słabo robiło. Słowa chyba sami wymyślili, bo rymu w tym nie było za grosz. Nim doszli do drugiej zwrotki, w ich (czyli w naszą) stronę ruszyła inna grupa z mocno skwaszonymi minami, wyraźnie wskazującymi, że nie są zadowoleni. Czym prędzej szturchnąłem Figrina, który równie szybko zmienił ton, dość nieortodoksyjnie, za to najszybciej jak się dało. Jeden ze śpiewających - no bo jakoś ten hałas trzeba było nazwać - spojrzął na nas wściekle, ale nim zdążył się odezwać, odepchnęła go ciemnoskóra samica ludzka z drugiej grupy i zażądała głosem idealnie pasującym do koloru skóry:

- Zagrajcie „Worm Casa”. Dla Fixera i Camie! Jak coś się gra sześćset pierwszy raz, robi się to odruchowo - tym razem jednak dokonaliśmy tak wariackiego skrót, że sprawił nam autentyczną radość. Na szczęście nikt nie próbował niczego śpiewać.

Thwim, wraz z drugim strażnikiem, wyprowadzili oba gangi, a ja sprawdziłem, co porabiają podopieczni Jabby. Zebrali się w pobliżu baru i zabijali czas... chwilowo tylko czas.

Po kolejnym utworze mieliśmy przerwę, zgodnie z umową, toteż Figrin pognął do kart. Ja zostałem na estradzie, żeby nie wyglądało, że cały zespół sobie gdzieś poszedł. Niespodziewanie podszedł do mnie najbrzydszy chyba człowiek, jakiego w życiu widziałem. Masywny, ponury i z kubkiem w każdej dłoni.

- Nie wysuszyło cię? - spytał opryskliwie. - W tym jest ponck, w tamtym lum.

- Dzięki - sięgnąłem po ponck i duszkiem wypilem połowę.

- Smacznego - warknął i siadł na brzegu estrady, plecami do mnie nie do tłumu: taki odruch.

Zapanowała chwila ciszy - zastanawiałem się, czy jak go spytam o imię, to uzna to za uprzejmość, czy za obelgę.

- Dobra kapela - odezwał się w końcu. - Co robicie na Tatoonie?

- Dobre pytanie - ostrożnie postawiłem kubek obok Ommni. - Graliśmy w najlepszych salach sześciu systemów.

_ W to mogę uwierzyć, naprawdę doskonale gracie, ale nie o to pytałem.

- To popatrz tam - wskazałem Figrina przy *holostole sabacca*. - Mieliśmy mieć tu przesiadkę i jakoś zostaliśmy na dłużej. A ty co tu robisz?

- Prowadzę bar niedaleko - ton zmienił mu się z czarnego na stalo-woszary. - Nie jest łatwo, ale ktoś musi, bo inaczej te cholerne droidy będą wszędzie barmanami.

Gwizdnąłem cicho i słyszalnie dla niego. Droidy ułatwiały życie - ale nim mu to zdążyłem przypomnieć, dodał: - Trzymaj się mokro, przyjacielu.

I odszedł.

Ostrzegał, czy z natury był taki przyjazny? Rozejrzałem się za Thwi-mem, by go podpytać, ale nigdzie w pobliżu go nie było. A zaraz potem zjawił się Figrin i zajął rogiem.

- Przegrywasz? - spytałem cicho.

- Już nie. Ale i nie wygrywam... Daj mi A.

Podaliśmy mu ton i zabraliśmy się do pracy. Przy pobliskim stoliku coś powoli, acz skutecznie zmieniło właściciela (tutejszym zwyczajem było unikanie gwałtownych ruchów), a potem w polu

widzenia coś się pojawiło: coś niezgrabnego, wielkiego i brzydkiego jak nieszczęście. Była to spleciona w uścisku i opleciona girlandą zielska para Whiphidów, udająca że tańczy. Dwa i pół metra kłów, pazurów i żółtawego futra - nawet stojąc na estradzie byłem od nich niższy. D'Wopp wgapił się w szerokie, skórzaste oblicze lady Valarian z taką intensywnością, że omal nie rozdeptał krzesła i siedzącego na nim kupca. Ten miał refleks, toteż zdążył uskoczyć, a młodożeńcy siedli przy sąsiednim stole i zaczęli wyplątywać się z zielonych girland.

Udawałem, że przyglądam się parkietowi, ale naprawdę obserwowałem jednego z rzezimieszków Jabby. Anemiczny, szaroskóry Duro wędrował w naszą stronę... sam. Przez parkiet przewirowało trio Pappfaków, splecionych turkusowymi mackami w jedną całość, i omal nie przewróciło się o małego droida, toczącego się ku lady Val. Ta widząc go wstała, pokłepała D'Woppa po masywnym łbie i w ślad za droidem pomaszerowała do kuchni. Czerwone oczka Duro zapłonęły na ten widok - omijając bokiem tańczących zbliżył się do D'Woppa, stanął, skłonił się i wyartykułował przez gumowe wargi:

- Doobre łooowy?

I wyciągnął do Whiphida wąż i cienką górną kończynę. Ten złapał go za ramię i warknął:

- Wytłumacz no, o co ci chodzi, albo moja pani dostanie na śniadanie twoje pieczone zebra! - Bez oobrazy - Duro aż się skurczył. - Nie miałem na myśli twojej pani. Móóówię dooo D'Woooppa, łooowcy nagróóód ooo wielkiej reputacji, tak?

D'Wopp puścił go i wyprostował się.

- To ja - oznajmił dumnie. - Chcesz się kogoś pozbyć? Odetchnąłem nie przestając grać. I słuchać, ma się rozumieć.

- Czy twoja nooowa pani dała ci już jakąś prooopozycję? - spytał Duro.

- Mów jaśniej!

- Na Tatoooooine jest większy szef niż lady Valarian. Lady Val płaci mu za oochronę. Whiphid, któóóry naprawdę kooocha łooowy, nie zadoooooooli się drooobnicą. Móóój pracooodawca właśnie wyznaczył rekoooordową nagroooode. Prawdooopooodooobnie w tej chwili nie szukasz pracy, ale takie oookazje rzadkooo się trafiają...

A więc o to chodziło! O skłócenie Val ze współmałżonkiem i zepsucie całego wesela. Z wrażenia sfalszowałem kolejną frazę i przypomniałem sobie czym prędzej, że nami Jabba będzie miał czas zająć się później. Lady Val była zdecydowanie ważniejsza.

- Nagroda? - zainteresował się D'Wopp. - Za kogo?

- Nazywa się Sooolooo. Zwykły przemytnik, ale zdenerwoooował szefa. - Duro znowu wzruszył ramionami. - Szef ma znacznie więcej wrogóóów niż lady Valarian. Mam rooozumieć, że szanoowny D'Wo-oopp jest zainteresooowany?

- Rekordowa nagroda, powiadasz?

Duro zniżył głos, toteż nie usłyszałem, ile konkretnie wynosi nagroda; sądząc jednak po szybkości, z jaką D'Wopp się zerwał, musiała być faktycznie spora.

- Powiedz twojemu szefowi, że D'Wopp dostarczy mu ciało. Wtedy się spotkamy.

Solo... według Figrina jak na człowieka nieźle grał w *sabacca*. Teraz interesował mnie o tyle, że nieświadomie uratował mi życie - listy poszukiwanych przez Jabbę były zazwyczaj krótkie.

- Nie zostaniesz na uroooczystości? - pisał Duro.

- Będziemy świętowali mój powrót w sławie - warknął D'Wopp. - Ona jest Whiphidem. Zrozumie.

Lady Val pojawiła się na sali i Duro zniknął niczym kostka lodu na wydymie. A ja wstrzymałem oddech, mimo iż Figrin zaczął grać coś, czego nie znałem. Jakoś mi się wydawało, że szanowny D'Wopp źle ocenił swoją małżonkę. Na potwierdzenie nie musiałem długo czekać: dobiegły mnie pojedyncze słowa z rozmowy nowożeńców, potem wrzaski w niezrozumiałym języku i krótki, bojowy ryk. A w końcu nasza kochająca się para ruszyła na siebie z pazurami, i to na parkiecie. Omal się nie potknąłem o Ommni, zaś Figrin o milimetry uniknął ciosu Fanfarem.

Tłum zebrał się natychmiast, co w Mos Eisley stanowiło normę, a przy entuzjastycznym udziale podwładnych Jabby zamieszanie miało szansę rozszerzyć się z szybkością burzy piaskowej. Już trzej najbliżsi współpracownicy lady Val włączyli się do walki, a na gwizd D'Woppa para młodych Whiphidów zrobiła to samo. Podwładni Jabby wepchnęli od tyłu grupę widzów w tłum i nie było co się łudzić, że na tym poprzestaną. Gospodyni wrzasnęła i wszyscy mający pretensje do Jabby dołączyli do zamieszania, rozbierając krzesła, stoły i co tam było pod ręką.

- Dziękujemy państwu - oznajmił gładko Figrin, pochylając się nad Ommni i przerywając w półtaktu.

Ledwie go było słyhać. Wychodziło, że zrobił nam się wieczorek taneczno-boksyerski, toteż nie było na co dłużej czekać. Tech wyjątkowo przytomnie zajął się rozłączeniem aparatury, a ja właśnie sięgnąłem po futerał, kiedy w głównym wejściu dostrzegłem białe, znane aż za dobrze sylwetki. Szturmowcy!

Nikt nie był w stanie wezwać ich tak szybko. Prawdę mówiąc większość była zaskoczona ich obecnością - nie wyłączono nawet holo-graficznej ruletki. Nauwał się prosty wniosek: ich obecność była zasługą Jabby, który w dodatku nie uprzedził o tym gospodyni.

- Tylne wyjście! - Figrin zeskoczył z estrady, zanurkował pod morderczym sierpowym jakiegoś człowieka i kopem w kolano usunął go z drogi.

W ślad za nim posuwaliśmy się wzdłuż ściany, przyciskając kurczowo do piersi instrumenty. Bez nich nie mieliśmy szans się utrzymać. W najbliższej grupie walczących dostrzegłem Thwina, z wprawą powalającego kolejnych przeciwników.

- Pomóż nam! - krzyknąłem. - Nie mamy broni!

Najpierw w moją stronę skierował się jego nos, potem cały Thwim, a jeszcze później wylot blastera. Do dziś nie wiem, dlaczego strzelił. Tech zawył i puścił instrument, a Nalan znurkował w tłum. Po sekundzie wyłonił się z ręką wykręconą pod dziwnym kątem, ale z dwiema Fanfarami w drugiej. Złapałem go za zdrowe ramię i pociągnąłem ku włazowi awaryjnemu, przed którym parkował E522 i beznamietnie rozwaliał każdego, kto się zbliżył. Figrin na ten widok stanął jak wryty, Tech wpadł na niego, a ja nawet nie zwolniłem kroku przemykając obok. - Za nami rozpętała się regularna bitwa, jako że goście broni mieli aż nadto (co prawda nie rejestrowanej, ale w pełni sprawnej), a szturmowcy nie zaliczali się do cierpliwych celów. Ponieważ zawsze wolałem droidy od innych istot rozumnych, najspokojniej jak potrafiłem podszedłem do zabójcy.

- Doikh! - jęknął Figrin. - Wracaj...

E522 nie strzelił, najwyraźniej nadal miał nas w pamięci jako współpracowników właścicielki. - Przepuść nas - powiedziałem, choć nie wypadło to zbyt przekonująco, bo właśnie coś przeleciało mi z gwizdem nad głową.

- Zamknijcie za sobą właz - odparł.

- Jazda! - poleciłem pozostałym.

Figrin pod moim ramieniem dopadł włazu, otworzył go i zniknął po przeciwnej stronie. Pozostali

poszli w jego ślady. Widzącienne światło wpadające przez uchylony właz, w jego kierunku rzucała się cała kupa stworzeń. Był między nimi masywny barman. Zawahałem się: choćby za ten ponck byłem mu coś winien, a E522 już zaczął eliminować nadbiegających.

- Nie strzelaj do tego człowieka! - poleciłem mu, ale bez skutku: mógł mnie wprawdzie rozpoznać, ale słuchanie moich poleceń przy działającym ograniczniku to by już była przesada.

Barman widząc wycelowany w siebie needler padł na ziemię z zadziwiającą przy jego posturze zwinnością i wrzasnął:

- Jedź po sopranach!

Brzmiało to wariacko, ale bez dwóch zdań skierowane było do mnie, toteż uniosłem pozbawiony futerału Fizzz i cały oddech włądowałem w gamę wysokiej tonacji, dochodząc prawie do ultradźwięków. Któryś z tonów musiał mieć tę samą częstotliwość co kontrolujący ogranicznik sygnał, gdyż E522 nagle się wyłączył. Barman zerwał się czym prędzej i dobiegł do mnie.

- Pieprzone droidy! - mruknął, ocierając krew z nosa. - Cholerne, śmierdzące droidy!

Prawie równocześnie wypadliśmy na zewnątrz, aleja byłem nieco szybszy. Trafiliśmy na wąską półkę z duracretu, skąd do ziemi prowadziła licząca trzy piętra metalowa drabinka. Nie zwlekając, zacząłem po niej schodzić. Figrin ku memu zaskoczeniu był już na dole - właśnie zeskakiwał z ostatniego szczebla. Drabinka zatrzęsa się; barman poszedł w moje ślady, a w otwartym włazie pojawił się kowadłowy łeb jakiegoś Arcony.

Nim dotarłem do ziemi, drabinka wpadła w szalony dygot, tyłu się po niej naraz ewakuowało. Jakim cudem nie upuściłem instrumentu, nie wiem do tej pory, ale jakoś dotarliśmy na ziemię i do pozostałych czekających za rogiem. Zaczynał się kolejny upalny dzień.

- I co teraz? - jęknął Nalan, tuląc do siebie złamaną rękę. - Bez kredytów za ten występ nigdy stąd nie odlecimy.

- Trzy tysiące... - zawtórował mu Tech. - Trzy tysiące szlag trafił...

- Nie tylko - poinformowałem go rzeczowo, oglądając Fizzz: wyglądał na nie uszkodzony. - Figrin wczoraj prawie przegrał naszą rezerwę finansową, zgodnie z planem, by dziś tym więcej wygrać. Tylko nie zdążył, prawda, Figrin?

Barman przemknął obok nas.

- Za mną! - rzucił przez ramię nie zwalniając kroku.

- Nie możemy ci zapłacić za schronienie! - wrzasnąłem, ruszając jednak za nim. - Nie mamy czym!

- Za mną - powtórzył nieco spokojniej. - Może będę miał dla was robotę!

Maszerując za nim ulicą, a potem alejką, przetrawiałem jego słowa. Wolałbym szufłować piach, niż cokolwiek robić dla człowieka, ale on nie był właścicielem knajpy, w której pracował. Jak zdążyłem się zorientować, właścicielem lokalu zwanego „Kantyna” był starszy wiekiem Wookie imieniem Chalmun. I to on właśnie proponował nam dwuletni kontrakt.

Kontrakt podpisaliśmy w biurze właściciela, mimo moich zastrzeżeń, że miejsce jest zbyt uczęszczane i Jabba na pewno nas tam znajdzie. Figrin przekonał mnie argumentem, że będziemy tam grali tylko tak długo, dopóki nie zarobimy na transport poza planetę. Może nie było to zbyt uczciwe, ale w końcu chodziło o nasze głowy.

Zamieszkaliśmy w izolowanych Pokojach Ruillii, wychodząc jedynie po to, by grać. Zdążyłem zaprzyjaźnić się z barmanem - nazywa się Wuher. Solo ograł Figrina, w *sabacc* więc jeszcze żyje, za to D'Woop wrócił do domu w kawałkach. Lady Valarian nadal jest samotna i wygląda, że tak już

zostanie. A ja za każdym razem, gdy zaczynamy grać, przyglądam się uważnie gościom. Właśnie wszedł ten zielony Rodia-nin, Greedo. Amator, nie łowca, ale Jabba używa go na posyłki. Głupi i uzbrojony...

Na wszelki wypadek nie będę go spuszczał z oka.

LOS ŁOWCY

Opowieść Greedo

Tom Yeitch i Martha Veitch

1. Uchodźca

- *Oona goota*, Greedo? - pytanie zabrzmiało bojaźliwie, a jedyną odpowiedzią były ironiczne wrzaski skalnych ropuch, ukrytych w jaskini.

Pąweeduk podrapał się po tapiropodobnym ryju i parsknął bojowo. Odgłos utonął bez echa w czarnym otworze, w którym też bez śladu zniknął jakiś czas temu jego starszy brat. Nie mając wyjścia, włączył latarkę i zacisnął przyssawki drugiej dłoni na lśniącym nożu myśliwskim, który dostał od stryja Noka na dwunaste urodziny.

I wszedł do jaskini.

No i po paru krokach okazało się, że jaskinia, którą obaj znaleźli wśród roślinności, wcale nie jest jaskinią, tylko korytarzem prowadzącym do pancernych drzwi. Otwartych w dodatku. Ostrożnie zajrzał przez prostokątny otwór, przyświecając sobie silnym strumieniem światła. Znajdował się w sztucznie wydrążonym wnętrzu góry, w którym ciche i nieruchome czekały trzy srebrzyste kształy statków kosmicznych.

— *tftthan kwe kutha*, Pąweeduk! - to był głos brata, a po chwili zza pierwszego statku ukazała się jego dłoń z latarką. Młodszy z wahaniem podszedł bliżej.

Podłoga była równa i chłodna, w niczym nie przypominająca ubitej ziemi. Greedo zaś stał w otwartym włazie środkowego statku.

- Chodź, nie ma się czego bać. Zobacz, co znalazłem w środku - zachęcił.

Wnętrze jednostki dla obu młokosów stanowiło prawdziwą skarbnicę cudów i tajemnic. Wszystko było dziwne i niezrozumiałe - metalowe kształty, błyskające światła i ekrany z niezrozumiałymi informacjami. Na dobrą sprawę znajomo wyglądały jedynie kwatery mieszkalne - Greedo miał wrażenie, że już w nich kiedyś był, choć nie miał żadnych wspomnień z tego okresu. Prawdę mówiąc, jedyne, co pamiętał ze swojego dzieciństwa, to życie w puszczy porastającej okolicę. Matka zbierała orzechy, wujowie hodowali latające batty, z których było i mleko i mięso, a wszyscy razem - około dwóch tysięcy Rodian - żyli w jednej osadzie, położonej w cieniu potężnych i rozłożystych tendrilow. Było to jedyne życie, jakie znał przez te piętnaście lat, które minęły od jego narodzin.

Życie płynęło spokojnie, gdyż - poza schodzącymi niekiedy z gór drapieżnymi kotami - nie było tu naturalnych wrogów dla inteligentnej rasy. Mańki zresztą pojawiały się jedynie w okresie rui, czyli raz do roku. Dzieci i młodzież miały wówczas zakaz opuszczania osady, a dorośli, uzbrojeni w wydobyte ze skrytek miotacze, stali na straży czekając, aż kocie wędrówki dobiegną końca.

Greedo nie mógł wtedy spać, słysząc basowe pomruki karabinów plazmowych. Rano po strzelaninie na centralnym placu wywieszano zabitego drapieżnika, a po sezonie broń zniknęła aż do następnego roku. Starsi nigdy nie wspominali o tym przy młodzieży, ale Greedo podsłuchiwał ich kiedyś, gdy rozmawiali o życiu wśród gwiazd. Słyszał wówczas dziwne i niezrozumiałe słowa: „Imperium”, „wojna klanów”, „łowcy nagród” czy „Rycerze Jedi”. Czegoś mu w tym życiu

brakowało, choć nie bardzo wiedział czego. Czuł, że nie pasuje do tego roślinnego świata...

Srebrzyste statki były tego dowodem - to o nich mówili wujowie. Najwyższy czas, by spytać matkę, dlaczego zostały tu ukryte. Był już wystarczająco dorosły, by to wiedzieć.

Gdy wrócili do osady, matka siedziała przy ognisku przed chatą, zajęta łuskaniem orzechów. Pomagała sobie kościanym nożem; po-gwizdy wała, a jej ręce poruszały się zwinnie. Greedo kucnął obok i zaczął z białego korzenia tendrila rzeźbić statek kosmiczny. Gdy skończył, przyjrzał mu się ostentacyjnie i spytał:

- Kiedy nauczysz mnie o srebrnych statkach ukrytych we wnętrzu góry?

Dłonie Neeli znieruchomiały.

- Znalazłeś je - to było stwierdzenie, nie pytanie.

- Znaleźliśmy je z Pąweedukiem...

- Mówiłam Nokowi, że trzeba zasypać wejście! - westchnęła z uczuciem. - Ale on za bardzo kocha przeszłość... nie mógłby się wykradać, by je oglądać...

Wróciła do obierania orzechów, ale zwolniła tempo. Greedo czuł, że rewelacje ma prawie w zasięgu ręki.

- Mamo, opowiedz mi o statkach. Proszę...

Spojrzała na niego wilgotnymi oczyma i wreszcie się zdecydowała.

- Te statki... przylecieliśmy tu na nich... dwa lata po twoich narodzinach...

- To ja się tu nie urodziłem?

- Urodziłeś się na planecie Rodia, tam, skąd pochodzi nasza rasa. Wtedy nastał tam czas śmierci... twój ojciec został zabity, gdy nosiłam w sobie twego brata. Musieliśmy uciekać... alternatywą była śmierć.

- Nie rozumiem.

Westchnęła wiedząc, że musi mu powiedzieć wszystko... albo prawie wszystko. Osiągnął już wiek, w którym najgorsza prawda była lepsza od najlepszego kłamstwa.

- My, Rodianie, zawsze byliśmy myśliwymi i wojownikami. Zawsze kochaliśmy śmierć, a wiele lat temu, gdy nie było już na co polować, nauczyliśmy się hodowli, aby mieć co jeść, i zaczęliśmy polować na siebie nawzajem. Dla rozrywki.

- Zabijaliśmy się wzajemnie? - Greedo był nieco wstrząśnięty.

- Dla sportu. Część uważała to za głupotę i nie chciała dalej brać udziału w tym bezsensownym okrucieństwie. Twój ojciec też... był wielkim łowcą nagród, ale odmówił udziału w łowach gladiatorów, jak je nazywano.

- Co to jest „łowca nagród”? - spytał Greedo, czując dziwny dreszcz przechodzący po plecach.

- Twój ojciec polował na kryminalistów i innych, za których głowy wyznaczono cenę. Był szanowany za swoje umiejętności i dzięki niemu byliśmy bogaci...

- Dlatego go zabili?

- Nie. Jeden z przywódców klanów, Czerwony Navik, zwany tak od znamienia pokrywającego większość twarzy, wykorzystał łowy gladiatorów do sprowokowania wojny z innymi klanami. W jej wyniku twój ojciec został zamordowany, nasza fortuna przepadła, a klan wybito prawie do nogi. Ci z klanu Tetsus, którzy zdołali zbiec, przybyli tu i tu żyją.

- Dlaczego mi nigdy o tym nie mówiłaś?

- Bo nie było potrzeby wywlekania mrocznej przeszłości. Tu staliśmy się pokojowo nastawionym plemieniem, sam wiesz, że broni używamy tylko na manki. Przysięgliśmy lądując tu, że nasze dzieci

nie poznają naszej przeszłości, dopóki w pełni nie dorosną. Łamię teraz tę przysięgę opowiadając ci to wszystko... ale jesteś już prawie dorosły, a wzrostem dorównałeś ojcu...

Bez trudu stwierdził, że mówi prawdę: pachniała jak zwykle przy silnych emocjach. Ale było tyle spraw, o których chciał się dowiedzieć, tyle rzeczy, których chciał się nauczyć...

- Mamo, co to jest „Imperium”? Zmarszczyła elastyczny ryj z dezaprobatą.

- Powiedziałam ci to, co musisz wiedzieć, Greedo. Na resztę przyjdzie właściwy czas. Teraz pora spać!

Greedo znał ją zbyt dobrze, by się łudzić, że zyska coś uporem, toteż wykonał polecenie, choć nie do końca - wiele godzin przewracał się na sienniku, rozmyślając o srebrzystych statkach, o ojcu i o tym, jakby to było, gdyby dalej żyli wśród gwiazd.

2. Czerwony Navik

Dokładnie miesiąc i dzień po tym, jak Greedo odnalazł srebrzyste statki, Czerwony Navik, szef klanu Chattza, odnalazł resztki klanu Tetsus.

Greedo z bratem wspinali się właśnie na wyjątkowo wysokiego tendrila, gdy dostrzegli na niebie silny rozbłysk. Rozbłysk powiększał się i rozkwitał, aż wreszcie zobaczyli czerwony kształt, który dosłownie rósł w oczach. Kształt okazał się statkiem kosmicznym, ze dwadzieścia razy większym niż ukryte w jaskini. Słyszając w dole zaniepokojone głosy, Greedo zjechał po gładkim pniu, używając przysawek na końcach palców jako hamulców. Brat praktycznie siedział mu na karku.

W osadzie panowało ożywienie i wyczuwało się strach. Mężczyźni pod wodzą Noka i stryja Teeka wydobywali ze skrytek broń.

- Pospiesz się, Pąweeduk! - wrzasnął Greedo stając na ziemi. - Musimy uratować mamę! Nie mogą jej zabić!

- O czym ty mówisz? Przecież nikt nikogo nie zabija! - zaprotestował młodszy, ale posłusznie pognął za bratem.

Czerwony statek tymczasem obniżył lot, wypuścił wsporniki i wylądował w obłoku kurzu na skraju osady. W jego burcie otwarły się z sykiem dwa szerokie wejścia, opadły rampy i Greedo stanął w pół kroku, z podziwem gapiąc się na opancerzonych wojowników własnej rasy, wysypujących się z wnętrza olbrzymiej jednostki. Było ich z półtorej setki; każdy w lśniącym, płytowym kombinezonie pancernym i z groźnie wyglądającym blasterem w dłoniach.

Greedo dobrą minutę im się przyglądał, zanim zauważył, że brat coraz rozpaczliwiej ciągnie go za rękaw. A potem usłyszał głos matki, każący im obu uciekać. Ostatnią rzeczą, jaką zauważył, zanim wykonał polecenie, był wysoki Rodianin z czerwoną plamą, zajmującą większość twarzy, schodzący po rampie. Krzyknął jakiś rozkaz i powietrze wypełnił laserowy ogień i krzyki ginących.

Potem za Greedo i jego bliskimi zamknęła się zielona ściana roślinności.

Wuj Nok i stryj Teeku wraz z kilkunastoma innymi dotarli do jaskini jako pierwsi. Gdy Greedo dobiegł tam wraz z następną grupą, góra ze zgrzytem i rykiem otworzyła się, wywołując miniaturowe trzęsienie ziemi i osuwiska. W słonecznym blasku zaśniły trzy srebrzyste kształty, a ciszę, jaka zapadła po odsunięciu pokrywy pierwszego statku, przerwało niskie buczenie w rozgrzewanych silnikach.

- Teraz wiesz, dlaczego tu przychodziłem? - spytał wuj Nok na widok Neeli. - Trzymałem je w gotowości na taki dzień jak dzisiejszy. Wsiadajcie, nie mamy czasu!

Z lasu co chwila wypadali nowi uchodźcy, czym prędzej ładując się na pokłady. Gdy już pierwszy statek był pełny, uniósł się wykorzystując napęd grawitacyjny i zniknął w chmurach. Po paru minutach drugi zrobił to samo. Trzeci - pusty, nie licząc załogi - czekał na resztę ocalałych z masakry, gdy z lasu wypadł Skee, jeden z najlepszych myśliwych w osadzie, z daleka wrzeszcząc, by startowali, bo za nim nie ma już nikogo żywego. Załoga nie zdążyła nawet zamknąć włazu, bo potężny

strumień energii stopił stabilizatory, a moment później drugi strzał działa laserowego trafił w siłownię, zmieniając jednostkę w jaskrawą kulę, przez chwilę konkurującą ze słońcem.

Na pokładach dwóch jednostek, które zdążyły wystartować, nie usłyszano wybuchu, ale wyraźnie było go widać, zanim statki zniknęły w przestrzeni.

3. Nar Shaddaa

Planując ucieczkę na wypadek nagłego ataku, Nok zaprogramował pierwszy skok tak, by wyjść z nadprzestrzeni w rejonie dużego ruchu, ponieważ najłatwiej jest zniknąć w tłumie. Największe tłumy zawsze towarzyszą handlowi, więc ich ostatecznym celem był Nar Shaddaa, księżyc będący jednocześnie gigantycznym portem kosmicznym. Okrąża on planetę Nal Hutta, świat, z którego wywodzi się czerwiodob-na rasa Hutt. Między Nar Shaddaa a najodleglejszymi zakątkami galaktyki trwał ciągły ruch rozmaitych statków i okrętów, od zwykłych transportowców do luksusowych jachtów. Te ostatnie należały przeważnie do przedstawicieli rasy Hutt, którzy mieli chyba wrodzone predyspozycje do przewodzenia rozmaitym organizacjom przestępczym, jak Galaktyka długa i szeroka. Statki Tomów, okręty najemników czy piratów należały do normy, a zdarzały się i takie ciekawostki, jak luksusowe liniowce pasażerskie czy monstrialne orki, w których migrowały całe rasy. Naturalną kolejną rzeczą nie mogło w okolicy zabraknąć jednostek imperialnych, od niszczyciela w dół.

Powierzchnię księżyca stanowił monstrialny labirynt wysokiego na wiele mil miasta, budowanego od dawien dawna bez ładu, składu i porządku. Magazyny sąsiadowały z mieszkaniami, urzędy z lądowiskami, warsztaty z fabrykami, a wszystko to było podzielone na poziomy i połączone płataniną systemów komunikacyjnych, opasujących powierzchnię i wewnątrz miejskiego molocha. Mieszkali tu przedstawiciele praktycznie każdej inteligentnej rasy, a w mrocznych sferach z dala od powierzchni satelity wykształciło się nawet parę odrębnych odmian, żyjących w tym rasowym tyglu. Dwa srebrne statki, a na nich Greedo z matką i bratem oraz cała reszta uciekinierów, wylądowały w sektorze kontrolowanym przez koreliańskich przemytników, którzy nade wszystko cenili sobie porządek w magazynach i spokój w okolicy. I byli w stanie zapewnić jedno, a wyegzekwować drugie na terenie uznanym za swój. Tolerowali trzy rzeczy: hazard, drobnych złodziejasków i pojedynki między łowcami nagród. Dzięki temu w ich sektorze roilo się od kasyn i knajp, a ulice wypełniały wielogatunkowe tłumy. Jeśli ktoś miał ochotę na przestępstwo grubszego kalibru, zdrowiej dla niego było przenieść się do innego sektora.

Rodianie zamieszkali w rejonie magazynów na Poziomie Osiemdziesiątym Ósmym i znaleźli zatrudnienie jako służący i załadunkowi. Nok przykazał wszystkim, aby unikali afiszowania się w miejscach publicznych czy kasynach, by nie kusić losu: wśród Chatt-zów także byli łowcy nagród. Zapewnił też, że pozostaną tu niedługo - do chwili, kiedy znajdą jakąś lesistą planetę, gdzie będą mogli zamieszkać w spokoju. Dla dorosłych nie był to radosny okres; brak im było lasu i spokoju. Dla Greeda i jego rówieśników wręcz odwrotnie - otworzył się przed nimi nowy, nieznaną Wszechświat.

Cztery lata później Greedo wraz z pozostałymi uchodźcami nadal przebywał na Nar Shaddaa. Miał dziewiętnaście lat i nauczył się, jak przetrwać w nowych warunkach - ale nie tylko. Teraz już wiedział, jak postępować, by stać się w tym świecie drapieżnikiem. Albo tak mu się przynajmniej

wydawało.

4. Łowcy nagród

- *Jacta nin chee yja, Greedo!*

Greedo odskoczył na widok trzech grawimotorów i przesadził dziurawy płot oddzielający ciąg pieszy od jezdni, chociaż były to tereny zakazane przez wuja Noka. Obserwując brata i jego kolegów ścigających się pomiędzy pojazdami, Greedo zmarszczył z dezaprobatą ryj: mogliby wreszcie dorosnąć i przestać się wygłupiać. On sam już dawno przehandlował pojazd, kupił porządne buty i rąbnął komuś nowiutką kurtkę ze skóry rancora (której w żaden sposób nie byłby w stanie kupić). Nauczył się, jak rozbierać pompy termiczne i regulatory tarcz w co bardziej luksusowych jachtach, podczas gdy ich właściciele zażywali kąpeli czy innego relaksu. Anky Fremp - jego jedyny przyjaciel - wprowadził go w arkana czarnego rynku i skontaktował z paserami. Od dwóch lat tworzyli zespół - on i Siona Skup biomorf (bo do takiego gatunku zaliczał się Anky). A Pąweeduk nadal pozostał głupim gówniarzem. Faktycznie, czas najwyższy, żeby dorósł!

Greedo był bystrym obserwatorem, a okazji do rozwijania tego talentu nie brakowało. Co prawda ponad połowa kupców i handlarzy pracowała legalnie dla wielkich transgalaktycznych korporacji, za to druga połowa nawet nie działała na granicy prawa - była zdecydowanie poza nim. Wszystkim zaś przyświecał jeden cel: jak najszybciej się wzbogacić. Wszystkim poza jedną grupą, która prawie nie pojawiała się na ulicach mimo przejawianej w handlu aktywności. Nazywano ich Rebeliantami - politycznymi przeciwnikami despotycznej władzy Imperatora Palpatine'a. Ich siedzibą był stary magazyn na Poziomie Osiemdziesiątym Ósmym, niedaleko rejonu, w którym zamieszkali Rodianie. Głównym obiektem ich zainteresowania była broń, która przybywała ukryta w transportach egzotycznych metali, a znikła w ładowniach szybkich łamaczy blokad, ładowanych przeważnie nad ranem i natychmiast startujących. Greedo doskonale zdawał sobie sprawę, że Imperium sporo by zapłaciło za taką informację, tyle że nie znał nikogo, kto by pracował dla Imperium, a do oficjalnego przedstawiciela nie miał najmniejszego zamiaru się zgłosić. - Taki głupi nie był.

Przez zgiełk ulicy przedarł się nagle wizg laserów, więc odruchowo kucnął, chowając się za ścianą, którą niedawno przeskoczył. Nie przeszkadzało mu to obserwować rozwoju wydarzeń przez wygodną dziurę - strzelaniny zawsze były interesujące. Celem najwyraźniej był człowiek w zielonym uniformie Imperialnego, który nagle zaczął biec w rozstępującym się błyskawicznie tłumie. W ślad za nim pogoniły następne błyski laserowego ognia, dziurawiąc ściany, aż któryś trafił go w plecy, rozciągając na chodniku niecałe trzy metry od kryjówki Greeda.

Z cienia wyszły dwie imponujące postacie i nie spiesząc się podeszły do leżącego. Większa miała nieco przyrdzewiały hełm z przyłbicą i pełną, ithalańską zbroję. Mniejszy osobnik odznaczał się plamistą skórą i szerokim dziobem; ubrany był w płataninę skórzanych pasów, metalowych sprzączek i bandolierów z amunicją.

- Nie żyje, Goa - ocenił wyższy trącając leżącego butem.

- Szkoda, Dyyz, próbowałem go tylko zranić. Żywy był wart dwa razy więcej.

Dyyz bez komentarza schylił się i przerzucił zabitego przez ramię.

- Sam mu czasem dałem w łapę... - mruknął. - Ciekawe, czym się tak naraził zwierzchnikom, że go urzędowo wciągnięto na listę poszukiwanych. Skasujmy za niego i chodźmy się czegoś napić.

- Świetnie, bo w gębie mi zaschło, jakbyśmy byli na Tatoonie. Dopiero wtedy, pod wrażeniem pierwszego bliskiego spotkania z łowcami, Greedo dostrzegł, że Goa dźwiga na plecach zdecydowanie za duży karabin laserowy, wzbogacony masą elektroniki i dodatkowego wyposażenia. Nigdy dotąd nie widział podobnej broni, a starał się przyglądać każdej, jaką napotkał. Niewykluczone, że była robiona na zamówienie; ta ewentualność znacznie zwiększała jego szacunek dla łowcy. Ku jego zaskoczeniu obaj skierowali się w stronę płotu, a im bliżej podchodzili, tym groźniej wyglądali. Dyyz miał hełm z parasteelu o przyłbicy wykonanej na podobieństwo trupiej czaszki, co w połączeniu z wąskimi otworami wizjerów potęgowało wrażenie zagrożenia. Jego pancerz należał do wybitej setki lat temu rasy Ithul-ian, którzy kochali wojnę i zostali wyniszczeni do ostatniego przez równie wojowniczych Mandoloeńczyków. Sądząc po stanie zniszczenia, zbroja pochodziła zapewne z imperialnego muzeum. Strój drugiego niedwuznacznie sugerował, że nigdy nie bywa zdejmowany, a zużyte elementy zastępuje się nowymi, dodawanymi w miarę potrzeby i fanaberii użytkownika, dzięki czemu stał się z czasem ruchomą ekspozycją wojskowego ekwipunku. Goa był przedstawicielem rasy wywodzącej się od ptaków, o czym świadczyła jego głowa, co prawda pozbawiona piór, za to zaopatrzona w masywny dziób i parę małych, acz przenikliwych oczek po bokach.

Gdy obaj dotarli do płotu, Greedo czym prędzej zniknął z pola widzenia. Po chwili usłyszał nowy głos - szorstki i nieprzyjemny:

- No, patrzcie! Toż to Dyyz Nataz i Warhog Goa. Gdzieście się szwendali, łazęgi? Nie powinniście wykręcać takiego numeru staremu kumplowi.

- Spokojnie, Gorm; dostaniesz swoją działkę. Właśnie załatwiliśmy tego łapownika i jak nam tylko imperialni zapłacą, zaraz damy ci kasę.

- Jak cholera, Dyyz - warknął Goa. - Nas jest dwóch, a on sam. Może poczekać na to, co mu jesteście winni.

- Jestem wart sześciu takich jak wy, gównomioty...

Coś łupnęło, dały się słyszeć odgłosy szarpaniny i nagle karabin Goa, tak podziwiany przez Greeda, wylądował obok niego. Greedo odruchowo wyciągnął ku niemu rękę, gdy rozległ się głos Gorma:

- Oddaj mi go, Dyyz, to pozwolę wam pożyczyć jeszcze z dzień... Greedo wyjrzał ostrożnie. Gorm, o dwie głowy wyższy od Dyyza, był ubrany w pełny pancerz płytowy z zamkniętym hełmem, w którym czerwono połyskiwały receptory wzrokowe. Wyglądał na droida, choć nie całkiem... Greedo ostrożnie uniósł broń, odbezpieczył, a potem jeszcze ostrożniej wstał i oparł karabin o szczybę w płocie tak, by celował dokładnie w plecy Gorma. Dostrzegł zaskoczony wzrok Goa i nacisnął spust. Coś gwizdnęło, ryknęło i plunęło ogniem, a Gorm zwałił się na ziemię z dymiącą dziurą zamiast pleców: karabin okazał się plazmowy, nie laserowy. Goa zagulgotał i rzucił się w kierunku karabinu, ale Greedo wycelował w niego broń, co skutecznie unieruchomiło łowcę.

- Tylko spokojnie, młodzieńcze. On ma bardzo delikatny spust - odezwał się Goa pojednawczo.

Dyyz parsknął śmiechem.

- Dzięki za uratowanie życia. Jesteśmy twymi dłużnikami, chłopcze, ale miło by było, gdybyś oddał memu partnerowi jego broń. Trochę nam się spieszy.

Greedo przełazi przez dziurę w płocie, nie spuszczając broni z Warhoga, i podszedł do leżącego Gorma. W lekko dymiącej dziurze widać było stopione układy, nadpalone druty i inny elektroniczny złom.

- To droid? - upewnił się.

- Można tak powiedzieć - Goa odzyskał głos. - Wiesz co? Oddaj mi broń, a dostaniesz działkę z tego celnika. Uczciwie ją zarobiłeś.

- Mam lepszy pomysł - uśmiechnął się Greedo. - Znam sposób, dzięki któremu wszyscy możemy naprawdę dobrze zarobić.

5. Korelianin i Wookie

Anky Fremp siedział na skraju platformy parkingowej, majtając nogami nad głęboką na wiele mil szczeliną w miejskiej zabudowie. Sionian Skup byli rasą humanoidalną o niewielkich, blisko osadzonych oczach, włosach sztywnych jak druty i skórze barwy nieświeżego sera. Anky zajmował się właśnie zrzucaniem butelek na dół, co było o tyle bezsensowne, że przy odległości dzielącej płytę lądowiska od powierzchni księżyca nie miał nawet cienia szansy, by zobaczyć lub usłyszeć, jak w coś trafi. Jediną rozrywkę stanowiło przypadkowe wcelowanie w przelatujący pojazd albo inny środek transportu grawitacyjnego.

- Po co się wygłupiasz? - zmarszczył się Greedo. - To kretyńska zabawa, dobra dla mojego młodszego brata. Jak strażnik cię złapie, wylądujesz w kopalni i tyle będziesz z tego miał.

- Niby racja... za stary jestem na takie głupoty... No, dobra: ostatnia. Siedem poziomów niżej z hangaru wystartował skuter, którego pilot dostał butelką prosto w ochronny kask. Butelka pękła z miłym trzaskiem, a zaraz potem posypały się wymyślne obelgi pilota. Ponieważ w ślad za obelgami w górę poderwał się pojazd, Fremp zdecydował, że czas najwyższy zmienić i miejsce, i zajęcie. Obaj pomaszrowali żwawo w kierunku garażu Ninxa, będącego ostatnio ich ulubionym miejscem.

- Dobra, opowiedz dokładniej - Fremp wrócił do tematu. - Wzbogacisz się dzięki tym dwóm łowcom, tak?

- Tak. Powiedziałem im o Rebeliantach na Osiemdziesiątym Ósmym Poziomie. Imperium płaci duże nagrody za informacje o Rebelii, a Dyyz i Goa powiedzieli, że się ze mną podzielą.

- A ty podzielisz się ze mną?

- Pewnie, że ci coś skapnie - oznajmił jaśniepańsko Greedo. - A sobie kupię statek. Ninx ma zgrabny incomański kuter, w sam raz dla mnie. I odstąpi go za czternaście tysięcy. Jedyne, czego mi brak, to przetwornice mocy.

- Coś takiego to możemy ukraść.

- Właśnie. Nawet sam mogę je ukraść - poprawił go Greedo. Skończyli dyskusję, kiedy doszli do tajnego wejścia do garażu.

Greedo w każdym razie nie miał ochoty, by Fremp poczuł się współwłaścicielem jakiegokolwiek części jego nowego statku.

Pomocnik Ninxa był Korelianinem i specjalistą od napędu nad-przestrzennego. Nazywał się Warb. Słyszając brzęczyk alarmu, podszedł do monitora ukazującego ukryte drzwi. Obie widoczne na nim postacie rozpoznał bez najmniejszego trudu.

- Cześć, Anky... Greedo. Macie jakieś pompki?

- Jutro, Warb.

- Dobra, to do jutra. Shuga nie ma, a ja mam trochę roboty.

- Chciałbym pokazać Anky'emu ten kuter, co go chcę kupić - wtrącił Greedo.

- Hm... no dobra, włączcie. Ale jak mi będzie brakować jakiegoś narzędzia, to wiem, komu za to

nogi z tyłka powyrywać - ostrzegł Warb i zwolnił blokadę. Zanim drzwi zamknęły się za nowo przybyłymi, Warb wrócił do sprawdzania napędu poobijanego frachtowca typu YT-1300, którego nowy właściciel pomagał przy robocie. Dopiero wczoraj wygrał statek w *sabacca*, szczęściarz. Wnętrze warsztatu, zwanego nie wiedzieć czemu garażem, rozmiarów sporej jaskini, było zastawione statkami kosmicznymi w różnych stadiach naprawy, czyli rozbebeszenia, bo trudno było inaczej nazwać pootwierane kadłuby obwieszane pękami przewodów i obstawione częściami. W dodatku z wind i podnośników zwieszały się całe elementy konstrukcyjne. Resztki wolnego miejsca wypełniały skrzynie z częściami zapasowymi, a całości dopełniały droidy techniczne, kręcące się głównie przy masywnym transportowcu typu Kuat Starjammer JZX, zajmującym prawie połowę pomieszczenia. Błyski jonowej spawarki dobywające się z górnej części kadłuba statku dowodziły, że przynajmniej jeden droid się nie objął.

Greedo i Anky doszli wreszcie do przeciwległej ściany, pod którą stał kuter - według oficjalnej nomenklatury *incom corsair*. Stateczek lśnił niczym arkaniański klejnot i wyglądał na prawie nowy.

- Nazwę go „Łowca Manków” - oznajmił z dumą Greedo. - Ładny, nie?

- I tylko za czternaście tysięcy? Nie wierzę! Shug pewnie wymieni co się tylko da na stary złom, ledwie ci go sprzeda!

- Wątpię! Wie, że będę łowcą, a łowca nagród potrzebuje szybkiego i sprawnego statku. Gdyby się okazało, że ma stary złom w siłowni, mógłbym go zwrócić i przestać być przyjacielem Warba. Takie rzeczy już się zdarzały...

- To ty chcesz być łowcą nagród?! - zdziwił się Anky.

- Jasne - Greedo wypiął dumnie pierś. - Mój przyjaciel Warhog Goa obiecał nauczyć mnie zawodu. Twierdzi, że Rodianie to doskonali łowcy.

- A myślisz, że mnie też by mógł tego nauczyć?

- Nie sądzę, żeby Sionanie bywali łowcami - parsknął Greedo. Anky w duchu przyznał mu rację - mieszkańcy planety Skup słynęli ze zdecydowanie innych talentów. Byli ogólnie (choć nieoficjalnie ma się rozumieć) uważani za najlepszych złodziei w galaktyce.

- Nie łam się, każdy ma swoje powołanie - pocieszył go Greedo. - Chodź, pokażę ci, jak wygląda wewnątrz.

Okazało się jednak, że właz jest zamknięty i muszą poszukać Warba. Wrócili więc do frachtowca, przy napędzie którego grzebał mechanik. Greedo już miał zamiar go zawołać, gdy zauważył parę przetwornic Dekk-6, leżących sobie spokojnie na jednej ze skrzyń z częściami. Dekki były najlepsze - jeszcze do niedawna uważano za takie Modogi, ale technika szła naprzód tak błyskawicznie, że trzeba było śledzić ją na bieżąco. Greedo śledził. Była to zresztą jedyna zasługa Imperium i zawsze rozwój nowych broni stymulował rozwój techniki. Frernp także dostrzegł przetwornice i obaj w milczeniu podziwiali lśniącą-cacka. Para nowych dekków dochodziła do dwudziestu tysięcy kredytów - a te były nowe.

- Założę się, że Warb chce je zamontować w tym złomie - Greedo wskazał na YT-1300. - Będzie musiał trochę przerobić obudowę, żeby pasowały do konwertora...

- A do twojego pasowałyby bez żadnych przeróbek.

Greedo rozejrzał się: Warb wraz z właścicielem i potężną baterią znikali właśnie we wnętrzu statku. Takich przetwornic jak te nie znajdzie się rozbierając luksusowe zabawki; to jest sprzęt potrzebny do podróży międzygwiazdnych, a nie do snucia się po planecie. Dał sobie przecież słowo, że jego statek będzie najszybszy i najnowocześniejszy, choćby nawet z zewnątrz nie wywierał

oszałamiającego wra - żenią.

No i nikt na nich nie patrzył.

Greedo zdjął kurtkę i przykrył nią przetwornice - mimo swej wartości nie były wielkie, każda miała rozmiar średniej pięści. i - Idziemy, Anky - powiedział. - Za dwadzieścia minut mam się spotkać z Warhogiem.

- Jasne.

Nagle Greedo poczuł, że coś go łapie wpół i unosi. Z wrażenia upuścił kurtkę, która rąbnęła o podłogę wysypując zawiniętą zawartość.

- HNUUAARRN! - To, co go złapło, było parą owłosionych łap, których właścicielem był Wookie.

- Puść mnie, ty kupo kłaków!

Wookie obrócił go w powietrzu, by móc przyjrzeć się, kogo trzyma, i ryknął:

- NNHNGRAAACH!

Sądząc po wyszczerzonych zębach i błysku w oczach, był naprawdę zły. Anky Fremp też doszedł do tego wniosku i wycofał się w stronę drzwi.

- Co się dzieje, Chewie? - Korelianin pojawił się w otwartym włączu z dłonią na blasterze.

Warb deptał mu po piętach. - HNNRRAWWN!

Dla Greedo były to jedynie ryki wściekłości, ale Korelianin najwyraźniej rozumiał je doskonale.

- Kradł nasze dekki? Ślicznie! Warb, co to za lokalne obyczaje? Wiesz, ile dałem za te przetwornice? To miał być zdaje się uczciwy warsztat dla uczciwych przemytników.

- Przepraszam, Han. Mówiłem Shugowi, żeby nie wpuszczał tej hołoty z ulicy, ale polubił tego zielonego... Znasz zasady, Greedo. Shug dowie się o wszystkim, więc jeśli masz choć trochę instynktu samozachowawczego, nie pojawisz się tu więcej. Ma się rozumieć, jeśli Wookie najpierw nie przetrąci ci karku.

Wookie nadal trzymał go dobry metr nad podłogą i najwyraźniej czekał na decyzję Korelianina.

- Poczekaj, Chewie - polecił tenże. - Damy mu nauczkę. Gdzie położyłeś te zużyte modogi, Warb?

Wookie postawił Greeda, ale go nie puścił. Warb natomiast wyciągnął ze stojącego nieopodal pojemnika na śmieci dwie szerniałe i skorodowane przetwornice typu modog i dał je Korelianinowi. Ten zaś wręczył je Greedo.

- Chciałeś przetwornice, to masz. Świeżo wymontowane z „Sokoła Milenium”, czyli, można by rzec, z atestem. Jedyne, co za nie chcę, to ta skórzana kurtka. Co ty na to? Uczciwy interes? - spytał z uśmiechem.

Wookie potrząsnął Rodianinem, aż mu głowa zatańczyła.

- *T... te jada* - wykrztusił Greedo, co można było przetłumaczyć jako: „Jeszcze cię dostanę”.

- Czy on powiedział to, co myślę, że powiedział? - zainteresował się pytający.

- Chyba się zgodził - zachichotał Warb.

- Doskonale. Dzieciak umie wykorzystywać okazje do dobrych interesów.

Greedo zignorował wyciągniętą dłoń, prychnął obraźliwie i cisnął zużyte części na podłogę. Ledwie Wookie go puścił, pognął do wyjścia. - HWARRNNUNH!

- Że co proszę? Miałem go może jeszcze przeprosić?! Gówniarzy trzeba uczyć szacunku, bo inaczej nie wiadomo, co z nich wyrośnie, Chewie. Warb, chcesz kurtkę? No to masz w prezencie urodzinowym.

- Serdeczne dzięki, Han, a skąd ty wiesz, kiedy mam urodziny?

6. Nauczyciel

Spurch Goa siedział samotnie w rogu „Meltdown Cafe” i liczył pokaźny plik banknotów. Widząc wchodzącego Greeda machnął energicznie ręką. Greedo wciąż jeszcze był zły, ale starał się tego nie okazywać, przechodząc przez zatłoczoną salę statecznie i pewnie. Humor nieco mu się poprawił, gdy jakiś stary twiMek ustąpił mu pospiesznie z drogi.

- Cześć, Spurch.

- Siadaj! Napijesz się?... Tylko nie za blisko. Bez obrazy, ale wy, Rodianie, nie najładniej pachniecie dla Didlanina.

Greedo siadł więc po przeciwnej stronie stołu, a Goa zamówił dla niego butelkę Tatooine sunburn.

— Niezła kasa, Goa - zagaił Greedo; nadal miał nadzieję, że mimo wszystko Ninx sprzeda mu kuter.

- Mów mi Warhog - zaproponował łaskawie Goa. - Nie lubię drugiego imienia. Mojej matce się podobało, bo w naszym języku oznacza

Odważny Łapacz Chrząszczy”. Masz, to dla ciebie za informację o Re-beliantach. Opłaciła się sowicie.

- *Cthn vulyen stka wen* - ucieszył się Greedo.

Spojrzał na nominały i radość mu przeszła - razem było w pliku ze dwieście kredytów. Wizja kutra zaczęła odpływać w siną dal.

- Co jest? Wyglądasz na rozczarowanego - zainteresował się Goa.

- Tego... myślałem, że będzie więcej...

- Chcesz być łowcą nagród czy nie? To, co mówiłem o Rodianach, to prawda: doskonali z nich łowcy.

- Pewnie, że chcę - przytaknął Greedo, ale wiedział swoje: łowca potrzebował statku.

- Dobra. A ty sobie myślisz, że ja cię będę szkolił za darmo? O, przynieśli ci piwo, napij się i pomyśl.

Greedo posłusznie sięgnął po butelkę. Płyn był mocny i gorzki, ale niewielkie miał doświadczenie jako piwosz, więc nie komentował. Poza tym było mu wstyd, bo Warhog miał rację.

- No... przyznaję, że nie pomyślałem o tym...

- Tak to zawsze jest, jak ktoś nie ma forsy, chłopcze. Goa uczy za gotówkę, zapamiętaj to sobie. A teraz popatrz... - sięgnął do jednego z wielu woreczków przyczepionych do pasa i wyjął zeń gruby zwitek banknotów. - To też twoje: dwadzieścia tysięcy. Jedna trzecia tego, co zapłacili imperialni za informację.

Greedo poczuł, że wilgotnieją mu oczy: wizja „Łowcy Manków” zaczęła ponownie nabierać realności.

- Tylko pamiętaj, jak weźmiesz te pieniądze, to nie pokazuj mi się więcej na oczy, jasne? - dodał

z naciskiem Goa. - Musisz się zdecydować: nauka u eksperta czy statek, który za tydzień rozwalisz, i parę wesołych nocy w mieście. Możesz się zabawić albo być drugim łowcą w galaktyce. Żebyś głupio nie pytał, to ja jestem pierwszym.

Greedo zastanawiał się przez całą minutę - faktycznie chciał tego corsaira, ale jeszcze bardziej chciał polować... i być taki jak ojciec. A łowca nagród dobrze zarabiał, mógł mieć własny księżyc i kupę statków, a nawet okręt wojenny.

- A nauczysz mnie wszystkiego? - spytał.

- Pewnie, że cię nauczę. Doświadczalnie też ci pokażę, a to niewielu potrafi. Dla każdego bym tego nie zrobił, ale w końcu uratowałeś mi życie. No i jako Rodianin jesteś urodzonym łowcą. To co, umowa stoi?

Urodzony łowca - Greedo poczuł, jak rozpiera go duma. Będzie taki jak ojciec. Będzie łowcą.- Stoi, Warhog! - zdecydował się wyciągając dłoń. Goa uścisnął ją z lekkim obrzydzeniem.

- No to postawię ci następne piwo na oblanie rozsądnej decyzji. Ale przy barze: musisz poznać chłopców...

Wpychając Greedo w tłum przy barze, Goa był naprawdę z siebie zadowolony: zarobił czysto i prosto dwadzieścia tysięcy w zamian za kilka banałów. Gówniarz w miesiąc albo najdalej dwa da się zabić. Choć Goa długo był łowcą nagród, jeszcze nie spotkał Rodianina, który nadawałby się do czegoś więcej niż łowów na nie uzbrojone Ygnaughty.

7. Vader

Piętnaście tysięcy kilometrów od księżycy-portu kosmicznego przestrzeń pękła wypuszczając z nadprzestrzeni trójkątny kształt potężnego okrętu wojennego Floty Imperium. Gwiazdny niszczyciel „Vengeance” wszedł na stacjonarną orbitę wokół Nal Hutta, a uderzeniowy oddział szturmowców na sygnał dopiął białe zbroje, zabrał broń ze stojaków-ładowarek i pognał z tupotem do hangaru. W hangarze parkowały dwa promy szturmowe klasy Gamma, zamaskowane i wyglądające jak frachtowce.

Na mostku „Vengeance” dowódca grupy uderzeniowej właśnie wysłuchiwał ostatnich rozkazów od odzianej na czarno postaci.

- Chcę jeńców, kapitanie - podkreślił Darth Vader. - Martwi Rebelianci nie powiedzą nam, dokąd wysyłają broń.

Metaliczny pogłos towarzyszący każdej sylabie podkreślał groźbę słów.

- Tak jest, sir. Obiecuję, że incydent z Datar się nie powtórzy, sir.

- Utraciliśmy element zaskoczenia, a oni niepotrzebnie zyskali czas. Wiceadmirał Slemn zapłacił za ten błąd życiem. Tym razem wolałbym, żeby nie było żadnych błędów i żeby nic nie zdradziło naszego przybycia. Promy gotowe?

- Tak jest, sir. Kazałem je zamaskować na lekkie frachtowce, a nasi agenci uzyskali z kapitanatu portu kody dające bezwzględne pierwszeństwo lądowania. Mamy zgodę na wejście do Sektora Koreliańskiego, kiedy tylko będziemy chcieli.

- Doskonale. A zatem startujcie i weźcie żywcem tyłu Rebeliantów, ilu się da. Będę dokładnie śledził przebieg operacji.

- Tak jest, sir. - Oficer strzelił obcasami, zrobił w tył zwrot niczym na paradzie i odmaszerował ku windzie.

Wartownik Rebelianckich Sił Specjalnych Spane Covis zobaczył dwa przerdzewiałe frachtowce wewnątrzładowe, opadające ciągiem komunikacyjnym, którego właśnie pilnował. Zwolniły przy dokach na Osiemdziesiątym Ósmym Poziomie. Trampy jak trampy: poobijane, połatane i zużyte; ani pierwsze, ani ostatnie, jakie widział z wypożyczonego pokoju obserwacyjnego, mieszczącego się w wieży kontrolnej numer jeden. Jego zadaniem było ostrzeżenie o wszelkich jednostkach floty imperialnej lub o innych nietypowych statkach kosmicznych, które miały zamiar lądować. Przez wiele tygodni pełnionej na zmiany służby nie zaszło nic nienormalnego ani podejrzanego, toteż trudno się dziwić, że nie przejmował się zbytnio swym zadaniem.

Dlatego też upłynęła dłuższa chwila, nim do niego dotarło, że coś w tych statkach było nie tak - luki ładunkowe były za małe, kolumny chłodnicze ładowni ulokowane tak, jakby miały chłodzić pomieszczenia załogi, i cała masa innych drobiazgów. Wszystko wskazywało, że to, co właśnie przeleciało, to nie była para uczciwych frachtowców, toteż czym prędzej uruchomił comlink i zameldował:

- Stardog Jeden do Dewback!
- O co chodzi, Dewback?
- Uważaj na ogon, para gości w drodze.
- Jasne, Dewback. Koniec pogawędki.

Dwudziestu żołnierzy Sił Specjalnych Rebelii zajęło przygotowane wcześniej stanowiska ogniowe we wnętrzu magazynu, obserwując ulicę i lądowisko za pomocą ukrytych kamer. W tylnej części przestronnego budynku grupa piechurów gorączkowo kończyła załadunek masywnego transportowca typu 2-10. Za chwilę mieli walczyć, ale nie musieli zostawiać całkiem dobrego uzbrojenia tylko dlatego, że o mało nie dali się zaskoczyć.

Jeszcze inna grupa wytaczała na specjalnie przygotowaną pustą przestrzeń pośrodku magazynu działo jonowe typu C4-CZN o wzmocnionym generatorze tarczy. Element zaskoczenia, na który liczyli napastnicy, przestał istnieć.

Kanonierzy nie czekali, aż statki napastników znieruchomieją - ledwie uzyskali stały namiar pierwszego, odpalili i prom zmienił się w kulę blasku i energii, od której zapaliły się budynki po obu stronach ulicy. Drugi prom zrzucił fałszywe osłony udające kolumny chłodzące, odsłaniając parę wieżyczek ze sprężonymi działkami laserowymi. Pod koncentrycznym ostrzałem czterech takich działek front magazynu przestał istnieć, a z burt promu opadły rampy i z wnętrza okrętu wypadło sześćdziesięciu szturmowców, strzelając w biegu. Kolejny strzał z działka przeniósł drugi prom do historii, a krzyżowy ogień otwarty przez czekających Rebeliantów błyskawicznie załatwił desant.

Greedo tymczasem siedział w knajpie na Poziomie Dziewięćdziesiątym Drugim z Dyyzem, Warhogiem i innymi łowcami, czekając na najnowszą listę poszukiwanych. Jej autorem był jeden z mafiozów z gatunku Hutt, a wieść niosła, że wraz z nagrodami będą podpisane kontrakty. Nagle zawyły syreny alarmowe i za oknami przeleciały pierwsze patrolowce koreliańskich strażaków, błyskając sygnałami i kierując się wyraźnie w dół.

- Chyba skorzystali z naszej informacji - mruknął Warhog, puszczać oko do Greeda.

- Może. - Greedo zrobił wszystko, by zabrzmiało to nonszalancko. - Chyba, żeby był to jeszcze jeden pożar wywołany przez Mieszkańców Półmroku.

Ledwie skończył mówić, a za oknem przewaliła się następna kolumna wozów strażackich. Zaczynało to wyglądać poważnie, a Greedo dopiero po rozmowie z Warhogiem i Dyyzem zorientował się, że jego rodacy żyją i pracują na tym samym poziomie co Rebelianci, a zatem chcąc nie chcąc znajdą się na drodze każdego poważniejszego ataku sił imperialnych.

- Uch... tego... zobaczymy się później, Warhog. Muszę załatwić pewną sprawę... - wykrztusił.

- Jasne - Goa nawet się nie zdziwił. - My pewnie w nocy polecimy na Tatooine. Gdybyśmy się nie spotkali, to powodzenia, chłopcze!

Na Tatooine mieszkał jeden z największych szefów podziemia: Jabba Hutt, a Goa prawdę mówiąc ledwie zaczął go uczyć czegokolwiek, toteż Greedo miał dużą ochotę zostać. Przeważył jednak niepokój o matkę, dlatego szybkim krokiem skierował się do wind.

Ledwie wsiadł, nacisnął przycisk „88” i winda opadła jak kamień, by po paru sekundach łagodnie wyhamować. Stała, ale drzwi się nie otworzyły - czujniki wykryły ogień i dym, co automatycznie blokowało wyjście i uruchamiało alarm. Przez przezroczyte drzwi Greedo bez trudu dostrzegł, co się pali i dlaczego - okolica była dosłownie usiana trupami szturmowców. Najwyraźniej atak wojsk Imperium nie był żadnym zaskoczeniem. Miejsca, w którym mieszkali,

Greedo nie był w stanie dostrzec, ale źródłem ognia były magazyny leżące znacznie bliżej, a strażacy całkiem dobrze radzili sobie z ogniem, toteż chyba jego bliskim nic się nie stało. Zaskoczyło go co innego: Rebelianci pomagali w gaszeniu pożaru.

Zanim zdołał się zastanowić nad tą ciekawostką, usłyszał zgrzyt rozdzieranego metalu, a strażacy jak jeden mąż odwrócili się w stronę doków. W chwilę później zaczęli uciekać i padać pod zmasowanym ostrzałem laserowym, a w polu widzenia pojawiła się czarna maszyna krocząca, plująca ogniem z tuzina stanowisk. Przypominała zmutowanego kraba, a raczej dwa kraby, przecięte na pół i połączone w jedną całość. Z przodu i z tyłu miały masywne manipulatory zakończone szczypcami oraz stanowiska ogniowe, zaś na środku, osłoniętym pancernymi tarczami antyradiacyjnymi, usytuowana była sterownia. Odnóża były chyba wspomagane silnikiem grawitacyjnym, bo całość poruszała się zbyt płynnie jak na napęd wyłącznie mechaniczny. I zabijała wszystko, co się ruszało.

Greedo czym prędzej wcisnął Dziewięćdziesiąty Drugi Poziom: czego jak czego, ale świadków masakry strażaków na pewno Imperium nie potrzebowało. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, był oślepiająco biały strumień plazmy, trafiający w płonący magazyn Rebeliantów, a potem winda pomknęła w górę.

Parę sekund później cały sektor zadygotał jak po trafieniu astero-idem.

Greedo akurat wysiadał z windy i rozciągnęło go na chodniku. Wstrząs był na szczęście tylko jeden, ale wywołał naprawdę potężną panikę. Greedo podniósł się z trudem i dostrzegł grupę łowców, wypadających biegiem z knajpy. Kierowali się ku zarezerwowanej platformie lądowiskowej, na której parkowały wyłącznie ich statki. Dostrzegł wśród nich Dyyza, ale nigdzie nie było Warhoga. Nagle na ramię spadła mu dłoń w ciężkiej rękawicy.

- Jeżeli masz resztki zdrowego rozsądku, to polecisz z nami - oznajmił Goa. - Imperialni dostali w tyłek i będą szukali winnych. Nie mam ochoty odpowiadać za czyjąś niekompetencję.

- Nie mogę tak zostawić rodziny...

- O nich się nie bój. Prędzej czy później i tak byś musiał się z nimi rozstać, chcąc być prawdziwym łowcą. Równie dobrze możesz to zrobić teraz. No, ale ja do niczego cię nie będę zmuszał... - Goa odszedł, kierując się ku statkowi, do którego wszedł Dyyz.

Greedo przez chwilę próbował zdecydować, czego naprawdę pragnie. A potem już wiedział: naprawdę chce być łowcą nagród.

„Nova Viper”, czyli statek Dyyza i Warhoga z Greedem na pokładzie uniósł się wraz z innymi jednostkami łowców. Zgłaszali się kolejno do kontroli lotów o zezwolenie na odlot i wejście w nadprzestrzeń. Kontrola lotów miała ważniejsze sprawy na głowie, toteż nie odpowiadała.

Wobec czego łowcy kolejno dawali pełny gaz i wychodząc na orbitę znikali.

Ostatnim obrazem, jaki Greedo zobaczył, nim znaleźli się na orbicie, był gigantyczny błysk, po którym zapadł się cały kwartał Sektora Koreliańskiego, poziom po poziomie. - O kurczę, poszło ze dwadzieścia poziomów! - wzruszył się Dyyz. - Kupa dobrych kumpli właśnie zginęła, Goa.

- Ale my żyjemy i to się liczy. Nie, Greedo?

Greedo nie odpowiedział, wpatrzony w serię wybuchów plujących czarnym, tłustym dymem.

A potem navicomp bipnął i obraz zniknął.

8. Mos Eisley

W wejściu do mrocznego i hałaśliwego lokalu stała masywna, opancerzona postać, przyglądając się obecnym czerwonymi elektronicznymi oczami.

- Czy to przypadkiem nie Gorm? - zdziwił się Dyyz Nataz. - Wydawało mi się, że go zabiliśmy.

- Greedo rozwalił mu motywator, ale on ma biokomponenty z sześciu różnych obcych ras - odparł spokojnie Goa. - Jedynym skutecznym sposobem, żeby go zabić, jest zmiana całości w parę albo inny gaz.

- Nie mogłeś mi tego wcześniej powiedzieć? Wykończyłbym go wtedy, a teraz znowu zacnie się nas czepiać o ten stary dług...

- Spokojnie, Dyyz. Jodo Kost mi powiedział, że Jabba dał Gormowi najlepszy kontrakt: pięćdziesiąt tysięcy za sprowadzenie Zardry.

- Zgłupiałeś?! Zardra to łowca, nie ofiara. Co Jabba ma do niej?

Siedzieli w lokalu o szumnej nazwie „Kantyna”, popijając zielonkawypica *thundercloud* i obserwując schodzących się łowców. Przybywali z całej Galaktyki, zwabieni listą Jabby. W knajpie kłębił się więc wielorasowy tłum: Weequay, Aqualish, Arcona, Defel, Kaur onian, Fneeb, Quillhead, Bomodon, Alpheridian - każda z tych ras miała przynajmniej jednego reprezentanta, Greedo zauważył nawet dwóch Ro-dian. Kiwnęli w jego stronę, ale nie odpowiedział na powitanie. Dawno temu nauczył się, że obcy Rodianie mogą być niebezpieczni.

Do lokalu weszli następni goście - Korelianin i Wookie. Greedo rozpoznał ich od razu i poczuł, że ogarnia go wściekłość. Obaj nowo przybyli obejrzeni sobie gości i wyszli, nie zwracając prawie niczyjej uwagi.

- Widziałeś? Solo - parsknął Dyyz. - Znalazłeś się, można powiedzieć, w nie najlepszym towarzystwie.

- Han Solo? - Goa odwrócił się gwałtownie. - Był tu?

- Razem z Chewbacą rozejrzeli się i właśnie wyszli. Solo jest na liście Jabby i na jego miejscu spróbowałbym *znaleźć* się jak najdalej od Tatooine, najlepiej w innej galaktyce. - Dyyz dopił zielonkawą napój i czknął. - Miałeś opowiedzieć, dlaczego. Zardra jest warta pięćdziesiąt kawałków.

- Za Zardrę! - Goa uniósł szklaneczkę; jak na pustynną planetę, Tatooine produkowała zadziwiająco znaczne trunki.

Wypili. Goa wytarł rękawicą usta i wyjaśnił:

- Zardra i Jodo Kast szukali w Systemie Stenness braci Thig, speców od kradzieży przypraw. Bracia byli dobrze uzbrojeni, bo ostatnio obrobili imperialny arsenał, nieduży co prawda, ale jednak. Postanowili się więc rozdzielić. Jodo rozpuścił wieści, że szuka Thigów, a Zardra pozostawała w cieniu. Pewne było, że bracia będą chcieli efektownej strzelaniny, bo zawsze to lubili, toteż Zardra miała ich załatwić od tyłu ze stunera, bo Jabba chciał ich żywych. A ze stunerm radziła sobie

doskonale, więc Jodo był spokojny o wynik.

- Ano - zgodził się Dyyz - widziałem ją w akcji. No to co się porobiło?

Greedo cały czas milczał, pływając się w samozadowoleniu. Solo był poszukiwany, a Goa miał go wprowadzić do Jabby, który potrzebował łowców... czyli jego. Te rozkoszne rozmyślania przerwało mu pojawienie się przy stole Gorma, który uważnie im się przyjrzał. Zanim Greedo zdołał coś zrobić - a największą ochotę miał wejść pod stół - tamten odwrócił się i odszedł.

- Mam nadzieję, że Zardra go stopi - parsknął Goa.

- Może powinniśmy ją ostrzec?

- Już nie, ma kupę znajomków w naszym fachu. Założę się o porządy stek z levayta, że Jodo już jej o wszystkim opowiedział.

- Pewnie masz rację... Dobra, wykrztuś wreszcie, dlaczego Jabba Hutt gotów jest za nią zapłacić pięćdziesiąt patoli.

- Bo zabiła innego Hutta. Bracia Thig znaleźli Joda w knajpie „Red Shadow” na Taboon, to taka wypalona planeta, na której mogą żyć tylko Nessie. Jodo zresztą się specjalnie nie ukrywał. Jego pech, a raczej pech Zardry polegał na tym, że w tym samym lokalu umówili się na pogawędkę Hutt imieniem Mageye i drugi Hutt, czyli Balbol, który praktycznie jest właścicielem całego Systemu Senness.

- No i co, Mageye dostał w strzelaniu?

- Gorzej. Przyniosło go wpalankinie pięciu Weequayów, a jak się zaczęła rozróżba, Thigowie zaczęli strzelać do wszystkiego co się rusza. Trafili dwóch tragarzy, palankin się majtnął i Hutt wyładował prosto na Zardrze.

- Miała autentycznego pecha.

- Pecha to miał Mageye, bo Zardra miała pełny pancerz. Mało brakowało, żeby jej to nie pomogło - to ponoć był duży Hutt, a śmierział, że coś niesamowitego. No to odbezpieczyła granat termiczny i wsadziła mu prosto w pysk. - Goa przerwał, a Dyyz omal się nie udławił ze śmiechu. - Miesiąc zdrapywali go ze ścian i odsmradzali lokal. Podobno nie do końca pomogło...- No tak... - Dyyz nieco się uspokoił. - Wszystko jasne. A na kiedy jesteśmy umówieni z Jabką?

Goa spojrział na chronometr i odparł spokojnie:

- Prawdę mówiąc to jesteśmy troszeczkę spóźnieni... Proponuję się ruszyć.

9. Jabba

Jabba Hutt, szef podziemia przestępczego Tatooine i okolic, przyjmował interesantów w swej miejskiej rezydencji, położonej w pobliżu lokalu, w którym Greedo i jego towarzysze spędzili ostatnich kilka godzin. Zanim tam doszli, byli dokładnie obsypani piachem - znad pustyni nadciągnęła burza piaskowa, wciskając wszędzie drobiny pyłu.

- Jak oni tu utrzymują sprawne droidy? - zdziwił się Dyyz, gdy stanęli przed bramą w murze. - Już mam osad na wizjerze.

- Dlatego tutaj droidy tak się dobrze sprzedają. - Goa splunął pyłem mimo nasuniętego na głowę kaptura. - Farmerzy bez nich sobie nie poradzą, a pył zatyka filtry, niszczy elektrolit i elektronikę. Połowa mieszkańców zbiera, naprawia i przerabia ten elektroniczny złom.

Bramy pilnowała para gomorrekańskich strażników o wyglądzie ogolonych dzików, uzbrojonych w potężne topory. Na widok gości chrząk-nęh' ostrzegawczo, lecz kiedy Warhog podał hasło, odstąpili od kratownicy z żelaznych sztab. Brama uniosła się skrzypiąc i trójka łowców przeszła pod ostro zakończonymi szpikulcami. Goa maszerował przodem, pozostali trzymali się odruchowo z tyłu. Zdenerwowało to w końcu Warhoga, który rzucił przez ramię:

- Coś się taki nieśmiały zrobił, Dyyz? Jabby się boisz? Przecież to przyjaciel łowców! Greedo, przestań się ociagać. Lekcja praktyczna numer jeden, temat: jak zostać bogatym.

Nagle z cienia pod murem wystąpiło czterech Niktów i wymierzyło blastery w Goę.

- *Nudd choa* - krzyknął jeden. - *Kichawa jotol*

- Nie wymądrzaj się, właśnie że jesteśmy na czas! - Goa zignorował blastery i wmaszerował do wnętrza budynku. Niktowie opuścili broń, a ten, co się przedtem odezwał, warknął coś niezrozumiałego.

Dyyz i Greedo ostrożnie podążyli w ślady Warhoga.

Zaraz za drzwiami rozciągała się obszerna komnata audiencyjna, pełna szumowin ze stu różnych ras i gatunków. Byli przedziwnie poubierani i uzbrojeni po zęby. Hałas panował tu straszny, ale znacznie przycichł, gdy wszedł Goa. Większość obecnych umilkła, przypatrując się najpierw jemu, a potem jego towarzyszom z pełnym nadziei zainteresowaniem - nigdy nie wiadomo, co czeka nowego gościa, a nuż Jabba każe go zabić...

- Ci wszyscy to łowcy? - Greedo musiał krzyczeć, żeby Goa go usłyszał.

- Gdzie tam! Łowców to tu będzie mniej niż ćwierć, reszta to padlina i męty, które liczą, że przy Jabbie im coś skapnie. Albo zbrojeńcy lubiący jego smród.

Goa nie żartował, przynajmniej jeśli chodzi o smród - całe pomieszczenie wypełniał specyficzny, zjełczały odór. Jego źródłem był glizdo-podobny Jabba Hutt, rozwalony na stojącej na specjalnym podwyższeniu platformie i pykający z dziwacznie poskręcanej fajki wodnej. Greedo widział na ulicach Nar Shaddaa wielu przedstawicieli gatunku Hutt - w końcu był to księżyc obiegający ich własną planetę, ale nigdy nie był z żadnym w zamkniętym pomieszczeniu. Teraz już po chwili żołądek

zaczął mu się buntować. Przed nieapetycznie wyglądającym Jabbą zgięło się akurat w służalczych ukłonach dwóch Rodian, których wcześniej widział w knajpie. Srebrny droid protokolarny tłumaczył ich unizone mamrotanie. Zupełnie jakby Jabba był księciem z linii Paladynów, zdenerwował się Greedo.

- Może ich skręca i robią co mogą, żeby się nie wyrzygać? - mruknął Dyyz, jakby czytał w myślach Greeda.

- Żartujesz? - zdziwił się Goa. - Przecież sami śmierdzą niewiele mniej!

Greedo spojrział na niego zaskoczony, ale zanim zdążył zdecydować, czy był to kiepski żart, czy czyste chamstwo, obaj Rodianie wtopili się w tłum, a Bib Fortuna ledwie dostrzegalnym gestem głowy dał znać Warhogowi, że czas na nich.

W komnacie uciszyło się jeszcze bardziej - gdy trójka przybyszów stanęła przed podwyższeniem. Długo to nie trwało - gdy zebrani zorientowali się, że nie będzie żadnej egzekucji, a ci nowi są kolejnymi łowcami szukającymi zajęcia, poziom hałasu wrócił do normy.

- *Vifaa kavibu uta chuba* Jabba! - powitał go Goa.

Co prawda Jabba znał sporo języków, a protokolarny droid jeszcze z tysiąc innych, ale nie szkodziło uszanować gospodarza, witając go w ojczyściej mowie.

- *Moja jpo chakula cha asubuhil* - zadudnił Jabba najwyraźniej zadowolony.

- Co powiedział? - zainteresował się Dyyz. - A co ty powiedziałaś?

- Że jest najobrzydliwszą kupą bagiennego gówna w Galaktyce. A on mi podziękował, że go tak szanuję.

- Nnnaprawdę tak powiedziałaś? - zdziwił się Greedo.

- Nabija się z ciebie - mruknął Dyyz. - Już by nas tu nie było, gdyby palnął coś takiego.

Goa go zignorował, mając nadzieję, że Jabba nie usłyszał szeptanej konwersacji. Jeśli nawet usłyszał, to w każdym razie nie dał tego posobie poznać. Zarechotał i przekąsił piaskową pchłą, ukazując przy tej okazji ośliniony jęzor, co wywołało w żołądku Greeda niebezpieczne sensacje. Byli nie dalej jak dwa metry od gospodarza i smród był prawie nie do wytrzymania. Nadchodził falami, zupełnie jakby Jabba w regularnych odstępach puszczał śmierdzącego zgnilizną bąka.

- *Ne subul* Greedo, *pomba gekfultuh badda wangal* - Goa położył dłoń na ramieniu protegowanego, który skłonił się nerwowo pod bacznym spojrzeniem ogromnych oczu Jabby.

Gospodarz i Goa porozmawiali chwilę, po czym Jabba wygłosił dłuższą wypowiedź, zakończoną pytaniem:

- ...*Kwo bo noodta do dedbeeta* Han Solo?

- Proponuje nam polowanie na swego najbardziej nałogowego dłużnika, czyli na przemytnika Hana Solo - przetłumaczył Goa. - Solo twierdzi, że stracił ładunek przypraw, gdy zrewidowali go imperialni. Jabba uważa, że sprzedał go gdzieś na boku i nie oddał mu pieniędzy. Robota dla kasjera: Jabba nie chce Soła, chce pieniędzy.

- Ja tam wolę nie mieć z nim do czynienia - mruknął Dyyz. - Za cwany i za bardzo lubi wyrównywać rachunki.

- Ja się nim zajmę - odezwał się niespodziewanie Greedo. - To złodziejaszek, któremu się wydaje, że jest nie wiadomo kim. Ukradł mi niedawno kurtkę... Załatwię go!

Goa przyglądał mu się przez chwilę, po czym z rozmachem klepnął go w plecy.

- To mi się podoba! Dobra robota dla nowicjusza, zwłaszcza że Solo jest na Tatooine. Będzie lekcja pogładowa numer dwa: dam ci wsparcie. Jeżeli będzie miał przy sobie kasę, załatwisz go raz

dwa.

- Ślicznie! - parsknął Dyyz. - Ja tam nie chcę mieć z tym nic wspólnego. A teraz rusz się i załatw nam coś, bo wygląda, że tylko Greedo skorzysta na tej wycieczce.

Goa wdał się znowu w wymianę poglądów z Jabbą, w rezultacie Fortuna wręczył im trzy zwoje - oficjalne kontrakty dające im wyłączne „prawa łowieckie” do określonego poszukiwanego na okres dwóch tutejszych miesięcy. Kontrakt Greeda miał trwać znacznie krócej, jako że chodziło o spłatę długu, nie o zlikwidowanie dłużnika, a poza tym Jabba się niecierpliwił.

Na sygnał Fortuny ukłonili się i zrobili miejsce następnemu zespołowi - niewysokiemu człowiekowi nazwiskiem Dace Bonearn i dro-idowi-zabójcy typu IG.

Tłum szybko rozdzielił Greedo z kolegami, więc przepchnął się do baru, gdzie znalazł wolny kąt. Barman rasy Aquali bez zbędnych pytań podsunął mu szklanekę lokalnego piwa i Greedo rozejrzał się, popijając znajomy już trunek: *Tatooine sunburn*. Po przeciwległej stronie sali dostrzegł Dyyza rozmawiającego z łowcą imieniem Dengar, którego Greedo poznał w Nar Shaddaa. Porównywali kontrakty i coś notowali. Nieopodal Goa gawędził z dwoma Rodianami, którzy wcześniej kłaniali się Jabbie. W pewnym momencie Warhog spojrzął w jego stronę i Greedo zrozumiał, że to on jest tematem pogawędki. Jeden z Ro-dian uniósł dłoń przylgami na zewnątrz w geście przyjaźni i Greedo odprężył się: teraz był jednym z nich. Był łowcą nagród.

10. Solo

- RRUARRRNN! - Chewbacca rąbnął pięścią w generator tarczy i odsunął na kosmate czoło ochronne okulary.

- Spokojnie, Chewie. Też chcę się jak najszybciej stąd wynieść, ale bez osłon każdy będzie mógł nam zrobić co chce. Nie tylko imperialni.

- HWRAURN? NNUVUAHHNM?

- Właśnie. Jabba ogłosił największe łowy w dziejach tego sektora, a nasze nazwiska są na liście. Wiem, że musimy się stąd wynosić. Gdybyśmy nie zostawili statku na powietrzu, nie mielibyśmy teraz problemów. Z drugiej strony, kto mógł przewidzieć tę cholerną burzę?!

Solo skończył odsysać piasek z tłumików przepływowych i otarł pot z czoła zastanawiając się, dlaczego jeżeli cokolwiek mu się przytrafiło, to albo na pustyni, albo na lodowcu, albo w innym podobnie nieprzyjemnym miejscu, a jakoś nigdy na planecie o umiarkowanym klimacie albo nad brzegiem ciepłego morza. Pewnie dlatego, że nie miał szczęścia w kartach, a na życie musiał zarabiać ciężką pracą. Stwierdził po raz nie wiem który, że świat nie jest sprawiedliwie urządony.

Chewbacca warknął cicho i ostrzeżony Han rozejrzał się dyskretnie. Para wylupiastych i wilgotnych oczu przyglądała mu się nachalnie z niewielkiej odległości. Oczy należały do zielonoskórego, humanoidalnego osobnika w skórzanych spodniach i kamizelce, trzymającego blaster w zakończonych przysawkami palcach prawej dłoni.

- Han Solo? - spytał głos przetworzony przez elektroniczny translator. *u* - A kto pyta? - mruknął Han, doskonale znając odpowiedź: Rodianin z bronią mógł być tylko łowcą nagród albo kolekcjonerem długów.

- Greedo. Przysłała mnie Jabba Hutt.

- Greedo... aha, to ty chciałeś mi ukraść przetwornice. Widzę, że znalazłeś trochę uczciwsze zajęcie. A w ogóle to rozumiem rodiański, więc możesz wyłączyć papugę. - Han zeskoczył na płytę lądowiska i wziął szmatę ze stopnia drabinki przystawionej do kadłuba.

Szmata oficjalnie służyła do czyszczenia rąk, ale był w niej ukryty kieszonkowy miotacz typu Teltrig 7, tak na wszelki wypadek. Han rzadko musiał używać miotacza, najgroźniejszą bronią, jaką dysponował, była elokwencja.- Posłuchaj... powiedz Jabbie prawdę: zjawiłem się na Tatooine tylko z jednego powodu. Żeby mu zapłacić.

Greedo wyłączył translator, popularnie zwany „piszczkiem” lub „papugą”. Żaden łowca go nie lubił, ale Goa nalegał na jego używanie, by „klient” dokładnie rozumiał powagę sytuacji. Jeśli jednak Solo rzeczywiście znał rodiański, to Greedo mógł się posłużyć znacznie większym repertuarem obelg, z których co subtelniejszych elektroniczne urządzenie nie było w stanie przetłumaczyć.

- *Neshki. I'ba kluta ntue tch kwasi*, Solo - oznajmił na próbę. - Jabba nie wierzy takim wszarżom jak ty, Solo.

- A komu wierzy ta przeżarta glizda? Uważasz, że pojawiłbym się gdziekolwiek w pobliżu

Tatooine, gdybym nie miał pieniędzy?

Palce Greeda zacisnęły się na blasterze - nie bardzo wiedział, czy obrażanie mocodawcy wymagało specjalnej reakcji ze strony łowcy. Z drugiej strony Solo mówił logicznie; wynikało z tego, że sprawa może być prostsza niż sądził.

- Daj mi pieniądze i będziesz miał Jabbę z głowy.

- Chyba nie myślisz, że obnoszę się z taką gotówką, żeby mnie lokalne złodziejzki obrobiły? - obruszył się Solo. - Pieniądze są schowane na pokładzie „Sokoła”. Przyjdź jutro, to ci je dam, zgoda?

- Nie będę tak długo czekał. Przyniesiesz je zaraz. - Greedo nie miał zamiaru dać się zbyć byle czym, zwłaszcza że całą akcję obserwował z cienia Warhog. - *Nuula bork to ptu motta. Tani snato.*

- Nie mogę ich teraz przynieść, skrytka ma zamek czasowy. Posłuchaj, jeżeli poczekaś do jutra, dam ci coś ekstra... powiedzmy dwa tysiące. Dla ciebie. Co ty na to?

- *Próg mnete enyazftt sove skuss* \ Zrób z tego cztery tysiące.

- Zwariowałeś?! No dobrze, niech będzie moja krzywda... Zrobimy to po twojemu. Jutro rano i cztery tysiące dla ciebie. Umowa stoi?

- Stoi.

Solo odwrócił się i zajął czyszczeniem amortyzatora. Chwilę później cichy pomruk Wookiego dał znać, że nieproszony gość sobie poszedł. Han odłożył szmatę z minimiotaczem.

- Słyszałeś, Chewie? To się dopiero nazywa bezczelność! Przez tego zielonego dupka mamy nocną zmianę: rano ma po nas zostać jedynie ślad smrodu na podłodze!

Goa upił łyk *starshice surprise* i rozejrzał się po pogrążonym w półmroku wnętrzu. Ciekawe co za żartowniś ochrzcił tę spelunę mianem „Kantyny”, ale nazwa się przyjęła i teraz lokal nazywał się oficjalnie: „Kantyna w Mos Eisley”. Był też zadziwiająco popularny, choć teraz tłum zaczynał rzadnąć - większość łowców wyszła albo zbierała się do wyjścia. Niektórzy byli już o parseki stąd, pochłonięci polowaniem.

- Solo nie ma ochoty ci zapłacić - oznajmił z niesmakiem. - Powinieneś się od razu zorientować, że gra na zwłokę.

Dostrzegł dwóch Rodian siedzących przy stoliku koło wejścia i skinął im głową. Odkłonili się uprzejmie.

- Powinieneś ich poznać, Greedo, nie dość, że rodacy to jeszcze dobrzy łowcy. Założę się, że znają parę chwytów, o których nawet ja nie słyszałem. Każdy, kto jest dobry w tym fachu, ma swoje małe tajemnice... chcesz, to cię przedstawię.

Greedo w milczeniu wpatrywał się w stojący przed sobą napój. Nic nie mówił Warhogowi o swojej przeszłości, ani o wojnie klanów, ale przecież Goa mógł się o niej dowiedzieć. Ale przecież Greedo nigdy nie wspominał, z jakiego klanu pochodzi. Zresztą nieważne; był teraz łowcą, a łowcy trzymali się razem i czasami nawet sobie pomagali. Co prawda nie był jeszcze znanym łowcą nagród, ale każde początki są trudne. Kiedy zmusi Hana Solo do zapłaty, stanie się sławny. I wtedy pozna się z tymi Rodianami - będzie miał o czym im opowiadać.

- ...i jak ci już mówiłem: każdy interes z Jabką ma dwie strony. To dzisiejsza lekcja teoretyczna. Kiedy odzyskasz pieniądze, będziesz miał jego względy; jeżeli go zawiedziesz, sam znajdziesz się na liście poszukiwanych. Czyli będziesz martwy.

- Nie bój nic, Warhog - Greedo postarał się, by w jego głosie brzmiała pewność siebie. - Solo zapłaci. A jeżeli nie zapłaci, to go zabiję i sobie odbiorę... Będziesz mnie osłaniał, gdyby Wookie czegoś próbował?

- Jasne. Przecież tak zaplanowaliśmy.

- *Wknuto*, Goa. Dzięki.

„Sokół Milenium” Hana Solo stał sobie spokojnie w hangarze, gdy Greedo zjawił się tam krótko po wschodzie słońca następnego dnia. Hana Solo zaś, podobnie jak Wookiego, nigdzie nie było widać, a luk statku był zamknięty na głucho i pewnie zabezpieczony przed próbą otwarcia na siłę.

Greedo wraz z Goa znaleźli Soła i Chewiego zajętych spożywaniem śniadania w niewielkiej kawiarence na tyłach stajni dewbacków.

Greedo podszedł do stolika z dłonią na blasterze, ale nie wyciągał go z kabury ani nie odbezpieczał - Goa miał obu pożywiających się na muszce, sam ukryty w alejce po drugiej stronie ulicy.

- *Rylun po getpa gushu*, Solo? - zagaił. - Smakuje ci śniadanie, Solo?

Greedo silił się na uprzejmość, ale trzęsła nim złość: wiedział, że nie może dziś dać się nabrać, bo w Mos Eisley wieści rozchodziły się raczej szybko i Jabba byłby niezadowolony. Nie mógł też zabić Soła nie mając pewności, że ma on przy sobie pieniądze, bo to by solidnie zdenerwowało zleceniodawcę. Kontrakt wyraźnie opiewał na ściągnięcie długu, a nie na utrupienie dłużnika.

- Greedo! Wszędzie cię szukałem, chłopcze. Zaspaleś? - ucieszył się Han, przeżuując kawałek pieczonego z dewbacka.

Chewbacca przekrzywił łeb i uniósł brwi. O nogę miał opartą gotową do strzału kuszę magnetyczną z pełnym magazynkiem.

- *Fua ho konu gep*, Solo. *Kvas ha nootu* - warknął Greedo. Nie wygłupiaj się, Solo. Dawaj pieniądze.

- Jasne, z przyjemnością. Nie zjesz czegoś najpierw? Kuchnię tu mają całkiem jadalną.

Do Greeda dotarło w końcu, że Han się z niego nabija, i krew go załała.

- Forsa! - wrzasnął łapiąc go za koszulę. - Chyba że wolisz tłumaczyć się osobiście przed Jabbą.

- NNRRARRG! - z szybkością, o jaką nikt by go nie podejrzewał, Wookie znalazł się obok, łapiąc jedną potężną dłonią napastnika za kark, drugą unieszkodliwiając dłoń z blasterem. - *Nfuto...*

- Dzięki, Chewie - Han wstał, otarł usta serwetką i wyjął blaster z kabury Greeda.

Wprawnymi ruchami rozłożył broń, wyjął zasilacz, złożył resztę z powrotem i unieszkodliwione narzędzie mordy umieścił z powrotem w kaburze.

- Wiesz, prawie cię polubiłem - oświadczył z rozbrajającą szczerością. - Teraz mi przeszło; nie lubię narwańców. Dam ci pewną radę: trzymaj się z daleka od takich mend jak Jabba. Znajdź sobie uczciwą robotę i nie próbuj być kimś, kim nigdy nie będziesz... Puść go, Chewie!

- HNNUUAHN! - Chewie wykonał polecenie i Greedo runął do przodu, padając ryjem prosto w zastawiony stół.

Han naturalnie zdążył odskoczyć.

- Prawdziwy talent! Gdzie Jabba wynajduje takie ofiary? - zdziwił się Solo. - Co z tym drugim, w alejce?

- HWARRUN!

- Zniknął? Następny domorosły łowca! I pomyśleć, Chewie, że Jabba niby-rozsądny, a zamiast wynająć zawodowca, nasyła mi na kark smarkaterię.

- HUWWAN NWUVNNH!

- Dobra, sam wiem, że tak jest bezpieczniej, ale chyba mogę być rozczarowany, nie? Nie ma co dłużej ryzykować: „Sokół” jest sprawny, a Taggart ma czas do jutra. Jeżeli się nie zjawi z tym

ładunkiem, to odlatujemy na pusto. Co ty na to?

- WNHUARRN!

- Tak też myślałem.

Jabba Hutt nie był zadowolony.

- *Kubwafunga najibo* - zadudnił. - Powiedziałeś, że ten bagienny wypierdek odzyska forszę od Sola! Powiniennem was obu wsadzić do piwnicy i wyrzucić klucz!

Siedzący po obu stronach platformy strażnicy poruszyli się, jakby szykując do akcji, a w komnacie zrobiło się prawie cicho. Jabba monologował dłuższą chwilę, smrodząc przy okazji więcej niż zwykle, a obiekt tego mieszania z błotem, czyli Warhog Goa, gwałcił się w ukłonach. Zaczynał żałować, że wziął ze sobą Greeda, ale bez niego nie przekonałby Jabby do zmiany kontraktu. A chodziło o to, by Jabba pozwolił zabić Soła, a nie tylko go wykasować. Na tym opierała się cała kombinacja Warhoga, toteż ledwie Jabba zrobił przerwę na oddech, Goa zatrajkotał jak nakręcony, chcąc zdążyć, zanim gospodarz się odezwie:

- Szanowny Jabbo, jak zapewne zdajesz sobie sprawę, to bezwartościowe gównu dianoga, Han Solo, jest nader trudnym klientem. Sugeruję, abyś łaskawie pozwolił mojemu protegowanemu po prostu go zabić i zabrał jego statek jako wyrównanie długów.

Jabba bąknął coś niezrozumiale i dłuższą chwilę pykał z wodnej fajki. A potem wyglądało na to, że się ucieszył - najwyraźniej podjął jakąś decyzję.

- Podoba mi się twoja sugestia, więc daruję bezwartościowe życie twemu podopiecznemu - oświadczył i spoglądając na Greeda dał znak srebrnemu robotowi protokolarnemu.

K-8LR zrobił dwa kroki do przodu i przetłumaczył na rodiański kolejną jego wypowiedź:

- Możesz mi przyprowadzić Sola, abym mógł go zabić, albo możesz go sam zabić, a potem przynieść mi dokumenty jego statku. Tak zdecydował w swej przenikliwości Jabba Hutt.

Greedo odetchnął z ulgą i skłonił się naprawdę głęboko.

- Dziękuję, wielki Jabbo...

- Lepiej się pospiesz! - przerwał mu droid, słysząc wypowiedź Jabby. - Ogłaszam niniejszym otwarty sezon polowania na Hana Solo i podwyższam nagrodę do stu tysięcy kredytów!

- Sto tysięcy - wzruszył się Goa. - Każdy łowca nagród w...

- Właśnie. Jeśli twój protegowany nie zdoła go dostać, to komuś innemu z pewnością się uda! - Jabba przechylił się na bok i dodał patrząc na Greeda: - Jeśli nie dotrzymasz naszej umowy, to zacznij od razu uciekać, zielony robaku. Masz mi przywieźć Soła: żywego albo martwego!

11. Kantyna

Tym razem orkiestra przygrywała żywo, ale na humory gości nie miało to żadnego wpływu. Generalnie było źle. Greedo i Goa siedzieli przy stoliku w niewielkiej niszy zaraz przy wejściu. Kiedy Han i Wo-okie zjawili się w lokalu, pierwszy ich nie zauważył, za to drugi przechodząc obok warknął basowo.

- Wiedzą, że tu jesteśmy - odezwał się Greedo.
- O to przecież chodziło. Jesteś gotów?
- *Nchtu zno ta...* Mam złe przeczucia - bąknął Greedo.
- To lepiej szybko się ich pozbądź. A jeżeli się rozmyśliłeś, to jeszcze szybciej gnaj na lądowisko: może zdążysz, zanim Jabba się dowie. Ja mam swój kontrakt, gdybyś zapomniał.
- ADyyz?
- Odleciał rano z 4-Loomem i Zuckussem. Ma się zająć jednym takim, który próbował *wygryźć* klan Huttów z Systemu Komnor. Wydaje mu się, że jest szychą, bo ma paru durniów do pomocy.
- Wygląda to na niełatwą robotę.
- Bo nie jest łatwa. Dobrze płatna, ale niebezpieczna. Dyyz się do niej nadaje, powinien sobie poradzić. A ty powinienesz sobie poradzić z Solem. No to jak, zastanowiłeś się?

Zanim Greedo zdążył odpowiedzieć, przy barze wybuchło zamieszanie: ktoś rozwalił stolik, a zaraz potem coś rozbłysło przy wtórze cichego buczenia i w powietrze wyleciała odcięta ręka z miotaczem. Kończyna zatoczyła zgrabny łuk i wylądowała nieopodal krzesła Gre-eda. Muzyka umilkła i zapanowała cisza.

Greedo i Goa zauważyli wcześniej starszego mężczyznę z młodzieńcem - trudno było nie zwrócić na nich uwagi, jako że chłopak próbował wprowadzić ze sobą dwa droidy, czemu energicznie sprzeciwił się barman. Greedo miał niejasne wrażenie, że ze starym lepiej nie zadzierać, ale nie zainteresował się nim bliżej.

- Nieźle, zwłaszcza jak na jego wiek - ocenił teraz z uznaniem.
- Musi być Jedi - mruknął Goa. - Nikt inny nie używa mieczy świetlnych... myślałem, że już dawno wyginęli...

Greedo nigdy nie słyszał o Jedi, ale wolał o nic nie pytać, by nie wyjść na durnia. W lokalu uspokoiło się - goście wrócili do napitków i rozmów, zespół do grania, a pomocnik barmana zajął się odciętą kończyną. Ktoś zamówił kolejkę dla wszystkich i Goa wrócił do sprawy:

- Musisz poczekać. Stary i chłopak właśnie rozmawiają z Solem i Wo-okiem.

Greedo nie odpowiedział, czując nagle szybsze bicie serca i zapach krwi. Do wnętrza weszła para Rodian, którzy dotąd trzymali się z daleka - tym razem podeszli do ich stolika.

- Cześć - ożywił się Goa. - Chciałbym wam przedstawić mojego protegowanego Greeda... Greedo, to dwaj doświadczeni łowcy: Thu-ku i Neesh.

Greedo uniósł głowę znad szklanki z piwem i napotkał dwa zaciekawione spojrzenia.

- *We tetu dat oota*, Greedo - odezwał się Thuku, wyciągając dłoń.

- *Ta ceko vua nsha* - odparł Greedo, podając mu swoją. Trójka Rodian pogrzyła się w rozmowie, czemu Goa przyglądał się ze starannie ukrywanym rozbawieniem. Neesh pogratulował Greedo stosunkowo łatwego zadania, natomiast Thuku go ostrzegł, jako że Solo miał już na rozkładzie dwóch inkasentów Jabby.

- Dziękuję za informacje - odparł Greedo, nadrabiając miną. - Nie boję się. Mam wsparcie Warhoga, gdyby Solo czy Wookie próbowali czegoś głupiego.

Pozostała trójka wymieniła spojrzenia i Greedo odniósł wrażenie, że nagle stał się obiektem niemych drwin. Wiedział, że jest nowicjuszem, ale każdy kiedyś od czegoś zaczynał. Najwyraźniej tamci już zapomnieli, co się wtedy czuje. A więc najwyższy czas im pokazać!

Zanim się wziął za to pokazywanie, do knajpy weszli szturmowcy i wszyscy nagle zajęli się własnymi sprawami. Gdy wyszli, Greedo rozejrzał się i stwierdził, że Solo i Wookie siedzą sami przy stoliku. Goa znaczącym gestem odpiął kaburę i powiedział:

- Oto twoja szansa. Gdyby Wookie próbował się wtrącić, ja się nim zajmę.

Widząc, że nadeszła chwila działania, Greedo poczuł równocześnie strach i podniecenie. Nagle przypomniał sobie potężne pnie tendrilów, w których cieniu biegali obaj z bratem. Przed wioską czekała na nich z otwartymi ramionami matka i płakała. Gdy zapytał, dlaczego płacze, otrzymał dziwną odpowiedź: „Bo jest mi smutno z powodu tego, co się musi stać, i dlatego, że jestem szczęśliwa, gdyż wracasz do domu”. Greedo siedział jak przymurowany i spoglądał tępo przed siebie.

- Ruszysz się czy nie? - zirytował się Goa. - Nie będą tam wiecznie siedzieć i czekać!

Jakby na potwierdzenie jego słów Chewbacca minął ich stolik i wyszedł z lokalu. Solo został sam, a więc moment był wręcz idealny. Greedo wstał z dłonią na kolbie blastera.

- *Oona goota*, Solo? Wybierasz się gdzieś?

- Owszem, Greedo: zobaczyć się z twoim szefem. Powiedz Jabbie, że mam pieniądze.

- *Soompeetaly. Vere tan ne nacht vakee cheeta*. - Greedo parsknął - *Chas kin yanee ke chusko*. Za późno. Powinieneś mu zapłacić, jak miałeś okazję. Jabba wyznaczył za twoją głowę taką nagrodę, że każdy łowca w Galaktyce będzie cię szukał.

- Może. Ale tym razem naprawdę mam pieniądze.

- *Enjaya kul, a intekun kuthuow*. Ale ja znalazłem cię pierwszy.

- Nie mam ich przecież przy sobie! Powiedz Jabbie...

- *Tena hikikne. Hoko ruya pulyana oolwan spa steeka gush shuku ponoma threepe*. Jeśli mi je zaraz dasz, to mogę zapomnieć, że cię znalazłem. Jabba skończył z tobą. Po co mu przemytnicy wyrzucający ładunek na sam widok niszczyciela Imperium?

- Nawet mnie czasami kontrolują! Myślisz, że miałem jakiś wybór?

- *Tłok Jabba. Boopa gopakne et an anpaw*. Powiedz to Jabbie. Może tylko zabierze ci statek.

- Po moim trupie!

Goa dostrzegł, że Solo wyciąga miotacz z kabury, ostrożnie manipulując pod stołem, i odprężony sięgnął po piwo. To powinno wreszcie zakończyć sprawę.

- *Ukle nyuma chaskopokuta klees ka tlanko ya oska*. O to właśnie chodzi. Czekałem na to dość długo.

- Mogę się założyć - mruknął Han i pociągnął za spust.

Z oślepiającym błyskiem i hukiem smuga energii najpierw rozwalila blat stołu, a potem klatkę

piersiową Greeda. Gdy rozwiął się dym plazmowego ognia, Rodianin z dymiącą dziurą zamiast środkowej części kadłuba leżał na resztkach stołu.

- Na kosztą sprzątania - Solo rzucił barmanowi monetę i wyszedł.

Spurch Warhog Goa spotkał się z dwoma Rodianami w Zatoce Parkingowej 86, gdzie czekał jego statek „Nova Viper”. Thuku, wyższy z nich, wręczył mu kasetę pełną świeżo bitych rodiańskich monet z czystego złota. Na każdej widniała podobizna Czerwonego Navika.

- Rodianie dziękują ci, Goa. Lepiej się stało, że my nie musieliśmy go zabijać. Nie chcemy, by się rozeszło, że polujemy na swoich rodaków.

- Jego klan został skazany na śmierć - dodał Neesh.

Goa wziął jedną z monet i przyjrzał się z namysłem jej lśnieniu w ostrym słońcu Tatooine.

- Jasne... - mruknął. - Choć przyznam się wam, że z tych łowów nie jestem dumny. Na szczęście nie musiałem go osobiście zabijać, ale wiedziałem, że pod tym względem mogę spokojnie liczyć na Sola.

HAMMERTONG

Opowieść „Sióstr Tonnika”

Timothy Zahn

- To faktycznie dylemat, ot co - powiedział doktor Kelling z nienaganną dykcją wyniesioną z Uniwersytetu Imperial Prime, która doskonale współgrała z jego zadufaną miną, ale zdecydowanie nie pasowała do tandetnej kafejki ani do dwóch kobiet, z którymi siedział przy stoliku. - Z drugiej strony należy jednak wziąć pod uwagę kwestię jak najszerzej pojętego bezpieczeństwa. Rebelianci ostatnio bardzo się uaktywnili w tym sektorze. I mogę was zapewnić, że doktor Eloy i ja nie jesteśmy jedynymi osobami związanymi z tym projektem, które to martwi.

Przerwał na chwilę marszcząc dostojnie czoło, jakby właśnie coś sobie przypomniał, i dodał:

- Należy też pamiętać, że kapitan Drome jest nadzwyczaj nerwowy w kwestiach, za które czuje się odpowiedzialny. Gdyby wiedział, o czym z wami tutaj rozmawiam, pewnie byłby wściekły. A wiedząc kim jesteście, zapewne dostałby szału.

Siedząca naprzeciwko Shada D'Ukal upiła niewielki łyk wina, które smakowało wstydem i goryczą. Dla niej, jak dla wszystkich dziewcząt na jej spustoszonej wojną rodzinnej planecie, Wojowniczkici Cieni - Mistryle były ideałami, a znalezienie się w ich szeregach stanowiło spełnienie marzeń. Zagadkowy kult kobiet-wojowniczek był ostatnią nadzieją jej rasy, jedyną siłą zdolną do walki z obojętnymi, a często wrogimi przedstawicielami Imperium. Po długoletnim ciężkim treningu została przyjęta i przydzielona do zespołu wysłanego na pierwsze zadanie.

Już na początku mit prysnął. Mistryle nie były legendarnymi bohaterkami - były najemniczkami i niczym więcej, wynajmowanymi przez takie beznadziejne typy jak Kelling. Ponownie napiła się wina i przestała słuchać jego bełkotu. Od czasu, gdy straciła złudzenia, minął rok i siedem zadań, ale żal i wstyd pozostały. Przytłumione co prawda, lecz wciąż obecne. Siedząca obok niej Manda D'Ulin, dowódczyni zespołu, uniosła dłoń, ucinając słowotok mężczyzny.

- Rozumiemy pański problem, doktorze Kelling, ale wydaje mi się, że pan już podjął decyzję. Inaczej nie siedzielibyśmy tutaj, prawda?

- Naturalnie - westchnął Kelling. - Sądzę jednak, że nadal... ale dajmy temu spokój. Macie tak znakomite referencje, że trudno o lepsze. Mój kuzyn powiedział, że Mistryle...

- Jakie jest zadanie? - przerwała mu ponownie Manda. - Do czego konkretnie nas pan potrzebuje?

- A, tak. Naturalnie - mężczyzna wziął głęboki oddech, rozejrzał się nerwowo, jakby szukając imperialnych szpiegów przy innych stolikach i w końcu wykrztusił szeptem tak cichym, że Shada musiała wyteńczyć słuch: - Jestem związany z pewnym projektem naukowo-badawczym nazwanym Hammertong. Mój przełożony, doktor Eloy, jest najstarszym stopniem naukowcem w zespole. Dwa tygodnie temu przedstawiciel Imperium poinformował nas, że wraz z całym projektem i urządzeniami zostajemy przeniesieni w nowe miejsce. Mamy odlecieć za trzy dni.

- A panu i pańskiemu szefowi wydaje się, że kapitan Drome niedostatecznie zajął się kwestiami bezpieczeństwa - dodała Manda.

- Doktor Eloy uważa, że w ogóle się nie zajmuje - przyznał niechętnie Kelling. - Kilkakrotnie prawie się o to pokłócili.

- Czego w takim razie oczekujecie panowie od nas?

- Sądzę... no cóż, prawdę mówiąc, nie wiem - przyznał naukowiec. - Myślę, że moglibyśmy porozmawiać z kapitanem Drome o waszym udziale w zabezpieczeniu nas i ładunku podczas podróży...

Kelling zobaczył wyraz twarzy rozmówczynie i zamilkł.

- Może wyjaśnię pewien drobiazg związany z Mistrylami, doktorze Kelling - powiedziała uprzejmie, lecz głosem nie znoszącym sprzeciwu. - Pański kuzyn zapewne zarekomendował nas jako grupę najemników z pogranicznego sektora. Nic biedniejszego. Prawdopodobnie powiedział też, że wynajmujemy się każdemu, kto dobrze zapłaci i nie zadajemy pytań. To także błąd. Mistryle to żołnierze zapomnianej wojny i bojownicy przegranej sprawy. Wynajmują się jako ochrona ludzi takich jak pan, dlatego że nasz świat i ci, którzy na nim jeszcze żyją, potrzebują pieniędzy, by przetrwać. Mamy jednakże jedną zasadę, której nigdy nie złamałyśmy i nie złamiemy: nie współpracujemy z wojskami Imperium!

Mocne słowa, ale... tylko słowa. Nie współpracowały dotąd z Imperium głównie dlatego, że nie było okazji. Fakt - Mistryle nie lubiły Imperium, a część ich rodaków wręcz go nienawidziła. Z powodu różnych podejrzeń z okresu wojny i z uwagi na całkowitą obojętność okazywaną przez Imperium po jej zakończeniu. Prawda była jednak brutalna: ci, co przeżyli, potrzebowali pomocy, toteż Mistryle po prostu nie mogły odrzucić żadnej oferty. Manda mogła mówić szczerze, ale w końcu i tak musiała przyjąć warunki Kellinga. I była pewna, że Shada, podobnie jak poprzednio, choć z niesmakiem, ale zrobi wszystko, by pomóc zrealizować zawarty kontrakt, a to z tego powodu, że nie miała co ze sobą zrobić.

Kelling jednak nic nie wiedział o tych subtelnościach, więc teraz wyglądał, jakby przeżył jedną z najgorszych niespodzianek w życiu.

- Nie! - jęknął rozpaczliwie. - Potrzebujemy was!... My nie należymy do naukowych struktur Imperium! Oni finansują tylko konkretny projekt, ale stanowimy całkowicie niezależną grupę badawczą!

Manda zmarszczyła brwi, udając, że się zastanawia. Pomagało to zawsze w targach o ostateczną cenę; w sytuacji, gdy całą operację finansowało Imperium, cena musiała być wysoka.

- Dobrze - odezwała się w końcu. - Zrobimy tak: zignorujemy całkowicie tego kapitana Drome i jego środki bezpieczeństwa. Zapewnimy wam znakomitą osłonę przed zasadzką, jeśli ktoś będzie próbował ją urządzić, obojętne, Rebelianci, piraci czy ktoś inny. Do odlotu pozostały trzy dni, więc mamy czas, by ściągnąć kilka innych zespołów. Powinniśmy mieć do dyspozycji z dziesięć jednostek w osłonie przedniej i dwie w osłonie tylnej... Tak na wszelki wypadek. Będzie to łącznie kosztowało trzydzieści tysięcy.

- Trzy... co...?

- Trzydzieści tysięcy kredytów - powtórzyła spokojnie Manda. - Targować się nie będziemy: tak albo nie.

Shada obserwowała twarz Kellinga - najpierw ujrzała na niej szok, potem zrozumienie, w końcu rezygnację. Cóż, Manda słusznie wnioskowała - gdyby się nie zdecydował, nie byłoby go tutaj.

- Zgoda - westchnął po chwili. - Doktor Eloy dokona wypłaty, gdy spotkamy się z nim dziś po południu.

- Dlaczego mamy się z nim spotkać?

- Bo to on najbardziej martwi się sprawą bezpieczeństwa.

- A gdzie ma nastąpić to spotkanie? Tutaj?- Nie, skądże. W naszym obozie. Doktor Eloy praktycznie nigdy go nie opuszcza. Proszę się nie martwić, wprowadzę was bez problemów.

- A kapitan Drome? - przypomniała Manda. - Sam pan mówił, że jest wyjątkowo drażliwy w kwestii wizyt kogoś z zewnątrz.

- Kapitan Drome nie kieruje tymi badaniami. To doktor Eloy jest szefem.

- Takie rozróżnienia z zasady umykają oficerom, zwłaszcza imperialnym. Jeśli złapie nas na terenie obozu...

- Nie złapie, bo nawet się nie dowie o waszej obecności - zapewnił ją naukowiec. - Musicie przecież zobaczyć, jak projekt Hammertong wygląda po załadowaniu na pokład, by wiedzieć, jak najlepiej go chronić podczas lotu.

- No tak, logiczne - Manda nie wyglądała na uszczęśliwioną. - Mam jeszcze parę spraw do załatwienia, ale po południu mogę z panem jechać. Shada zajmie się zebraniem zespołu.

- Jasne. - Shada z kamienną twarzą skinęła głową.

Zebranie zespołu nie wymagało specjalnego wysiłku - cała szóstka była albo w kafejce, albo w jej bezpośrednim sąsiedztwie, a oba myśliwce „Skyclaw” i „Mirage”, zamaskowane jako frachtowce, czekały na dwóch lądowiskach w mieście. Był to jednak dobry pretekst, by Shada zniknęła zleceniodawcy z pola widzenia. Reszty nie miał prawa oglądać.

- Do zmroku skompletuj pozostałych tu w Górno, ja przez ten czas skończę parę spraw i spotkam się z doktorem Eloyem - zakończyła Manda wstając.

- Zbliżają się do bazy - głos Pav D'Armon zaszemrał w jednym z dwóch comlinków, jakie Shada miała przymocowane do kołnierza. - Widzę dwóch strażników i ruch na wartowni za płotem. Może ich tam być sześciu albo siedmiu.

Shada potwierdziła odbiór. Gładziła kolbę snajperskiego karabinu laserowego mając nadzieję, że Pav się zamknie.

Sieć łączności używana przez Mistryle była nowoczesna i solidnie kodowana, ale to nie miało znaczenia w zlokalizowaniu transmisji - do tego potrzeba tylko, by ktoś wystarczająco długo gadał. APav lubiła gadać. Zagrożenie było tym większe, im bliżej znajdowała się jakaś wojskowa baza. Jak choćby ta, którą właśnie obserwowała przez celownik snajperki. Chociaż tutaj ktoś zadał sobie naprawdę sporo trudu, by baza wyglądała na ośrodek badawczy rolnictwa, jak głosiły tablice.

Droga, którą Manda i Kellering mieli do pokonania (jeśli naturalnie zostaną w ogóle wpuszczeni przez bramę) wiała się między wzgórzami, a zatem nie dałoby się tam rozwinąć większej szybkości. Baza obejmowała duży obszar i wyglądała naprawdę niewinnie, co stało w jawnej sprzeczności z jej strategicznym położeniem i lokalizacją zaledwie o pięćdziesiąt kilometrów od portu kosmicznego w Górno oraz od czterech innych centrów transportu i przemysłu. Każdy, kto choć trochę znał się na rzeczy, musiał się jednak domyślić, że to wojskowy ośrodek badawczy. Być może do kogoś w siłach zbrojnych Imperium to wreszcie dotarło i stąd ta ewakuacja.

Swoją drogą ciekawe, jak chcą to załatwić: ostrożnie - cywilnymi transportowcami czy szybko - okrętami floty imperialnej. Kellering powiedział, że ten cały Hammertong jest już załadowany. - Manda musi sprawdzić, na jaką jednostkę. Od tego przede wszystkim zależały ich dalsze

posunięcia...

- Przejechali - zameldowała Pav. - Brama się zamyka, wóz kieruje się w twoją stronę.

- Przyjęłam - mruknęła Shada i spytała po sekundzie: - Kłopoty? - Nie wiem... wszystko niby wygląda normalnie, ale coś jest nie tak, czuję to.

Gadatliwa Pav na pewno nie była histeryczką - nie można awansować na zastępcę dowódcy zespołu, jeśli nie ma się instynktu bojowego.

- Wydaje mi się, że przejechali ciut za szybko... - dalszy ciąg zniknął w przenikliwym skrzeku zagłuszania.

Klnąc pod nosem, Shada zerwała lewy comlink z kołnierza i odrzuciła go najdalej jak mogła. Tak wyglądała naiwność zleceniodawcy - naukowca. Manda i Pav już były w kłopotach, a ona zaraz do nich dołączy - niejako na własną prośbę...

Zza linii wzgórz za ogrodzeniem wypadł nagle tuzin postaci w lśniących białych pancerzach i na skuterach. Wszystkie skierowały się w jej Stronę.

- ...pułapka... powtarzam, pułapka - dobiegł ją głos Pav. - Dostali Mandę, a teraz idą po mnie.

- Pav, tu Shada. Mogę być za dwie minuty - powiedziała spokojnie, naciskając spust.

Pierwsza maszyna eksplodowała, zwalając szurmowca na ziemię i wytrącając dwa następne z kursu.

- Zabraniam! - w głosie Pav była chłodna rezygnacja kogoś pogodzonego z losem. - Są za blisko! Spróbuję ich zająć jak długo się da. Ty i Karoly spróbujcie dostać się do okrętów i pryskajcie. Powodzenia i...

Coś cicho trzasnęło w głośniczku i zapanowała cisza. Szturmowcy zmienili szyk, ale nie na wiele im się to przydało: Shada czterema strzałami załatwiła dwóch następnych.

- Karoly?... Karoly, słyszysz mnie?

- Zabili je... - głos był ledwie rozpoznawalny. - Szturmowcy je...

- Zamknij się! - warknęła, przełączając broń na granatnik podwieszony pod lufą i naciskając spust. - Możesz dotrzeć do speedera? Odrzut był bardzo silny, ale ku szurmowcom pomknął cienki cylinder wystrzelony z vipera.

- Tak... Wycofujemy się?

- Wręcz przeciwnie! Wchodzimy! - Skulona przebiegła do kępy krzewów, w której ukryła swój pojazd.

Szturmowcy widząc wreszcie przeciwnika otworzyli ogień. Prawie równocześnie o jakieś dziesięć metrów przed nimi eksplodował granat, wypluwając gęste kłęby zielonego dymu.

- Wchodzimy? - w głosie Karoly wyraźnie było słychać zdziwienie. - Shada...

- Oderwałam się! - przerwała jej, przerzuciła broń przez plecy i wskoczyła na siodełko.

Przez ryk silnika usłyszała miłe dla ucha głucho łomoty - to był koniec pościgu. Ten gaz był wyjątkowo skuteczną mieszanką, odkrytą przez Mistryle pod koniec wojny - przepalał przesyłowe linie mocy, załatwiając błyskawicznie każdy silnik nie osłonięty polem. Na skutery działał prawie natychmiast, bo miały silniki dosłownie na wierzchu.

- Każ Cal i Sileen ściągnąć myśliwce jako wsparcie - poleciała ruszając.

- Ale co my właściwie chcemy zrobić?!

Shada wzięła ostry zakręt. Manda i Pav zginęły; jedyne, co czuła w tej chwili, to wściekłość.

- Damy Imperialnym lekcję, której długo nie zapomną - powiedziała, włączając pełną moc.

Przeskoczyła nad ogrodzeniem, ominęła zieloną chmurę i pognęła ku centrum bazy, oddalonemu o

jakieś dziesięć kilometrów. Początkowo leciała spokojnie, trzymając się nisko i wykorzystując rzeźbę terenu jako osłonę. Cały czas zastanawiała się, gdzie się podziała nieprzenikalna obrona, z jakiej słynęły bazy imperialne. Albo zostali wzięci z zaskoczenia, albo założyli, że po nieudanej próbie przy bramie wszyscy będą uciekać na łeb i szyję i tam skoncentrowali większość sił; może też być tak, że ta cała reklamowana ochrona to jedno wielkie mydlenie oczu. Była o mniej niż dwa kilometry od celu, gdy obrona w końcu się ocknęła. I od teraz nie mogła już narzekać na barak urozmaicenia.

Na początek nie wiadomo skąd wypadło jej na spotkanie trzech zwiadowców na mekuunach, do których prawie natychmiast dołączyły dwie drużyny szturmowców na skuterach. Po boku otworzyły się zbocza dwóch wzgórz, ukazując armaty atmosferyczne typu Co-mor i nagle w powietrzu zrobiło się gęsto od wiązek laserowych, promieni plazmowych i wszelkiej elektromagnetycznej energii. Część spudłowała, większość zneutralizowały osłony jej speedera, ale zaczęło być gorąco. Maszyna Shady nie była zaprojektowana jako pojazd szturmowy i osłony mogły nie wytrzymać takiego obciążenia. Robiąc szaleńcze uniki, kątem oka dostrzegła drugi ruchomy cel wścieklej aktywności sił Imperium: Karoly...

I nagle, równie niespodziewanie jak się pojawiły, merkuuny i skutery zaczęły znikać w ognistych eksplozjach, a nad nią z rykiem przemknął „Skyclaw”, plując ogniem i śmiercią.

- *Kan si manis per tam*, Sha - ryknęły zewnętrzne głośniki głosem Sileen. - *Mi nazh ko*.

- *Sha hae* - krzyknęła, skręcając o piętnaście stopni w lewo zgodnie z poleceniem.

Imperialni mogli sobie zagłuszać łączność, mogli nawet złamać system kodowania, ale na pewno nic im nie mówił ten slang bojowy Mistryla. Shada gotowa się była założyć o każdą kwotę. Po lewej dostrzegła „Mirage’a” pilotowanego przez Cai, oczyszczającego przestrzeń wokół Karoly, i obniżyła lot. Wyglądało na to, że cel jest za kolejnym pasmem wzgórz.

I rzeczywiście; gdy przeskoczyła ponad nimi, dostrzegła szeroką dolinę z kompleksem chyba dwudziestu budynków różnej wielkości i przeznaczenia - od niewielkiego biurowca do pozbawionego okien hangaru, w którym można było spokojnie dokonywać napraw średniej klasy niszczyciela. A na wolnym placu obok hangaru stał sobie spokojnie, dominując nad wszystkim, smukły krążownik uderzeniowy klasy Loronar.

Czego jak czego, ale tego się zupełnie nie spodziewała.

- *Sha ve rei hava na talae* - zagrzmiął z góry głos Sileen i oba myśliwce, nie czekając na odzew, skręciły ostro w prawo.

Z lewej natomiast podleciała Karoly, spokojnie dołączając jako skrzydłowa, zupełnie jakby to były ćwiczenia.

- Cała jesteś? - spytała Shada.

- Tak - odkrzyknęła już prawie zupełnie opanowana. - Co Sileen mówiła?

- Nadlatuje więcej obrońców, postanowiły przechwycić ich obie z Cai.

- A my?

- Zaszkodzimy Imperialnym, ile się da. Dziobowy luk jest otwarty, spróbujemy się dostać na pokład, zanim go zamkną - odparła, wskazując krążownik.

Teraz wyjaśniło się przeznaczenie dwóch niewielkich budynków stojących na obrzeżu kompleksu - rozsunęły się ich ściany ukazując stanowiska sprzężonych comarów, które natychmiast otworzyły ogień. Jednak cel, jaki stanowiła para speederów, był zbyt mały i zdecydowanie zanadto ruchliwy, toteż Shada i Karoly dotarły do krążownika, przeleciały pod jego rufą i skryły się za kadłubem całe i

zdrowe (jeśli nie liczyć spalonych osłon obu maszyn). Ostrzał urwał się natychmiast: kanonie-rzy woleli nie ryzykować uszkodzenia własnej jednostki lub jej ładunku.- Do kitu mają tę ochronę! - parsknęła Karoly i prawie równocześnie tego pożałowała, bo z okolic rampy, do której zmierzały, tuzin szturmowców otworzył ogień.

Mieli jednak wyłącznie lekką broń, a oba speedery uzbrojone były w działka, miały lepszy system celowania i szybko się przemieszczały, więc już wkrótce ze szturmowców zostały jedynie dymiące szczątki.

- I co dalej? - spytała Karoly, gdy obie maszyny zatrzymały się u stóp rampy wiodącej do luku dziobowego.

- Zniszczymy co się da - odparła rozglądając się Shada.

Opór stawiały jedynie działka i niedobitki szturmowców, które nie mogły dać rady parze myśliwców, toteż miały dość czasu, by dotrzeć na mostek i zostawić na pokładzie parę pojemników z gazem. No i naturalnie odlecieć.

Sprawa odlotu nieco się skomplikowała, gdy zza odległej linii wzgórz wyłoniły się kolejne maszyny, gnając ku nim na podobieństwo mynocków, którym ktoś złośliwie podpalił ogony.

- Cofam to, co powiedziałam o ochronie - mruknęła Karoly. - Lepiej się stąd zabierajmy, póki jeszcze możemy.

Shada zdecydowanie pokręciła głową.

- Muszą nam za to zapłacić! - warknęła, mając przed oczyma twarze towarzyszek. - Daj mi dwie minuty, potem odlatuj!

- No to jazda! - mruknęła Karoly, parkując pod osłoną rampy i zsiadając. - Będę cię osłaniać, ale się pospiesz!

Zdjęła z pleców karabin snajperski i zajęła najlepsze możliwe stanowisko.

- Pewnie, że się pospieszę! - Shada skrzyła ostro i pognąła ku otwartemu lukowi, próbując przypomnieć sobie plany krążownika tej klasy, jakie oglądała podczas szkolenia.

Na szczęście większość korytarzy była wystarczająco szeroka, by speeder się w nich zmieścić - inaczej na pewno by nie zdążyła. Najpierw korytarzem z dziesięć metrów, potem skręt w prawo, dwadzieścia metrów, windą ładunkową na trzeci poziom, dwieście metrów korytarzem w lewo i już prawie była na mostku. Przypomniała sobie, że załoga tego typu okrętu liczy nieco ponad dwa tysiące osób, jeśli choćby dziesiąta część jest na pokładzie... ale na to akurat nic nie mogła poradzić, więc dodała gazu, wypadając znad rampy w otwarty luk i skrzyła ostro, by uniknąć przeciwległej ściany.

Której nie było.

- Cholera... - jęknęła, odruchowo stając na hamulcu.

- Co się stało? - zareagował comlink nerwowym głosem Karoly. - Shada? Co jest?

Przez moment Shada była zbyt zaskoczona, by się odezwać: przed nią zamiast płataniny korytarzy, kajut i stanowisk ogniowych, rozmieszczonych na co najmniej pięciu pokładach, rozciągała się wielka, pusta przestrzeń długości ponad trzystu metrów i szerokości prawie pięćdziesięciu. Od dziobu do maszynowni nie było nic poza solidnie wzmocnionym pokładem, połączonym z zewnętrznym kadłubem pajęczyną odciągów i amortyzatorów. A na pokładzie w specjalnych uchwytach ułożony był cylinder długości prawie trzystu metrów - zajmował bowiem cztery piąte olbrzymiej ładowni. Kołyski, do których był przymocowany, także były solidnie amortyzowane, a całość porządnie połączona. Do cylindra prowadziły wiązki grubszych i cięższych wielobarwnych kabli, a jego powierzchnię znaczyło kilkaset zamkniętych chwilowo wylotów, służących do

podłączenia różnej średnicy rur.

Bez wątpienia miała przed sobą Hammertong.

- Shada?

Shada ocknęła się i rozejrzała nieco nerwowo - nigdzie nie było widać robotników ani załogi, ani ochrony. Tę ostatnią zapewne zlikwidowały dolatując do rampy. Natomiast na dziobie dostrzegła coś, co ją wybitnie ucieszyło: mostek krążownika został zastąpiony typową sterówką zautomatyzowanego transportowca, w której zresztą też nikogo nie było. Podleciała bliżej i z zadowoleniem stwierdziła, że sądząc z meldunków wyświetlanych na ekranie kontrolnym jednostka jest gotowa do startu - najwyraźniej ich atak przerwał ostatnie sprawdzanie poprzedzające odlot. Kellering znowu miał nieaktualne informacje. A to dość drastycznie zmieniało sytuację...

- Zmiana planów! - oznajmiła lądując. - Wlatuj do środka i zamknij za sobą luk!

Zanim Koraly dołączyła do niej, Shada siedziała już za sterami i kończyła sprawdzanie stanu krążownika - rzeczywiście był gotów do startu.

- To jest ten cały Hammertong? - Koraly była pod wrażeniem.

- A co innego mogłoby to być? Kellering tak się nad tym trząsał, że to musi być to - odparła. Uruchomiła silniki grawitacyjne mając nadzieję, że nic się nie rozleci.

Jednostki tej klasy były przewidziane do operowania w próżni i z dala od silnych źródeł przyciągania, ale skoro ktoś zdołał tym wylądować, jej powinno się udać wystartować. Tym bardziej że podczas przeróbki najwyraźniej podwojono moc generatorów fal grawitacyjnych. Widocznie ładunek był naprawdę wyjątkowo cenny.

- Zajmij się dostrojeniem łączności na naszą częstotliwość, dobrze?

- Jasne. - Karoly siadła w fotelu drugiego pilota i spytała: - A tak w ogóle to co robimy dalej?

- Imperium zadało sobie jak widać wiele trudu - najpierw, żeby to zbudować, a potem gdzieś przetransportować, obojętnie co to jest i gdzie ma trafić - wyjaśniła, nie spuszczać wzroku z ekranów Imperium, a zwłaszcza jego wyżsi rangą oficerowie, choć potwornie zarozumiali, nie byli bynajmniej głupi. Słabość obrony naziemnej była zrozumiała; nie chcieli dekonspirować bazy ciężkim sprzętem. Ale oznaczało to zapewne, że gdzieś w pobliżu mają do dyspozycji ciężkie jednostki na wypadek poważnego ataku większych sił. „Gdzieś w pobliżu” - czyli w przestrzeni kosmicznej wokół planety. Na ekranach nic nie było widać, więc albo zakrywał ich horyzont, albo naprawdę udało się pełne zaskoczenie...

W każdym razie czas działał na korzyść przeciwnika.

- Masz kontrakt z Cai albo Sileen?

- Pewnie... - Karoly nie odrywała palców od pulpitu łączności, grając na nim niczym na skomplikowanym instrumencie. - Sekwencja zmiennych częstotliwości... jest!

- Shada?... Karoly? - z głośnika dobiegł głos Sileen. - Co wy wyprawiacie, do nagłej i niespodziewanej...?

- Robimy na złość Imperium - poinformowała ją Shada. Krążownik uniósł się nad zabudowania i wzgórze, więc uspokojona zwiększyła prędkość.

- Shada.: wszystkie jesteście zdenerwowane śmiercią Mandy i Pav - głos Sileen brzmiał, jakby za wszelką cenę starała się nad nim panować. - Ale to, co robicie, to szaleństwo: ściągniecie nam na karki całą flotę Imperium!

- Niech się nauczą, że Mistryli nie zabija się bezkarnie - warknęła Shada. - Karoly i ja poradzimy sobie. Odlatujcie.

W głośniku przez moment słycać było tylko szum.

- Lepiej trzymajmy się razem - zdecydowała Sileen.- W końcu co nam Imperium może jeszcze zrobić?

Shada obejrzała się na ogromny cylinder. Pytanie nie było właściwe, powinno brzmieć: co zrobić z Hammertongiem? Po tych przeróbkach, jakim poddano krążownik, dwie osoby wystarczały, by go pilotować podczas krótkiego lotu. Bardziej skomplikowane manewry (nie wspominając o walce) były po prostu niemożliwe.

- Musimy się pozbyć okrętu - zdecydowała. - Trzeba go ukryć gdzieś blisko, rozmontować tę rzecz na kawałki i załadować je na któryś z naszych frachtowców.

- Ryzykowne - wtrąciła Karoly. - Chyba że masz na myśli jakieś konkretne miejsce...

- Mamy towarzystwo! - zameldowała Sileen. - Imperialny niszczyciel wychodzi właśnie z nadprzestrzeni za rufą.

- Mam go! - Karoly przekreśliła się wraz z fotelem w stronę pulpitu sensorów. - Właśnie wypuszcza myśliwce!

- Pewnie z bazy wezwali pomoc - mruknęła Shada, kończąc programować navcomp.

Teraz już nie było odwrotu: przy zbliżającym się roju myśliwców nie miały żadnej szansy na porzucenie łupu i przesiadkę do własnych myśliwców, o ucieczce nie wspominając.

- Cai, Sileen... przesyłam wam kurs, kod: „Gorycz”. Skaczcie, jak tylko będziecie mogły, my będziemy zaraz za wami.

- Jesteś pewna, że tam właśnie chcesz dotrzeć? - spytała po chwili Sileen.

- Nie wydaje mi się, abyśmy miały specjalny wybór. To jest przynajmniej blisko. Imperium jest tam obecne raczej teoretycznie, a mieszkańcy nie zadają pytań... - Shada wołała się nie zastanawiać, czy obojętność mieszkańców obejmie również coś tak wielkiego jak imperialny krążownik uderzeniowy.

- Zgoda - odezwała się Sileen. - Chcesz, żebyśmy obie z tobą leciały, czy mam się zająć znalezieniem frachtowca?

- Dobry pomysł. We trzy z Cai poradzimy sobie. Skacz pierwsza.

- Jasne. Powodzenia.

„Skyclaw” rozbłysł nagle i zniknął w nadprzestrzeni.

- Nasza kolej - mruknęła Shada.

Miała nadzieję, że hipernapęd jest sprawny mimo przeróbek - imperialne myśliwce leciały zdecydowanie za blisko i było ich stanowczo zbyt wiele.

- Jesteś gotowa, Karoly?

- Na to wygląda. No to dokąd się udajemy? Dopuścisz mnie do tego wielkiego sekretu?

- Żaden sekret - mruknęła Shada, sięgając ku dźwigni hipernapędu. - Na pustynne zadupie zwane Tatooine.

Było to nie tyle lądowanie, ile z trudem kontrolowana kraksa. Zanim krążownik przestał szorować po piachu, wbijając się dziobem w wyjątkowo okazałą wydmy, było oczywiste, że o własnych siłach nigdy stąd nie wystartuje. O pomocy z zewnątrz Shada wołała nawet nie myśleć.

- Niepowtarzalny manewr - odezwała się wstrząśnięta Karoly, wyłączając napęd. - Chyba zdajesz sobie sprawę, że widać nas z każdej strony i to bez specjalnie silnej lornetki?

- To się zaraz zmieni - Shada sprawdziła odczyty. - Widzisz tę chmurę na zachodzie? To czoło burzy piaskowej. Jeszcze godzina i nikt nas nie znajdzie. Chodź, obejrzymy nową zabawkę!

Zanim Cai dotarła do wnętrza krążownika, Shada i Karoly zdążyły zedrzeć ekranującą folię z kilkunastu metrów cylindra. - Jakies kłopoty? - powitała ją Shada.- Wątpię, żeby w ogóle się zorientowali, że ląduję. - Cai z podziwem przyglądała się łupowi. - Nikt mnie nawet nie próbował wywołać przez radio.

- Przeważnie nie zawracają sobie tym głowy, jeśli statek nie ląduje w porcie Mos Eisley - odparła Shada. - Tu się kręci mnóstwo przemytników i wszyscy starają się tego nie zauważać.

- Miło, że o tym wiemy. A oto Hammertong... domyślcie się chociaż, co to w ogóle jest?

- Jeszcze nie - przyznała Shada. - Jak się sprawuje twój astromechanik?

- D4? Narowisty, ale sprawny. Chcesz, żebym go tu sprowadziła?

- Odczyt techniczny powinien nam sporo wyjaśnić. Nadciąga burza piaskowa. Zabezpieczyłaś „Miragea”?

- Zabezpieczyłam, a na ile skutecznie, to się okaże. - Cai zrobiła w tył zwrot. - Zaparkowałam tak, aby przejście między jednostkami było jak najkrótsze. Na wszelki wypadek proponuję włączyć ekran rampy rozładunkowej... zaraz będę z powrotem.

Burza nadciągnęła w mniej niż kwadrans po powrocie Cai z dro-idem. Po kolejnym kwadransie Shada zaczęła się poważnie zastanawiać, czy przypadkiem nie popełniła błędu - nawet przez gruby kadłub słychać było wycie wiatru i uderzenia piachu, potężniejsze z każdą chwilą. Jej pomysł polegał na ukryciu okrętu przed poszukiwaniami Imperium, a nie na pogrzebaniu jego i siebie przy okazji. Cai najwyraźniej żywiła podobne podejrzenia.

- Na dole odkręcone - Cai wynurzyła się spod cylindra i wręczyła Karoly hydroklucz. - Pójdę sprawdzić, czy nas już całkiem nie przysypało.

- Dobry pomysł - przyznała Shada, kończąc odkręcać śruby po swojej stronie.

Gdy Karoly uporała się ze swoją częścią roboty, ostrożnie zdjęły masywny panel i zajrzały do wnętrza. Było mniej skomplikowane niż sugerował to wygląd zewnętrzny - większość kabli biegła do wielopłaszczyznowych, spiralnych kryształów pryzmatycznych oraz do nie oznaczonych czarnych skrzynek, od których aż się roiło na wewnętrznych ściankach. Rury z kolei przeważnie podłączone były do skomplikowanego systemu chłodzącego.

- Może to nowy rodzaj generatora... - mruknęła Shada. - O segmentowej konstrukcji zwielokrotniającej moc... zobacz, system podłączeń i chłodzenie powtarzają się co pięć metrów. Powinnyśmy rozłączyć toto właśnie w tych miejscach.

- Może... - Karoly stuknęła kluczem w jedną z czarnych skrzynek. - D4, spróbuj się gdzieś podłączyć. Możemy zacząć od zdobycia planów. To nam pomoże dowiedzieć się wszystkiego o tym urządzeniu.

- Hej - dobiegł ze sterówki okrzyk Cai. - Chodźcie zobaczyć!

Gdy do niej dotarły, dostrajała właśnie główny ekran.

- Co się dzieje? - spytała Shada.

- Nie jestem pewna, bo ten latający piasek okropnie zakłóca, ale chyba nad nami się biją. Konkretnie wychodzi mi, że imperialny niszczyciel z jakąś jednostką wielkości średniego frachtowca...

Shada pochyliła się nad ekranem...

- Mam nadzieję, że Sileen zdąży... Możesz wyciągnąć jakąś ostrość? - spytała.

- Wątpię... o, udało się: to koreliańska korweta! Shada odetchnęła z ulgą.

- Ciekawe, o co im poszło? - mruknęła już znacznie spokojniej.

- Pojęcia nie mam - przyznała Cai. - Poczekaj... dwa następne niszczyciele wychodzą z nadprzestrzeni.

- Ciasno się tu robi - zauważyła Karoly. -1 nienormalnie: Hammer-tonga pilnował tylko jeden.

- Chyba że miało ich być więcej, a teraz właśnie tym się zajmują - zauważyła Shada. - Mogły zostać odwołane do tego pościgu.

- Jak, ta fregata musi być dla nich bardzo ważna - podsumowała Cai. - A my znaleźliśmy się w samym środku jakiegoś dużego zamieszania.

Shada popatrzyła z namysłem na długi walec, przy którym droid wyglądał na maleństwo, i nagle zrozumiała, że nie mają czasu.

- Cai, sądzisz, że uda nam się wymontować z tego jeden moduł?

- Prawdopodobnie. Ale mając do pomocy jedynie D4, będziemy potrzebować przynajmniej dwóch dni. A dlaczego pytasz?

- Bo chyba nie możemy czekać na Sileen. Za gorąco się tu robi. Jak tylko zdemontujemy jeden moduł, zabieramy się stąd. Jeśli Sileen nie zdąży z frachtowcem, nie będziemy ryzykowały czekając na nią.

- W „Mirage’a” to się nie zmieści - zaproponowała Karoly.

- Wiem - przyznała Shada. - I dlatego ty i ja pojedziemy do Mos Eisley wynająć jakiś transport. No, zabieramy się do roboty, moje panie!

- Tam - Shada wskazała zaniedbany budynek po drugiej stronie piaszczystej ulicy, na wszelki wypadek sprawdzając datapad z informacjami. - Nazywa się „Kantyna”.

- Nie wygląda zachęcająco. - Karoly nie spiesząc się skręciła i podleciała pod wejście antycznym speederem z wyposażenia „Mirage’a”. - Naprawdę myślisz, że znajdziemy tu dobrego pilota?- Ktoś z Mistryli tak myśli. W razie kłopotów na Tatooine, stąd należy zacząć poszukiwania.

- Wątpliwa rekomendacja - mruknęła Karoly wysiadając. - Nie podoba mi się to wszystko, Shada.

- Brea, nie Shada - poprawiła ją Shada. - A ty jesteś Senni i bądź łaskawa o tym pamiętać, albo wszystko szlag trafi.

- I tak się na tym skończy. Słuchaj, co prawda para szurmowców na rogatec uwierzyła w naszą maskaradę, ale to wcale nie znaczy, że oszukamy kogoś, kto naprawdę zna Siostry Tonnika. Ani obcisły kombinezon, ani peruka nie załatwiają sprawy.

- Pod własnymi nazwiskami na pewno nie możemy wystąpić: tu już się roi od szurmowców, a wygląda na to, że jeszcze ich przybędzie. Jeżeli nawet dotąd nie mają naszych danych, to wkrótce je zdobędą. Mistryle zawsze w razie potrzeby udają jakieś konkretne osoby i jakoś nie słyszałam, żeby ktoś przy tym wpadł. Jeśli system podobieństw uznał, że możemy podszyć się pod Siostry Tonnika, to mamy to zrobić i koniec. - Shada też była solidnie podenerwowana.

- Możemy nawet wyglądać jak one, ale co z zachowaniem? Zresztą udawanie pary poszukiwanych kryminalistek kiepsko pomaga w ukrywaniu się.

Tu miała absolutną rację - Brea i Senni Tonnika były zawodowymi oszustkami i to wysokiej klasy. Lista ich osiągnięć, czyli sum, od jakich uwolniły bogatych i możnych tego Wszechświata, była naprawdę imponująca. W normalnych warunkach podszywanie się pod te siostrzyczki było proszeniem się o kłopoty. Tyle że warunki dalekie były od normalnych.

- Nie mamy wyboru - oznajmiła twardo Shada. - W takim miejscu jak to obcy automatycznie budzą zainteresowanie, w przeciwieństwie do przestępców, których zawsze się tu pełno kręci. Porty

kosmiczne zawsze roją się od szpicli, a po naszych występach i po tej bitwie na-pewno się uaktywnią. Imperium nie interesuje się zwyczajnymi przestępcami i to nasza jedyna szansa. Chcesz, to zostań przy drzwiach i uważaj. Sama znajdę pilota.

- Bezczelność kiedyś nas zgubi - westchnęła Karoly. - Chodź, dość czasu straciłyśmy.

Shada była przekonana, że tak jak przeważnie bywa, lokal w środku będzie robił lepsze wrażenie niż z zewnątrz. Tym razem spotkał ją zawód - spelunka była ciemna, pełna dymu, a przy wejściu mrugał nachalnie wykrywacz droidów. Dalej był długi bar i stoliki, niektóre ukryte w niszach, inne stojące na środku. Wszystko obdrapane, poobijane i nie pierwszej świeżości - najwyraźniej renowacja najlepszego lokalu na Tatooine do niczego specjalnego nie zobowiązywała.

- Uważaj na stopnie - mruknęła Karoly.

- Dzięki. - Ostrzeżenie przyszło w samą porę, bo o mało nie zjechała z paru schodków prowadzących do głównej sali. Byłoby to podejrzane u kogoś, kto podobno często tu gościł.

Dopiero w tym momencie Shada uświadomiła sobie, ile czasu potrzebuje wzrok, by przystosować się do oświetlenia wewnątrz. Dzięki temu bywalcy mogli skutecznie acz dyskretnie obejrzeć sobie nowo przybyłych. Jeśli jednak kogoś zaciekało ich przybycie, starannie to ukrył - nikt z obecnych nie przyglądał się im, nie przerywał rozmowy ani nie wykonywał gwałtownych ruchów. Najwyraźniej siostry Tonnika były na tyle znane, że traktowano je jak swoje, ale nie miały oszałamiającej popularności.

Panująca w tym lokalu zasada, że każdy pilnuje swojego interesu i swojego drinka, odpowiadała im wręcz idealnie.

- Co teraz? - spytała Karoly.

- Idziemy do baru - Shada zauważyła puste miejsce przy kontuarze. - Lepiej można się stamtąd rozejrzeć niż siedząc przy stoliku. Weźmiemy coś do picia i zobaczymy, czy jest ktoś z tych, których mamy na liście.

Przepchnęły się do kontuaru, rozglądając się przy okazji. Pod przeciwległą ścianą grał zespół Bithów, nie starając się zagłuszyć różnojęzycznego gwaru, lecz jakby uzupełniając go dyskretną melodią. Mniej więcej w połowie długości baru wysoki humanoid o prawie ludzkim wyglądzie palił dziwnie skręconą fajkę; za nim Aquali i człowiek o zniekształconej twarzy pili razem i rozglądali się, najwyraźniej szukając zaczepki. Jeszcze dalej sympatycznie wyglądający mężczyzna gawędził z kudłatym Wookiem.

- Co pijecie? - spytał ponury głos.

Po drugiej stronie stał barman o minie pasującej do głosu, ale w jego oczach było coś na kształt rozpoznania. Na pewno brakowało w nich niechęci.

- To co zwykle - zaryzykowała Shada.

Mruknął coś do siebie i odszedł, by za moment wrócić z dwoma smukłymi kielichami. Znowu zamruczał i odszedł. Shada ujęła swój kielich i mrugnęła do bladej jak szanujący się nieboszczyk Koraly:

- Zdrowie!

- Do reszty zwariowałaś? - syknęła tamta ozywając.

- A wolałabyś, żebym zamówiła coś, czego one nigdy tu nie piły? Może są na coś uczulone? - Shada skosztowała płynu, który okazał się sullustańskim winem. - Zabieramy się do roboty!

Nadal spięta, choć już trochę mniej, Karoly wyjęła z kieszeni smukły walec - połączenie skanera identyfikacyjnego i banku pamięci - i uaktywniła go.

- Po kolei... - mruknęła, spoglądając to na ekranik, to na gości. - Ten z fajką... ciekawostka... zabójca. Dwaj Duro... nie mamy ich...

- Mają za czyste kombinezony jak na przemytników - mruknęła Shada oskarżycielsko, obserwując jak do Wookiego podchodzi starszy mężczyzna z siwą brodą, ubrany w brązową opończę.

Towarzyszący Wookiemu pilot wkrótce odszedł, a Shada zerknęła na sąsiadów.

- Ten z pokancerowaną gębą? - spytała cicho.

- Zaraz. To Aąali, nazywa się Ponda Baba i jest przemytnikiem... ten z przeciętym pyskiem...

- Hej! - warknął nagle barman.

Shada zeszywniała, odruchowo sięgając po ukryty w rękawie nóż, ale uwaga barmana skierowana była na wejście.

- Takich tu nie obsługujemy! - sprecyzował barman.

- Co? - spytał młody i najwyraźniej zdziwiony głos.

Shada powoli odwróciła się, zostawiając nóż w spokoju: u szczytu schodków stał młodzian mniej więcej w jej wieku. Był ubrany w luźny, biały strój i spoglądał zdziwiony. Obok niego stały dwa droidy - złoty, protokolarny i astromechaniczny, podobny do D4 Cai.

- Twoje roboty - zirytował się barman. - Muszą poczekać na zewnątrz. Nie chcemy ich tu.

Chłopak skinął głową, powiedział coś cicho do protokolarnego droida i oba automaty wyszły. Młodzian podszedł do baru i wcisnął się między Aąali a starszego mężczyznę w brązowej opończy.

- Krzywogęby nazywa się Evazan i twierdzi, że jest lekarzem. Ma dziesięć wyroków śmierci w różnych systemach.

- Za przemyt?! - zdziwiła się Shada, przyglądając się z namysłem siwemu mężczyźnie z białą brodą.

Było w nim coś dziwnego - wrażenie gotowości, opanowania i dziwnej pewności siebie, jakby coś pozwalało mu się czuć całkowicie bezpiecznie. Kimkolwiek był, nie pasował tutaj.

- Za spartaczone eksperymenty medyczne... ohyda.

- Przyjemniaczek... sprawdź tego starego w brązowej opończy.

Na szpicla nie wyglądał, ale kto wie... Chłopak trzymający się jego boku rozglądał się z miną wskazującą, że jest w podobnym lokalu pierwszy raz w życiu: turysta albo farmer. Może to dziadek z wnuczką na wycieczce w mieście?

Niespodziewanie Aąali pchnął chłopaka, warcząc nieprzyjemnie. Młodzian spojrział na niego nie rozumiejącym wzrokiem i odwrócił się z powrotem do baru. Evazan uśmiechając się złośliwie podszedł do niego i stuknął go w ramię.

- On cię nie lubi - przetłumaczył.

- Przykro mi - bąknął chłopak, próbując znowu odwrócić się do baru, lecz Evazan złapał go za ubranie.

- Ja też cię nie lubię! - warknął, przysuwając pokancerowane oblicze do twarzy tamtego.

Wokół nich rozmowy ucichły, a głowy odwróciły się - tłum zawsze lubił i wyczuwał krew.

- Uważaj! - dodał Evazan. - Jesteśmy poszukiwani!

- Aha - mruknęła Karoly.

Shada skinęła głową; widziała zbyt wiele podobnych sytuacji, by nie zorientować się, że tamci dwaj postanowili się zabawić kosztem młodzika.

- Nie mieszamy się! - przypomniła cicho.

- Jeżeli narozrabiają, to mogą wszystkich aresztować... - Karoly urwała nagle.

Bez wahania, jakby od początku doskonale wiedział, co się zdarzy, starszy mężczyzna przerwał rozmowę z Wookiem i odwrócił się do Evazana ze słowami:

- On nie jest wart zachodu. Pozwól, że ci coś postawię.

Było to znakomite posunięcie - pozwalało zachować twarz Evazanowi, a przy tym uratowało życie chłopaka. Obaj z Aquali mogli spokojnie napić się za darmo, pomruczeć i dać spokój bez uszczerbku na honorze. Chociaż o honorze w ich przypadku trudno było mówić.

Na nieszczęście Evazan nie był zainteresowany pokojowym zakończeniem sprawy - parę sekund przyglądał się zaskoczony, że ktoś się wtrąca, po czym na jego gębę wrócił wyraz złośliwej satysfakcji. Teraz w całym lokalu zapadła cisza; klienci wyczuli, że chodzi o coś więcej niż zwykłe mordobicie. Jedyne muzykanci robili to co dotąd, nie przestając grać ani na moment. Ciszę przerwał ryk Evazana, który nagłym pchnięciem posłał młodzieńca na najbliższy stół i sięgnął po miotacz. U jego boku wyrósł Aquali z bronią w garści, ignorując rozpaczliwy krzyk barmana:

- Żadnych miotaczy i blasterów!

Aquali uniósł broń celując w starego, który aż do tej chwili stał spokojnie. Nagle z jego prawej dłoni strzelił promień jasnoblękitnego światła, które z chirurgiczną precyzją zakreśliło krótki łuk, tnąc obu napastników. Strzał z miotacza zrykoszetował o sufit, ktoś wrzasnął, ktoś inny zacharczał... i równie nagle jak się zaczęło, starcie dobiegło końca. Tylko z nieprzewidzianym wynikiem. Evazan i jego kompan ukryli się jęcząc za barem, co oznaczało, że jeszcze żyją, a na podłodze leżał miotacz Aquali wraz ze sporym fragmentem nadal trzymającej go kończyny.

Jeszcze przez moment mężczyzna stał w gotowości z uaktywnioną bronią, o czym świadczył cichy szum dziwnego ostrza. Szybkim spojrzeniem obrzucił obecnych, jakby szukając ewentualnego przeciwnika, po czym widząc, że klientela wraca do drinków i pogawędek, wyłączył broń. Najwidoczniej nikt nie lubił pokonanych, w każdym razie nie na tyle, by ryzykować konfrontację. Dopiero w tym momencie Shada zdołała zidentyfikować ową dziwną broń.

Miecz świetlny.

- Nadal chcesz wiedzieć, kto to? - spytała Karoly.

Shada potrząsnęła głową, przyglądając się, jak stary pomaga wstać chłopakowi. Wiedziała, kim jest - pierwszym żywym Rycerzem Jedi, jakiego widziała. Nic dziwnego, że wyczuła wokół niego coś dziwnego.

- Wątpię, aby był do wynajęcia - mruknęła, próbując się uspokoić: gdyby Rycerze Jedi Starej Republiki nadal mieli dawną władzę, kiedy w ich świecie wybuchła wojna... - Evazana i tego drugiego też możesz wykreślić. Szukaj dalej.

Kolejne minuty upłynęły im na dyskretnym sprawdzaniu obecnych i na rozmowach z trzema rokującymi największe nadzieje. Dwaj z nich byli już zajęci, trzeci, niezależny przemytnik, nie miał nic przeciwko, ale z góry zastrzegł, że dopóki nienormalne zainteresowanie Imperium wobec planety nie ustanie, tak długo nie zamierza się stąd ruszyć.

- Wspaniale - podsumowała Karoly, gdy wróciły do baru. - I co teraz?

W lokalu pojawiło się kilku nowych klientów, których nie zdążyły jeszcze sprawdzić, ale ich miny wskazywały, że nie życzą sobie, by ich zaczepiać. Shada przyjrzała się jeszcze wnekom - w panującym mroku łatwo było kogoś przeoczyć... i znieruchomiała. W jednej z nich siedział Rycerz Jedi wraz z młodzieńcem w towarzystwie Wookie i mężczyzny, którego wejścia nawet nie zauważyła.

- Sprawdź go - poleciła, wskazując dyskretnie Karoly, o kogo chodzi.

- Han Solo, przemytnik... sporo interesów z Jabbą Huttem.

- Chowaj! - przerwała jej Shada, spoglądając ku wejściu. Karoly wykonała polecenie i spojrzała w tę samą stronę. I zeszytywniała - do wnętrza wchodziła para szurmowców, a sądząc po tym, jak trzymali broń, nie wpadli tu na drinka.

- Ciekawe, czy jest tu tylne wyjście - mruknęła Karoly.

- Pojęcia nie mam - odparła Shada, ujmując kielich i obserwując rozmowę szurmowca z barmanem.

Chluśnięcie alkoholem w wizjer powinno spowolnić jego reakcje na tyle, by zdążyła go pchnąć nożem w którąś ze szczelin pancerza, na przykład pod pachą. A jak już będzie miała karabin laserowy, to pogadają inaczej...

Barman wskazał gdzieś do tyłu i zrozumiała, że przynajmniej chwilowo są bezpieczne.

- Szukają tego Rycerza Jedi... - szepnęła, odwracając się ku wnętrzu, w której siedział.

Widok przesłoniła jej grupa obcych, a gdy przeszli, Solo i Wookie byli już sami. Szurmowcy podeszli do nich, przyglądając się im podejrzliwie, ale bez słowa, po czym rozejrzeli się i ruszyli ku tyłowi lokalu.

- Teraz mamy szansę - Karoly szturchnęła ją w bok. - Pogadajmy z nim.

Solo właśnie wychodził, podczas gdy Wookie ruszył w ślad za szurmowcami - prawdopodobnie ku tylnemu wyjściu. To by wyjaśniało zniknięcie Jedi i młodzieńca.

- Masz rację - Shada odstawiła kielich i odwróciła się.

I stwierdziła, że Solo już nie wychodzi, lecz cofa się do wnęki, mając pod nosem lufę blastera trzymanego przez nie pierwszej czystości Ro-dianina.

- Poczekaj... - Karoly przeszukała szybko scanner. - Nazywa się Gre-edo... początkujący łowca nagród.

Shada przyglądała się przez chwilę sąsiadnemu stolikowi, nie bardzo mogąc się zdecydować. Jeśli zrobi cokolwiek, spali swoje przebranie. Z drugiej strony, w zachowaniu tego Solo było coś, co jej odpowiadało... może miał na to wpływ fakt, że to właśnie z nim rozmawiał Rycerz Jedi...

- Załatwię go - zdecydowała. - Oślaniaj mnie...

Sięgnęła po swój nóż, ale zanim zdążyła się ruszyć, Solo własnoręcznie rozwiązał problem - w alkowie nagle huknęło i błysnęło, a Ro-dianin zwałił się na stół z dymiącą dziurą w plecach. Solo wyszedł zza stołu, wsunął broń do kabury i skierował się do wyjścia, po drodze rzucając barmanowi monetę.

- Dobrze, że to nie Greedo nas interesował - skomentowała z ulgą Karoly. - Tu zaczyna się robić niezdrowo...

- Co ty powiesz?! Przestań się bawić w jasnowidza, musimy go złapać, zanim wyjdzie! - warknęła Shada.

I w tym momencie spocona dłoń zamknęła się na jej nadgarstku.

- Proszę, proszę - odezwał się obleśny głos. - I kogóż my tu mamy?

Spocona dłoń należała do równie spoconego i obrzydliwie zadowolonego z siebie pułkownika wojsk Imperium, ubranego w obsypany piachem mundur. Za nim stało dwóch szurmowców - prawdopodobnie ta sama para, która wcześniej przespacerowała się po lokalu.

- Brea i Senni Tonnika, jak sądzę - dodał pułkownik. - Miło, że znowu się objawiłyście na starych śmieciach. Nie wyobrażacie sobie, jak załamany jest Grand Moff Argon od chwili waszego odlotu. Żal patrzeć. Pewien jestem, że wasz widok ucieszy go wprost niebywale... podobnie jak

dwadzieścia pięć tysięcy, które mu ukradłyście. Zabrać je!

Cela na posterunku policyjnym była chłodniejsza niż lokal, z którego je zabrano, ale na tym kończyły się jej zalety. Mała, prawie nieumeblowana, pokryta wszechobecnym piaskowym pyłem, miała wszelkie uroki kontenera transportowego.

- Wiesz, kiedy nas będą przenosić? - spytała Karoly, opierając się o ścianę i spoglądając z niechęcią na drzwi.

- Raczej nieprędko. Ten dupek coś wspominał, że musi zakończyć poszukiwania, zanim nastąpi transfer na okręty.

Karoly uśmiechnęła się leciutko: jej też nie umknęła ironia sytuacji - Imperialni znaleźli już to, czego szukali, tylko nie zdawali sobie z tego sprawy... Albo doskonale się orientowali, a oficer bawił się z nimi, czekając na odpowiedni sprzęt do przesłuchań.

Shada z niesmakiem rozejrzała się po pomieszczeniu: pojedyncza prycza z lampką przymocowaną do ściany, prymitywna urny warka, zakratowane drzwi i jednostronnie przezroczyste okienko obserwacyjne naprzeciw nich. Żadnych szans na ucieczkę i ani chwili spokoju. Pozostał trening i nadzieja, że czynniki oficjalne nadal nie wiedzą, kogo naprawdę złapały.

- Mam nadzieję, że przedtem dadzą nam coś do jedzenia - odezwała się. - Jestem głodna.

Karoly ledwie dostrzegalnie uniosła brwi.

- Ja też - odparła. - Może trzeba zacząć walić w kraty, żeby ktoś na nas zwrócił uwagę?

- Nie krępuj się - Shada wyciągnęła się na pryczy, opierając dłoń o oprawkę lampki nad głową i delikatnie obmacując ją opuszkami palców.

Była przykręcona do ściany, ale dla specjalnej klamry od paska nie powinno to stanowić specjalnego problemu. Dalej był kabel energetyczny...

- Chyba lepiej zacznij walić w okno - dodała. - Ktoś nas pewnie obserwuje.

Karoly nie trzeba było dwa razy powtarzać. - Przysunęła twarz do szyby zasłaniając widok pryczy i wrzasnęła:

- Hej! Jest tam kto?

Shada zdjęła pasek i rozsunęła sprzączkę, zabierając się za lampkę, a Karoly hałasowała z autentycznym entuzjazmem. Zdołała odkręcić dwie z trzech śrub, gdy ukryty pod sufitem głośnik warknął:

- Cisza!

Shada znieruchomiała, a po paru sekundach za drzwiami pojawił się mężczyzna w wypłowiałym uniformie.

- Jesteśmy głodne - oznajmiła Shada, nie ruszając się z miejsca.

- Wasz pech - warknął policjant. - Jedzenie będzie za dwie godziny. A teraz cisza albo was powiązę i uśpię.

- Dwie godziny?! - jęknęła Shada. - Nie dałoby się czegoś skom-binować wcześniej?

Policjant uśmiechnął się złośliwie. Już otwierał usta do następnej złośliwości, gdy podszedł do niego młody mężczyzna w cywilnym ubraniu i spytał:

- Jakież problemy, Happer?

- Zawsze są problemy - mruknął mundurowy. - Myślałem, że masz dzisiaj nockę.

- Bo mam - młodzian zajrzał do celi. - Słyszałem, że jest straszny napływ aresztantów, więc postanowiłem wstąpić i zobaczyć, jak to wygląda. Z kim gawędzisz?

- Brea i Senni Tonnika, specjalni więźniowie pułkownika Parąa. Jeżeli chcesz znać moje zdanie,

nie powinno nas to w ogóle obchodzić. Imperium może sobie zamknąć połowę mieszkańców świata w Mos Eisley, ale niech przynajmniej zapewnią dla nich miejsce.

- I własny terminal do sprawdzania tożsamości?

- Nie wkurzaj mnie! - zdenerwował się Happer. - Piętnastu sprawdzam w tej chwili, dwa razy tyle czeka... jak sienie nie zawiesi, to może zdążę do północy... Słuchaj, Riiij, zrób mi przysługę: idź do magazynu i przynieś tym dwóm jakieś żelazne racje albo coś innego do żarcia. Muszę siedzieć przy komputerze, bo zaczął się robić nerwowy, a jak mi przy nim zaczną grzebać te lalusie w białych ubrankach, to do rana nie skończę sprawdzania tożsamości...

- Nie ma sprawy. Baw się dobrze.

Happer zmełł w ustach przekleństwo i odszedł, a Riiij przyjrzał się z zainteresowaniem obu dziewczynom.

- Brea i Senni... Która jest która?

- Jestem Brea - powiedziała ostrożnie Shada; nie podobał jej się sposób, w jaki na nie patrzył.

- Aha. Aja jestem Riiij... Riiij Winward. Wiecie, przysiągłbym, że jakieś trzy godziny temu słyszałem coś na temat waszego wyjazdu do pałacu Jabby.

Shada odniosła wrażenie, że prycza się spod niej usuwa: siostry Tonnika były teraz na Tatooine?!

- Wróciłyśmy - odparła, siląc się na spokój. - To jakieś plotki.

- Pewnie tak... Słyszałem jeszcze coś: podobno od dwóch dni Imperium przetrząsa okolicę w poszukiwaniu pary droidów. Szukają też skradzionego krążownika uderzeniowego...

- Krążownika? No proszę, czego to teraz nie ukradną - mruknęła ironicznie Shada. - Jak tak dalej pójdzie, ktoś gwizdnie cesarzowi krzesło spod tyłka.

- Też mi się to wydało dziwne, więc poszedłem pogadać ze znajom-kiem pracującym w kontroli ruchu tutejszego portu kosmicznego. Wiecie, co on mi powiedział?

- Pojęcia nie mam - przyznała uczciwie Shada.- Powiedział, że miał odczyt jakiegoś obiektu przemykającego się nad Morzem Wydm na jakąś godzinę przed pojawieniem się imperialnych niszczycieli. Był wielkości mniej więcej krążownika... Interesujące, prawda?

- Jasne - zgodziła się Shada, myśląc jednocześnie o nieświadomej zagrożenia Cai. - A co na to Imperialni?

- A nic. - Riiij przyglądał się jej uważnie. - Bo jak na razie nic nie wiedzą: mój znajomy właśnie kończył dyżur i perspektywa odpowiadania na pytania szturmowców nie przypadła mu do gustu. Kiedy się tu wyroili i przejęli kontrolę nad portem, dostał nagłej amnezji... to się często zdarza w takim miejscu jak Tatooine.

- Rozumiem - Shada się nieco uspokoiła. - Może ci się to wyda nienormalne, ale problemy Imperium z zagubioną własnością niewiele mnie obchodzą. Mamy ważniejsze, jak choćby obiecane jedzenie.

- To chyba nie jest aż tak istotne - uśmiechnął się Riiij. - Coś mi się wydaje, że najważniejszy wasz problem wygląda mniej więcej tak: jak by się stąd wydostać, zanim Happer się dowie, że nie jesteście Breą i Sennią Tonnika.

Shada spodziewała się czegoś takiego od dłuższej chwili, toteż zareagowała w miarę normalnie.

- Opowiadasz bzdury! - oświadczyła oburzona.

- Może, ale mikrofony w tej celi nie działają od trzech miesięcy. A parę minut temu na wszelki wypadek wywaliłem bezpiecznik

Shada spojrzała na Karoly - obie były równie zaskoczone.

- Może byś tak przestał pieprzyć i powiedział o co chodzi? - zaproponowała uprzejmie.
- Wypuszczę was - odparł spokojnie Riiij. - W zamian za część tego, co jest w tym krążowniku.
- Dorabiasz na boku przemytem?
- Raczej wymianą informacji. Dostępnych tylko zainteresowanym stronom.
- Na przykład?

- To nieistotne - Riiij uśmiechnął się z widocznym zadowoleniem. - Na Tatooine nie zadaje się takich pytań.

- No dobrze, jesteśmy tu nowe - przyznała Shada, zastanawiając się gorączkowo, czy nie pakuje się w imperialną pułapkę.

Było to mało prawdopodobne, metodą działania Imperium były droidy przesłuchujące, stosowane często bez najmniejszej potrzeby i zawsze bez skrupułów.

- Zgoda - zdecydowała się - ale tylko jeśli zdołasz załatwić nam frachtowiec zdolny zabrać rzecz o wymiarach trzy metry na pięć.

- Trzy na...

- Riiij! - z głębi korytarza dobiegł głos Happera. - Muszę lecieć: coś się porobiło w porcie i Imperialni zwołują wsparcie. Wszyscy na służbie do stanowiska dziewięćdziesiątego siódmego. Możesz tu chwilę popilnować?

- Jasne, że mogę.

- Dziękuję. No to lecę.

Happer oddalił się biegiem, zatrzasnąwszy za sobą drzwi wyjściowe.

- I co? - spytała Shada.

- Mogę załatwić frachtowiec. - Riiij zmarszczył czoło. - Tylko nie wiem czy zdążę: nad Morzem Wydm zbiera się burza piaskowa, i to naprawdę duża. Zacznie się mniej więcej za dwie godziny i jeśli do tego czasu nie zdążymy, to zasypie i nas, i krążownik.

- W takim razie nie marnujemy czasu - Shada zerwała się z pryczy. - Wypuść nas i bierzemy się do roboty!

Nad wydmami wzmagał się wiatr, więc Riiij z pewnym trudem osadził frachtowiec przy wejściu do tunelu prowadzącego do zasypanego krążownika.

- Ile mamy czasu? - Shada musiała krzyczeć, by zagłuszyć wycie wiatru.

- Z pół godziny, może mniej - odkrzyknął Riiij.

Shada skinęła głową i nacisnęła kombinację otwierającą właz. Na pokładzie zaraz za nim leżał moduł, który wymontowały przed odjazdem, nadal z przymocowanymi podnośnikami. W głębi D4 popiskiwał do siebie, kręcąc się wokół pozostałej części cylindrów w poszukiwaniu przeoczonych informacji, które mógłby dodać do swojej pamięci. Natomiast po Cai nie było śladu.

- Cai? *Da mola ci tri sov kehail* - zawołała Shada.

- *Sha ma ti* ~ odparła, wychodząc zza jednej z kołysek i chowając blaster do kabury. - Zaczęłam się już martwić, że nie zdążycie.

- Możemy nie zdążyć - poinformowała ją Shada ponuro. - Za pół godziny będzie tu jeszcze gorsza niż poprzednio burza piaskowa. Na zewnątrz czeka frachtowiec. Załadujcie z Karoly ten moduł na pokład.

- Jasne - ucieszyła się Cai. - Karoly, złap z tamtej strony i uruchom podnośniki.

Podnośniki miały niewielkie generatory pola grawitacyjnego, toteż we dwie mogły lekko poradzić sobie z ładunkiem - większym problemem były jego gabaryty niż waga. Shada natomiast

udała się do sterówki. Tak jak poprzednio, unoszący się w atmosferze pył zakłócał odczyty, ale po kilkakrotnym dostrojeniu udało jej się uzyskać w miarę czytelny obraz. W okolicy Tatoonie nie zauważyła żadnych dużych jednostek handlowych ani wojennych. Zadowolona wyłączyła ekrani wróciła do Hammertonga, przy którym pochylał się Riij, zaglądając do jednego z otworów technicznych.

- I co o tym sądzisz? - spytała. Uniósł głowę, ukazując pobladłą twarz.

- Wiesz, co to jest? - szepnął wstrząśnięty. - Macie pojęcie, co to takiego?

- Absolutnie żadnego - przyznała ucziwie. - A ty masz?

- Popatrz tu - wskazał niewielką plaketkę znamionową. - „G.Ś. Mkl. Element 7, Prototyp B.

Eloy/Lemelisk”

- Widziałam to już wcześniej. Co to znaczy?

Riij wyprostował się z wolna, nabierając zdrowszego koloru.

- To znaczy, że jest to prototyp superdziała laserowego przeznaczonego dla Gwiazdy Śmierci.

Shada popatrzyła na niego. Zrobiło jej się zimno, choć nie do końca rozumiała dlaczego.

- Co to jest Gwiazda Śmierci? - spytała na wszelki wypadek.

- Najnowsza broń Imperatora. I jednocześnie jego ostatnia szansa na sukces. A to tutaj jest fragmentem głównego uzbrojenia tej broni.

- Fragmentem? To ile ma mieć długości? Kilometr?

- Nie wiem. Skoro to jest element siódmy, więc jest jeszcze co najmniej sześć podobnych, co razem już daje ponad dwa kilometry, prawda? Muszę mieć ten moduł, który wymontowałyście. To niesłychanie ważne.

- Zapomnij o tym. Jeśli to rzeczywiście jest broń, znajdziemy dla niej lepsze zastosowanie niż ty.

- Zapłacę ci... zapłacimy wam, ile będziecie chciały...

- Powiedziałam ci, żebyś o tym zapomniał! - odparła mijając go. Cai pewnie przyda się pomoc...

Nagle Riij złapał ją za ramię i odwrócił ku sobie. Odruchowo sięgnęła do jego dłoni, by rozluźnić chwyt, i zamarła widząc pod nosem wylot lufy niewielkiego miotacza, który tamten wyjął nie wiadomo skąd.

- W taki sposób dotrzymujesz umów? - spytała spokojnie.

- Musimy to mieć... Zrozum: musimy dowiedzieć się wszystkiego, czego tylko możemy, o Gwieździe Śmierci.

- Dlaczego?

Przełknął ślinę i odparł z wyraźnym trudem:

- Bo najprawdopodobniej będziemy jej pierwszym celem. Shada spojrzała na niego w osłupieniu: Tatoonie miałyby stać się celem ataku tak potężnej broni? I to pierwszym w dodatku? Nedorzecznosc! Dopiero po paru sekundach wszystko ułożyło się na właściwym miejscu.

- Jesteś przedstawicielem Rebelii - to było raczej stwierdzenie niż pytanie.

- Jestem.

- Więc to jest dla was takie ważne, że zabijesz trzy osoby z zimną krwią?

Wziął głęboki oddech i z sykiem wypuścił powietrze z ust.

- Nie. Nie zabiję.

A potem było już po wszystkim - za plecami Riija bezszelestnie pojawiła się Cai i w następnej sekundzie był już rozbrojony.

- Co mam z nim zrobić? - spytała rzeczowo, wręczając broń Shadzie.

- Nic. Nie może nas już powstrzymać, a w pewnym sensie jest po naszej stronie - zdecydowała Shada po chwili namysłu. - Puść go.

- Skoro tak uważasz - Cai puściła wykręconą za plecy rękę mężczyzny. - Jesteśmy gotowe.

- Dobrze. Riiij, zdążysz przed burzą do Mos Eisley w tym speederze, który jest na pokładzie frachtowca?

- Jeśli wyruszę w ciągu kilku najbliższych minut, to tak.

- Cai, wyładujcie go, zapakujcie na pokład D4 i przygotujcie obie maszyny do startu.

- Już się robi - Cai posłała Riiijowi ostrzegawcze spojrzenie i skierowała się w stronę luku.

- Przykro mi, że nie możemy się dogadać - powiedziała Shada i rzeczywiście tak było: wychodziło na to, że ryzykował życie i nic z tego nie będzie miał. - Słuchaj, możesz tu wrócić po burzy i jeśli tylko zdołasz to zabrać, i Hammertong, i krążownik są twoje.

- Pozwolisz, że złożę ci kontrpropozycję: dołączcie do nas. Powiedziałaś, że już jesteśmy po tej samej stronie.

- Ledwie same sobie radzimy - Shada z żalem potrząsnęła głową. - Nie mamy środków ani czasu, by zajmować się problemami Galaktyki. Nie teraz.

- Jeśli będziesz zbyt długo czekać, może nie zostać nikt, kto chciałby walczyć po waszej stronie.

- Wiem. I przykro mi, że musimy ryzykować, ale nie ma innego wyjścia. Do zobaczenia. I powodzenia.

Zanim Shada skończyła sprawdzać zamocowanie ładunku i dotarła do sterówki, podmuchy wiatru zaczęły miotać frachtowcem, a szelest piasku było słychać poprzez kadłub.

- Gotowe? - spytała Karoly, zapinając pasy.

- Gotowe. Riiij odleciał?

- Odleciał i to chyba dosłownie w ostatniej chwili.

- Nie jestem do końca pewna, czy puszczenie go wolno było najlepszym pomysłem. - Jeśli zaczniemy zabijać każdego, kto spróbuje stanąć nam na drodze, nie będziemy się niczym różniły od zwykłych najemników - odparła ostro Shada. - W dodatku on, podobnie jak my, nie lubi Imperium.

- Jestem gotowa - odezwał się głośnik głosem Cai.

- My też - poinformowała ją Shada. - Zabezpieczyłaś droida przed wstrząsami?

- Jakiego droida?! Przecież to Karoly miała umieścić D4 na frachtowcu!

- Myślałam, że go wzięłaś na „Mirage’a” - powiedziała słabo Karoly.

Przez długą chwilę obie z Shadą wpatrywały się w siebie w osłupiałym milczeniu. A potem Shadę olśniło i klnąc pod nosem zmieniła częstotliwość na pulpicie łączności.

- Riiij? Riiij, odezwij się, do cholery!

W głośniku coś świsnęło, zgrzytnęło i zawyło, a potem dał się słyszeć słaby głos:

- Tu Riiij, stokrotne dzięki za pożyczenie droida. Zostawię go na Pi-roket w towarzystwie przewozowym Bothany. Będziecie go mogły odebrać, gdy oddacie frachtowiec.

W głośniku coś trzasnęło i zapadła cisza.

- Mam go dogonić? - spytała Cai.

- Nie. - Shada mimo złości uśmiechnęła się: po prostu nie sposób było nie podziwiać numeru, który właśnie wykręcił Riiij. - Jesteśmy mu to winne. A jeżeli miał rację, to on i jego przyjaciele naprawdę będą potrzebowali tych planów, by przeżyć.

Nagle przestała się uśmiechać - z napisu na tabliczce znamionowej należało wnosić, że był to drugi model tej potężnej broni, co oznaczało, że jedna już gdzieś istniała i prawdopodobnie była w

pełni sprawna. A jeśli tak, to diametralnie zmieniało układ sił w Galaktyce i Mi-stryle powinny poważnie się zastanowić, czy nie skorzystać z oferty przyłączenia się do Rebelii.

Cóż, jeżeli nie Mistryle, to przynajmniej ona sama: może znalazłaby wreszcie coś, za co naprawdę dobrze jest walczyć i w co można wierzyć. Na razie jednak miała do doręczenia przesyłkę.

- Włączyć silniki! - poleciła. - Wracamy do domu!

ZAGRAJ TO JESZCZE RAZ, FIGRIN

Opowieść Muftaka i Kabe

A.C. Crispin

Muftak wciągnął wilgotne powietrze przez swoją niewielką trąbkę, próbując ustalić, czy w okolicy jest bezpiecznie. Przez ten czas uważnie rozglądał się parą większych oczu, widzących w podczerwieni. Ponieważ była noc, w starej części portu kosmicznego Mos Eisley panowały niemal absolutne ciemności, rozjaśniane jedynie szarawą poświatą niewielkiego księżyca w nowiu. Dał znak Kabe, by trzymała się za nim, i ostrożnie podkraść się do sporego zsypu na śmieci. Kabe była mała, więc łatwo ją było uszkodzić, on zaś samymi gabarytami, powiększonymi jeszcze przez futro, budził szacunek. Jedyne co wyczuł, to smród śmieci i ostry aromat Kabe, która jako Chadra-Fan wydzielala charakterystyczną, piżmopodobną woń. Nikogo tu ostatnio nie było; nic nie poruszało się ani nie świeciło temperaturą ciała w zasięgu wzroku.

- Idziemy! - zdecydował. - Ci szturmowcy od grzebania w piasku już sobie poszli.

Kabe wygramoliła się czym prędzej, strzygąc wachlarzowatymi uszami i węsząc niewielkim ryjkiem.

- Mogłam ci to powiedzieć już dawno temu! - pisnęła. - Jesteś taki powolny, Muftak, że aż się wierzyć nie chce! Jesteś wolniejszy niż bantha! Za nic przed świtem nie dotrzemy do domu, a ja padam na pysk ze zmęczenia.

Muftak cierpliwie wysłuchał tej tyrady - Kabe mimo doskonałej adaptacji do ulicznego życia nadal była dzieckiem. Trochę straszym co prawda niż brzdąc, którego przygarnął parę ładnych lat temu, gdy sa-mopas pałętał się po ulicy, ale jednak dzieckiem. Przynajmniej dla niego.

- Musimy być szczególnie ostrożni, bo wszędzie pełno żołnierzy Imperium - przypomniał jej na wszelki wypadek. - Bezpieczni będziemy dopiero w domu. Idziemy.

Kabe posłusznie pomaszerowała za nim.

- Chciałabym wiedzieć, dlaczego ich się tu tyłu zleciało - zainteresowała się.

Muftak nie odpowiedział, co było normalne - wiedział wiele o tym, co działo się w Mos Eisley, ale z zasady odpowiadał jedynie na konkretne pytania, i to poparte godziwą zapłatą.

- Przez całą noc lądowały promy - kontynuowała nie zrażona. - Co tu się wyprawia? Jeszcze się okaże, że to Jabba ich wynajął. Jak tak dalej pójdzie, to odetnie nas całkowicie i będziemy musieli zebrać!

Muftak zahuczał basowo, najwyraźniej mając dość tej logiki.

- Jabba Hutt nie ma z tym nic wspólnego! - oznajmił. - To sprawa Imperium.

Mina i nastrój Kabe pojaśniały (w podczerwieni dosłownie).

- Może byśmy tak zaszli do „Kantyny”? - zmieniła temat. - Tam jest zatrzęsienie pijanych klientów z pełnymi kieszeniami. Ostatnim razem jedliśmy przez tydzień za to, co zorganizowałam.

Co, Muftak? Proszę...

- Kabe - westchnął Muftak, co zabrzmiało niczym ciche brzęczenie. - Nie uważaj mnie za głupszego niż jestem. Kieszenie, kieszenie, a tak naprawdę to chcesz się napić soku juri. I jak zwykle po dwóch kubkach będę cię musiał odnieść do domu...

Odruchowo zajrzał w głąb alejki, której wylot właśnie mijali. Kabe zamiast odpowiedzi tylko westchnęła.

Świt, jak zwykle na Tatooine, nastąpił niespodziewanie i niebo błyskawicznie nabrało owej charakterystycznej, srebrnej barwy poprzedzającej wschód słońca. Muftak wydłużył krok, z trudem powstrzymując się przed wzięciem Kabe na ręce. Było późno i zdecydowanie to on zawinił: nie mieli sobie równych jako złodzieje, ale blokady czasowe, jakie Imperium pozakładało na wszystkie hangary, w których parkował ich sprzęt, okazały się silniejsze niż dryg Kabe do elektroniki czyjego własna krzepa fizyczna. Co gorsza, spostrzegł ich jeden z wartowników. Na szczęście ludzie w nocy kiepsko widzieli, a w dodatku wszyscy Obcy wyglądali dla nich podobnie. Muftak miał nadzieję, że uznano go w mroku za Wookiego albo innego dużego, owłosionego dwunoga, a Kabe za Jawa, do których pasowała wzrostem.

Kradzież własności Imperium była sprawą ryzykowną, ale nie bardzo było co kraść. Dochód z takiego przedsięwzięcia prawdopodobnie pozwoliłby im odkupić złodziejską licencję, utraconą przez pechowe doliniarstwo na rzecz Jabby. Kabe po prostu obrobiła nie tego co trzeba i musieli ponieść konsekwencje nałożone przez Spaślaka. Wszystko w Mos Eisley, co nie należało do Imperium, a miało jakąkolwiek wartość, należało do Jabby albo było oficjalnie przez niego chronione. A tylko całkowity kretyn albo samobójca kradłby coś, co należało do Jabby Hutta.

Żeby dostać się do „domu” (czyli niewielkiej komórki w rejonie opuszczonych tuneli pod lądowiskiem osiemdziesiąt trzy), musieli przejść przez targowisko, co było ryzykownym przedsięwzięciem. Nie mąciło jednak nastroju Kabe, podskakującej radośnie mimo nie przespanej nocy. Muftak posuwał się stateczniej, bo był zdecydowanie bardziej zmęczony, ale nie miał wyjścia - kopuły pobielonych budynków pojaśniały, a po paru sekundach wszystko zalał złocisty blask: wzeszło pierwsze słońce. Pierwsi przekupnie już rozkładali stragany.

Mos Eisley zasługiwało na miano podejrzanego zadupia, a zwiększona obecność wojsk imperialnych jeszcze bardziej uprzykrzała rządy Jabby. Muftak i Kabe nigdy nie mieli łatwego życia, a polityka ich dotąd nie interesowała - od pojawienia się szturmowców zaczęli jednak zmieniać poglądy. Powód był prosty - dotąd podwładni Jabby przestrzegali ustalonych reguł, pozwalając wszystkim żyć. Teraz zagrożenie czyhało zewsząd i na każdego. Żołnierze byli chamscy, brutalni i obojętni, zupełnie jak droidy-zabójcy, a przybyło ich kilkuset (jeśli nie kilka tysięcy - nikt nie był pewien). Dotąd Imperator był czymś abstrakcyjnym, teraz stał się aż nazbyt rzeczywisty. I mało komu się to podobało. Muftakowi też nie, choć nie miał pojęcia, gdzie leży jego rodzinna planeta, ani nawet do jakiej rasy należy. Pewnie z tego powodu, że na całej Tatooine nie było drugiego przedstawiciela jego rasy, a nikt, kogo znał, jakoś nie był w stanie go sklasyfikować. A znał imponującą liczbę istot.

Od dnia, w którym stanął koło resztek swego kokonu (a było to dość dawno temu), poszukiwał informacji o sobie. Niejako przy okazji zgromadził mnóstwo informacji o Tatooine i zorientował się, że wiedza jest pewną odmianą siły. W miarę upływu czasu wyrobił sobie odpowiednią reputację. Teraz praktycznie każdy mieszkaniec Mos Eisley, który potrzebował informacji o kimkolwiek lub czymkolwiek, wiedział, że powinien odszukać Muftaka. Odkąd zaadoptował Kabe, zaczął traktować

pustynną planetę jako swój dom.

Zanim przeszli przez targowisko, wzeszło drugie słońce i zrobiło się gorąco, dzięki czemu futro Muftaka wyschło. Gdy dotarli do głównej ulicy, skręcili na zachód. Spieszyli się, ale nie zanadto, aby nie wyglądać podejrzanie. Stragany rosły z szybkością wskazującą na długo-letnią praktykę sprzedawców, a więcej niż połowę z nich obsługiwali paserzy. Muftak spojrział łakomie na kilka kradzionych miotaczy, ale ceny zdecydowanie przekraczały ich możliwości płatnicze. Kabe marszczyła się coraz bardziej, aż w końcu nie wytrzymała:

- Popatrz na te śmieci! - parsknęła. - Gdybyś mi pozwolił wyczyścić miejski dom Jabby, przynajmniej te oferty miałyby czym handlować. Szybka robota, a kasy by nam starczyło do końca życia.

Temat był stary i wielokrotnie dyskutowany, więc Muftak nawet nie silił się na odpowiedź. Jabba chwilowo przebywał w swoim pałacu, ale dom był cały czas normalnie pilnowany i próba okradzenia go była szansą na naprawdę poważne kłopoty...

- Hej, ty tam! Talz, stój! - rozległ się nagle mechanicznie brzmiący głos za ich plecami i Muftak posłusznie wykonał polecenie, głos bowiem należał do szturmowca.

Odwrócił się powoli zasłaniając jednocześnie Kabe, która zgodnie z planem skoczyła w bok i ukryła się za najbliższym pojemnikiem na śmieci. Uspokojony Muftak spojrział na odzianego w biały pancerz człowieka... i dopiero wtedy dotarło doń, co usłyszał. Żołnierz użył słowa „Talz”, którego dotąd nie słyszał... nagle zrobiło mu się gorąco i to nie od słońca: imperialny żołnierz rozpoznał go i zawołał używając nazwy rasy - to on, Muftak, był rasy Talz... To by się zgadzało; takie słowo, którego znaczenia nie był w stanie odgadnąć, miał w pamięci od chwili urodzin.

Potrząsnął głową, upychając od dawna poszukiwaną rewelację w bezpieczny zakamarek pamięci - chwilowo miał ważniejszy problem na głowie, bowiem szturmowiec w niego celował i najwyraźniej na coś czekał. Muftak wypuścił powietrze przez trąbkę, czemu towarzyszyło lekkie bzyczenie, i spytał:

- Tak? O co chodzi, żołnierzu?

- Szukamy pary droidów: jednego chodzącego i jednego jeżdżącego, podróżujących samotnie. Nie widziałeś ich?

Muftakowi ulżyło, choć zrobił co mógł, by nie dać tego po sobie poznać - w pierwszej chwili był pewien, że to ich szukają, a tymczasem nadal chodziło o te dwa roboty.

- Nie widziałem. Dziś rano nie widziałem w ogóle żadnych droidów, ale jeśli zobaczę, to natychmiast pana poinformuję. Albo któregoś z pana kolegów.

- Pamiętaj tak zrobić. No dobra, Talz, możesz iść. - Żołnierz uniósł broń i odwrócił się.

A Muftak zebrał się na odwagę:

- Przepraszam, jak pan rozpoznał...

Z szumem silnika wyłonił się z za rogu niewielki aircar z dwoma pasażerami: szturmowcem, który nim kierował, i oficerem sił imperialnych w błękitnym mundurze i takiej samej barwy czapce. Muftak na wszelki wypadek zamilkł i zrobił krok do tyłu, zaś wartownik wyprężył się i zasalutował.

Pojazd zatrzymał się, a oficer skinął głową i polecił:

- Proszę o meldunek, szeregowy Felth.

Głos miał dziwnie podobny do głosu żołnierzy, choć jego nie przechodził przez żadne urządzenie filtrujące - był tak samo pozbawiony życia jak obojętna, blada twarz.

- Nie mam nic do zameldowania, poruczniku Alima. Jak dotąd wszędzie panuje spokój i nikt

droidów nie widział, sir.

Muftak ledwie powstrzymał odruch ucieczki - Alima! Momaw Na-don, którego uważał za przyjaciela, opowiedział mu dokładnie o kapitanie Alima, rzeźniku inteligentnego lasu na rodzinnej planecie tamtego. Ten był co prawda porucznikiem, ale...

- Przesłuchać każdego, kto wyda się podejrzany, Felth. I nie cackać się z tymi wszarzami. I dobra rada: broń trzymaj zawsze w pogotowiu, to bydlę w każdej chwili może człowiekowi poderznąć gardło.

- Tak jest, panie poruczniku.

- A ten co? - Alima niespodziewanie wycelował miotacz w Mufta-ka. - Ohyda... widział droidy?

- Nie, sir.

Sprawy wyglądały niezwykle ciekawie i Muftak zdecydował, że warto zaryzykować.

- Panie oficerze, chciałbym poinformować szanownego reprezentanta naszego kochanego Imperatora, że mam spore znajomości w... powiedzmy, nieeleganckiej części Mos Eisley. Jeśli będę miał okazję, z przyjemnością popytam o to.

Ciemne i pozbawione jakiegokolwiek wyrazu oczy przez chwilę wpatrywały się w niego twardo, po czym Alima mruknął:

- Lepiej, żeby ci się udało, bo nie lubię pustych obietnic. Teraz ruszaj w cholerę... nie rozumiesz, co mówię? Won!

Muftak czym prędzej wykonał polecenie, a po kilku krokach dołączyła do niego Kabe. I natychmiast zaczęła mówić:

- Puścili cię! Już myślałam, że nas mają! Co się stało?

- Nie szukali nas, Kabe. Dalej szukają pary droidów. A stało się coś bardzo... ważnego. Ten żołnierz... wiedział, z jakiej jestem rasy... jestem Talz! Kabe... to może być ten ślad, którego zawsze szukałem!

Kabe przyjrzała mu się w milczeniu, mrużąc oczy w porannym słońcu.

- Ale... nie pojedziesz nigdzie?- zapytała niepewnie. - Potrzebujemy siebie, nie? Jesteśmy przecież partnerami.

Muftak spojrział w dół. Czuł się dziwnie, a wyobraźnię wypełnił mu obraz gigantycznych, purpurowych kwiatów. Poskrobał się po kudłatej głowie i powiedział:- Nie martw się, nigdy nie zostawię cię samej. Teraz idziemy się przespać, a potem muszę się dowiedzieć paru rzeczy... i to przed wieczorem. Muszę odwiedzić Momawa Nadona w domu i spytać, czy wie cokolwiek o rase zwanej Talz. I być może... podzielić się z nim pewną informacją.

- A co z „Kantyną”? Obiecałeś!!! Muftak zignorował jawne kłamstwo i odparł:

- Niech ci będzie, utrapieńcze. Ale jutro!

Lokal Chalmuna, zwany z jakichś powodów „Kantyną”, jak zwykle pełen był gwaru, dymu i gości. Nadon jak zwykle zajmował ich ulubiony stolik.

- Witaj - przesunął ku Muftakowi naczynie, a sądząc z pozycji oczu i odcienia szarawej skóry, naprawdę ucieszył się z jego widoku.

Był co prawda trochę zdenerwowany, czemu trudno się dziwić po wczorajszym spotkaniu. Muftak zanurzył trąbkę w drinku zwanym „polaris ale”, który miał coś wspólnego z piwem, i pociągnął solidnie.

- Sprawy mają się nieźle, Momaw. Wczoraj wieczorem zasiałem ziarno, na którym ci zależało. Alima jest przekonany, że wiesz, gdzie znajdują się droidy.

- Zasiałeś ziarno - Ithorianin zamknął powoli powieki, przez co jego oblicze straciło jakiegokolwiek podobieństwo do twarzy istoty inteligentnej. - Doskonale to ująłeś. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to sprawa wyda oczekiwany owoc, zanim dzisiejszy dzień się skończy. Zapłacił ci?

Muftak bżyknął rozbawiony.

- Pięćset kredytów imperialnym kwitem. Naturalnie kwit był bez pokrycia.

- Czego należało się spodziewać. Muftak podrapał się nerwowo po głowie.

- Momaw... co z tobą będzie? Alima to drań bez skrupułów, a teraz cię szuka.

- Znalazł mnie - poprawił go Nadon chrapliwym szeptem. - Nie trap się, przyjacielu: wszystko rozwija się tak jak musi.

Muftak sięgnął po drinka wprawdzie nie przekonany, ale szanujący wolę rozmówcy. Temat nie należał do przyjemnych, toteż nie miał specjalnej ochoty go kontynuować. A mówić o czymś innym nie wypadało.

- Zresztą nieważne, co się dziś wydarzy - dodał Ithorianin. - Sytuacja w Mos Eisley się zmienia. Wczoraj dowiedziałeś się, jakiej jesteś rasy, jutro odkryjesz nazwę planety, z której pochodzisz, a pojutrze znajdziesz jej koordynaty. I co potem? Wrócisz do domu?

Muftak bżyknął cicho i cienko.

- Dom: takie proste słowo. W moim ojczystym języku brzmi „p’zil”... Jeśli sny nie kłamią, jest to przyjemny, wilgotny świat, pełen tropikalnych lasów pod niebem barwy indygo... rosną tam olbrzymie kwiaty w kształcie dzwonów we wszystkich możliwych barwach. Trzeba się do nich wspinać wysoko, ale za to są pełne nektaru o niepowtarzalnym smaku... to, co piję, nawet się doń nie umywa.

Nadon mrugnął na znak zrozumienia.

- Takie sny nie kłamią, To wspomnienia twojej rasy, mające ci pomóc w poznaniu świata, gdy opuścisz kokon. Podobnie jak znajomość języka, z którą się urodziłeś. Nigdy nie słyszałem o rasie Talz, ale jak widać jest ona stara i rozsądna. I unikalna. Musisz wrócić do domu i połączyć swą esencję z esencją twojej rasy. Takie jest odwieczne Prawo Życia.

- Obawiam się, że tak dalece jeszcze tego nie przemyślałem. Przede wszystkim nie mam czym zapłacić za przejazd, nie wspomnę już nawet, że nie wiem, dokąd miałbym jechać. Poza tym co z Kabe? W Galaktyce zaczyna się solidne zamieszanie i podejrzewam, że tak prędko się nie uspokoi. Nawet gdybym mógł zapłacić za jej podróż... wziąć ją - to pewne kłopoty, zostawić... nie mogę...

Nadon zamknął oczy, kurcząc przy tym narośla, na których były osadzone.

- Pewnie nie dożyję dnia, o którym mówisz, więc trudno mi coś poradzić... ale znam cię i wiem, że coś wymyślisz. Wypijmy za...

Przerwał, bo nagle obok Muftaka wyrosła rozzłoszczona Kabe.

- Ten przeklęty Wuher nie chce mi nalać! Żeby go sarlacc zeżarł! I Chalmuna też! Nie chce mi sprzedać soku, Muftak, a przecież płacę nie podrabianymi kredytami! Żeby ich wszystkich nagła i niespodziewana...

Teraz Kabe zamilkła, bo Muftak bżyknął niegłośnie, za to zdecydowanie, domagając się ciszy.

- Co powiedział Wuher? - spytał spokojnie.

- Powiedział, że nie chce, żeby pijane Ranaty obrabiały mu klientów. Ja nie jestem RANAT!

Pogadaj z nim, Muftak, co? Z małym to się nigdzie nie liczą...

Muftak w zamyśleniu pogładził trąbkę.

- Trudno mu się dziwić po tym, jak ostatnim razem narozrabiałaś - przyznał. - Ale pogadam z nim... w końcu dziś jest, jakby nie było, święto... tak mi się przynajmniej wydaje.

Kabe z wyraźnym niesmakiem zastrzygła uszami, słysząc kolejny utwór sekstetu Figrina Da'na. Jej słuch był równie czuły jak węch Muftaka, a kakofonia nierytmicznych, nie trzymających żadnego tem-pa dwudźwięków, którą zespół nazywał muzyką, wyjątkowo ją drażniła. Dawno zmieniłaby lokal, gdyby nie to, że tu akurat sok z juri był najtańszy w całym Mos Eisley. A jej się właśnie skończył, więc oblizwała wąsy i pomaszerowała do baru, czując przyjemne ciepło promieniujące z żołądka.

- Jeszcze jednego, Wuher! - poleciała. - Pić mi się chce!

Barman spojrzał pytająco na siedzącego przy stoliku Muftaka. Widząc jego reakcję, mruknął coś pod nosem, ale napełnił podsunięte naczynie rubinowym płynem. Kabe nie wyrwała mu go z ręki tylko dlatego, że nie sięgnęła, ledwie jednak postawił je na ladzie, czym prędzej złapała swój sok.

Wuher nagle wyprostował się z wściekłą miną i Kabe przygotowała się do ucieczki w stronę Muftaka, ale to nie ona stała się obiektem złości barmana, lecz jakiś ludzki chłopak, próbujący wprowadzić do knajpy dwa droidy. Kabe odprężyła się i fachowym wzrokiem obrzuciła kieszenie co bliższych gości. Po kilku sokach była szybsza i bez-czelniejsza niż zwykle i nikt nie był przy niej bezpieczny. Nie znaczyło to zresztą, że obrabiała po kolei wszystkich. Siedzący akurat obok niej Evazan, nazywający sam siebie doktorem, i Ponda Baba w ogóle jej nie interesowali - kredytami nie śmierdziali, a do znęcania się nad kimś słabszym byli pierwsi. Kiedyś, kiedy byli naprawdę trafieni, dla zabawy pozamieniała im zawartość kieszeni; stanowiło to od tej pory starannie ukrywany powód do dumy, ale było praktycznie ostatnim objawem zainteresowania tą antypatyczną parą.

Natomiast następna dwójka była zdecydowanie bardziej obiecująca - chłopak, który próbował wprowadzić droidy (sądząc po stroju prostak i farmer, pierwszy raz w Mos Eisley) i starszy mężczyzna z brodą i włosami o barwie futra Muftaka, ubrany w uszytą przez Jawów brązową opończę z kapturem. Nie rozpoznała go, więc raczej nie mieszkał w porcie, a przybysze z pustyni najczęściej stanowili łatwy łup. Za nimi stał Chewbacca - przemytnik, ale z niego nie było żadnego pożytku. Nikt bez silnych skłonności samobójczych nie zdenerwowałby Wookie-go, a w dodatku ten akurat Wookie nie miał żadnych kieszeni, bo nie nosił ubrania.

Muftak nadal był pogrążony w rozmowie z Nadonem - pewnie o rodzinnej planecie, gdzie prędzej czy później będzie chciał polecieć... Kabe nie miała pojęcia, co się z nią wtedy stanie, ale perspektywa nie była miła: nie będzie komu zmusić Wuhera, żeby jej jeszcze nalał, albo obronić przed wkurzoną ofiarą, jak się coś nie uda... No i będzie zupełnie sama... miała co prawda trochę zachomikowanych zapasów, ale nie wystarczą na dłużej niż na miesiąc: gdyby ich było więcej, Muftak by się o nich dowiedział. Musi znaleźć jakiś sposób, żeby przestał myśleć tylko o tym, że jest Talzem.

Wysoki, chudy humanoid przy barze jak zwykle palił hookah i jak zwykle nie ukrywał, gdzie trzyma pieniądze... i też jak zwykle dała mu spokój: od pierwszego spotkania było w nim coś, co ją powstrzymywało. Nie wiedziała co, ale już dawno nauczyła się ufać instynktowi. Już choćby to, że na nią spojrzał, stawiało jej na baczność włoski na karku - jakby patrzyła na własną śmierć.

Każdy, tylko nie on.

A najbardziej obiecujący był chłopak. No i stary, tylko że przy nim trzeba będzie uważać: było w nim coś, co świadczyło o spokojnej pewności siebie i kompetencji, pomimo byle jakiego ubrania. Nagle Ponda Baba się ruszył i ledwie zdążyła uskoczyć przed silnym pchnięciem, które w rezultacie

wylądowało na ramieniu chłopaka.

- Spieprzaj mi z drogi, ludzkie gówno! - ryknął po aqualijsku. Kabe, doskonale wiedząc, co zaraz nastąpi, czym prędzej schowała się za starego mężczyznę, delikatnie stawiając na pół opróżnione naczynie na ladzie. Chłopak aqualijskiego nie znał, więc jedynie odsunął się i sięgnął po swojego drinka. Kabe sprężyła się - gdy go zabiją, będzie miała tylko chwilę, by gwizdnąć mu portfel, nim wyciągną trupa na zewnątrz. Teraz za to była doskonała okazja, by obrobić starego, którego uwaga skoncentrowana była na napastnikach. Żeby tylko stwierdzić, gdzie on trzyma pieniądze...

- Mam wyrok śmierci w dwunastu systemach! - wrzasnął nagle Evazan.

Hmm... to niewielkie wybrzuszenie wyglądało obiecująco... jeszcze trochę bliżej i...

Stary nagle się poruszył z zaskakującą płynnością i szybkością, a Kabe za nim. Przy barze szybko się rozluźniło, bo większość obecnych lubiła obserwować walki, nie biorąc w nich udziału. Kabe była jednak zdecydowana najpierw zarobić, potem zwiewać.

- On nie jest wart zachodu - odezwał się obiekt jej zainteresowania uspokajająco. - Pozwól, że ci coś postawię.

Ponda ryknął coś niezrozumiale, a Evazan pchnął chłopaka tak, że ten wylądował na stoliku, i sięgnął po broń.

- Żadnych miotaczy czy blasterów! - wrzasnął Wuher zza kontuaru. Rozległ się dźwięk przypominający darcie i Kabe przyłgnęła do starszego mężczyzny (a raczej do jego płaszcza). Ponda Baba zawył, Evazan mu zawtórował, a na podłogę coś upadło z głuchym stukiem. Kabe ostrożnie wyjrzała zza płaszcza, żeby zobaczyć, co upadło. Okazało się, że część górnej kończyny Baby, nadal ściskająca miotacz. Stary cofnął się płynnie i wyłączył migotliwe ostrze laserowej broni. Kabe nigdy czegoś podobnego nie widziała, a zachowanie niedoszłej ofiary przekonało ją dobitnie, że chyba lepiej go nie okradać, toteż cofnęła się pospiesznie. Mężczyzna pomógł wstać chłopakowi, wpatrującemu się z osłupieniem w odciętą rękę, i przy okazji nadepnął obcasem na palce Kabe.

Ta pisnęła i czym prędzej odskoczyła do najbliższego ciemnego kąta, czekając aż posprzątają po niespodziewanym zamieszaniu. Całe szczęście, że nie rozlali przy okazji jej soku...

- Chcesz powiedzieć, że mi pomożesz? - spytała z niedowierzaniem Kabe.

- Lepszej okazji nie będzie - przytaknął Muftak. - Jabba jest w pałacu, a w mieście panuje zamieszanie jak jeszcze nigdy.

Kabe przyglądała mu się z wytrzeszczonymi oczyma. Sok najwyraźniej spowolnił jej procesy myślowe, ale w końcu do niej dotarło - wypuściła nie dojeżdżonego folotila na zakurzoną podłogę i podskakując wrzasnęła ekstatycznie:

- Wiedziałam, Muftak, że się w końcu dasz przekonać. Wiedziałam! Muftak powoli skinął głową bez słowa; jeśli dadzą się złapać, zemsta

Jabby będzie straszna, natomiast skarby, wyeksponowane chyba specjalnie, by kusić amatorów, były rzeczywiście wielkie. Jeśli wejście, które odkryła Kabe, rzeczywiście da się wykorzystać, robota powinna być łatwa i szybka, a na to, co zaplanował, potrzebne były duże pieniądze. Zdecydował się zresztą w drodze powrotnej z knajpy, niosąc urżniętą towarzyszkę. Przez pięć lat mieszkali w norze umeblowanej jedynie go-liardem Kabe, jego sypialną grzędą i skrzynią, w której mieściły się ich wszystkie ruchomości. A przyszłość zapowiadała się jeszcze gorzej.

- Będziemy mogli zostawić ten śmietnik - zawtórowała Kabe jego myślom. - Może kupimy sobie jakąś knajpę... To będzie prawdziwe życie z klasą, a wszystko kosztem niewielkiego ryzyka...

zobaczysz.

Muftak bzyknął cicho i dodał:

- Nie ma sensu czekać. Dziś w nocy. Uszczęśliwiona Kabe energicznie przytaknęła.

Muftak z zadziwiającą przy jego gabarytach zręcznością wspiał się na dach i znieruchomiał przytulony do głównej kopuły miejskiej rezydencji Jabby. Jak zwykle ostrożny, wydobyl z kabury prawie zabytkowy miotacz i rozejrzał się - księżyc właśnie zachodził za chmury, dzięki czemu okolica pograżyła się w absolutnych ciemnościach. Kabe, w połowie drogi na szczyt kopuły, nagle znieruchomiała przy półkolistym otworze tuż pod skraplaczem. Wsunął broń do kabury i ruszył na górę, drapiąc pazurami porowatą powierzchnię z miejscowego kamienia.

- Widzisz? - szepnęła, przywiązując linę do podstawy skraplacza. - Tak jak mówiłam: nic się nie zmieniło, odkąd to odkryłam. Zwykły alarm, a drzwi nie są hermetyczne, bo powietrze przelatuje przy brzegach. Jedno solidne pchnięcie i będziemy wewnątrz.

- Aż trudno uwierzyć... - Muftak przykucnął obok. - Słyszysz kogoś W środku?

Kabe zastrzygła uszami.

- Chrapanie piętro niżej - zameldowała po chwili. - Ale żadnego ruchu.

- No to zaczynamy... - Muftak zaparł się i pchnął drzwi ramieniem. Metal wygiął się, zawiasy puściły z cichym zgrzytem i całość wpadła do środka. Po chwili dotarł do nich stłumiony dźwięk upadku.

- Wibracje bez zmian - ucieszyła się Kabe. - Nikt się nie obudził! Mówiłam ci, że to będzie łatwizna!

I nim Muftak zdążył ją powstrzymać, zniknęła w ślad za drzwiami. Opuszczając się po linie, cicho mruczała nasłuchując echa.

- Nic nienormalnego... jestem prawie na do...

Nagła cisza spowodowała, że Muftak pochylił się wytrzeszczając większe oczy. Kabe wisiała tuż nad podłogą, powoli okręcając się na linie.

- Co się stało? Dlaczego się zatrzymałaś?

- Cśśś! - powoli przesunęła się głową w dół, aż prawie dotknęła uchem dywanu. - Żeby to borathy obsrały...

- Co się...

- Coś jest pod dywanem... powietrze musi to omijać i szumi... pewnie metal... Tylko teraz nie schodź! To jakaś pułapka ze sprężyną! - zagwizdała nagle i po chwili dodała: - Tu są zawiasy... zobaczymy!

Bujnęła się gwałtownie, wydobyla z zanadrza tan i rzuciła go nieco w bok.

- Aha! - ucieszyła się, zeskakując w ślad za nim. - Musisz stanąć tutaj!

Muftak nie tracąc czasu opuścił się, wylądował we wskazanym miejscu i zachowując ciszę oboje zeszli po ciemnych schodach. Przy ich końcu Kabe usłyszała charakterystyczny elektroniczny szum alarmu przeciwwłamaniowego. Błyskawicznie go zlokalizowała i wyłączyła. Po prawej półkolistym wejście prowadziło do dużego pokoju, pełnego wygodnych, miękkich mebli. W jednej ze ścian znajdowała się nisza, a w niej jasno oświetlona gablota, pełna złotych posążków i wysadzanej klejnotami zabytkowej broni. Muftak westchnął - gablota była otwarta. Weszli ostrożnie, a gdy Kabe nie namierzyła żadnego alarmu, pospiesznie załadowali zawartość gabloty do przyniesionych worków.

- Mówiłam, że to będzie łatwizna? Nie żal ci, że...

Kabe urwała, widząc parę światełek zapalających się w pobliskim kącie. Muftak sięgnął po miotacz, tymczasem był to jedynie uruchamiający się droid.- Przepraszam, że przeszkadzam - odezwał się melodyjnym głosem. - Czekałem na... tak przy okazji... to co wy tu robicie o tej porze? Wiem, że przyjaciele pana Jabby są nieco ekscentryczni, ale...

Muftak podszedł do maszyny.

- Twój wspaniały pan przysłał nas, byśmy przewieźli część z jego precjozów do pałacu - oznajmił.

- To by wyjaśniało sprawę - droid zrobił dwa kroki w jego kierunku. - *Bzavazh-ne pentvis, a ple-vrith feezi*

Muftaka na moment zatkało: to był jego język.

- Gdzie się tego nauczyłeś? - spytał, odzyskując głos.

Droid pokiwał głową i Muftak był gotów przysiąc, że przyjrzał mu się z satysfakcją.

- Przyjacielu Talz, znam zwyczaje prawie pięciu tysięcy światów i posługuję się płynnie ich językami, także językiem twojej rodzinnej planety Alzoc III. Jestem K8LR, protokolarny droid pana Jabby, który beze mnie nie byłby w stanie porozumieć się ze swymi wielorasowymi współnikami. Przyznaję jednakże, że pierwszy raz miałem okazję mówić po talzańsku. Wybacz mi jednak, ale muszę sprawdzić u pana Fortuny, czy mówicie prawdę.

Kabe podczas tej rozmowy przysuwała się nieznacznie do droida, rozwijając jednocześnie cienką linkę.

- Oczywiście, że mówimy prawdę - odezwała się, gdy zamilkł. - Nie musisz się trudzić sprawdzaniem.

- Muszę, mała Chadro-Fan, k'*sweksni-nyip-lsik*. Nie masz pojęcia, w jakie kłopoty bym się wpakował, nie sprawdzając...

Kabe nagle skoczyła, oplątując mu linkę wokół górnych kończyn, i wrzasnęła:

- Ogranicznik, Muftak!

- Proszę, nie! - jęknął droid. - Pan Jabba nas ukaże...

Muftak dopadł go w dwóch susach i gwałtownym szarpnięciem urwał przymocowany do przedniej płyty niewielki walec. Próbujący się uwolnić droid, znieruchomiał, a Kabe z westchnieniem ulgi opadła na podłogę. Gdyby to potrwało dłużej, robot z pewnością uwolniłby się od niej (co prawie mu się już udało) i dałby sobie radę nawet z Muftakiem. W ten sposób nie mógł wykorzystać przewagi fizycznej.

- Serdeczne dzięki - odezwał się niespodziewanie droid. - Nie macie pojęcia, o ile lepiej się czuję bez tych elektronicznych kajdanek! Nigdy mi się to nie, podobało, ten Jabba to cham i bydlę! To, co widziałem, zwinęłoby ci trąbkę na zawsze, przyjacielu Talz. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, to sobie pójdę.

- Cicho! - poleciła Kabe nasłuchując.

Ponieważ nic podejrzanego nie usłyszała, zajęła się zbieraniem łupów. Droid ruszył za nią, metalicznym szeptem gratulując co bardziej cennych przedmiotów.

- K8LR - odezwał się Muftak, ładując niewielką figurynkę z żywego lodu do torby na brzuchu. - Jeśli naprawdę jesteś nam wdzięczny, to powiedz nam, gdzie Jabba trzyma swoje najcenniejsze skarby.

Droid zatrzymał się, zastanowił i odparł:

- Na ścianach sali audiencyjnej znajdują się koreliańskie artefakty, które, jeśli mój bank pamięci

ma właściwe dane, są praktycznie bezcenne. Są to wytwory pochodzące z najwcześniejszych czasów ludzkiej cywilizacji.

- Zaprowadź nas tam!

Muftak i droid wyszli pogrążeni w rozmowie na temat położenia Alzoc II, Kabe zaś pośpiesznie acz skutecznie uwolniła duży ognisty klejnot, użyty jako oko potwornie brzydkiej rzeźby. Wsadziła go w jedną z niezliczonych kieszeni, w jakie wyposażony był jej przydziewek, mając nadzieję, że po dzisiejszym łupie nie będzie już zmuszona do kradzieży kieszonkowych, zwanych jak Galaktyka długa i szeroka „doliniarstwem”.

Droid poprowadził ich kawałek korytarzem, po czym skręcił w prawo. Idąca z tyłu Kabe nagle nastawiła uszu odbierając dźwięk tak subtelny, że żaden z pozostałych nie miał prawa go usłyszeć. Powolny, wysilony oddech... oddech kogoś świadomego...

- Kto jest wewnątrz? - spytała, stając przed trzecimi z kolei drzwiami. - Bo jest przytomny.

- Obawiam się, że jedna z ofiar mego byłego właściciela - odparł droid. - Kurie, człowiek. Od wielu dni torturują go neuroprzerywaczem.

Muftak, najwyraźniej zniecierpliwiony, pogonił ją gestem, ale Kabe zamiast się ruszyć spytała:

- Masz pojęcie, ile Valarian zapłaci za neuroprzerywacze? K8, możesz otworzyć te drzwi?

- Naturalnie. - Droid połączył się z zamkiem przez interface i drzwi stanęły otworem.

Muftak poskrobał się po kudłatym czole.

- Kabe, nie mieszajmy się w to... To śmierdzi...

Chandra-Fan zignorowała go i wmaszerowała do pomieszczenia, więc niechętnie poszedł w jej ślady. Przypięty pasami do stołu leżał drobny i wynędzniały mężczyzna, całkowicie nagi, czego ludzie właściwie dobrowolnie nie praktykowali. Cicho jęczał, ale przyglądał się im przytomnymi oczyma. Przy stole na trójnogu stała niewielka czarna skrzynka, połączona z leżącym jednym cienkim przewodem. Kabepodeszła do niej i nie tracąc sekundy zajęła się odłączaniem urządzenia od człowieka i od statywu.

- Wody... - szepnął leżący. - Proszę... wody.

- Cicho! - parsknęła, odkręcając zamocowania, gdy nagle coś jej się przypomniało: zanim Muftak ją znalazł, snuła się po ulicach głodna i prawie oszalała z pragnienia... wody nie powinno się odmawiać nikomu.

- Wody... - jęknął leżący.

Kabe wyjęła z zanadru niewielką manierkę, którą zawsze nosiła ze sobą (tak na wszelki wypadek) i zakłęła pod nosem: człowiek był przywiązany, więc w żaden sposób nie mógł sam się napić.

- Zaraz pana napoję - ofiarował się niespodziewanie K8LR. Jedną ręką uniósł głowę leżącego, drugą przyłożył mu do ust odkorkowaną manierkę. Kabe spokojnie skończyła odłączać pudełko i zadowolona schowała je do worka.

- Teraz jesteśmy bogaci! - oznajmiła cicho, ale z wyraźną satysfakcją-

Leżący wypił zawartość manierki i oblizał popękane, spieczone usta.

- Wy dwoje... jesteście zainteresowani pieniędzmi - odezwał się przyglądając się Muftakowi i Kabe z namysłem. - Co byście powiedzieli na trzydzieści tysięcy kredytów, praktycznie bez ryzyka?

Kabe, zmierzająca już ku wyjściu, stanęła jak wryta, a wyglądający na korytarz Muftak cofnął się.

- Mógłbyś wyrazić się jaśniej, człowieku? - spytała Kabe podejrzliwie.

- Nazywam się Barid Mesoriaam. Zapamiętaj, bo moje nazwisko jest też hasłem. Jeśli doręczycie

pewien datadot pewnemu Mon Calamari, który przez kilka dni będzie w Mos Eisley, pieniądze są wasze.

- Datadot... wart trzydzieści tysięcy - mruknęła Kabe. - Skąd go dostaniemy? I skąd mamy wiedzieć, że...

- Możecie mi zaufać. Co do tego datadotu... - mężczyzna zamknął usta, poruszając energicznie językiem.

Gdy je otworzył, na czubku języka miał niewielką, czarną kropkę. Kabe delikatnie zdjęła ją i obejrzała.

- Co za informacje są tyle warte? - zainteresował się Muftak.

- A to już nie wasza sprawa - mężczyzna z jękiem opadł na stół. - Powiedzcie Mon Calamari, że dane są wyłącznie dla generała Dodon-na, zabezpieczone jego prywatnym kodem.

- Barid Mesoriaam jest członkiem Rebelii przeciwko Imperium - odezwał się niespodziewanie droid. - Jak rozumiem, celem Rebelian-tów jest przywrócenie władzy Senatowi i obalenie Imperatora. Dane na tym datadocie są z pewnością dla Rebelii bardzo istotne.

Muftak w zamyśleniu pogładził trąbkę.

- Nie ma co myśleć! - zdecydowała Kabe. - Muftak, kładź to do swojej torby skórnej. Małe, a cenne, przykro byłoby zgubić.

- Rebelianci... - mruknął Muftak, wykonując polecenie. - Dlaczego Jabba próbował mu to odebrać? Wykonuje rozkazy Imperium, czy co?

- Mój były właściciel nie wykonuje niczych rozkazów, ale sprzedaje wszystko temu, kto lepiej zapłaci. Na jego nieszczęście Mesoriaam mimo tortur nie powiedział nic, a że miał założone blokady hipnotyczne, bez jego woli nie dało się zeń nic wyciągnąć.

- Wiecie, kim jestem, i domyślacie się, co to mogą być za informacje - powiedział cicho mężczyzna. - Nic nie stoi na przeszkodzie, byście sprzedali je drożej Prefektowi, ale pamiętajcie o jednym drobiazgu: w Imperium nie ma miejsca dla niehumanów. W dniach świetności Republiki członkowie wszystkich inteligentnych ras traktowani byli równo. Rozejrzyjcie się i sprawdźcie, jak jest teraz, jeśli jeszcze tego nie zauważyliście.

- Jeżeli twoi przyjaciele dadzą nam tych trzydzieści tysięcy, to mało mnie to obchodzi... - Kabe nagle zamilkła i obróciła się ku drzwiom. - Co to było?

W korytarzu rozbłysły światła.

- To nie wydaje się pożądanym rozwojem wypadków - skomentował droid.

- Wynosimy się stąd! - polecił Muftak, wyciągając broń z kabury i wyskakując na korytarz.

Nikogo tam nie było.

- Sala audiencyjna, Muftak! - przypomniała Kabe.

- Zwariowałaś? Musimy...

Zza rogu wypadła para gamorreńskich strażników, wymachując toporami i mamrocząc przekleństwa. Muftak wepchnął za siebie Kabe i nacisnął spust. Nic się nie stało.

- Zastrzel ich! - poradziła poirytowana Kabe.

- Próbuję!

Ponieważ chwilowo było to niemożliwe, zaczął się cofać oglądając jednocześnie miotacz. Strażnicy chrząknęli coś, kwiknęli jeden do drugiego najwyraźniej ustalając taktykę i ruszyli w pościg. Muftak poprawił zasilacz i z zadowoleniem stwierdził, że kontrolki zaczynają się świecić. Nie zwlekając, wycelował w bliższego i nacisnął spust. Tym razem z lufy wystrzeliła wiązka energii

i w rozprysku iskier zrykoszetowała od wypolerowanego ostrza topora, który Gamorreanin trzymał przed ryjem. Wartownik padł z rozpaczliwym kwikiem, a z najbliższych drzwi wyskoczył Jawa, trzymając oburącz blaster i strzelając na oślep. Muftak odpowiedział ogniem i nagle ucichło - Jawa i dwaj strażnicy gdzieś zniknęli.

- Tędy! - ponagliła Kabe, mijając potężne główne wejście, zamknięte pancerne wrota, zdolne przepuścić masywne cielsko Jabby. Jeden rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że z zamkiem i systemami zabezpieczającymi nie poradzi sobie w żaden sposób, zwłaszcza w pośpiechu.

- W sali audiencyjnej są drugie drzwi! Powstrzymaj ich, Muftak, to je otworzę!

- Powstrzymaj ich? Jak? - zdziwił się Muftak, ale pognął za Kabe. Sala była ogromna, a na środku stało masywne podwyższenie, nad którym wisiał rozłożysty gobelin przedstawiający groteskową scenę z rodzinnego życia Huttów. W przeciwległym końcu sali rzeczywiście znajdowały się drzwi, tyle że także z elektronicznym zamkiem i masywną, sterowaną przezeń zasuwą.

- I co? - jęknął Muftak. - Jesteśmy w pułapce!

- Otworzę je... - w głosie Kabe nie było pewności. - Ale potrzebuję czasu...

Wyjęła z torby neuroprzerywacz i skierowała na wejście.

- Sygnał będzie słabszy, ale powinno ci to pomóc - dodała, włączając urządzenie, i podążyła ku drzwiom.

Oboje dotarli ledwie do podwyższenia, kiedy wpadło czterech Ga-morreanczyków wyjąć niczym Tusken Raiders. Jeden miał miotacz i strzelał bez opamiętania, więc Muftak i Kabe czym prędzej skryli się za podium, na którym zwykle spoczywał Jabba.

Strzały nagle umilkły i oboje ostrożnie wyjrzeli: cała czwórka chwiała się w wejściu, wyjąć z bólu i ze złości. Muftak starannie wycelował i nie spiesząc się, trzema strzałami powalił trzech z nich - czwarty zdołał uciec na korytarz. Kabe ruszyła ku drzwiom. I rozpętało się piekło - z tuzin strażników różnych ras pojawiło się w wejściu, strzelając na oślep. Neuroprzerywacz trzymał ich na dystans, ale wyjście zza osłony podestu oznaczało śmierć.

- Nie wytrzymamy długo w ten sposób - stwierdził Muftak, starannie celując i eliminując kolejnych przeciwników. - W końcu któryś trafi w to pudełko, a wtedy będzie koniec.

Kabe pisnęła jedynie w odpowiedzi, zaś Muftak zobaczył w tłumie coś, co mu do reszty odebrało nadzieję - białoskórego albinosa, trzymającego się z tyłu, ale dyrygującego całą akcją. Bib Fortuna, major-domus z rasy Twilek, ustępujący okrucieństwem jedynie samemu Jab-bie. Warkotliwy gwizd z góry skłonił go do spojrzenia w tamtą stronę i to, co zobaczył, do reszty przestało mu się podobać - pod sufitem wisiała wielka sieć, mogąca zakryć cały środek sali. Wieść niosła, że Jabba trzyma w niej lzayreńskie gwizdacze: latające drapiezniki, których apetyty są porównywalne jedynie z jakością użębienia. Służyły mu za skuteczny argument wobec opornych na łagodniejsze formy perswazji współników. Kolejnym strzałem powalił masywnego Abys-sinina i usłyszał rozpaczliwe pytanie:

- Muftak, co my zrobimy?

Kabe trzęsa się ze strachu, przytulona do jego boku.

- Gdyby się udało otworzyć drzwi... - mruknął i umilkł: były za daleko. Kolejna wiązka energii przemknęła mu nad głową, więc odruchowo padł, przykrywając sobą Kabe. Uniósł głowę, słysząc w górze dziwne potrzaskiwanie - gobelin żarzył się w kilku miejscach, a płonął w jednym, dymiąc jak opętany. Przemknęło mu przez myśl, że się stąd nie wydostaną...

- Zejdz ze mnie! - pisnęła zduszonym, choć wściekłym głosem Kabe. Zrobił co chciała.

Przyjrzała się gobelinowi wytrzeszczonymi oczyma i jęknęła. Muftak zmrużył oczy, bo dym

zacznął go drażnić, i nacisnął spust celując w kolejnego gamorreanczyka. Tym razem chybił, a bezładna kanonada, jaka nastąpiła w odpowiedzi, porozbijała część mebli. I neuroprzerywacz.

Jednak ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że strażnicy nie przystępują do ataku - najwyraźniej nie skojarzyli, co było powodem problemów z wejściem, albo też coraz gęstszy dym przesłonił im efekt strzelaniny.

Nagle drzwi wejściowe otwały się, wpuszczając świeże, nocne powietrze, dzięki któremu gobelin rozpałił się na dobre, buchając kłębami czarnego dymu. Muftak złapał oba worki z łupem, wręczył je Kabe gestem nie znoszącym sprzeciwu i polecił:

- Biegnij do drzwi, będę cię osłaniał!

- A ty?

- Pobiegnę za tobą! - zełgał bez zmrużenia powiek: ktoś mały i zwinny miał szansę się przemknąć pod osłoną dymu i ognia, a on przy swoich rozmiarach nie mógł nawet marzyć.

W ten sposób przynajmniej jedno z nich przeżyje i skorzysta na dzisiejszym wieczorze.

- Biegnij! - wrzasnął, dosłownie wykopując ją zza osłony i zaczynając strzelać.

Lawina energii wystrzelonej w odpowiedzi zmusiła go w końcu do ukrycia się, ale wcześniej kątem oka dostrzegł Kabe znikającą w drzwiach. Zadowolony przełożył gorący miotacz do drugiej ręki i postanowił drogo sprzedać życie...

Krzusząc się i kaszląc, Kabe wytoczyła się na świeże powietrze. Worki z łupem były ciężkie, ale nie miała najmniejszego zamiaru ich zostawić - nie po to tyle ryzykowali. Dotarła do ogrodu i oparła się z westchnieniem o naturalnych rozmiarów posąg Jabby. Z otwartych drzwi wylatywały jedynie kłęby dymu...Od strony ulicy słychać było coraz bliższe syreny straży pożarnej i sprzedawców wody, dochodzące z różnych stron; za chwilę zrobi się tu naprawdę tłoczno. Z wnętrza dobiegły ją odgłosy wzmożonej kanonady i dopiero w tym momencie dotarło do niej, że Muftak nie miał najmniejszego zamiaru biec za nią. Że dał jej szansę kosztem własnego życia. Popatrzyła na worki z łupami - Muftak chciał, żeby z nimi uciekła. Dał jej to wszystko i byłaby idiotką, gdyby prezentu nie przyjęła.

Zrobiła krok w stronę furtki i nagle stanął jej przed oczyma obraz ich pierwszego spotkania, gdy ledwie mogła chodzić, wyczerpana głodem... Muftak zaniósł ją wtedy do swojego schronienia, kupił wody, jedzenia...

Zrobiła kolejny krok...

Oba worki wysunęły się jej z rąk, głucho uderzając o ziemię. Kabe kopnęła jeden z nich ze złością - w żadnej kryjówce nie były bezpiecznie, nie powinna się od nich oddalać. Odruchowo wsunęła je jednak w cień rzucany przez rzeźbę i klnąc cicho, pobiegła z powrotem do sali audyencyjnej. Sama nie wiedziała, kogo klnie bardziej - siebie czy Muftaka.

Pogwizdywała i pomrukiwała, próbując w kłębach dymu określić, gdzie jest Muftak. Nadal ostrzeliwał się z podium, mimo iż w sali byli już strażnicy. Żeby przypadkiem nie oberwać, Kabe ruszyła ku niemu na czworakach. Gdzieś w połowie drogi ze zgrozą zauważyła, że w jego miotaczu kończy się energia - wiązki były coraz krótsze i docierały na coraz bliższą odległość...

Starając się nie kaszleć, wyczerpała słuch - coś się przed nią ruszało... Rodianin! Skoczyła, wgryzając się w łydkę strażnika, który wrzasnął, puścił miotacz i próbował ją na oślep trafić, wściekle wymachując rękoma. Kabe puściła go, złapała broń i strzeliła, prawie przykładając wylot lufy do Rodianina. Nie mogła nie trafić.

- Muftak! - zawyła w wysokich częstotliwościach - Rusz się, do cholery! Osłaniam cię!

Wrzask był tak przeraźliwy, że usłyszał i zaczął się czołgać w jej stronę. - Kabe tymczasem

przykucnęła za zastrzelonym strażnikiem, starając się stanowić jak najmniejszy cel i strzelając do wszystkiego, co tylko się poruszyło. Muftaka widziała wyraźnie, bo był już blisko - zerwał się na nogi i ruszył ku niej niczym terenowa pancierka, roztrącając i tratując każdego, kto spróbował stanąć mu na drodze.

- Tutaj! - pisnęła. - Drzwi!

Przed Muftakiem wyrosła nagle para gamorrekańskich strażników, wykvikując obrzydliwe przekleństwa. Kabe strzeliła jednemu w plecy, drugi się obejrzał i Muftak zmiotł go potężnym ciosem na odlew.

- Przyjacielu Talz! - rozległ się nagle melodyjny głos. - Trzymaj się proszę z dala od środka pokoju!

Kabe spojrzała w górę - z okna w połowie wysokości sali wychylał się K8LR. Muftak czym prędzej wykonał polecenie, zmieniając kierunek szarży, a w następnej chwili na dół opadła sieć razem z płonącym gobelinem, oplątując większość strażników. Salę wypełniły różnojęzyczne wrzaski i radosne gwizdy lzayreńskich drapieźników, a sieć zaczęła podskakiwać niczym żywe stworzenie.

Muftak dopadł Kabe w dwóch susach, złapał nie zwalniając tempa i w trzech kolejnych dobiegł do drzwi.

- Postaw mnie! - pisnęła stanowczo, ledwie znaleźli się w ogrodzie.

Zaskoczony Muftak zrobił co kazała i Kabe natychmiast podbiegła do rzeźby - jak się spodziewała, po workach nie pozostał nawet ślad.

- Żeby go banthy osrały! - miauknęła dobitnie.

- Kabe... wróciłaś... - Muftak był pod wrażeniem. - Myślałem, że jesteś już w pół drogi do domu.

Kabe zdegustowana kopnęła rzeźbę.

- Muftak, żebyś ty nie był taki głupi! Przecież nie mogłam cię zostawić, bo sam byś nigdy się stamtąd nie wydostał.

Muftak przyjrzał się jej załzawionymi od dymu oczyma, po czym zabzyczał radośnie:

- Kabe, uratowałaś mi życie! Wróciłaś, żeby mnie uratować! Chadra-Fan ujęła się pod boki i spojrzała nań nieżyczliwie.

- Pewnie, że wróciłam, cymbale! Jesteśmy przecież współnikami, nie?

- Pewnie, że jesteśmy. A teraz, współniku, zabieramy się stąd! Trzymając się cienia, przeprowadzili wzorową ewakuację z posesji

Jabby i z jej bezpośredniego otoczenia. Potem nie kryli się już tak bardzo, ale starannie unikali przechodniów. Za nimi łuna potężniała malowniczo.

- Ściany się nie spalą - mruknął Muftak - ale wewnątrz mało co zostanie.

- Jabba jest tak obrzydliwie bogaty, że nawet nie poczuje. Muftak, jednego nie rozumiem: kto otworzył drzwi?

- Droid. I mam nadzieję, że Bib Fortuna go przy tym nie widział, bo jak się zorientuje, że K8LR nam pomógł, to marny jego los.

- A tak w ogóle to dokąd idziemy?

- Do domu Momawa Nadona. Jeśli żyje, to nas ukryje, a ponieważ nic nie słyszałem o jego śmierci, to pewnie przechytrzył Alimę...

- Przecież nie możemy tu zostać! - jęknęła Kabe. - Kiedy Jabba się dowie, kto mu spalił dom, to...

- Masz rację, nie zostaniemy tu. Wynosimy się z Mos Eisley i z Tatooine najszybciej jak się da. Miejmy nadzieję, że zdążymy, zanim na nas doniosą.- Jak? Prawie cały łup straciliśmy! -

oświadczyła Kabe, wiedząc, że nie do końca mówi prawdę; z pół tuzina klejnotów miała przy sobie.

- Zapomniałaś, gdzie schowaliśmy ten datadot? - Muftak poklepał się po brzuchu.

- Trzydzieści tysięcy kredytów! - ucieszyła się. - A nawet nie chciałeś tam wejść! Musiałam cię zaciągnąć... no, prawie. Mówiłam, że nie pożalujesz tej nocy! Mówiłam?

Muftak w milczeniu skinął głową.

Dwie noce później, w kryjówce pod korzeniami drzewa vesuva-gue, Muftak spotkał Mon Calamari przyprorowadzonego przez Itho-rianina.

- Barid Mesoriaam powiedział, że wiadomości są przeznaczone tylko dla generała Dodonna i zabezpieczone jego osobistym kodem.

- Rozumiem - Mon Calamari wyciągnął przypominającą płetwę dłoń. - Datadot?

- Najpierw zapłata! - pisnęła Kabe. - Uważasz nas za durniów, czy jak?

Potomek inteligentnych ryb w milczeniu wyjął paczkę banknotów z portfela (na widok którego oczy Kabe rozbłysły) i podał Muftakowi. Ten przeliczył i powiedział niepewnie:

- Tu jest tylko piętnaście, a obiecano nam trzydzieści tysięcy...

- Mam coś lepszego jako wyrównanie rachunku - odparł Rebeliant.

- Co może być lepszego niż gotówka? - parsknęła podejrzliwie Kabe.

- Dwa listy tranzytowe podpisane osobiście przez Wielkiego Mof-fa Tarkina - odparł Mon Calamari, wyjmując dwa opieczętowane oficjalnie dokumenty. - Mając to, możecie polecieć wszędzie.

Muftak w milczeniu przyglądał się dokumentom - rzeczywiście z nimi można było wszędzie się dostać: na Alzoc III albo na Chadrę, rodzinną planetę Kabe.

- Zorganizowanie przepustki z Mos Eisley to też nie taka prosta sprawa... - mruknął Muftak, chowając papiery wraz z pieniędzmi.

Wyjął datadot i podał rozmówcy.

- Przepustki już zostały załatwione, przyjacielu - odezwał się Na-don, wychodząc z cienistego kąta. - Odlatujecie dziś w nocy. Może mając listy tranzytowe zdołacie jeszcze kiedyś pomóc Rebelii.

- Ja bym na to nie liczyła na twoim miejscu - pisnęła Kabe. - Robimy to dla siebie, nie dla Rebelii. Prawda, Muftak?

Muftak nie odpowiedział. W zamyśleniu gładził się po trąbce.

Kabe wykręciła głowę, wyglądając przez iluminator niewielkiego frachtowca na złocisty świat, rozciągający się w dole i powoli wirujący w świetle podwójnego słońca.

- Nigdy nie myślałam, że stąd zobaczę Tatooine - mruknęła niepewnie. - Przydałoby się coś wypić, Muftak.

- Nie w przestrzeni - sprzeciwił się Muftak. - Jak zaczniesz tu rzygać, to lepiej nie myśleć... Jak wylądujemy na Alzoc, dopiero spróbujesz, co to jest prawdziwy nektar!

- A sok juri? Tylko mi nie mów, że tam nie ma soku juri!

- Nie mam pojęcia - przyznał uczciwie Muftak.

Przy każdym ruchu czuł przy sobie listy tranzytowe i cały czas zastanawiał się, co dalej. Z Alzoc polecą na Chadrę, a potem? Rebelia okazała się znacznie lepsza niż Imperium i coś mu mówiło, że należałoby się dobrze zastanowić, czy do niej nie wstąpić. Ale najpierw odwiedzą dom.

Kabe nadal przyglądała się Tatooine, mruczając różne inwektywy o zboczeńcach, co to nie znają soku juri. Nagle umilkła i roziskrzonym wzrokiem spojrzała na Muftaka.

- Właśnie sobie przypomniałam, dlaczego naprawdę się cieszę, że opuściliśmy Mos Eisley! -

oznajmiła.

- No, dlaczego?

Bo już nigdy nie będę musiała słuchać tego ohydneho hałasu, który Figrin Da'n nazywa muzyką! A zwłaszcza tego okropieństwa, które ma tytuł „Sekwencyjne przejście chronologicznych interwałów”. Od tego naprawdę uszy bolą!

Muftak bżyknął z rozbawieniem, gładząc się po trąbie.

OPIEKUN PIASKÓW

Opowieść Ithorianina

Dave Wolverton

Lokal jak zwykle był pełen - zawsze tak było, gdy popołudniowe słońca paliły najmocniej. Ale nawet siedząc z Muftakiem, którego traktował jak przyjaciela, Momaw Nadon czuł się samotny. Może dlatego, że był jedynym Ithorianinem (albo Młotem, jak czasami nazywano jego rasę z uwagi na kształt głowy) na całej Tatooine. A najprawdopodobniej czuł się tak dzięki wieściom, jakie przyniósł kudłaty Muftak, spijający właśnie sfermentowany nektar przez delikatną trąbkę. Muftak odstawił naczynie i powiedział z ożywieniem:

- Moja rasa nazywa się Talz, tak przynajmniej zawołał szturmowiec, a moja pamięć skojarzyła to hasło. Słyszałeś o Talz?

Nadon był znany z doskonałej pamięci.

- Niestety, nigdy o takiej rasie nie słyszałem - odparł, używając obu ust, dzięki czemu jego stereofoniczny głos, mimo że niegłośny, był doskonale słyszalny w panującym zgiełku. - Mam kontakty w wielu światach, więc teraz, gdy wiemy, jak nazywa się twoja rasa, powinniśmy dowiedzieć się, z jakiej planety pochodzisz.

- Dom... - mruknął Muftak, wracając do nektaru.

- Ci żołnierze, którzy cię wypytywali, czego szukali? - zmienił temat Nadon.

- Z tego, co zrozumiałem, to dwóch droidów, które w kapsule ratunkowej opuściły rebeliancki okręt i wylądowały na Morzu Wydm. Teraz przeszukują domy, naturalnie szturmowcy, nie droidy.

- Hmm...

Nadon prawdę mówiąc nie bardzo wiedział, czy Imperium naprawdę poszukuje pary robotów, czy jest to tylko wybieg. Często przylatywali na jakąś planetę pod sprytnym pretekstem, kręcili się wszędzie denerwując kogo się dało i często sporo przy okazji niszcząc, tylko po to, by zostawić garnizon „dla zapewnienia pokoju” i odlecieć. Niewielki garnizon stacjonował na Tatooine już od jakiegoś czasu; wyglądało na to, że teraz ma się znacznie powiększyć, co wszystkich członków podziemnego świata wprawiało w zdecydowanie nerwowy nastrój. Nawet teraz widać było wokół sporo zmartwionych twarzy - co prawda przemyt raczej nie obchodził Imperium, ale doświadczenie uczyło, że nigdy nie wiadomo, co i kiedy może się stać obiektem wnikliwego zainteresowania.

- Jest coś, co ci muszę powiedzieć - odezwał się niespodziewanie poważnie Muftak. - Oficer dowodzący patrolami, a być może i całymi poszukiwaniami w mieście, to niemłody mężczyzna z planety Coruscant. Ma stopień porucznika, a nazywa się Alima.

Na dźwięk tego nazwiska Nadon znieruchomiał, czując nagły chłód. Mimo to jego głos brzmiał nadal spokojnie:

- Byłbym ci niezmiernie zobowiązany, gdybyś się dowiedział, czy to ten sam, który dowodził niszczycielem gwiazdym „Conquest” podczas ataku na Ithor.

- Już zacząłem się dowiadywać. Zauważyłem, że podkomendni nie żywią doń szacunku: odwracają oczy, gdy wydaje rozkazy, i trzymają się od niego możliwie jak najdalej. Najprawdopodobniej niedawno został zdegradowany i nikt nie chce mieć z nim nic wspólnego. Jeśli to ten, co wyrządził ci krzywdę, to co zrobisz?

Nadon przestał trawić, przesyłając dodatkową porcję krwi do mózgow, by rozważyć starannie ten problem. Alima był niebezpieczny, ale Nadon zdawał sobie sprawę, że nie oprze się okazji konfrontacji z kimś, kto był powodem jego wygnania.

- Nie wiem, co zrobić - przyznał. - Ale jeśli okaże się, że to ten Alima, powiedz mu, że znasz wroga Imperium, który może ukrywać droidy. Sprzedaj mu moje imię, tylko każ sobie dobrze zapłacić...

Ithorianin uśmiechnął się w duchu - od lat pomagał Rebelii, a teraz z tego, co dotąd starannie ukrywał, robił przynętę na wroga.

- Jeszcze jedno - przypomniał sobie Muftak. - Ten Alima został sprowadzony przez lorda Vadera jako interogator. Wieści z pustyni głoszą, że zabił już z pół setki istot różnych ras...- Wiem, z jakim typem człowieka mam do czynienia - westchnął Nadon.

Oba słońca Tatooine zachodziły - jedno miało barwę lawendy, drugie różu. Nadon był niespokojny: jego sympatie dla Rebelii były szeroko znane i nie wątpił, że imperialni niedługo przyjdą go wypytywać. Może nawet torturować. Przez lata wygnania użył swojej części rodowej fortuny, by inwestować w różne przedsięwzięcia rolnicze na wielu rozmaitych planetach. Inwestycje te w przeważającej części przyniosły duże zyski, teraz więc dysponował sporą fortuną i zazwyczaj początek nocy poświęcał na zarządzanie nią. Dzisiaj jednak nie mógł skupić się na tyle, by zająć się poważnymi decyzjami finansowymi.

Aby się uspokoić, zdecydował się na starą Ceremonię Zbiorów. Poleciał swoim poduszkiowcem do bezimiennej górskiej doliny, położonej na północ od Mos Eisley. Jakiś czas temu zasadził tu cydouriańskie drillery, zwane drzewami wiertniczymi z uwagi na niezwykle rozgałęziony i silny system korzeni. Nawet w tak nie sprzyjającym klimacie, z sadzonek wyrósł całkiem spory zagajnik, a skórzaste liście dawały dużo cienia. Z najzdrowszego egzemplarza pobrał za pomocą cienkich złotych igieł próbki genetyczne, recytując cicho, zgodnie z regułami Ceremonii:

- Korzystając z twego daru, przyjacielu, wzmocnię system korzeniowy tutejszego hubba gourd, który stanowi podstawę życia dzikich Ja-wów i Ludzi Piasku. I dzięki niewielkiemu bólowi, jaki ci zadałem, wiele istot przeżyje. Dziękuję ci za zbiór genów i za większe żniwo, jakie nastąpi.

Gdy skończył, położył się na ciepłym piasku, obserwując rozgwieżdżone niebo i przypominając sobie dom - miał idealną pamięć, co w jego przypadku było przekleństwem, ponieważ nie mógł zapomnieć niczego, wliczając w to zapachy i emocje.

Przypomniał sobie rzeczy miłe - jak to wraz z żoną Fandomar zasadzili niewielkie, ale oryginalne w kształcie drzewko indyup, by upamiętnić narodziny syna. Zrobili to koło wodospadu, w sercu ithoriań-skiej puszczy, przy wtórze śpiewu arraka zwisającego zwyczajem węży ze skał przy wodospadzie.

Potem przypomniał sobie, jak będąc dzieckiem wdychał pierwszy raz specyficzny, słodki aromat purpurowych donarów, które kwitły niezwykle rzadko, a pełny efekt odczuwało się oddychając przez obie pary ust.

Dom... wiecznie zielona planeta Ithor... jedyne miejsce w Galaktyce, którego nie mógł odwiedzić. Kiedyś cieszył się tam szacunkiem jako Arcykapłan, podziwiany za znajomość wielu rolniczych

ceremoniałów. Ale potem zjawił się ten przeklęty kapitan Alima i zmusił go do odkrycia tajników ithoriańskiej nauki. Jako karę wybrał życie na pustynnej planecie Tatoonie, będącej odpowiednikiem ithoriańskiego piekła. Opiekował się piaskiem, próbując wyhodować rośliny odporne na pustynne warunki, mając nadzieję, że kiedyś Tatoonie stanie się żywą i przyjemną planetą.

Przypomniawszy sobie spotkanie z Alimą, dowódcą gwiazdowego niszczyciela „Conquest”. Alima był wtedy młodym, ciemnowłosym kapitanem o pociągłej twarzy i pałających oczach. On zaś był świeżo ożenionym Arcykapłanem latającego miasta Tafanda Bay. Ithorianie żyli w takich gigantycznych miastach, unoszących się dzięki silnikom grawitacyjnym ponad odwieczną puszcza, a Tafanda Bay była największym z nich. Każde posiadało tysiące biosfer, pracowicie zrekonstruowanych aż do poziomu bakterii, z których czerpali materiały do badań. Naturalnie korzystali do tego celu także z flory i fauny na powierzchni rodzimej planety, gdzie również dokonywali zbiorów żywności. Ich osiągnięcia były rozmaite - lekarstwa, porcelana organiczna, superwytrzymałe włókna, minerały i energia uzyskiwana z nie nadających się do niczego innego korzeni.

Badania roślin i sposobów ich wykorzystania stanowiły sens życia dla większości Ithorian, a najlepsi z badaczy stawali się kapłanami, przewodzącymi pozostałym i czuwającymi, by nie wykorzystywać roślin czujących lub myślących. Zbierać i badać można było jedynie te, które spały lub nie miały świadomości własnego istnienia, a i to przy ścisłym przestrzeganiu Prawa Życia: za każdą zniszczoną przy zbiorach roślinę musiały zostać zasadzone dwie nowe.

Był Arcykapłanem dość długo, toteż nic dziwnego, że właśnie do niego skierował się Alima po informacje. Odmówił, ma się rozumieć. Wtedy Alima rozstrzelał myślący las na Wzgórzach Cathor. Lasery niszczyciela zniszczyły tysiące inteligentnych drzew - Bafforów, nauczycieli i przyjaciół Nadona i jego rodaków. Ani Bafforry, ani Ithorianie nie mieli żadnej broni zdolnej pokonać niszczyciela. Alima zagroził następnie zniszczeniem Tafanda Bay i Nadon zdradził mu tajemnice, które tamten chciał poznać.

Jako karę Rada Starszych planety Ithor skazała go na wygnanie, aby w samotności rozważał zło, jakie wyrządził. Może mieli rację, ale co on miał zrobić? Pozwolić, by oprócz drzew zabito tysiące Ithorian?

Rozmyślania przerwał mu sygnał komunikatora.

- Nadon - rozległ się charakterystyczny głos Muftaka. - To on. Właśnie sprzedałem mu, gdzie mieszkasz. Lepiej wróć do domu i bądź ostrożny, przyjacielu.

- Dziękuję...

Kiedy Nadon wrócił do Mos Eisley, dom był cichy i spokojny, tak jak go pozostawił. Jak każdego wieczoru, na ulicach był tłok, mimo iż wiatr wiejący od Morza Wydm unosił tumany pyłu. Do tego, a także do zakłóceń łączności wywołanych przez wyładowania wewnątrz chmur piasku wszyscy byli przyzwyczajeni.

Otworzył drzwi po uprzednim sprawdzeniu, czy nikt przy nich nie majstrował, i starannie je za sobą zamknął. Nie dlatego, by uniemożliwić wejście Alimie, tak naiwny nie był, ale żeby nie zniszczyć specyficznego mikroklimatu, jaki panował wewnątrz. Powietrze pełne było wilgoci. Salon zdobiły miniaturowe sadzawki, w których pływały ćwierkające ryby z gatunku dreeka. Ściany z lanego kamienia porastały rozmaite rośliny pnące, a niewielkie drzewka szumiały w lekkim wietrze odpowiednio ustawionych wentylatorów. Wyłożoną kamieniami ścieżką przeszedł do jednej z wielu bocznych kopuł, gdzie rosła kępa Bafforów, połyskując błękitnawo w świetle księżyca wpadającym przez przeszklony dach. Przyklęknął przed nimi i objął palcami pień najbliższego. Pień

od częstego dotykania był gładszy niż szkło.

- Przyjaciele - szepnął. - Nasz wróg, kapitan Alima, się zbliża. Nie wiem, jak się do tego przyznać... ale pragnę go zabić.

Pień zadrżał, liście zaszumiały, a w umyśle Nadona odezwał się głos myślących drzew, łagodzący i wszechogarniający, mimo iż tym razem nie były zadowolone.

- Zabramiamy.

- On zabił Bafforry na Wzgórzach Cathor! To morderca, który nie zawaha się zabić ponownie. I to tylko po to, by polepszyć swą pozycję wśród innych morderców. Jego intencje są nieczyste.

- Jesteś kapłanem Ithor - odszepnęły drzewa. - Przysięgałeś honorować Prawo Życia. Nie możesz go zabić.

- On zabił waszych braci!

Nadon nie był pewien, czy drzewa go rozumieją: pojedynczy Bafforr nie miał zbyt wiele rozumu, ale łącząc się korzeniami z innymi tworzył inteligencję zbiorową i las Ithor był jednym z najinteligentniejszych tworów organicznych. Te kilka drzew, które tutaj rosły, żadną miarą nie mogły się z nim równać. Cóż, Nadon nie przyszedł po poradę; przyszedł po zgodę.

- Nasi bracia i tak z czasem by umarli. Alima jedynie przyspieszył ich koniec.

- On też nie jest nieśmiertelny, a ja właśnie chcę przyspieszyć jego koniec.

- Ty nie jesteś taki jak on. - W umyśle Nadona zapanował wszechogarniający spokój, stanowiący równocześnie nagrodę i ostrzeżenie. - Jeśli złamiesz Prawo Życia, nie zgodzimy się, żebyś nas dotykał.

- Przecież nie chcę go zabić własnoręcznie! - jęknął Momaw. - Polecę vesuvague'owi by go udusił, albo allethowi, żeby go zjadł. Albo arad go otruje.

- To są niższe formy życia, które posłuchają twego polecenia... Ostrzegamy cię jeszcze raz: nie wolno ci łamać Prawa Życia.

Głos ucichł, obecność w umyśle zniknęła i Nadon jęknął, zostając nagle sam. Nastąpiło to tak gwałtownie, że padł na ziemię, a z oczu popłynęły mu łzy.

- Przestań się mazać - rozległ się znajomy, choć dawno nie słyszany głos.

Pod okrągłą lampą, dającą światło zbliżone do księżycowego, stał mężczyzna w uniformie porucznika floty imperialnej i przyglądał się podejrzliwie szmaragdowoskrzydłym ćmom fruującym wokół. Alima postarzał się i przytył, choć policzki niezbyt mu się zaokrągliły, a za to obwisły. Jednak tę twarz Nadon rozpoznałby zawsze i wszędzie.

- To tylko drzewa, kapłanie - Alima machnął blasterem w kierunku Bafforów. - Ładnie się tu urządziłeś, jak widzę.

- Aja widzę, że nadal służysz złu, choć w nieco niższej randze - odparł Ithorianin wstając.

- Ta zmiana sporo mnie kosztowała - uśmiechnął się Alima. - Ale tylko dureń zdecydowałby się dowodzić flagowym okrętem lorda Vade-ra. Śmiertelność wśród otaczających go kapitanów, że o admirałach nie wspomnę, jest wprost niezwykła. Lord Vader jest jednak przewidujący i potrafi wykorzystać nawet zwykłego porucznika. Dlatego znowu się spotkaliśmy. Powiedz mi po starej znajomości, gdzie są droidy i kto je ukrywa. Zapłacę ci nawet za tę informację, niech już będzie.

- Zmarnujesz pieniądze, bo nie wiem, o jakie droidy ci chodzi-powiedział cicho Nadon, sprawdzając położenie przeciwnika: Alima stał w pobliżu kaktusa arod, ale aby znaleźć się dokładnie w zasięgu jego trujących igieł, powinien zrobić jeszcze ze dwa kroki.

Mając nadzieję, że posłuży za przynętę, Momaw cofnął się kilka kroków udając strach. Alima spojrział nań z politowaniem, wskazał lufą kaktus i spytał:

- Naprawdę uważasz mnie za aż takiego durnia?

Nie czekając na odpowiedź, zmienił nagle cel i nacisnął spust. Jeden z Bafforów eksplodował i płonąc zwałił się na ziemię. Fala bólu omal nie zwała Ithorianina z nóg.

- Radzę ci poszukać tych droidów. Masz w Rebelii przyjaciół, wykorzystaj ich. Jeśli do jutrzejszego wieczoru nie będziesz wiedział, gdzie są roboty i kto je ukrywa, przykleję ci powieki, byś nie mógł zamknąć oczu, i wibroostrzem po kolei poobcinam wszystkie gałęzie twoich ukochanych Bafforów. A ty będziesz musiał się temu przyglądać. A potem wrzucę tu ładunek termiczny i spalę całe to cholerne zielsko. Wprawdzie nie ma tu twojej rodziny, ale zniszczę coś innego, na czym ci tak samo zależy...- Zabiję cię! - stereofoniczny głos rozbrzmiał dziwnie głośno.

- Ty? Gdybym podejrzewał, że jesteś do tego zdolny, wziąłbym ze sobą żołnierzy. Nie, kapłanie: poddasz się i zrobisz co zechcę, dokładnie tak samo jak poprzednim razem. Tchórze i mięczaki nie zmieniają się - parsknął pogardliwie oficer, odwrócił się i wyszedł, nawet się nie oglądając.

Nadon przyglądał się temu z bezsilną wściekłością.

Gdy Alima opuścił dom, Nadon pospieszył do kępy Bafforów. Drzewo trafione z blastera już nie płonęło, ale po błękitnawej poświacie nie pozostało śladu - pień był czarny. Przyklęknął na osmolonym mchu i spytał:

- I co? Mogę go teraz zabić?

Liście zaszeleściły i cichy głos spytał:

- Co? Co się stało? Kto pyta?

Momaw westchnął - zostało sześć drzew, a Bafforów musiało być co najmniej siedem, by stworzyć grupową inteligencję. Nie wiedział, ile mogą w tej chwili zrozumieć, ale musiał spróbować.

- Momaw Nadon, przyjaciel. Nasz wróg zabił jedno z was. Chcę go za to ukarać.

- Nie możesz łamać Prawa Życia - zaszumiały liście. - Zabraniaemy. Nadon cofnął się, nie zamykając oczu na znak przyjęcia polecenia.

Może Bafforry miały ochotę ginąć za swoje zasady, ale on nie zamierzał się temu beczynnie przyglądać. Wobec tego miał do wyboru dwie możliwości: albo ustąpić, na myśl o czym poczuł wręcz fizyczny ból - albo walczyć. Pomasował nos, stymulując umieszczony u jego nasady gruczoł przyjemnościowy, dzięki czemu ból zmniejszył się na tyle, by mógł znowu logicznie myśleć.

Skoro Imperium tak zależało na tych robotach, było rzeczą pierwszorzędną wagi, aby ich nie dostało. Alima zaś był zbyt niebezpieczny, by pozwolić mu działać bezkarnie - i tak jego ślad znaczyły trupy i okaleczone ofiary, nawet tu, na Tatooine. Jeśli on, Nadon, nic nie zrobi, wkrótce tych ofiar będzie znacznie więcej, a prędzej czy później ktoś dostarczy mu informację o droidach. Nadon pogardzał przemocą, ale doskonale rozumiał konieczność powstrzymania Alimy, który nawet jak na oficera Imperium wyróżniał się okrucieństwem i bezwzględnością. Dla sił Imperatora była to niewielka strata, natomiast dla sił Rebelii zlikwidowanie poważnego zagrożenia. No i nie można mu było pozwolić na dalsze mordowanie bezbronnych i całkowicie niewinnych roślin. Rozwiązanie było tylko jedno - Alima musiał zginąć.

W sąsiedniej kopule włączył się system spryskiwaczy, co Nadon uznał za sygnał do wyjścia. Sprawdził, czy ma przy sobie pieniądze i skierował się ku drzwiom.

Ledwie znalazł się na ulicy, zauważył trzech szturmowców, którzy nawet nie próbowali udawać, że nie obserwują jego domu. Czerwone lampki kontrolne, palące się przy spustach karabinów laserowych, świadczyły, że broń ustawiona jest na pełną moc i pojedyncze trafienie wystarczy, by zabić. Na jego widok jeden z nich zakończył pogawędkę z pozostałymi i ruszył w ślad za nim.

Ulice były zatłoczone, bo niższa teraz temperatura odpowiadała większości ras. Żołnierz trzymał się blisko, mimo to Nadon zgubił go bez problemów przy przejściu przez ruchliwe targowisko. Jego celem był sklep, który powstał jako jeden z pierwszych na planecie, a w którym nigdy dotąd nie był. Właściciel, chudy i małomówny człowiek, znał się na tym, czym handlował, toteż w ciągu paru zaledwie minut Nadon stał się właścicielem ciężkiego blastera wraz z kaburą, którą mógł ukryć pod ubraniem.

Przez ponad godzinę Nadon wędrował po ulicach. Nie miał żadnego planu - liczył na to, że po prostu spotka Alimę i zastrzeli go od ręki. Wiedział, że sam też zginie, a potem oczywiście zginą wszystkie rośliny w jego domu. Nowy właściciel na pewno nie będzie się o nie troszczył, a najprawdopodobniej po prostu je usunie. Przynajmniej jednak nikt nie będzie ich torturował.

Z bronią ustawioną na pełną moc zaprzestał bezowocnych poszukiwań dopiero, gdy usłyszał syreny straży pożarnej dochodzące z kierunku, w którym znajdował się jego dom. Przez moment bał się, że Alima mimo wszystko już dziś podpalił rośliny, ale biegnąc w kierunku pożaru zorientował się z ulgą, że to płonie posiadłość Jabby. Leżała ona znacznie dalej, ale paliła się tak intensywnie, że z daleka można było się pomylić. Niebo zasnuwały kłęby dymu, a blask ognia oświetlał kilka najbliższych kwartałów. Woda na Tatooine była bezcenna, toteż władze z zasady nie gasiły pożarów, ponieważ nawet w rozpylanych chemikaliach tracono by jej zbyt wiele. Często jednak właściciele kupowali wodę od handlarzy, nie chcąc stracić dorobku swego życia, więc pod domostwo Jabby zjeżdżały się nie tylko wozy strażackie, ale i pojazdy prywatnych sprzedawców wody. Kto jak kto, ale król podziemia Jabba Hutt nie cierpiał na brak kredytów, za to o unikalnych zbiorach dzieł sztuki, jakie zgromadził, krążyły legendy. Nic więc dziwnego, że do pożaru ciągnęły tłumy ciekawskich.

Kątem oka w jednej z bocznych uliczek zauważył sylwetkę imperialnego oficera w charakterystycznej czapce i odwrócił się - to był Alima maszerujący w stronę pożaru. Nadon pospieszył równoległą ulicą, skręcił w boczną alejkę i wyjął broń. Kolba i spust nie były przystosowane do jego nadzwyczaj długich i cienkich palców, więc ledwie mógł wcisnąć palec za osłonę spustu, ale w sklepie nie było broni przerobionej dla potrzeb jego rasy - i tak był prawdopodobnie pierwszym Ithorianinem w dziejach Tatooine kupującym broń. Z pewnym zdumieniem stwierdził, że oba serca tłuką mu się w piersi jak szalone, gdy przytulony do ściany sprawdzał uliczki w trzech pozostałych kierunkach. Pusto - czyli dobrze, bo nie będzie świadków.

Z czwartej strony zwawym krokiem nadchodził Alima. Kiedy znalazł się nie dalej niż metr od niego, Nadon wycelował mu w twarz i kazał się zatrzymać. Oficer stanął spokojnie, spoglądając to na broń, to na niego.

- Wejdz w alejkę! - Nadon sam nie wiedział, czy chce go jak najszybciej zabić, czy najpierw powiedzieć mu, dlaczego zamierza to zrobić.

W końcu zdecydował się na to drugie, żywiąc cichą nadzieję, że tamten okaże skrucę. Musiał cały czas panować nad nogami, jako że dla Ithorianina naturalną reakcją na niebezpieczeństwo jest ucieczka.

- Cymbał! - warknął nagle Alima. - Jeżeli chcesz mnie zabić, to nie ustawiaj broni na ogluszenie! Nadon pamiętał, jak ustawił blaster, ale w głosie tamtego było tyle pogardy, że odruchowo

spojrzał na kontrolkę. Paliła się czerwona, oznaczająca pełną moc - nic się przypadkiem nie przełączyło w czasie drogi. Nim się zorientował, że popełnił błąd, Alima uskokzył i wyciągnął broń.

Błękitny promień przeciął mrok, trafiając Nadona między żołądkami i posyłając na ścianę. Przez moment przed oczyma stało mu białe słońce, a potem stwierdził, że leży na ziemi, a ktoś kopie go w prawą wypustkę oczną. Spróbował ją osłonić rękoma i jęknął.

- Takie pacyfistyczno-tchórzliwe ofiary stanowią zaiste śmieszny widok, próbując walczyć! - Kopniaki ustały. - Masz szczęście, że moja broń nie była nastawiona na pełną moc.

Nadon jęknął w odpowiedzi.

- Znajdź te droidy, masz czas do jutrzejszego wieczora! - warknął Alima, wycelował mu między oczy i nacisnął spust.

Nadon obudził się, czując pulsujący ból wypustek ocznych. Rozejrzał się ostrożnie: zaczynało świtać. Otarł rękawem z twarzy przyschniętą już miejscami krew i podniósł się na czworaki. Poczuł, że wszystko wokół wiruje, toteż czym prędzej oparł się o ścianę. Zdał sobie sprawę, jaki był głupi. Przez sekundę miał okazję zabić przeciwnika i zmarnował ją zamiast wykorzystać. Może istotnie był niezdolny do zabijania, mimo iż doskonale rozumiał, że to jedyny skuteczny sposób przeciwstawienia się Imperium...

Wstał i ruszył do domu, trzymając się na wszelki wypadek blisko ściany, bowiem dzwoniło mu w uszach.

Gdy wreszcie Mamow Nadon znalazł się we wnętrzu własnego domu, siadł w najbliższym stawku i obmył się z krwi. Przez noc wilgoć zebrała się na wewnętrznych powierzchniach kopał i teraz skraplała się jak rosa. Blask drzewa gorsy, pod którym usiadł, prawie zanikł, gdy fosforyzujące pomarańczowo kwiaty zaczęły się zwijać. Drzewo świeciło w mroku, przyciągając nocne owady... Uśmiechnął się - po Mos Eisley krążyła wieść, że w jego domu pełno jest drapieźnych roślin. Nie zaprzeczał tej pogłosce, uważając to za doskonały sposób odstraszenia rozmaitego kalibru złodziejasków, szczególnie zaś złodziei wody. Zresztą częściowo była to prawda, tyle że nikt, kto przebywał w sąsiedztwie roślin za jego zezwoleniem, nie miał najmniejszych powodów do obaw.

Podszedł do sąsiedniej kopuły, stanął przed szerokim czerwonym pnem, z którego zwisały girlandy pnącz i gałęzi, i polecił:

- Rozsuń gałęzie, przyjacielu.

Drzewo posłuchało, odsłaniając cztery ludzkie szkielety zwisające z rosnących najbliżej pnia gałęzi. Byli to pechowi złodzieje wody. Nadon przyklęknął, odszukał w trawie uchwyt i pociągnął, otwierając ukryte wejście do piwnicy. Kilkanaście prowadzących w dół stopni oświetlał łagodny blask automatycznej lampy. W podziemnym pomieszczeniu znalazło schronienie wielu Rebeliantów, a teraz on sam mógłby tam przeczekać całe zamieszanie. Jedynie rozebranie budynku mogło ujawnić starannie ekranowaną kryjówkę. Gdyby nawet Alima odpałał na górze ładunki zapalające, komuś przebywającemu w piwnicy nic by to nie zaszkodziło. Zapasy powietrza, wody i żywności wystarczyłyby na parę miesięcy.

Pokusa była silna, ale oznaczałoby to poświęcenie roślin - jeśli Alima go nie znajdzie, bez dwóch zdań dotrzyma słowa, a na to bez walki nie mógł pozwolić. Istniała zresztą pewna szansa, że mimo wszystko zdoła go jeszcze zabić...

Zamknął drzwi i postanowił uspokoić się przez ciąg dalszy Ceremonii Żniw. Spać nie mógł, choć był zmęczony, a doskonale zdawał sobie sprawę, że Alima wypełni swoje groźby. Jedyne, co mógł zrobić, to wywieźć część roślin, zwłaszcza te, które rokowały największe nadzieje na poprawę

ekologii Tatoonie. Bafforry nie mogły zostać uratowane, ponieważ wykopanie oznaczało dla nich śmierć. Ale Bafforry akceptowały swój los, a on nie. Przez lata przebywał tu, usiłując zmienić własne przekonanie, że trzeba walczyć z Imperium, próbował uwierzyć, że starsi planety Ithor mieli rację. Kiedy go osądzali, nie zgodzili się z jego wnioskiem, że Imperium to chwast, który należy zniszczyć. Byli przekonani, że ustąpił bez powodu; uważali, że Alima nie zniszczyłby wszystkich Bafforrów, że tylko straszył - nie posunąłby się do eksterminacji całego inteligentnego gatunku. Starsi gotowi byli wybaczyć Imperium. Z perspektywy lat i doświadczeń Nadona ogarniał pusty śmiech - Imperium niejednym inteligentnym gatunkiem zniszczyło do ostatniego osobnika, i to nawet nie myślące rośliny, lecz cywilizacyjnie rozwinięte gatunki istot równych Ithorianom.

Czasem, aby uratować drzewo, należało zabić zagrażającego mu robaka.

Nadon przez te wszystkie lata badań nad roślinnością walczył z Imperium najlepiej jak potrafił, choć nigdy dotąd nie był zmuszony zabijać. Teraz musiał zaryzykować. Wiedział, że na pewno nie będzie beczynnym czekać, aż go zniszczą.

Laboratorium było położone we wschodnim skrzydle; tam też przechowywał archiwa zawierające efekty wieloletnich badań. Z owocu hubby gourda wyjął kilka prawie przezroczystych nasion i za pomocą zminiaturyzowanych manipulatorów z czterech z nich usunął zygoty. Następnie z próbek genetycznych uzyskanych z drillera wyodrębnił dziewięć genów kontrolujących rozwój korzeni i włączył w łańcuch DNA zygot. W końcu umieścił zygoty w odżywczym płynie, by mogły spokojnie rosnąć. Uspokoiło go to mimo świadomości, że wkrótce większość jego prac zostanie zniszczona.

Po dwunastu godzinach Nadon wyszedł z laboratorium - było popołudnie i doszedł do wniosku, że czas się pożegnać. Wyruszył więc do lokalu, w którym Muftak o tej porze regularnie próbował się ochłodzić, co przy grubości jego białego futra nie było sprawą prostą.

Tak jak się spodziewał, Muftak był już na miejscu, a jego kumpelka Kabe pałętała się po lokalu, stopniowo upijając się sokiem z juri i nerwowo zerkając na kieszenie pozostałych gości.

Rozmawiali o nieistotnych drobiazgach (jeśli nie liczyć tego, że Muftak wreszcie dowiedział się, jakiej jest rasy), a Nadon cały czas był ponury niczym chmura gradowa. Nagle przy barze wybuchło zamieszanie - szkaradnie zeszpecony człowiek nazywany Evazan i jego aqualijski po-magier Ponda Babo naskoczyli na jakiegoś młodego farmera, najwyraźniej szukając pretekstu do łatwego morderstwa. Chłopaka nikt tu nie znał, zresztą dopiero co się pojawił w towarzystwie starego mistyka Bena Kenobiego. Nadon spotkał Bena Kenobiego wcześniej, gdy ten robił jakieś zakupy, a teraz zwrócił na niego uwagę tylko dlatego, że próbowali razem z chłopakiem wprowadzić do lokalu dwa roboty, czemu barman stanowczo się sprzeciwił. Napastnicy przesiadywali w knajpie od paru tygodni, czekając nie wiadomo na co. Evazan niespodziewanie pchnął chłopaka wywracając stół, Ponda wyciągnął miotacz, a Wuher wrzasnął:

- Żadnych miotaczy czy blasterów!

Co wszyscy naturalnie zignorowali. Ben uaktywnił dawno zapomnianą broń - miecz świetlny i doskonale płynnym ruchem odciął rękę Babie i rozpruł pierś Evazana. A potem pomógł chłopakowi wstać i wyłączył broń. Obaj zniknęli w jednym z tylnych pokoiów, rozmawiając z przemytnikiem Hanem Solo i jego współnikiem Chewbaccą. *i* - Chyba już pójdę - ocenił Nadon - zaczyna się tu robić gorąco.

- To w takim razie ostatnia kolejka za dawne czasy - zaproponował Muftak. - Ja stawiam.

Propozycja była tak niecodzienna, że nie odważył się odmówić, a Muftak nie dotrzymać słowa.

Toteż siedzieli nadal przy nowych drinkach, gawędząc o drobiazgach. Ben z towarzyszem skończyli rozmowy z Solo i Nadonowi nagle coś zaczęło świtać: po co samotnik z Pustkowi Jundland zjawiał się nagle w mieście z nie opierzonym młokosem, szukając transportu międzyplanetarnego? Potem przypomniał sobie dwa droidy, które Wuher wyrzucił z lokalu, i sprawa stała się jasna: znał odpowiedź, której szukał Alima.

A potem Kenobi przeszedł obok i spojrzał mu spokojnie w oczy, jakby wiedział, co on, Nadon, myśli. Nie odezwał się słowem, ale jego spojrzenie było wystarczająco wymowne.

- Dlaczego on na ciebie patrzył jak Tusken Raider na szarżującego banthę? - spytał Muftak, gdy Kenobi wyszedł.

- Nie mam pojęcia - odparł Momaw, opuszczając wzrok, zawstydzony: obiecywał sobie, że nie podda się Alimie, a prawie to zrobił; co prawda jedynie w myślach, ale to nie miało większego znaczenia.

W milczeniu rozejrzał się po klientach - jeśli on domyślił się prawdy, to i inni też mogli. Kenobi pojawiał się rzadko i na szczęście niewielu mogło go rozpoznać. Pociuszające też było, że nikt za nim nie wyszedł. Z zamyślenia wyrwał go zadziwiająco lekki dotyk - Muftak delikatnie położył mu masywną dłoń na ramieniu.

- Obawiasz się czegoś, przyjacielu - powiedział cicho. - Mogę ci jakoś pomóc?

We wnęce, w której siedział Solo, nagle błysnęło i huknęło; zanim rozwiął się dym wystrzału z blastera, Han wyszedł chowając broń do kabury. Rzucił Wuherowi monetę jako wynagrodzenie za bałagan i wyszedł.

- Chyba rzeczywiście lepiej pójdę - zdecydował Ithorianin. - Wolałbym nie być w pobliżu, jak Imperialni zaczną tu śledztwo.

Muftak przytaknął, drapiąc się po kudłatym ciemieniu.

Nim Momaw Nadon dotarł do domu, słońca prawie skryły się za horyzontem. Pozostało mu niewiele czasu na akcję ratunkową, toteż spieszył się jak mógł, wynosząc tylnym wyjściem i chowając w zakamarkach sąsiedztwa co cenniejsze próbki i rośliny. Powinny przeżyć pożar, a jeśli nikt ich rozmyślnie nie zniszczy, będą żyły i później. Poza paroma szturmowcami obserwującymi dom, ulice prawie opustoszały - nikt, kto nie musiał, nie wychodził w ostatnich chwilach upału. Nadon obiecał sobie, że kiedy to się skończy, wróci na Ithor i poważnie zajmie się nieżyłymi starcami i ich głupimi tradycjami. Jego zaszyte oczy i szczątki spalonych drzew muszą przekonać najbardziej upartych, że Imperium stało się potworem, z którym należy walczyć. On zdawał sobie z tego sprawę już dawno, ale co innego wiedzieć, a zupełnie co innego mieć fizycznie do czynienia z Alimą. Jedyne, co pozostało, to przekonać innych - pomimo braku uzbrojenia Ithorianie nie byli tak głupi i bezbronni, za jakich uważał ich Alima. Chociaż sami raczej nie zdolni do walki, mogli pomóc Rebelii tak finansowo, jak i technicznie - różnymi wynalazkami, których militarnego wykorzystania nikt nawet nie podejrzewał. Drobne zło powinno przynieść zupełnie nieoczekiwane owoce. Nadon zaczął optymistyczniej spoglądać w przeszłość.

Zwłaszcza że powrót na Ithor oznaczał spotkanie z żoną i synem. Najbardziej było mu żal nie tyle lat spędzonych w samotności, bo zniósł to lepiej niż myślał, ile zmarnowania wyników badań nad polepszeniem ekologii Tatoonie. Wszystkiego nie zdoła uratować. Dla Itho-rianina życie to praca - Alima, niszcząc jego pracę, w pewien sposób zniszczy część jego samego.

Przenosił akurat jedną z roślin na drugą stronę ulicy, gdy z niedalekiego portu kosmicznego dobiegły odgłosy stłumionej, ale nader intensywnej strzelaniny. Pilnujący dotąd jego domu żołnierze

pognali w jej kierunku, a po paru sekundach jakiś statek przemknął z jękiem silników nad osiedlem. Nadon uniósł głowę zaskoczony: piloci wprawdzie latali tu po wariacku, ale nie aż tak. Rozpoznał „Sokoła Milenium” Hana Solo, któremu najwyraźniej strasznie się spieszyło. A to mogło oznaczać tylko jedno: Ben Kenobi i droidy byli na jego pokładzie. Gdy upewnił się, że „Sokół” bezpiecznie odleciał, ruszył biegiem w kierunku portu kosmicznego.

Przed jednym ze stanowisk parkingowych, a raczej przed prowadzącą doń bramą, jakiś kapitan rugał kilkunastu żołnierzy i przedstawicieli władz portu, aż huczało.

- Kto, do ciężkiej i niespodziewanej cholery, pozwolił im uciec?! - zakończył oficer. - Ostrzegam, że ktoś za to odpowie i na pewno nie będę to ja!

Nic dziwnego, że ochotników nie było, za to Nadon dostrzegł wśród przysłuchujących się ciekawskich Alimę. I nagle go olśniło: nie łamiąc Prawa Życia wykorzysta zło Imperium do własnych celów. Czyli do powstrzymania Alimy.

- Panie oficerze - zawołał, zbierając się nagle na odwagę. - Ostatniej nocy poinformowałem pana porucznika Alimę, że frachtowiec niejakiego Hana Solo będzie dziś startował z dwoma droidami na pokładzie. Podejrzewam, że zaniedbanie tego oficera w wypełnianiu obowiązków stało się powodem pańskich problemów.

Mając doskonałą pamięć, Nadon mógł kłamać do woli i często z tego korzystał. W odróżnieniu od większości kłamców nie sposób było go złapać na pomyłce nawet przy wielokrotnych przesłuchaniach.

- Nie! - krzyknął Alima, spoglądając na niego z autentycznym przerażeniem.

Kapitan spojrzał ku niemu, rozpoznał go i uśmiechnął się. Od tego uśmiechu Nadonowi zrobiło się zimno, a szturmowcy pospiesznie odsunęli się na boki.

- Powtórzysz pod przysięgą to, co przed chwilą powiedziałeś, obywatelu? - spytał kapitan, spoglądając na Nadona.

- Naturalnie.

Przed sądem wojskowym będzie jego słowo przeciwko zeznaniu Alimy, jako że spotkali się tylko we dwóch. Alima powinien w swojej książce meldunkowej zapisać to jako spotkanie z informatorem. Ithorianie często byli w ten sposób wykorzystywani, ciesząc się w Imperium opinią pacyfistycznych tchórzy. Dodatkowo na korzyść Nadona świadczyło to, że już raz Alima wymusił na nim informacje, na których mu zależało. Skoro udało mu się raz, musiało udać się drugi, zwłaszcza jeśli posunął się do spalenia drzewa i pobicia, na co były dowody. W najgorszym razie Alima zostanie zdegradowany, w najlepszym uwięziony - w obu wypadkach unieszkodliwiony. A to było dokładnie to, o co Nadonowi chodziło.

- Wie pan, poruczniku, co zrobiłby lord Vader, gdyby tu był? - spytał spokojnie kapitan i nim zapytany zdążył odpowiedzieć, wyjął z kabury blaster i wypalił trzykrotnie w pierś Alimy.

Po tej kanonadzie Alima praktycznie przestał mieć cokolwiek między nogami a głową. Nadon spoglądając na dymiące szczątki zrozumiał, że kapitan nie potrzebował winnego - potrzebował kozła ofiarnego.

- Musisz złożyć zeznanie pod przysięgą - odezwał się kapitan chowając broń.

Szturmowcy zaczęli się rozchodzić, kierując się w kierunku transportowca, by opuścić planetę, a Momaw stał nie mogąc się ruszyć. Cały czas miał w uszach treść Prawa Życia: „Za każdą zniszczoną przy zbiorach roślinę muszą być posadzone dwie inne!”.

Wiedział, że to, co zrobił, wymagało pokuty - miał na rękach krew przedstawiciela inteligentnej rasy, choć sam go nie zabił. Bafforry powinny zrozumieć i wybaczyć, jeśli zastosuje się do treści najważniejszej z reguł. Toteż zanim zjawili się imperialni medycy, podszedł do trupa i za pomocą pary złotych igieł, jakie zawsze przy sobie nosił, pobrał próbki genetyczne. Na Ithor były czynne zbiorniki klonujące, o czym Imperium nie wiedziało. Jako karę wychowa dwóch nowych Alimów. Może będą mądrzejsi od oryginału, może nawet uda mu się tak ich wychować, by zostali kapłanami przestrzegającymi Prawa Życia.

Schował igły i skierował się ku domowi - miał wiele do zrobienia, nim opuści Tatoonie. Zacznie od złożenia oficjalnego zeznania, a skończy na rozsianiu poprawionych nasion hubba gourd na pustkowiach. Od strony pustyni powiał wiatr niosący drobiny piasku. Nadon zamknął oczy i przypomniał sobie pożegnanie z żoną, gdy opuszczał Ithor.

- Jeśli kiedykolwiek wrócisz, będę czekała - takie były jej ostatnie słowa.

Po raz pierwszy od lat Momaw Nadon był wolny i czuł się dziwnie lekko i radośnie.

Wracał do domu.

BIZNES JEST BIZNES

Opowieść barmana

David Bischoff

Idąc do pracy w „Kantynie” Portu Kosmicznego w Mos Eisley, zwanej popularnie spelunką albo i gorzej, Wuher został napadnięty. Co gorsza, zaczepiający należał do najbardziej nie lubianej przez Wuhera grupy wśród tej zbieraniny śmieci, rzezimieszków i mętów, z której składała się społeczność Mos Eisley. Gdy maszerował alejką wychodzącą na tylne wejście do lokalu, z cienia przy ścianie wysunął się manipula-torek, łapiąc go za kurtkę delikatnie, ale na tyle stanowczo, by go zatrzymać. Wuher odruchowo sięgnął po przyczepioną do pasa pałkę. Każdy, kto chadzał bocznymi uliczkami Mos Eisley, miał przy sobie jakiś materialny argument na wypadek niespodziewanej dyskusji gdzieś z dala od ciekawskich oczu. Tym razem jednakże pałka nie była potrzebna. Napastnika zdradził głos - był to droid.

- Nie chcę panu zrobić krzywdy, tylko pokornie proszę o udzielenie mi azylu.

Wuher mrugnął i przetarł zapuchnięte oczy - wczoraj trochę przesadził z testowaniem wyników własnych destylacji i dziś nie dość, że zasnął, to był w nie najlepszej formie, zwłaszcza umysłowej. Zawsze zresztą odruchowo się jeżył, słysząc skamlania o wsparcie.

- Puszczaj! - warknął. - Kim ty do cholery jesteś?

Wuher z natury był ciekawski, co zresztą było jednym z powodów, dla których Chalmun, właściciel lokalu, go zaangażował. Powodem głównym było przejawiane przez Wuhera zainteresowanie eksperymentami natury chemicznej, co u każdego dobrego barmana było mile widziane.

- Jestem C2A4 - odparł głos, któremu towarzyszyła dziwna mieszanka pisków i gwizdów. - Uciekłem Jawom, którzy chcieli mnie rozebrać na części zamienne, mimo iż jako całość jestem nadzwyczaj użyteczny, że nie wspomnę o wartości, jaką przedstawia moja świadomość. Tak się szczęśliwie złożyło, że użyli skorodowanego ogranicznika, który odpadł, dzięki czemu mogłem uciec. Wuher wszedł w cień wyęzając oczy. Na szczęście słońca jeszcze nie całkiem wzeszło, więc charakterystyczna dla tej planety oślepiająca jasność nie utrudniała zbytnio widzenia. Wśród sterty odpadków, metalowych pojemników i plastikowych beczek stał jeden z najdziwniejszych robotów, jakie w życiu widział, a naoglądał się ich zdecydowanie za dużo.

- Co za pokraczny złom! - W głosie barmana było tyle pogardy, że manipulator czym prędzej się cofnął.

- Wcale nie złom! - zaprotestował droid. - Nie pierwszej świeżości, to prawda, ale zapewniam, że jestem w pełni sprawny. Nie jestem także typowy, a moja obecność na Tatooine jest wynikiem kosmicznego nieporozumienia.

Droid był niski i okrągły niczym fragment walca, podobnie jak astro-nawigacyjne R2, ale na tym podobieństwo się kończyło. Jego kadłub był pełen opływowych i kanciastych dodatkowych urządzeń,

wśród których znajdowały się dwa elastyczne manipulatory i dwa tworniki pełne sensorów. Mniej więcej na środku głowy miał otwór przesłonięty siatką, za którą widniały ostre, choć nierówne stalowe zęby. Całość wyglądała na poskładaną po pijanemu przez jakiegoś podwórkowego hobbistę. Robot sprawiał wrażenie, jakby ktoś standardowego R2 przerabiał stopniowo w miarę powstawania jakichś sobie tylko znanych potrzeb. W dodatku musiał to być ktoś pozbawiony zdolności technicznych, bo całość wyglądała, jakby się miała lada moment rozlecieć.

- Momencik - zdziwił się Wuher. - Wyglądasz jak R2, a gadasz jak protokolarny, co jest grane?

- Mam komponenty z obu typów, a także z kilku innych, o których nie wspomniałeś. Moimi specjalnościami są: przygotowywanie posiłków, katalityczna konwersja paliwa, enzymatyczny rozkład strukturalny, chemiczne diagnozowanie składu związku i akceleracja rozkładu bakteryjnego. Jestem także doskonałym mieszaczem trunków, opiekaczem i mogę przygotować wystawne przyjęcie z codziennych śmieci.

Wuher wytrzeszczył oczy na zautomatyzowaną składankę, próbując odzyskać głos.

- Przecież jesteś droidem! - wykrztusił w końcu. - Nienawidzę droidów!

- Mogę ci się nadzwyczajnie przydać!

Wuher popatrzył na niego z politowaniem, zastanawiając się, dlaczego traci czas. To musiała być ta przekłeta ciekawość.

- Posłuchaj, mechaniczny śmieciu: nienawidzę was, podobnie jak mój szef. I to z konkretnych powodów: niby jesteście inteligentni, ale po mojemu to oszustwo. Wyglądacie jak ruchome bomby i w dziewięciu przypadkach na dziesięć wybuchacie, najczęściej przy właścicielach. Pewnie ze złościwości. A teraz zjeżdżaj mi z drogi. Mam robotę, która sama się nie robi.

I pchnął nogą natręta, aż ten odjechał piszcząc w najciemniejszy kąt.

- Proszę wybaczyć, jeśli w czymś pana uraziłem! - dobiegło z kąta. - Proszę się zastanowić. Będę tu cały dzień, bo muszę naładować baterię, a nie chcę wychodzić, żeby mnie Jawa nie znaleźli. Proszę udzielić mi azylu, a przysięgam, że pan nie pożałuje!

- Przysięgi droidów! Patetyczne i bez sensu - parsknął Wuher i ruszył w swoją stronę.

Po drodze doszedł do wniosku, że był to ostateczny dowód, iż nie należy łązić na skrót - zyskiwał przez to parę kroków, a musiał przejść przez zaułki, gdzie mogło człowieka jedynie spotkać coś niemiłego. Miasto się budziło. Zmarnował mnóstwo czasu i gdy wyszedł z alejki, znalazł się - jak zwykle o tej porze - w chmurze kurzu, przez którą paliły promienie obu słońc. Ryki silników dochodzące od strony portu świadczyły, że tam też już się zaczął dzień, a smród był znacznie silniejszy w gorącu niż w klimatyzowanym wnętrzu, w którym spędzał większość czasu. Mos Eisley śmierdziało paliwem kosmicznym i odorami rozmaitych obcych ciał, egzotycznych przypraw, zwyczajnego moczu i gnijących odpadków. Na ulicach widać było dzisiaj zdecydowanie więcej pojazdów i nieprzyjemnie dużą liczbę szturmowców. Coś wisiało w powietrzu, tylko nie wiedział co.

Nie widział też powodów do zmartwień - większy ruch oznaczał większą kasę, a to był powód do radości tak dla niego, jak i dla Chalmuna. Maszerując rażno mimo upału, nadal nie mógł zapomnieć mechanicznego natręta. Droidy generalnie były nieszkodliwe i bez sensu było ich nienawidzić. To tak, jakby nienawidzić kibla czy pieca. Tyle że piec nie gadał i nie robił za inteligenta. Z drugiej strony droidy, w przeciwieństwie do większości Obcych, nie wierzyły w nic, nie miały etycznej czy rasowej struktury lub uprzedzeń. Co prawda niektórzy Obcy też mieli podobne podejście, ale rzadko. Prawda zaś była prosta: droidy nie mogły się bronić i były łatwym celem.

A Wuher potrzebował kogoś, na kim mógł się bezkarnie odegrać.

Jako chłopak został porzucony w Mos Eisley wśród Obcych, którzy nie lubili ludzi. Dopóki nie wyrósł, drwiny, kopniaki i popychania były dlań codziennością. Jego szef nie znosił droidów z prozaicznego powodu - roboty nie piją i nie jedzą, a zajmują miejsce, toteż wprowadził zakaz wpuszczania ich do lokalu. Wuher nienawidził wszystkich, ale tylko droidy mógł bezkarnie wykopywać z knajpy (pod warunkiem, że nie były to droidy-zabójcy, ale takich na szczęście było niewiele). Odkąd dorósł, przedstawiciele innych ras zostawiali go w spokoju, był bowiem masywny i regularnie nie dogolony, a trudna młodość nauczyła go chamstwa w zachowaniu i w mowie. Pałę nosił przy sobie od dawna i używał jej regularnie, toteż choć nie darzono go szacunkiem, zostawiano w spokoju. Dotyczyło to stałych bywalców - goście przyjezdni zachowywali się różnie i reakcje Wuhera też były różne. Nauczył

...się też panowania nad mięśniami twarzy i nad wyrazem oczu, w których naprawdę trudno było cokolwiek wyczytać.

Miał jedno skryte marzenie, któremu poświęcił parę ładnych lat starań i jak dotąd bezowocnych wysiłków. Chciał mianowicie polecieć do gwiazd, co wymagało znacznie większych dochodów niż dawała posada barmana łącznie z napiwkami. Wuher znalazł sposób na dodatkowe zarobki, ale jeszcze go do końca nie zrealizował.

Rozmyślenia o świetlanej przyszłości przerwał mu znajomy do obrzydliwości widok grzybopodobnej budowli z lanego kamienia. Podeszedł do tylnego wejścia, identyfikatorem odblokował drzwi i ostrożnie zszedł po pogrążonych w półmroku stopniach do piwnicy. Dopiero na dole włączył światło, bo ktoś tak genialnie umieścił wyłącznik - i pociągnął nosem. W piwnicy nie było wilgoci. W żadnej piwnicy na Tatooine nie było wilgoci, chyba żeby ktoś się naprawdę wybitnie starał i stracił majątek na wodę. Był natomiast zapach ziemi, który stanowił tło dla innych woni, roztaczanych przez liczne aparatury rektyfikacyjne. Tych domowych minibimbrowni stało na stołach i regałach ponad tuzin. Wykonane były z rozmaitych materiałów, ponieważ służyły otrzymywaniu rozmaitych trunków. Powód powstania tej wytwórni był prozaiczny: Chalmun, oszczędny do przesady, importował tylko naprawdę niezbędne płyny lub ingrediencje spoza planety. Przytłaczająca większość serwowanych drinków była pochodzenia lokalnego lub wręcz miejscowego, czyli piwnicznego.

Wuher nie miał zbyt wiele czasu do otwarcia lokalu, ale najpierw zrobił to, co najważniejsze, jak codziennie, odkąd wpadł na pomysł szybkiego wzbogacenia się. Wszedł do niewielkiej niszy, do której nikt prócz niego nie miał wstępu, i włączył małą lampkę. Na stole stała aparatura, w której skonstruowanie włożył całe swoje umiejętności i sporo gotówki, nie oszczędzając na materiałach. Sprawdził skład na czujnikach i pociągnął nosem: pachniało jakby starymi skarpetkami, a więc zapowiadało się nieźle. Czujniki wskazywały prawie idealne proporcje składników w stosunku do założeń, co też było przyjemną niespodzianką. A pod spiralną chłodnicą stała sobie spokojnie spora kolba z niewielką ilością ciemnozielonego płynu. Teoretycznie powinno to być to.

Jego bilet do gwiazd, czyli doskonały napój, idealnie przystosowany do wymagań kubków smakowych Jabby. Gdyby mu się udało stworzyć napój alkoholowy dostosowany do smaku szefa podziemia, miałby zapewnioną przyszłość jako osobisty barman, a zarobki w pałacu Jabby, nie mówiąc już o honorarium za przepis, wystarczyłyby na wydostanie się z tego kosmicznego zadupia i otwarcie lokalu na jakiejś przyzwoitej planecie. Najlepiej wakacyjnej, ale na to już nie liczył - każde marzenie ma swoje granice. Pozostało tylko jedno - spróbować tego, co wyszło, bo odczyty

odczytami, a smak smakiem.

Starając się opanować drżenie, wyjął z kolby korek, przez który prowadziła rurka od chłodnicy, pipetą nabrał niewielką ilość zielonego płynu i czym prędzej umieścił korek na swoim miejscu. Jeśli mu się udało, świetlana przyszłość osobistego podczaszego Jabby albo prywatnego producenta alkoholi znajdowała się w zasięgu ręki. Zebrał się na odwagę i spuścił kroplę płynu na język. Zapiekło, bo spalił sobie parę kubków smakowych, ale wytrzymał. Moment później był w stanie rozróżnić smaki: rotwart, skusk i mummery - gorzkie i ostre aromaty, po których dopiero nadszedł smak alkoholu.

Wuher jęknął. To nie był dokładnie ten smak. Przystudiował gruntownie wszystkie ulubione drinki Jabby i opracował teoretycznie idealną mieszankę, której smak powinien być dla Jabby czystą przyjemnością. W tym, co właśnie przetestował, brak było czegoś, czegoś istotnego... po prostu cienia zapachu, czegoś tak nieuchwytnego jak aromat przyjemnej dekadencji...

Klnąc pod nosem, Wuher odłożył przyrządy i sięgnął po fartuch. Zniechęcony skierował się ku schodom prowadzącym do lokalu.

- Wody! - zażądał przez translator zielony obcy. - Butelkowanej, destylowanej i bez oszustw! Płacę za prawdziwy towar, a gwarantuję, że wyczuję kant!

Wuher skrzywił się lekko - coś tu śmierdziało, a nie były to maniery Zielonego Ryja.

- Jak chcesz - mruknął. - Płacisz i wymagasz, ale wyglądasz na kogoś, kto pija mocniejsze trunki, chłopie.

- Tylko bez wyzwisk! - warknął zielony, kładąc trąbkowate uszy po sobie. - Pijam różne trunki, ale tylko od prawdziwych barmanów, ty ludzki śmieciu.

Nim Wuher zdążył się odezwać, z boku wyrosła znajoma postać z pokancerowaną gębą i włączyła się do rozmowy:

- Ten facet robi całkiem porządne drinki, a możesz mi wierzyć, że próbowałem w różnych miejscach. Jestem doktor Evazan i mam wyrok śmierci w dwunastu systemach, z czego wynika, że dużo podróżuję. A ty masz może coś przeciwko ludziom, robaczku?

Wuher zamknął z trzaskiem usta i podziękował skinieniem głowy za solidarność rasową. Zielony był Rodianinem i uważał się za łowcę nagród, co mogło być niebezpieczną mieszanką, ale Evazan miał coś w rodzaju klasy, więc widział, kiedy spauzować.

- Nonsens - odparł Rodianin, stawiając wypustki, które zaczęły się obracać niby anteny satelitarne. - Ludzie jak ludzie. Tyle że żaden człowiek nie ma prawa być dobrym barmanem. Tę śpiewkę Wuher znalazł na pamięć i to od dawna - konkretnie od pierwszego dnia, gdy zapisał się do korespondencyjnej szkoły barmanów. Wszyscy mu mówili, że człowiek ma za mało zmysłów, a te - które ma, są zbyt mało subtelne, by serwować drinki przedstawicielom niezliczonych ras, biosfer i metabolizmów, o indywidualnych upodobaniach smakowych nie wspominając. Nie dość, że barman musiał mieć doskonałą pamięć, to w dodatku powinien być ksenoalchemikiem. Przy tak różnorodnych, a czasami unikalnych procesach biochemicznych, zachodzących w organizmach rozmaitych istot, to, co dla jednej było nektarem, dla innej stanowiło truciznę - choćby zwykłe, uczciwe piwo dla Jabby. Problem polegał jednak nie na tym, że ludzie nie nadawali się do tego zajęcia - po prostu im się nie chciało. W dodatku w czasach starej Republiki znalazło się paru barmanów-ludzi, którzy powoli, lecz systematycznie wytruli swoich przeciwników, korzystając z okazji, jakie stwarzał im zawód.

Rodianin dodał jeszcze coś obraźliwego pod jego adresem i Wuher nagle miał dość.

- Słuchaj no, cwaniak: jak ci się nie podoba, to idź do szefa do biura, tam wisisobie na ścianie mój ładnie oprawiony dyplom.

- A pójde - zaperzył się tamten. - I dopilnuję, żebyś stąd wyleciał. Masz to jak w banku: mój chlebowca, a jest nim Jabba Hutt, wysoko mnie ceni. Zapamiętaj: jestem Greedo i jeszcze ze sobą nie skończyliśmy. A teraz dawaj moją wodę! Bo jak nie, to sam sobie wezmę.

Jakby na poparcie tej groźby Rodianin przechylił się przez kontuar. Wuhera, który właśnie miał go spytać, czy nie wolałby dostać w łeb, aż zatkało - odór uderzył w niego z całą siłą. Coś w nim było... coś odpychającego i znajomego... Cofnął się odruchowo, próbując dojść do ładu z własnymi zmysłami i niejako automatycznie zrealizował zamówienie, stawiając na blacie żadaną butelkę.

- Tchórz! - parsknął tamten, biorąc butelkę i zostawiając na blacie garść drobnych.

A potem oddalił się do jakiegoś ciemnego kąta.

Wuher nawet nie zwrócił uwagi na obelgę. To musiały być feromo-ny, ale bardzo nietypowe: podobnego zapachu w życiu nie czuł, a nos miał naprawdę wyczulony i dobrze wytrenowany. Było jednocześnie w tym zapachu coś znajomego, coś, co nie dawało mu spokoju, ale nie mógł sobie uświadomić dlaczego...

Przez następnych kilka minut automatycznie serwował żądane napoje, nadal próbując zidentyfikować natrętny aromat. Nalał drinki orkiestrze, której występy ku jego zaskoczeniu poprawiały atmosferę, potem jakąś miksturę Babie, wino siostrom Tonnika i gazowo-ciekły specjał dla Devaronianina. Dopiero pomocnik pociągnął go za rękaw i wyrwał z tego stanu.

- Czego??

I - Tamten maolat ma ze sobą dwa droidy. Czujnik nie ma wątpliwości - zameldował Nartanianin, pozostałymi trzema kończynami nadal myjąc szklanki.

- Dzięki, Nackhar - mruknął Wuher, przyglądając się zadymionemu wejściu.

Rzeczywiście na szczycie schodów stał starszy facet w towarzystwie młodego wsioka i pary droidów - złotego protokolarnego i pękatego R2. I - Takich tu nie obsługujemy! - warknął Wuher podnosząc głos, żeby być wyraźnie słyszany, a widząc, że do chłopaka nie do końca dotarło, dodał: - Twoje droidy: nie chcemy ich tu!

Oba roboty posłusznie wyszły.

Sprawiło mu satysfakcję, że tak się grzecznie wyniosły, a mimo to patrząc jak wychodzą poczuł jakiś niepokój. Po chwili przypomniał sobie tego droida w alejce. To wspomnienie i zapach Rodianina jakoś były ze sobą powiązane. Podekscytowanego barmana tak to pochłonęło, że dopiero szarpnięcie za ramię przywróciło go do rzeczywistości - chłopak od droidów chciał wody. Rad nie rad obsłużył marnego klienta, potem do baru podszedł Ranat, jeszcze ktoś i jeszcze.

Że coś jest nie tak, uświadomił mu dopiero głośny łomot - Evazan pchnął młodzika na stół kasując mebel i część zastawy, a stary przysunął się do napastnika, coś mu mówiąc. W następnej chwili Ponda Baba sięgnął po miotacz i Wuher wrzasnął rozpaczliwie:

- Żadnych miotaczy czy blasterów!

A potem coś zaświeciło, promień z miotacza wypalił dziurę w suficie, a na podłodze wylądowała broń wraz z częścią trzymającej go kończyny aqualianina. On sam i Evazan czym prędzej wycofali się na czworakach za narożnik bufetu. Stary pomógł chłopakowi wstać, gasząc jednocześnie tajemniczą broń, a zespół ożył wypełniając muzyką ciszę, jaka nagle zapadła.

- Nackhar, posprzątaj resztki - polecił Wuher pomagierowi. Evazana nie lubił, jak zresztą wszyscy - było w nim coś zбочzonego i odpychającego, niezależnie od zniekształconej upiorną blizną

twarzy. Ale żeby kończyły jego współnika walały się po podłodze, o miotaczach nie wspominając - to już przesada. Niecodzienne było tylko jedno - że leżała odcięta kończyzna, a nie martwy Baba. Nieporozumienia towarzyskie, w których sięgano po broń, z reguły kończyły się zejściem przynajmniej jednej ze stron. Spokój panował tylko wtedy, gdy Chal-mun był w lokalu - nie lubił bijatyk, bo źle wpływały na konsumpcję, a nikt nie był na tyle szalony, by denerwować Wookiego.

Co prawda akurat był na miejscu inny Wookie, i to młodszy, ale ten pilnował wyłącznie własnych spraw i swego partnera, Hana Solo, cieszącego się reputacją solidnego przemytnika. Zanim Wuher sprawdził co z Evazanem i Ponda, do lokalu wkroczyli najmniej pożądani goście: dwaj szturmowcy. Naturalnie od razu podeszli do baru.- Podobno była tu jakaś bójka? - spytał jeden z nich, choć brzmiało to bardziej jak stwierdzenie.

Ocenić intonację było trudno, bo elektroniczne syntetyzatory głosu, w jakie wyposażano hełmy szeregowych żołnierzy, nie przekazywały takich subtelności.

- Była - przyznał Wuher, rozglądając się. Po uszkodzonych nie został nawet smród, za to stary i chłopak gadali sobie w najlepsze z Hanem i jego kosmatym pierwszym oficerem. - Ci dwaj, ten chłopak i ten stary, byli w to zamieszani.

W obecności szturmowców wszyscy robili się nerwowi, co źle wpływało na konsumpcję. Sami przeważnie nic nie zamawiali, a jeśli już, to nigdy nie dawali napiwków, toteż Wuher dawno przyjął zasadę, by spławiać ich jak najuprzejmiej i jak najszybciej. Teraz też poskutkowało - skierowali się ku wskazanej wnęce, a po chwili wyszli na zewnątrz.

Nalał sobie w nagrodę piwa, co skutecznie zmniejszyło objawy kaca, o którym w tym zamieszaniu zapomniał. Obsługując kolejnych gości zupełnie automatycznie, pomimo nieco oryginalnych zamówień, zajął się próbą odnalezienia związku łączącego w jego podświadomości zapach feromonów bezczelnego Rodianina z proszącym o ochronę droidem.

Rozważania przerwał mu błysk i huk blastera.

Wszyscy jak na komendę odwrócili się ku właściwej wnęce. Wszedł z niej Han Solo, wsuwając broń do kabury, i skierował się do baru.

- Za bałagan - rzucił Wuherowi dwukredytówkę i skręcił do drzwi.

Normalnie barman złapałby ją w powietrzu, ale za bardzo był pochłonięty tym, co Solo za sobą zostawił, i moneta z brzękiem upadła na kontuar. Na stole we wnęce na wpół leżał bezczelny Rodianin z dymiącą dziurą zamiast pleców. Widok ten sprawił Wuherowi sporą satysfakcję (większą dałoby jedynie pociągnięcie za spust, ale takich rzeczy bannan nie powinien robić z czysto zawodowych względów). A następnie go olśniło: smród i droid!

Nagle zaczęło mu się spieszyć.

- Nackhar! - wrzasnął, zdejmując fartuch.

- Tak? - niewysoki pomocnik wyrósł obok jak wyczarowany. - Chal-mun powinien kazać im zostawiać broń przy wejściu, prawda?

- Słuchaj, muszę na chwilę wyjść, a ty masz zadanie do wykonania. W żadnym wypadku nie pozwól tu niczego przeszukiwać, ani tym bardziej wynosić, rozumiesz? Masz przegonić każdego, kto będzie próbował. Trup ma tu leżeć nietknięty do mego powrotu, jasne?

- Ttaaak... - wykrztusił zaskoczony Nackhar. - Ale policja...

- Może go sobie obejrzyć na miejscu: ślepy by zobaczył, od czego zginął, a wszyscy widzieli, kto go załatwił. Gdyby się zrobili natrętni, to pilnuj w imieniu Chalmuna.

- Ale dlaczego... gdzie ty właściwie idziesz?

- Na wyprawę ratunkową!

To stwierdzenie ostatecznie odebrało dar mowy Nackharowi, z czego Wuher czym prędzej skorzystał i wyszedł.

Droida w śmieciach nie było.

Wuher zaczął się denerwować - do zmroku był jeszcze daleko, a robot mówił, że będzie tu cały dzień. Chociaż ich nie lubił, jedno musiał przyznać: nie kłamały. Skoro więc go nie było, to nie oddalił się dobrowolnie. Klnąc pod nosem, przykucnął i przyjrzał się śladom. Bez trudu dostrzegł całkiem świeże ślady kół wiodące ku przeciwnemu wylotowi alejki, odpowiadające mniej więcej rozmiarom robota. R2 poruszał się właśnie na kołach. Ignorując instynkt samozachowawczy, Wuher zerwał się na równe nogi i pognął w stronę, w którą prowadziły - musiał uratować tego droida!

Biegając krętymi zaułkami, odczepił od pasa pałkę. Ślady były bardzo wyraźne, a obok odcisków kół widać było niewielkie ślady stóp: jakiś cholerny Jawa musiał go znaleźć i zabrać, zwyczajem tych kurdupłowa-tych śmieciarzy.

Gdy wypadł za kolejny róg, usłyszał charakterystyczne popiskiwanie - to droid coś mówił. Czym prędzej przyłgnął do ściany i rozejrzał się. O parę metrów przed sobą dostrzegł zgubę z nowym ogranicznikiem na korpusie, a obok maszerującego mikrusa w charakterystycznym brunatnym habicie z kapturem. Byli mniej więcej w połowie alejki wychodzącej na targowisko, a więc musiał się naprawdę spieszyć.

Nie zwlekając pognął za nimi i nim Jawa zdążył się obejrzeć, trzasnął go na odlew w kaptur. Łupnęło i Obcy zwałił się na ziemię niczym worek smunków. Wuher natychmiast odciągnął go do najbliższego mrocznego kąta i przysypał ziemią ślad krwi, jaki został po tym przeciągnięciu. Następnie schował pałkę, wyjął nóż i zabrał się za ogranicznik, który na szczęście też był z odzysku, toteż w parę sekund odłączył go od korpusu i wyrzucił.

Droid ożył.

- Uratował mnie pan! Uchronił mnie pan przed niechybnym zakończeniem wspaniałej egzystencji!

- To prawda, C2-A4.

I - Namyślił się pan! Wiedziałem, że w gruncie rzeczy jest pan dobrym i miłym człowiekiem! Wiedziałem! Dlatego zaryzykowałem i pana zaczepiłem. Cudownie! To historia niczym z powieści. Dziękuję ci, człowieku!

- Proszę bardzo. Tylko nie przesadzaj z tymi pochwałami. Zrobili ci krzywdę, a zresztą kto to widział, żeby całkiem dobrego droida wyrzucać na śmietnik! Lepiej tu nie stać, bo Jawów w mieście nie brakuje. Chodź, pójdziemy gdzieś, gdzie jest spokojniej i bezpieczniej.

- To mój szczęśliwy dzień! Przywrócił mi pan wiarę w ludzi. My, droidy, zawsze uważaliśmy, że ludzie są dobrzy i uczciwi, tylko rzadko to okazują. Ma pan złote serce!- Bez przesady, serce jak serce. Marnotrawstwa nie lubię, a o tym, jacy są ludzie, pogadamy potem. Teraz trzeba się pośpieszyć. Jak tam twoje baterie?

- Wystarczą, żeby dojechać gdzie trzeba. Pozwoli pan, że zapytam: rano mówił pan, że nie lubi droidów, więc co spowodowało tę zmianę nastawienia? Nie żebym chciał być wścibski, na to jestem zanadto panu wdzięczny, po prostu jestem ciekaw. Ludzka dusza jest niezgłębiona i intrygująca, i pasjonują mnie wszelkie zmiany w niej zachodzące.

- Dusza jak dusza, a jeśli chodzi o podejście do droidów... widzisz, biznes jest biznes, jak to się

mówi. W interesach nie ma miejsca na uczucia, a człowiek może się pomylić. Mnie wyszło, że się pomyliłem i źle was oceniłem. Droidy nie są takie złe i mogą się przydać. Słuchaj, wejdziemy tylnym wejściem, a potem ukryję cię w piwnicy; tam nie ma detektora droidów, więc nikt nie będzie wiedział o twojej obecności.

- To się nazywa mieć szczęście! - droid był najwyraźniej pod wrażeniem. - Niczego memu dobroczyńcy nie pożałuję: mleka i miodu, jak to niegdyś mawiano...

- Akurat nie o te produkty spożywcze mi chodzi... - Wuher uśmiechnął się po raz pierwszy od dawna.

Kropla opadła i jak zwykle zaboląły go kubki smakowe.

Cóż, za wszystko trzeba płacić, za biochemiczne różnice w organizmach też. Wuher znosił to ze stoickim spokojem: ostatecznie nikt go nie zmuszał do eksperymentowania z miksturą. Tym razem żywił duże nadzieje, bo nos twierdził, że aromat jest właściwy; teraz pozostało jedynie czekać, aż ból minie i zacznie rozróżniać smak. Tak, było tu zdecydowanie coś nowego... bergamota... ale jeszcze coś... co nagle uderzyło go z siłą młota w głowę. Jakby smak pary Obcych, splecionych ze sobą wśród pękających pojemników z przyprawami.

Smak miał taką intensywność, że Wuher spadł ze stołka.

- Co się stało? - zaniepokoił się droid. - Nic panu nie jest?! Wuhera zatrzęsło.

A potem zrobiło mu się błogo.

Po długiej chwili wstał z głupim uśmiechem.

- Mocna rzecz! - mruknął z podziwem i rozejrzał się wokół.

Na stole stała kolba w trzech czwartych wypełniona piorunującą miksturą, którą właśnie wypróbował, a aparatura przy wtórze cichego bulgotania kontynuowała produkcję. Będzie trzeba wymienić naczynia, bo się zacznie przelewać, a to byłoby marnotrawstwo wręcz niewyobrażalne.

- Jest lepsze, niż miałem nadzieję - przyznał. - I mocniejsze. To trunek idealny dla Jabby.

- Jabba Hutt? Jego ma pan na myśli? Tutejszego szefa przestępczego podziemia? - upewnił się C2-A4.

- Tego samego. Mniejsza o to, czyim jest szefem. Ważne, że będzie moim dobroczyńcą, a więc pośrednio i twoim, prawda?

- Pośrednio jak najbardziej.

- A widzisz. Rozpoczynamy wspólny interes, C2-A4. Najpierw popracujemy trochę dla Jabby, a potem odlecimy z tej zapiaszczonej wiochy. Będziemy wolni i sławni. - Wuher uśmiechnął się, chyba pierwszy raz w życiu czując się naprawdę szczęśliwy. Spojrzał na swego współnika.

Droid stał na środku niszy z aparaturą destylacyjną Wuhera, a z kurka umieszczonego z boku obudowy sączył się cienki strumyczek płynu do niewielkiego flakonika. Flakon był prawie pełen szmaragdo-woszarej cieczy, której kilka zaledwie kropli, dodanych do uzyskanego poprzednio destylatu, tak drastycznie zmieniło jego właściwości, zmieniając go w idealny trunek dla Jabby. Sądząc po dotychczasowym przebiegu produkcji, zdołają bez trudu sporządzić naprawdę solidny zapas napoju, co powinno zaowocować długotrwałą (i wymierną) wdzięcznością Jabby.

Płytką osłaniającą urządzenie tnąco-zgniatające w korpusie droida opadła, gdy stalowe ostrza zabrały się za ostatni kawałek zielonego ciała, a była to akurat stopa, zmieniając go na miazgę, z której ekstrakto-ry chemiczne C2-A4 wyodrębniały ów bezcenny szmaragdowy płyn.

Wuher z satysfakcją przyjrzał się nowej ozdobie niszy - na ścianie wisiał łeb Greedo, który po śmierci przydał się w końcu komuś do czegoś pożytecznego. Nackharowi należała się premia: pobił

się z trójką Jawów, ale nie dopuścił, by zabrali ciało. Uspokojenie rozjuszonych konusów kosztowało parę darmowych kolejek, ale były to niewarte wspomnienia wydatki wobec efektu, jaki uzyskał.

- Za twoje fermony, Greedo - stwierdził z uśmiechem Wuher, wznosząc szklankę piwa. - Han Solo wyrzucił prawdziwą przysługę rodiań-skiej płci pięknej i niżej podpisanemu.

Łeb naturalnie nie odwzajemnił toastu.

- Muszę przyznać, że był wyjątkowo twardy i łykowaty - odezwał się droid. - Obawiam się, że moja zgniatarkokrajarka będzie wymagała solidnego naostrzenia.

- Nie ma sprawy - uśmiechnął się radośnie Wuher. - Jak trzeba, to trzeba... Możesz mi nie wierzyć, ale jestem przekonany, że to początek naszej całkiem owocnej przyjaźni.

Interesy wprawdzie nie znają uczuć, ale tak się złożyło, że nastawienie Wuhera do droidów uległo pewnym zmianom. No bo w końcu dlaczego miałby ich nie polubić...

NIGHTLILY

Opowieść romantyczna

Barbara Hambly

- Jest mi naprawdę przykro, szanowna pani, ale jeśli nie stać pani na opłacenie dostaw wody, nic nie mogę poradzić na to, że zamknięto pani wodociąg. - Feltipern Trevagg wyłączył komputer, nawet nie próbując zrobić współczującej miny. - To nie ja ustalam podatki, proszę pani.

Tak się jednak składało, że podwyższenie tego akurat podatku było jego pomysłem. Prefekt portu kosmicznego i miasta Mos Eisley z radością skorzystał z jego sugestii, by podnieść podatek od wody o dwadzieścia pięć procent. Ostateczna decyzja należała zresztą do Prefekta, jego był jedynie pomysł. Trevagg podejrzewał, że zawodząca w jego pokoju Modbrek nie byłaby w stanie zapłacić podatku nawet przed podwyżką. Nieważne zresztą. Grunt, że obecnie mógł, działając naturalnie przez pośredników, odkupić jej dom za kilka tysięcy kredytów. Po dwóch dniach bez wody sprzeda go z radością, a po niewielkich przeróbkach będą tu doskonałe pokoje do wynajęcia. Trzeba było tylko pilnować, żeby Prefekt się wcześniej o tym nie dowiedział, bo wtedy sam kupi, a Trevagg zostanie z nie zrealizowanym pomysłem.

Potarł stożkowate wyrostki przypominające rogi - zawrodozenie tej osoby zaczynało działać mu na nerwy. Gdyby w tej sytuacji znalazł się przedstawiciel jego własnej rasy - Gotal - może by go to trochę obeszło, ale Modbrekowie w jego opinii byli jedynie pozornie inteligentnymi efemerydami, bezwłosymi niczym glisty (jeśli nie liczyć żalostnej kępki na czubku niedorozwiniętych, błękitnych głów). Wielkie oczy, małe nosy i także usta dopełniały niesympatycznego wrażenia. Emanacje tej samicy i jej przychówku działały na niego niczym wyjątkowo irytująca muzyka.

- Proszę pani - oświadczył w końcu. - Nie jestem pani ojcem. Nie jestem też przedstawicielem organizacji dobroczynnej. Musiała pani wiedzieć, że nie będzie mogła opłacić dostaw wody, skoro jest tu pani od dwóch miesięcy i przez ten czas nie próbowała znaleźć uczciwego zajęcia. Żadna z pani córek zresztą też. Trzeba będzie wrócić do rodziny albo udać się do jakiejś organizacji charytatywnej.

Wcisnął przycisk uaktywniający komputer i wzywający jednocześnie zastępcę. Ten zjawił się w zmiętym jak zwykle uniformie, ale sprawnie wyprowadził petentki. Zastępca był człowiekiem i Trevagg wyczuwał, że jest mu żal Modbreków, a co więcej, że mu się podobają, może nawet seksualnie. Odrażające.

Trevagg zawsze miał problemy ze zrozumieniem, jak ludzie mogli być dla siebie atrakcyjni seksualnie. Ani samce, ani samice nie mogły odbierać emanacji przedstawiciela drugiej płci. Nie mieli też stosownej dysproporcji między siłą a słabością, która to różnica jest przecież niezbędną do odczuwania przyjemności. Cóż, nie było to jego zmartwienie. Wrócił do klawiatury i wybrał numer, z którym chciał się połączyć. Z tyłu dobiegły go kroki i znajoma sygnatura tempera-turowo-elektronegatywna. Jego zastępca Predne Balu wrócił i dał wyraz swemu niezadowoleniu.

- Nie mógł pan jej dać jeszcze miesiąca? - spytał zmęczonym głosem.

Słońca Tatooine najwyraźniej dawno temu wypaliły z niego dzikość i inne cechy niezbędne myśliwemu. Trevagg pogardzał nim, ale starał się tego nie okazywać.

- Miała dwa miesiące za darmo. Woda jest kosztowna, a większość i tak musimy importować.

Na czarnym ekranie przewinęła się zwięzła wiadomość: *Pylokam 11.30*- i zniknęła. Trevagg westchnął i odwrócił się. Balu jak zwykle wyglądał na zużytego - zgarbione ramiona, włosy w nieładzie, podobnie jak to, co ludzie nazywają brodą, choć te parę włosków nie zasługiwało na takie miano. Broda Balu zaczynała być szpakowata. Cóż, starzał się. I do tego łeb jak melon. Trevagg nigdy nie potrafił traktować ludzi bez lekkiej pogardy i rozbawienia, choć wiedział, że mają inne organy zmysłów niż on. Mimo lat spędzonych w przestrzeni - jako łowca, jako ochroniarz w służbie Imperium, a w końcu jako oficer odpowiedzialny za bezpieczeństwo jednostki - uważał, że istoty bez czołowych narośli sensorycznych wyglądają głupio. Na Antar IV wszyscy wiedzieli, że wielkość nie ma najmniejszego wpływu na jakość odbioru, ale i tak właściciele wyrostków mniejszych niż przeciętne nosili atrapy, by nie stracić szacunku. Trevagg po prostu nie mógł szanować istot w ogóle pozbawionych takiej ozdoby. Choć było to nielogiczne, jednak silniejsze od niego.

- Przypilnuj, żeby jutro zamknęli jej wodociąg - przypomniał. Balu skrzywił się, ale przytaknął.

- Mam sprawę na mieście. Gdyby ktoś pytał: będę za godzinę. - dodał Trevagg.

Wędrówka przez targowisko zawsze go podniecała i działała jak narkotyk. Był myśliwym z pochodzenia i z wychowania, toteż funkcja poborcy podatkowego wydawała mu się nudna i rozczarowująca. Idealna okazja na zabicie majątku okazała się w praktyce normalną, urzędniczą robotą - cóż, mógł uważać, kiedy tak gorąco reklamowano mu nowe zajęcie.

Nie ulegało wątpliwości, że w okolicy aż się roi od okazji do zarobku. Na przykład tu, na targowisku. Kiedy to widział, burzyła się jego krew myśliwego. Przejścia i stragany były ocenione, zależnie od zamożności sprzedawców - u bogatych specjalnymi panelami słonecznymi, rzucającymi prostokąty gęstego cienia, u biedniejszych kawałkami tkaniny, przez którą przebijały słońca barwiąc twarze na kolor materiału. Stragany, mniejsze i większe, miały rozmaite kształty. Najliczniejsze były zajmujące niewiele miejsca stoiska z burgerami z ban-thy. Tu wystarczał metr kwadratowy przestrzeni, słoneczny piecyk i przedsiębiorczy Jawa czy inny Whiphid. Aha, i litr albo dwa wielokrotnie używanego tłuszczu (po zapachu sądząc, najczęściej z fritte-ra). Po targowisku przelewał się tłum, w którym można było trafić na rasy z najdalszych zakątków galaktyki: Durosianin o koźlej twarzy oferował sznury pustynnych pereł i błękitno barwione okulary przeciwsłoneczne ludzkim turystom, prawie naga gamourelańska tancerka prezentowała taniec brzucha na kawałku koca w żółte paski. Przy wtórze gwizdów przyglądało się temu paru Sullustanian, którzy jako jedna z niewielu ras uważali Gamourelan za atrakcyjnych. Wszędzie wyczuwało się tu nastrój walki, gotowości i wyczekiwania na okazję Trevagga upajało to jak przednie wino. Po każdym takim spacerze nieodmiennie zastanawiał się, czy nie powinien zostawić imperialnej posady i wrócić do łowów.

Ale za każdym razem przychodziła refleksja. Cała ta zbieranina na targowisku była ubrana byle jak, a on nosił nowe, szyte na miarę rzeczy - ciemnozieloną kurtkę z yulluasvedu i pasujące kolorystycznie, dopasowane spodnie. Niby nic, a świadczyło dobitnie o docho-; dach. Na tej przeklętej planecie nie dorobił się może fortuny, ale uczciwie musiał przyznać, że powodziło mu się nieźle.

A okazja kiedyś nadejdzie.

Właściwie to już nadeszła.

Dwa tygodnie temu podczas rutynowego spaceru po targowisku poczuł wibrację, którą uznał za życiową szansę. Teraz jako dobry myśli-, wy musiał tylko cierpliwie czekać: skoro ten, kogo obecność wyczuł, pojawił się raz, pojawi się i drugi.

A wtedy będzie jego.

Ma się rozumieć, jeśli nic nieprzewidzianego się nie wydarzy.

Pośrednik od Jabby, olbrzymi Sullustańczyk imieniem Jub Vegnu, czekał w umówionym miejscu przy budce Zdrowej Żywności Pyloka-ma. Pylokam był starym człowiekiem; wyglądał jakby go miał złamać pierwszy solidny podmuch wiatru. Ubrany nieodmiennie w łachy o barwie kurzu i pomarańczową chustę, oferował wyłącznie soki owocowe i inne jarskie potrawy. I chyba na oferowaniu się kończyło, bo nikt nie pamiętał, by ktokolwiek coś u niego zjadł. Jego potrawy nie zawierały mięsa, sztucznych utrwalaczy ani nawet naturalnych przypraw, jak sól czy pieprz, toteż nic dziwnego, że przy budce nie było klientów. Dzięki oczywistemu brakowi dochodów był natomiast jedynym sprzedawcą, od którego Jabba nie ściągał haraczu, zaś jego budka stanowiła doskonałe miejsce spotkań.

Vegnu kończył właśnie karmelowego pkneba, którego na pewno nie kupił u Pylokama. Trevagg kupił cukrowego frittera i dołączył do niego, żeby zjeść i pogadać w spokoju.

- Potrzebuję pośrednika i pożyczki - zaczął bez wstępów. - Finali-zacja za trzy dni i całkowita tajemnica. Dla Jabby dziesięć procent z tego, co zostanie na czysto.

Potargowali się, jak przyzwoitość wymagała, o procenty i o tajemnicę. Trevagg doskonale wiedział, że jeśli informacja przecieknie do Prefekta albo któregośkolwiek z imperialnych oficjeli, posesja zostanie kupiona, zanim jeszcze dotychczasowa właścicielka zdecyduje się ją sprzedać, toteż za cztery procent dostał gwarancję zachowania tajemnicy. Co oznaczało, że koszty odbije sobie nie w pół roku, jak planował, ale w rok...

- To wszystko? - spytał Vegnu, oblizując paluchy z tłuszczu i karmelu.

Trevagg zawahał się, wobec czego partner znieruchomiał i czekał.

- Nie całkiem... - wykrztusił wreszcie Trevagg.

Nie wiedział, kiedy osobnik, którego wyczuł dwa tygodnie temu, pojawi się w Mos Eisley. Mógł się w ogóle nie pojawić, ale należało być przygotowanym.- Będę potrzebował pośrednika do innego interesu - wyjaśnił.

- Jakiego?

- Tego na razie nie mogę powiedzieć. Potrzeba mi kogoś, kto będzie działał na moją korzyść, gdy się okaże, że jako urzędnik Imperium byłbym zmuszony wykonać swoje obowiązki nieodpłatnie.

- Aha - Vegnu oparł się wygodniej o ladę. - Ale cywilowi za wykonanie tychże czynności należałaby się nagroda?

- Duża nagroda - Trevagg poczuł przyjemne mrowienie na samą myśl. - A zadanie leży w granicach twoich możliwości.

- Ile?

- Dwadzieścia procent.

- *Gaah...*

- Niech będzie dwadzieścia pięć, ale dochowasz absolutnej tajemnicy... przed i po.

- O tobie?

- I o naturze interesu...

„Natura interesu” - podobało mu się to określenie. Cała sprawa sprowadzała się do prostej czynności, którą trzeba było jednak wykonać na tyle subtelnie, by dostać za nią nagrodę. Mówiąc prosto: trzeba było we właściwym momencie poinformować imperialnego Moffa Sektora o kimś, kogo Imperium szukało od naprawę długiego czasu.

To, co poczuł wtedy na targowisku, można by przyrównać do znalezienia klejnotu w wychodku - wibracje niby powiew doskonałych perfum, których zapachu się nie zapomina. Problem polegał na tym, że należało się odpowiednio zabezpieczyć, aby pośrednik nie zgarnął wszystkiego, korzystając z informacji, jaką musiał przekazać... informacji, za którą nagroda wynosiła małą fortunę. Trevagg wiedział, że musi postępować bardzo ostrożnie, ale nie mógł przepuścić okazji. Dwa tygodnie temu bowiem wyczuł niepowtarzalne emanacje, których źródłem mógł być jedynie Mistrz Jedi!

- Jest ktoś do pana - zameldował dyżurny urzędnik, ledwie Trevagg znalazł się w pobliżu swego biura.

Po przypominającym piec targowisku klimatyzowane wnętrza prefektury stanowiły sympatyczną odmianę. Deflektory solarne umieszczone na dachu zaczynały szwankować z przegrzania dopiero dwie-trzy godziny po dwunastej, a ta dopiero dochodziła. Gdyby nie półki pełne pojemników z danymi i poźółkle wydruki wylewające się ze stojących pod ścianą regałów, byłoby tu nawet przyjemnie. Naturalnie jeśli nie

I liczyć przygnębiającej atmosfery nudy, porażki i złośliwości, jaka dominowała w każdym urzędzie. To nie było miejsce dla myśliwego, to nie było miejsce nawet dla ucziwej ofiary. Trevagg miał perspektywę wyrwania się stąd, musiał tylko skończyć wielkie łowy i schwytać tę jedną, najważniejszą ofiarę. Kiedy sprzeda Imperium tożsamość tego Jedi, będzie wolny... i bogaty.

Jednego był pewien - Jedi nie był tu przejazdem. Trevagg prosto z targowiska udał się do portu, gdzie sprawdził, że przez ostatnie pół godziny nie wystartował żaden statek, a listy tych, które przyleciały w tym czasie, sprawdził dokładnie. Pasażerów też. To, co wyczuł, musiało być Jedi - tak silna i głęboka emanacja, jak twierdzili starzy Gotelo-wie, mogła być jedynie wynikiem koncentracji Mocy. Moc koncentrowała się wyłącznie wokół Rycerzy Jedi, a szczególnie silnie wokół Mistrzów. Siła tej emanacji omal nie rozsądziła mu wyrostków. To znaczyło, że ów tajemniczy Jedi przebywa na Tatooine, więc prędzej czy później będą musieli się spotkać.

Przez dwa tygodnie zwiedzał zakamarki Mos Eisley i nie napotkał śladu emanacji. Znaczyło to, że Jedi nie mieszkał w mieście, bo inaczej wyczułby go już dawno. W mieście pojawiał się rzadko, dajmy na to na targowisku. Trevagg gotów był poczekać - dobry myśliwy musi być cierpliwy.

Trevagg myślał o Jedi i o nagrodzie, a nie o czekającym petencie, tym większy więc spotkał go szok, gdy przekroczył próg swojego gabinetu i się zakochał.

Jej emanacje wypełniały pokój, zanim jeszcze się odwróciła, i były niczym najlepszy środek odurzający - od razu szły do głowy. Urzekająca mieszanka mlecznego ciepła, które prawie czuł przez skórę, i drżącej bezbronności; aura w elektrospektrum niczym rozkwitłe, różowe teeli, a do tego niewinna i nieświadoma seksualność, która go prawie uskrzydliła. Kiedy czekająca zdała sobie sprawę, że nie jest już sama, odwróciła się opuszczając półprzezroczysty welon. Trevaggowi odebrało mowę.

Nie miał pojęcia, do jakiej rasy należała, i prawdę mówiąc nie obchodziło go to. Skórę miała błękitnoszarą, o barwie nieba nad pustynią o zachodzie słońca, rysy delikatne i dumne, wystające kości policzkowe, łagodnie przechodzące w delikatny podbródek. Kolejne delikatne narośla kostne

tworzyły zgrabny łuk, łączący oczy z ryjko-watym nosem, jaki na przykład u Kubazów zawsze się Travaggowi podobał. Oczy pod wysuniętym czołem były duże, zielone niczym trawa i ocienione firankami rzęs. Miały wyraz jak u skalnego Tabbita, zbyt przerażonego, by uciekać na widok myśliwego. A to, co najlepsze, znajdowało się wyżej, na wpół przysłonięte welonem - cztery niewielkie, ale za to idealnie stożkowate narośla, których gładkość aż prosiła się o dotyk męskiej dłoni. Naturalnie nie mogły to być prawdziwe wyrostki sensoryczne, ponieważ nie była Gotalką, lecz kimś z podrzędnej rasy; w niczym nie zmieniało to faktu, że jej chciał. Że musiał ją mieć!

- Panie... - głos miała niepewny, ale piękny i melodyjny, modulowany niczym flet. - Musi mi pan pomóc. Powiedzieli, że tylko pan...

Trójpalczaste dłonie kurczowo zaciśnięte na welonie... Trevagg przełknął ślinę i wykrztusił:

- Cokolwiek... - Dopiero słysząc własny pisk wziął się w garść. - Zrobię wszystko, co będę mógł, szanowna pani. Na czym polega kłopot?

- Wyszadzo mnie ze statku. - Fala strachu była niemal namacalna. - Powiedzieli, że z moimi papierami jest coś nie w porządku... że jest jakiś podatek tranzytowy czy coś...

Naturalnie, że był - Trevagg sam go wymyślił.

- Ledwie wystarczyło mi na bilet, by móc odwiedzić siostrę mieszkającą na Cona... moja rodzina nie należy do zamożnych, a teraz straciłam miejsce na „Tellivar Lady”... jeśli zapłacę, zabraknie mi na bilet powrotny do H’Nemthe... - nazwa rodzinnej planety zabrzmiała niczym urzekające kichnięcie, a wibracje jej żalu miały smak czerwonego miodu.

- Moja droga...

- M’iioyoom Onith - przedstawiła się. - M’iioyoom to białe kwiaty rozkwitające w sezonie trine, kiedy świecą wszystkie trzy księżycy. Nazywajaje także nightlily.

- Feltipern Trevagg, oficer w służbie Imperium. Imię masz piękne, ale nie przywykłem do twego ojczyzestego języka, więc będę używał formy Nightlily, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Natychmiast zajmę się zbadaniem twego problemu. Przepraszam, że będziesz musiała poczekać w takich warunkach, ale to miasto jest raczej prymitywne i pozbawione wygod. Postaram się wrócić za moment.

Balu naturalnie był u siebie - z butami na biurku popijał pienisty płyn z pękatej butelki, na której szron już zmienił się w rosę. Widząc szefa, nawet nie zmienił pozycji. Odezwał się dopiero, gdy ten zamknął za sobą drzwi:

- Oddaj dzieciakowi miejsce, Trevagg. Siedemdziesiąt pięć kredytów cię nie zbawi, a jak się pospieszysz, zdążysz, zanim „Tilly” wystartuje.

Trevagg bez słowa pochylił się nad biurkiem i krótkim poleceniem wyświetlił na ekranie rozkład lotów. W przeciwieństwie do większości przedstawicieli swej rasy posługiwał się wprawnie komputerem

Teraz też wystarczyły trzy klawisze, by dostał to, czego chciał. „Telli-var Lady” startowała o czternastej, a kapitan Fane znany był z punktualności.

Problem polegał na tym, że godzina to zdecydowanie za mało czasu.

- Trevagg... - głos Balu zatrzymał go przy samych drzwiach. - Jesteś myśliwym. Słyszałeś kiedyś o Mocy?

Zrobiło mu się nagle zimno, ale odparł spokojnie:

- Nie, a bo co?

- To podobno jest jakiś rodzaj pola... Zdaje się, że Jedi potrafili je kontrolować - niedbałym

gestem Balu wskazał wypłowiący list gończy, oferujący pięćdziesiąt tysięcy kredytów nagrody za ujęcie lub informacje na temat „każdego członka tak zwanych Rycerzy Jedi”. Nie dotyczyło oczywiście sytuacji, kiedy należało to do obowiązków służbowych łapiącego czy informującego. Wtedy oprócz pensji mógł dostać najwyżej list pochwalny od Moffa Sektora.

I - Słyszałem plotki, że na Tatooine widziano jednego Jedi - dodał Balu. - Kazałem wziąć pod obserwację budkę Pylokama, bo to jedyne miejsce, gdzie na pewno zajrzy, jeśli będzie w mieście. Ciekawe, czy ty się nie natknąłeś na coś dziwnego...

I - Chyba że na żarcie sprzedawane przez Pylokama. Zjadłem coś normalnego koło jego budy - warknął Trevagg i wyszedł.

Musiał się bardzo postarać, by do stanowiska numer dziewięć dotrzeć po starcie liniowca pasażerskiego.

Dokonał jednak tego wyczynu.

Nightlily z oszołomieniem przyjęła zaproszenie na posiłek do Pałacu Fontann. Było to najbardziej zbliżone do ekskluzywnej restauracji miejsce w całym Mos Eisley. Przybytek mieścił się w gustownym pałacu, zbudowanym dawno temu, w dniach świetności Tatooine. Potem nad podwórcami założono deflektory słoneczne, dzięki czemu płynąca w zamkniętym obiegu woda mogła spokojnie pluskać, szumieć i bulgotać w kilkunastu wymyślnych fontannach usytuowanych wśród egzotycznych roślin i luster. Lokal był niewielki i nastawiony na turystów dysponujących większą gotówką. Ona gotówką nie dysponowała, ale turystką była. A Pałac Fontann ją oczarował. Jabba Hutt, właściciel lokalu, twierdził dumnie, że nie ma w całej Galaktyce apetytu, którego nie potrafiłby zaspokoić jego osobisty kucharz Porcellus.

Porcellus, urzędujący w Pałacu Fontann jedynie w przerwach między przygotowywaniem gigantycznych przekąsek szefowi (czyli po kilka godzin dziennie), doskonale zdawał sobie sprawę, że jeśli Jabbę znudzą jego potrawy, to wyląduje w lochu rancora, którego Jabba trzymał pod salą przyjęć w pałacu jako maskotkę. Był więc kucharzem pełnym entuzjazmu, no i nadzwyczaj pomysłowym. Był też dumny ze swych osiągnięć, a Trevagg musiał przyznać, że miał ku temu powody - filet z młodego dewbacka w sosie kaparowym i pasztet z wątroby fleika były najlepsze, jakie w życiu jadł. Kiedy Nightlily wyszeptała, skromnie spuszczać oczęta, że dziewczęta jej rasy mogą spożywać jedynie owoce i warzywa, Porcellus przeszedł sam siebie tworząc na poczekaniu cztery dania: owoce lipany w miodzie, pulpety z suszonych magirotów i psi-bary, pieczoną felbacę z kremem cząbrowym i pudding chlebowy. Do tego naturalnie dużo wina, ale już nie produkcji Porcellusa.

- Dla ciebie, piękna, nic nie jest zbyt drogie - odparł Trevagg na nieśmiały protest co do kosztów. - Ani zbyt dobre...

Unosząc kielich, obiecał sobie solennie, że kiedy już odbierze nagrodę, poszuka sobie kucharza, który tak potrafi przyrządzić dewbacka.

- Nie rozumiesz, że to los nas zetknął? - spytał. - Przeznaczenie użyło do tego tępawego urzędasza.

Jej dłoń była jedwabista w dotyku, a erotyczne odczucia potęgowało sztywnienie stawów pod jego palcami.

- Nie rozumiesz, co do ciebie czuję? - spytał. - Co czuję od chwili, gdy cię zobaczyłem? Gdy usłyszałem twój głos?

Naturalnie, że nie wiedziała, bo inaczej natychmiast by uciekła. Miała być ostateczną zdobyczą, podbojem koronującym wszystkie dotychczasowe, a miał ich sporo.

Zaskoczona odwróciła głowę i długim, srebrzystym językiem, przypominającym język węża, oblizwała okruchy chleba. Gest ten był również niewiarygodnie seksowny. Kiedy Trevagg wyobraził sobie, czego mogłaby dokonać przy użyciu tego języka, zaparło mu dech. Byle tylko ją odpowiednio przekonać, a w przekonywaniu był mistrzem.

Najwyraźniej nie była wrażliwa na emanacje w taki sposób jak Gotal, może nawet w ogóle nie była w stanie ich odbierać i Trevagg mógł liczyć jedynie na swą elokwencję. Sądząc po dotychczasowym przebiegu rozmowy, była chyba po prostu głupia, co w najmniejszym stopniu mu nie przeszkadzało - u samicy głupota była równie mile widziana co małomówność.

Ujął jej twarz, czując pod palcami strukturę delikatnych kości i jednocześnie odbierając jej rosnące zdziwienie, nieśmiałą nadzieję i podniecenie.

- Nie rozumiesz, że cię pragnę? - spytał.

- Proponujesz... małżeństwo? - spytała z mieszaniną podziwu i zaskoczenia, już niemal gotowa się poddać.

Delikatnie pogładził jej twarz. Głupia aż przykro, ale bez wątpienia będzie ją miał w łóżku. I to jeszcze dziś.

- Trevagg, zostaw ją w spokoju - głos Balu był cichy, ale stanowczy.

Cichy, żeby nie usłyszała go Nightlily, siedząca w pustym pokoju w głębi korytarza. Balu stał w drzwiach pokoju, podczas gdy Trevagg, załatwiał transfer gotówki za bilet na pokładzie „Starswan”, startującego rankiem następnego dnia. Płacił z własnej kieszeni, więc wziął bilet trzeciej klasy - nie przesadzajmy, za jedną noc?! Trzeba było pozbyć się jej jak najszybciej, żeby nie pętała się po okolicy i nie bajdurzyła o małżeństwie. W łóżku mogła być doskonała, ale to nie znaczy, żeby miał się zaraz żenić z idiotką z mało inteligentnej rasy.

- Że co? - Trevagga aż odwróciło od klawiatury. - Zostawię ją, zostawię... ale po, a nie przed. Stoisz o parę metrów od takiej seksownej panienki i mówisz mi, żebym ją zostawił? Balu, co z tobą?

Balu obejrzał się przez ramię - stał w drzwiach, toteż mógł widzieć obiekt rozmowy siedzący ze skromnie spuszczoną głową. Z jego emanaacji jasno wynikało, że dla człowieka była seksualnie równie atrakcyjna co Jawa. Trevagga zatrzęsło na taką obojętność.

- Trevagg - Balu spojrzał na niego poważnie - większość gatunków, cywilizowanych czy nie, nie toleruje hybryd. Jeśli ona jest dla ciebie atrakcyjna, to prawdopodobnie wasze enzymy będą wystarczająco kompatybilne, by wynikło z tego dziecko. Zrujnujesz jej życie.

Trevagg parsknął krótkim, ostrym śmiechem, nieco przypominającym warczenie.

- Uszom nie wierzę! Jesteś od niej o parę metrów i mówisz o kompatybilności enzymów?! Do tej pory myślałem, że masz jaja, chłopie! Gdyby się przejmowała taką możliwością, to by nie latała sama po Galaktyce, a przynajmniej nie w takim stroju! - urwał widząc wyraz twarzy zastępcy: Balu rzadko coś wzruszało, ale tym razem emanacja groźby była aż nadto wyraźna. - No przecież jej nie zgwałcę, do cholery! Wezmę ją na spacer, a jak nie będzie chciała, zawsze może odmówić, prawda?

Co do odmowy był spokojny - samo słowo „małżeństwo” podniecało ją tak, że było mu trudno wytrzymać w jej pobliżu. Sprawdzał to, gdy wyszli na ulicę w czasie zachodu obu słońc. Działo się bez pudła.

- Nie mogę uwierzyć... że kochasz mnie tak głęboko, by się ze mną ożenić - powiedziała, tuląc się do jego ramienia. - Samce mojej rasy... boją się takiego zdecydowania. Boją się oddać wszystko za miłość.

- Samce twojej rasy to durnie - warknął, spoglądając jej głęboko w oczy.

Samice zresztą też, ale nie był to najważniejszy moment, by jej o tym mówić. Wystarczyło, że poinformował ją o bilecie na poranny statek, by od razu zapytała, czy leci razem z nią, by na H'Nemthe poślubić ją z odpowiednim ceremoniałem w towarzystwie matki i sióstr. Wykręcił się obietnicą przybycia za kilka dni, przypominając, że jako urzędnik Imperium nie może ot tak sobie rzucać pracy dla spraw osobistych.

Nagle kątem oka dostrzegł w cieniu po drugiej stronie ulicy niespodziewane mignięcie koloru pomarańczowego. Pylokam maszerował w stronę ratusza! A to mogło oznaczać tylko jedno: rozpoznał Jedi i szedł na spotkanie z Balu! Żadnego innego powodu jego wizyty w urzędzie nie widział, a Balu nie był leniwym półgłówkiem, za jakiego chciał uchodzić. Sprawdzi otrzymane informacje całkiem sprawnie i zamelduje gdzie trzeba.

A to oznaczało, że musiał znaleźć kogoś, kto tego popołudnia zabije Balu.

Normalnie skontaktowałby się z Vegnu, uzgodnił spotkanie z Jabba, zorganizował dyskretne przelanie płatności... ale nie miał na to czasu, a sytuacja nie była normalna. Pozostało więc oczywiste wyjście - wszyscy wiedzieli, że najprościej znaleźć płatnego zabójcę w lokalu o nazwie „Kantyna”. Owszem, byli gorsi niż ci, którymi dysponował Jabba, ale za to tańsi, a przede wszystkim mógł zająć się tym natychmiast, żeby mieć dość czasu na sfinalizowanie drugiej zaprzatającej go dziś sprawy. Nie zwlekając, skierował się razem z Nightlily w stronę lokalu Chalmuna.

Wejście do knajpy przypominało przetyk banthy. Ciemność, po jaskrawym świetle na zewnątrz, wywołała u Trevagga automatyczną akomodację źrenic. Jedyne długoletnie doświadczenie pozwoliło mu przetrwać w pionie zalew emanacji, pól elektromagnetycznych, wibracji i aur przenikających się wzajemnie, zwalczających i uzupełniających. Różnorodność gatunkowa klienteli była naprawdę imponująca. W dodatku część z nich źle znosiła bliskie sąsiedztwo Obcych, a wszyscy byli pod mniejszym lub większym wpływem psychotropowych środków odurzająco-odprężających, co wzmacniało i uduziwiało ich projekcję.

Ogólnie przypominało to targowisko, tylko że pozbawione radości życia i perspektywy łatwego zarobku. Myśli i uczucia były tu mroczniejsze, co jeszcze podkreślała muzyka kilkuosobowej kapeli.

- Jesteś pewien, że tu jest bezpiecznie? - Nightlily przytuliła się mocniej do jego ramienia.

Jej strach, podobnie jak poprzednio bezbronność, działał na niego niczym zaproszenie. Resztką zdrowego rozsądku powstrzymał się, aby nie wziąć jej tu i teraz. Zamiast tego odparł chrapliwie:

- Ze mną jesteś bezpieczna, kwiatuszku. Ze mną zawsze będziesz bezpieczna.

Zajęli niewielką niszę z lewej strony wejścia, dzięki czemu Nightlily nieco się uspokoiła. Wyznała przy obiedzie, że jest jeszcze dziewicą. W dodatku pierwszy raz opuściła rodzinną planetę, gdzie nigdy nie przebywała długo w męskim towarzystwie, a już na pewno nie w podobnych lokalach. Trevagg ze starannie ukrywanym rozbawieniem obserwował relaksujący wpływ serwowanych przez Wuhera drinków i rozglądał się mało dyskretnie. Przy sąsiednim stoliku grano w zakazaną grę karcianą. Graczami byli: ghoulowaty Givin, gigantyczny jednooki Abyssianin i biały, rozlazły stwór, jakiego nigdy dotąd nie widział. Przy następnym popijał samotnie bojowo nastroszony Wolf-man. Dalszy przegląd sali przerwał mu chichot towarzyski, kończącej drugiego drinka, i lekko bełkotliwym głosem zadane pytanie:

- Jesteś pewien swojej decyzji, kochany?... Chodzi mi o to, że połączenie płci to taka... inspirująca i budząca szacunek sprawa... to jakby forma samopoświęcenia...

Zajęty przeszukiwaniem tłumu wzrokiem i wszystkimi innymi zmysłami, zdolnymi wychwycić emanacje prawdziwego myśliwego, odparł:

- Drobiazg, moja droga. Żadne poświęcenie nie jest zbyt wielkie wobec tego, co do ciebie czuję.
- Ta idiotka nie potrafiła wyczuć nawet tak prymitywnego kłamstwa.

Nic dziwnego, że niewinnych kretynek nie wypuszczają poza planetę. Nie było szansy, żeby któraś tam wróciła jako dziewica.

Zamówił następnego drinka dla towarzyszki i wrócił do poszukiwań. Dwie ludzkie samice, stojące przy barze - bez dwóch zdań były niebezpieczne i gotowe zabić, ale ich aury mówiły, że nie są płatnymi zabójcami... Rodianin przy stoliku... owszem, zabójca, tyle że z małym doświadczeniem. Nie było pewności, czy poradzi sobie z Predne Balu... Wolfman poradziłby sobie na pewno, ale nie był zabójcą, i chyba lepiej go było dzisiaj nie zaczepiać. Jego emanacje aż nazbyt wyraźnie świadczyły, że tylko czeka na okazję. No to trzeba szukać dalej. Wookie i człowiek siedzący w oddalonej alkwie... tak, mogliby zabić, ale nie za pieniądze. Wysoki mężczyzna palący hookah przy barze... z całą pewnością: jego aura była tak czarna, że praktycznie nic więcej nie można było wyczuć. Śmierć była dlań codziennością, to nie ulegało wątpliwości, ale było w jego aurze jakieś zimno... coś, co kazało Trevaggowi poważnie się zastanowić, czy w ogóle do niego podchodzić. To był ktoś, kto zabijał za wielkie sumy albo dla własnej przyjemności - nic pośredniego.

Co do reszty, byli to głównie tubylcy, zarówno Tatoonie, jak i tej knajpy. Odrażający Evazan i jego pomagier Ponda Baba - gotowi zabić, ale nie zasługujący na zaufanie z równym powodzeniem mogli przepić zaliczkę i zabrać się za zlecenie dajmy na to za trzy dni... Rogaty Devaronianin... bezwzględnie niebezpieczny, ale nie do wynajęcia. Stojący obok pilot, jeszcze w kombinezonie - przemytnik do wynajęcia i to wszystko. Trevagg wiedział, że pracuje dla monasteru. Na pewno był, jak i pozostali braciszczowie, na bakier z prawem, ale morderstwo za pieniądze zdecydowanie przekraczało jego możliwości.

Nagle znieruchomiał. Poczł dziwną, buczącą emanację o niewyobrażalnej sile. Tak mógłby się czuć ktoś wrażliwy na energię w pobliżu włączonego na pełną moc generatora. Nie ulegało wątpliwości: do lokalu wszedł Mistrz Jedi.

Był nie rzucającym się w oczy, starszym mężczyzną o posiwiałej brodzie, co u ludzi jest oznaką zaawansowanego wieku, ubranym w znoszone szaty pokryte pustynnym pyłem. Za nim szedł młodzieniec o stroju i manierach farmera z głębi pustyni, który w mieście znalazł się pierwszy raz w życiu. Razem z nim przybyły dwa nie pierwszej świeżości droidy, na których widok Wuher wyraźnie się ożywił.

- Takich tu nie obsługujemy! - wrzasnął zza kontuaru.

- Co? - zdziwił się chłopak, a idący za nim protokolarny C-3PO zatrzymał się, wyglądając niczym wcielenie zaskoczonej niewinności, o ile można sobie w takiej roli wyobrazić droida.

- Twoje roboty: niech poczekają na zewnątrz - wyjaśnił barman. - Nie chcę ich tu.

Trevagg zgadzał się z nim w zupełności - w lokalu i tak było ciasno i hałaśliwie. Nikomu nie brakowało do szczęścia popiskujących po swojemu droidów.

- Poczekajcie na zewnątrz przy pojeździe, dobrze? - zaproponował ze zbyteczną uprzejmością chłopak zwracając się do złocistego droida. - Nie chcemy kłopotów.

Świadczyło to, że nigdy wcześniej nie miał droida - nie miały uczuć, więc nie należało ich traktować jak przedstawicieli inteligentnej rasy. C-3PO jedynie z wyglądu przypominał człowieka, a R2-D2 nawet i to nie.

Przez ten czas Jedi dotarł do baru i rozmawiał o czymś z pilotem, Trevagg wyteżył słuch, ale kapela za bardzo się starała, by poza ich muzyką zdołał usłyszeć cokolwiek z cichej pogawędki. Na

dobitkę Nightlily nieco bełkotliwie wróciła do najważniejszego dla niej tematu, pytając grzecznie, jak to się stało, że ją aż tak pokochał.

- Ogromnie cię kocham - odparł odruchowo, obserwując Jedi rozmawiającego teraz z Wookie'em. - Nightlily, znaczysz dla mnie... wszystko.

- Och - westchnęła, zaglądając mu w oczy. - Och, Trevagg... to niewiarygodne, że się spotkaliśmy... że tak niespodziewanie pojawiłeś się w moim życiu...

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wyskoczyć po policję. Niestety, do odebrania nagrody potrzebował pośrednika, inaczej cała sprawa nie miała sensu. Jedi nic mu nie zrobił, więc nie będzie go wydawał za darmo. Gdyby udało mu się skontaktować z Vegnu...

Nagły rozbłysk aury irracjonalnej wściekłości i pijackiej zaczepności przesłonił mu wszystko. A moment później zaczęły się wrzaski. Odwracając się, dostrzegł, że Evazan zaczepił chłopaka rzucając nim o stół, a Baba łapie za miotacz.

- Żadnych miotaczy czy blasterów! - wrzasnął Wuher, nurkując pod kontuar.

Ryk Mocy był niemal powalający - Trevagg nie rozciągnął się jak długi jedynie dlatego, że siedział - i złapał się stołu. Jedi płynnym ruchem dobył miecza świetlnego. Ciął Evazana przez klatkę, a Pondę przez rękę z miotaczem, odcinając ją tuż przed łokciem, i znieruchomiał z uniesioną bronią, gotów do walki. W knajpie panował absolutny, bezruch i cisza pełna niedowierzania i kalkulacji.

Przerwała ją orkiestra, zaczynając grać jakby nigdy nic. Stopniowo rozległy się rozmowy, a Jedi zgasił i schował miecz. Nackham zabrał odciętą kończynę i miotacz. Jedi pomógł wstać towarzyszowi i skierował się do stolika Wookiego, przy którym czekał mężczyzna z niewielką blizną na podbródku. Ado Trevagga dotarło, że Nightlily tuli się do niego i że właśnie nadszedł najważniejszy czas, by ją uwieść.

Niestety, był to także najważniejszy czas do wyteżania słuchu, więc łagodnie acz stanowczo uwolnił ramię z objęć i wstał ze słowami:

- Potrzebujesz czegoś na uspokojenie, kwiatuszku.

Będąc przy barze znalazł się na tyle blisko, że usłyszał, jak Jedi mówi: I- ...do systemu Alderaan...

Poczuł gwałtowny przypływ adrenaliny - no tak, teraz albo nigdy. Nagle dotarły doń słowa:

- Dwa tysiące teraz i piętnaście tysięcy, gdy dotrzemy na Alderaan.

Trevagg odetchnął - skoro nie mieli przy sobie całej kwoty, a chłopak wspominał coś o jakimś pojeździe, to pewnie będą chcieli najpierw go sprzedać, a to oznaczało zwłokę. Gdyby jeszcze chcieli pozbyć się droidów, oznaczałoby to dłuższą zwłokę. Pozostała w takim razie jedynie kwestia Balu.

Rozejrzał się - Wolfmanowi wrócił humor, ale nie był sam: przy jego stoliku siedział minogowaty stwór, którego emanację kazały Tre-vaggowi czym prędzej się oddalić. Do palacza fajki wolał się nie zbliżać, więc pozostawał jedynie Rodianin.

- ...dziewięćdziesiąt cztery - wracając z drinkami usłyszał głos mężczyzny z blizną.

Dla siebie wziął to co zwykle, dla Nightlily podwójny i z rozpuszczoną „pigułką miłosną”, jak się to elegancko nazywało. Specyfik wziął ze sobą z biura, słusznie przewidując, że powinien znaleźć wykorzystanie, zwłaszcza że dał Balu słowo, że jej nie zgwałci. Co prawdazamierzał go zabić, ale to nie powód, by łamał słowo. Wuher też miał te pigułki, ale liczył sobie za nie naprawdę słono. No, kiedy ona to wypije, to nie będzie musiał się spieszyć... a jeżeli się naprawdę dobrze postara, to może zmieni jej bilet na pierwszą klasę...

Pojawienie się szurmowców ani go nie zaskoczyło, ani nie zirytowało. Było mu ich nawet żal, gdy obserwował, jak kręcą się bezradnie - po Jedi i jego towarzyszu naturalnie nie pozostało śladu. Podobnie jak po kilku innych klientach, na przykład po palaczu. Rodianin został. Trevagg sprawdził, czy wziął ze sobą odpowiednio dużo gotówki, a raczej czy nadal ma ją przy sobie, bo w miejscach takich jak to doli-niarstwo kwitło nieprawdopodobnie. O ile się orientował, aktualna stawka wynosiła sto kredytów płatne z góry. Kwota była niewygórowana, a Balu zdecydowanie zasłużył na śmierć.

Zadowolony, że gotówka jest na swoim miejscu, wstał, by podejść do Rodianina. Ten także wstał, a jego emanacje jednoznacznie świadczyły, że jest łowcą i właśnie idzie polować. Ofiarą okazał się przemytnik z blizną na podbródku. Tyle że nie do końca, bo po krótkiej wymianie poglądów to on zastrzelił Rodianina z blastera zręcznie wydobytego spod stołu.

Nightlily pisnęła przerażona, przywierając do niego całym ciałem, przemytnik wyszedł spokojnie, a pomocnik Wuhera zaczął, nie wiedząc czemu, pilnować ciała. Sam Wuher gdzieś zniknął, tak samo jak Wolf-man, czyli Trevaggowi nie został nikt nadający się do zrealizowania zadania. Żeby nie dało się w takiej spelunie znaleźć fachowca do prostej roboty! Zniechęcony zabrał towarzyszkę, pomagając jej wstać.

Cóż, nie ma to jak profesjonalne podejście do zagadnienia. Kiedy skontaktuje się z Vegnu w sprawie tożsamości, powie mu też o konieczności pozbycia się Balu za dodatkową opłatą. Niestety, na pewno wyższą niż sto kredytów.

Tymczasem miał zajęcie równie ważne, a znacznie przyjemniejsze - objął drżącą kwintesencję aromatycznego erotyzmu, którą los mu zesłał, i skierował się w stronę wyjścia. Zdążył załatwić już pokój w „Gospodzie Mos Eisley” i był zdecydowany załatwić to, co towarzysząca mu idiotka uważała za początek szczęśliwego małżeństwa, a co w rzeczywistości było ukoronowaniem łowów, które go tego dnia pochłaniały.

Wychodząc na ulicę, doszedł do wniosku, że nadal jest niezłym myśliwym.

Trwało zamieszanie związane z pobytom wojsk imperialnych w mieście i przeszukiwaniem Mos Eisley wzdłuż i wszerz w celu odnalezienia pary droidów. Do tego doszły wieści o masakrze na jednej z farm, w którą zamieszani byli Ludzie Piasku, oraz o strzelaninie, jaka wybuchła w porcie koło stanowiska dziewięćdziesiąt cztery, a zakończyła się startem bez zezwolenia. Nie należało się zatem dziwić, że ciało Feltpema Trevagga zostało odkryte dopiero po południu następnego dnia.

- Do cholery! - zaklął nieco wstrząśnięty Wuher, którego do Gospody sprowadził jeden z podwładnych Balu po obejrzeniu ciała. - Nikt mu nie powiedział?!

- Czego nie powiedział? - zdziwił się Balu, także pod wrażeniem tego, co zobaczył.

Gotala nigdy specjalnie nie lubił, ale wybebeszenie na żywca nie było tym rodzajem śmierci, na jaką pazerny Trevagg zasłużył. Wybebeszono go zresztą wprawnie długim, cienkim i ostro zakończonym narzędziem.

- O H’Nemthe. - Widząc, że Balu nic nie rozumie, Wuher westchnął i dodał: - O tej, z którą wczoraj u mnie był. O żeńskiej H’Nemthe.

- O Nightlily? - teraz Balu zdziwił się na dobre: kogo, jak kogo, ale tej przerażonej i oczarowanej urokiem Trevagga istoty nie podejrzewałby o cokolwiek, a już na pewno nie o takie morderstwo.

- Tak się nazywała? To by pasowało.

Kątem oka Balu dostrzegł, że Neckhar wsuwa zastępcy koronera zwitek kredytów, ale wolał nie interesować się za co.

- M'iiyoom, czyli nightlily, to drapieżna roślina żywiąca się niewielkimi gryzoniami i owadami, które próbują spijać nektar z jej kwiatów - wyjaśnił rzeczowo barman, spoglądając ponuro na zakrwawione prześcieradło, którym przykryto trupa. - Po stosunku samice H'Nemtha wybebeszają samców. Używają do tego języków: są ostre i sprężyste niczym klingi dobrych noży i znacznie twardsze niż na to wyglądają. To biologiczna sytuacja obronna, bo u tego gatunku na każdą samicę wypada ze dwadzieścia samców. Zawsze znajdzie się jakiś uważający, że miłość albo dobre rżnięcie są tego warte. Tych dwoje widziałem u siebie, ale w życiu mi nie przyszło do głowy, że Trevagg na tyle zgłupiał, żeby próbować się z nią przespać.

- Zawsze się przechwalał, jaki to z niego wielki myśliwy - mruknął Balu, przepuszczając ludzi koronera z noszami. - Przy tych jego wypustkach zmysłowych należałoby się spodziewać, że wyczuje coś takiego z wyprzedzeniem...

- A to jakim cudem? Dla niej to był akt czystej miłości - Wuher odwrócił się i dodał: - *N'gyng mth'une uned 'isobec 'k'chuv'ysobek.*

Było to stare ithoriańskie przysłowie, a w wolnym tłumaczeniu znaczyło: „Miłość” w jednym języku może w innych oznaczać „obiad”.

EMPIROWY BLUES

Opowieść Devaronianina

Daniel Keys Morann

Jeśli dobrze pamiętam, to egzekucja Rebeliantów zajęła nam mniej niż pięć minut. Od początku do końca.

Rebelia na Devaronie nie miała żadnych szans. Moja rodzinna planeta jest rzadko zaludniona i politycznie nieważna, ale leży w pobliżu centrum Galaktyki, co oznacza, że w pobliżu Imperatora, żeby zamarzył na śmierć. Nazywałem się wówczas Kardue'Sai'Malloc, trzeci w linii Kardue do noszenia rodowego nazwiska, i byłem Devishem, kapitanem w Armii Devaronu.

Mój ród służył w tej armii od szesnastu pokoleń, biorąc udział w Wojnach Klanów. Początki tej służby sięgały czasów świetności starej republiki, kiedy to nikomu nawet w sennych koszmarach nie śniło się, że mogłaby ona kiedykolwiek zmienić się w Imperium. Wojsko odpowiadało mnie, a ja wojsku - jedynym problemem było to, że musieliśmy współpracować z Imperium i że nasze oddziały znajdowały się pod dowództwem ich oficerów. Ogólnie biorąc było to jednak niezgorsze życie.

Szesnaście pokoleń zaszczytnej służby skończyło się pewnego popołudnia, gdy zdobyliśmy pozycje Rebeliantów w Montelian Serat. Co prawda opuściłem szeregi pół roku później, ale to tego dnia nastąpił koniec.

Montelian Serat to stare miasto, którego początki sięgają czasów, zanim moja rasa zaczęła podróże kosmiczne. To, że Rebelianci wybrali je na miejsce walki, było taktycznym idiotyzmem, ale cóż, wydawało im się, że Imperium oszczędzi zabytek. Naiwni! Całą noc trwał ostrzał artyleryjski, a rano zaproponowałem im, żeby się poddali. Miasto wyglądało jak kupa gruzu, więc przyjęli propozycję i wyszli bez broni. Było ich siedmiuset, obojga płci. Zaprowadziłem wszystkich do założonego w nocy obozu, przypominającego bardziej zagrodę dla bydła, i obstawiłem strażą. Obóz był dobrze broniony, bo o pół dnia marszu na południe kolejna grupa nadal walczyła i obawiałem się próby odbicia jeńców. Tym razem to ja okazałem się naiwny - powinienem obawiać się czegoś zupełnie innego.

Krótko po dwunastej otrzymałem rozkazy. Grupa na południu przemieszczała się w kierunku północnym, więc miałem zebrać oddział i przechwycić ich. Przedtem polecono mi zrobić jeszcze dwie rzeczy - dokończyć zniszczenia miasta, aby nikt nie powtórzył już błędu jego mieszkańców i nie udzielił Rebeliantom schronienia, i pozbyć się jeńców, byśmy nie musieli zostawiać żadnych straży.

Ładnie ujęty rozkaz... nie sposób było odczytać go inaczej jak „zabić”, ale to nie zostało nigdzie napisane. Poleciałem ich rozstrzelać wczesnym popołudniem, gdy skończyliśmy bombardowanie. Ustawiłem strażników półkolem i kazałem otworzyć ogień. Po mniej niż pięciu minutach umilkły ostatnie krzyki i zostałem zabójcą siedmiuset jeńców.

Nawet ich nie pochowaliśmy - nie było czasu: rozkazy nakazywały pośpiech, więc natychmiast

wyruszyliśmy.

Potrwało pół roku, zanim Rebelia na Devaronie mogła zostać uznana za czas przeszły dokonany. Ledwie się tak stało, złożyłem rezygnację. Z początku moi przełożeni (co do jednego - ludzie i oficerowie sił Imperium) nie wiedzieli, jak zareagować. Możliwości mieli dwie: rozstrzelać mnie za zdradę, czyli za złożenie rezygnacji albo pozwolić moim rodakom mnie zabić, kiedy tylko opuszczę szeregi, czyli przestanę być chroniony przez Imperium. Prawdę mówiąc nie obchodziło mnie, co wybiorą.

Wybrali drugą ewentualność.

Więc zniknąłem. Bardziej, żeby im zrobić na złość niż dlatego, że chciałem żyć. Ani oni, ani nikt z mojej rodziny czy znajomych nie widział od tej pory ani mnie, ani mojej kolekcji nagrań.

Było to naprawdę parę ładnych lat temu. Pustynną planetę Tatooine dzieli od Devaronu chyba z pół Galaktyki, ale jakoś się tu zadomowiłem. Polubiłem zwłaszcza jeden lokal, nie wiedzieć dlaczego zwany „Kantyną”. Nawet zaprzyjaźniłem się z barmanem. Przesiadywałem tu tak często, że rozumieliśmy się z Wu-herem bez słów. Na przykład, gdy się uśmiechałem, oznaczało to, że należy mi puste naczynie wymienić na pełne.

Właśnie się uśmiechnąłem.

Uprzejmie.

Żeby go nie wystraszyć.

W przypadku mojej rasy przedstawiciele obu płci dość mocno się różnią. Ponieważ wywodzimy się z wędrownych watach łowieckich, mężczyźni jako myśliwi mają znacznie mocniejsze i ostrzejsze zęby, typowe dla drapieżników, kobiety zaś mają uzębienie podobne do ludzkiego, czyli z dużą liczbą zębów trzonowych, by mogły korzystać z większego asortymentu żywności. Zdarza się niekiedy (podobno raz na pięćdziesiąt urodzeń), że rodzi się samiec z obydwoma zestawami zębów. Dawniej byli oni wykorzystywani jako zwiadowcy przez stado, bo mogli przeżyć w warunkach, w których inni myśliwi zmarliby z głodu. Dzięki temu byli w stanie zbadać znacznie większe obszary niż pozostali, również takie, na które większość nawet nie próbowała się zapuszczać. Może miało to związek z genami, może z całą naszą kulturą, ale tacy z podwójnymi zębami byli z natury samotnikami, a nie istotami stadnymi. Dla przedstawicieli innych ras szeroki uśmiech kogoś takiego był silnym przeżyciem i to nie z gatunku najprzyjemniejszych.

Ja właśnie miałem takie podwójne zęby.

Zewnętrzne były żeńskie, płaskie i nie sprawiające groźnego wrażenia, wewnętrzne za to ostre i spiczaste, przeznaczone do rozdierania zdobyczy. Gdy czułem się zagrożony, zewnętrzne zęby chowały się - w takich sytuacjach był to odruch, ale mogłem je także chować rozmyślnie. I czasami tak robiłem. Efekt, jaki wywierało to na przedstawicielach ras niedrapieżnych, był naprawdę niezwykły, zaś na ludziach - wręcz widowiskowy. Ludzie podobno są wszystkożemi, co rzadko idzie w parze z inteligencją. Im się udało, ale mam na ten temat własną teorię: ludzie są jedzeniem, które zdecydowało się walczyć. Swoisty ewenement. To, że im się udało tak ich zaskoczyło, że do dziś nie bardzo w to wierzą, toteż są wysoce podejrzliwi i nieufni.

Kiedyś spotkałem zabawnego człowieka. Usiłował mi wmówić, że ludzie są mięsożernymi drapieżnikami - ze swoimi zębami trzonowymi i czterema godnymi ubolewania tępymi kłami oraz przewodem pokarmowym tak długim, że mięso zdąży zgnić, zanim przez niego przejdzie. Gdybym był tak skonstruowany, żarłbym liście. Nie uśmiechnąłem się do niego, bo mi się go zwyczajnie żal zrobiło.

Wuher skrzywił się jak zwykle widząc mój uśmiech i stwierdził:

- Niech zgadnę, Labria: szklanka się zepsuła.

Wuher to mój najlepszy kumpel na tym piaszczystym wygwizdo-wie. Jest masywny, brzydki i przeważnie zły; nie ma za grosz tak zwanych ludzkich zalet. Nie cierpi droidów, a reszta właściwie go nie obchodzi. Lubię go - nienawiść do wszechświata to pewna duchowa subtelność, do której mało kto dorósł. Gdyby jeszcze przestał kochać pieniądze, mógłby dostąpić łaski.

- Masz rację - zgodziłem się poważnie. - Ciągłe jest pusta, czyli przestała działać. Gdybyś mógł się tym zająć...

- A konkretniej?

- Na przykład tym bursztynowym płynem.

- Chodzi ci o merenzańskie złoto?

- Taka etykiетка znajduje się na flaszce - przyznałem.

- Według życzenia Merenzan Gold, raz należy się pół kredytu. Położyłem monetę na blacie i poczekałem, aż napełni mi naczynie.

Merenzańskie Złoto to szlachetny trunek, słodki i subtelny, będący efektem kilku tysięcy lat doświadczeń destylacyjnych. Butelka kosztuje od stu kredytów w górę w zależności od rocznika.

To, co mi nalał, nadawało się do czyszczenia dysz głównego napędu, a te bardziej zużyte mogłoby rozpuścić. Czyli normalnie jak na tę cenę i miejsce. Zabrałem szklankę i udałem się do swego ulubionego kąta, położonego najdalej od estrady dla orkiestry, czyli podwyższenia, na którym występowała banda niegodna miana muzyków. Wsunąłem w uszy stopery.

Byłem pierwszym klientem tego ranka i prawdę mówiąc nie przypominałem sobie dnia, w którym nie byłbym pierwszym klientem Wuhera.

Tatooine to wredne, bezużyteczne zadupie. Co jest tu godne uwagi, to Jabba i doskonali piloci, jakich planeta rokrocznie dostarcza. Nie mam pojęcia, dlaczego Jabba zdecydował się właśnie tu założyć swoją bazę. Może dlatego, że Tatooine leży daleko od centrum Galaktyki i od uczęszczanych szlaków handlowych, a więc Imperium niewiele się nią interesuje. Zresztą nieważne. Co się tyczy pilotów, to na tej pustynnej planecie jedynie z południa i północy istnieją łańcuchy farm wodnych. Pojedyncza farma zajmuje taki obszar, że nawet do wizyt towarzyskich, nie mówiąc o zbiorach wody, niezbędne są jakieś maszyny latające. Inny środek transportu się tu po prostu nie sprawdza. Dzieci farmerów umieją latać, ledwie nauczą się chodzić, bo nie mają wyjścia - aby przejść obszar małej farmy, potrzeba całego dnia marszu, o ile wcześniej nie umrze się z pragnienia albo od udaru słonecznego.

Nienawidzę tego miejsca i prawdę mówiąc nie wiem, dlaczego siedzę tu tyle czasu. Znalazłem się tu przelotem, próbując dogonić Maxę Jandovar, wielką (i to nie tylko jak na rodzaj ludzki) vandfillistkę. Była jedną z pół tuzina prawdziwych artystów, którzy przetrwali, a których nie słuchałem na żywo. Pół dekady podążałem jej śladami, lądując czasem parę tygodni po jej koncercie. Raz spóźniłem się o pół dnia. Maxa nigdy nie ogłaszała swoich planów koncertowych, bo choć generalnie Imperium nie polowało na takich jak ona, nie mogła ryzykować, że na kolejnej planecie natrafi na komitet powitalny złożony z drużyny szturmowców i paru oficerów.

Imperium bowiem nie ufało artystom, a zwłaszcza wielkim. Takich polityka nie interesuje, pieniędzmi ich się nie przekupi, boje mają, a w dodatku często okazują denerwujące skłonności do mówienia prawdy w najmniej odpowiednim czasie i miejscu. Maxę Jandovar aresztowano na Morvogodine. Zmarła w areszcie. Byłem na Tatooine, gdy te wieści do mnie dotarły - na trzy godziny

przed startem na Morvogo-dine.

I jakoś tak tu zostałem.

- Wuher!

- Czego? - spytał uprzejmie, nie ruszając się z kontuaru.

- Powiem ci Uniwersalną Prawdę Numer Jeden: jeśli samica jest większa od ciebie, nie powinieneś jej proponować, żeby cię ugryzła.

Nawet się łajza nie uśmiechnął.

Przy sąsiednim stoliku dwóch mężczyzn próbowało przekonać mo-ovińskiego najemnika, żeby im pomógł obrabować knajpę położoną po przeciwległej stronie portu. Przyjrzałem im się odruchowo - nie zaszkodzi zadzwonić do właściciela i sprzedać mu tę informację. Zresztą nie wyglądało na to, by najemnik miał ochotę im pomóc. Tylko jeden z ludzi znał mooviński i do tego mówił z potwornym akcentem, przez co rzeczowa dyskusja przechodziła momentami w histeryczne wrzaski. Trudno więc było traktować go poważnie. W końcu Obron Mettlo, bo to on był owym najemnikiem, zirytował się i warknął, że jest żołnierzem, a nie rzeźmieszkiem i wymienił bitwy, w których walczył. O większości nawet słyszałem - jeśli brał udział choćby w połowie z nich, to faktycznie był zawodowcem.

- Wuher! - zawołałem.

- Czego?

- Jak byś nazwał kogoś, kto zna trzy języki?

- Lingwista.

- A kogoś, kto zna dwa?

- Dwujęzyczny.

- A kogoś, kto zna jeden? Widać było, że zabiłem mu klina.

- Normalny? - spytał niepewnie.

- Człowiek.

O mało się nie uśmiechnął.

Dzień mijał powoli, jak to zwykle bywa z dniami. Wypiłem wystarczająco, by mieć niezły humor - czyli tyle, co zazwyczaj. Trochę położyłem, trochę posiedziałem przy barze, postawiłem nawet drinka szturmowcowi po służbie, co okazało się marnotrawstwem: jedyne, co go interesowało, to baby. Ale tak to już jest, jak ktoś zajmuje się handlem informacjami - nie każde źródło okazuje się warte inwestycji. A czasami nawet tępy szturmowiec może wiedzieć coś ciekawego. I bywa, że przypomni sobie wtedy o starym kumplu od kielicha, czyli o mnie. 'Handel informacjami to subtelne zajęcie.

I nie mogę powiedzieć, że bym był w nim specjalnie dobry.

Garindan, zwany złośliwie Długoryim, zjawił się późnym popołudniem, psując całkiem udany dzień. Wuher nie miał akurat żadnego zespołu, więc nie musiałem wkładać stoperów. Ciekawostką było, że Garindan tym razem chciał sprzedać, a nie kupić informację.

Uśmiechnąłem się do niego szeroko, żeby zbić cenę i powiedziałem, żeby się odczepił. Kiedyś wziąłem protokolarnego droida, żeby sprawdził, co znaczy „Garindan”. W pięciu różnych językach znaczyło po kolei: „pobłogosławiony”, „spalone drewno”, „kurz po burzy”, „brzydki” i „toast”. Żadnym z tych języków nie posługiwał się gatunek choćby z grubsza podobny do mego rozmówcy. Garindan był najlepszym szpiegiem w Mos Eisley, a to już coś znaczy, bo tu roiło się od szpiegów. Płacił uczciwie, a nieraz dowiedział się ode mnie istotnych rzeczy. Czasami zresztą robiłem to celowo. Tym razem było widać, że chce mi się zrewanżować, bo się nie odczepił.

- Labria, to informacja z gatunku, który szczególnie cię zainteresuje - upierał się szeptem.

- Niby z jakiego?

Potrząsnął energicznie głową, a jego trąbonos zamajtał mi przed oczyma i musiałem się mocno powstrzymać, żeby za niego solidnie nie pociągnąć. Mając do czynienia z Garindanem, często musiałem się powstrzymać przed okazywaniem Łaski.

- Pięćdziesiąt kredytów, Labria. Nie pożałujesz.

Pociągnąłem łyk złotego kwasu, przepłukując nim zęby. Chyba dobrze wpływał na ich ostrość.

- Pięćdziesiąt to dużo. Informacja do odstąpienia?

- Tak, choć przyznaję, że nie wiem komu - odparł po namyśle. Coś, co interesuje mnie i nikogo więcej...

- No więc kto?

- Pięćdziesiąt...

- Zapłacę. Kto przyleciał? - Figrin...

Podniosło mnie z wrażenia.

- Figrin Da'n jest na Tatoonie?!

- Ludzie patrz! - jęknął. - Opanuj się...

Rozejrzałem się - rzeczywiście paru mi się przyglądało. Siadłem i przestali.

- Poniosło mnie - przyznałem. - Przepraszam. Zespół jest z nim?

- Pięćdziesiąt kredytów.

Któregoś dnia naprawdę go uduszę, obdarzając ostateczną Łaską. Warknąłem i dałem mu żądany banknot.

- Po co? - spytałem. Grają dla Jabby.

- Wszyscy?

- Całe „Modal Nodes”.

- Wszyscy - mruknąłem podniecony. - Doikh Na'ts na Fizzzie, Tedn Dahai i Ikabel na Fanfarze, Tech M'or na Ommni...

- Takie nazwiska słyszałem.

A więc najlepszy zespół jizzowy w galaktyce znalazł się na Tatoonie.

Wyszedłem wcześniej niż zwykle, jak tylko zrobiło się ciemno.

- Do jutra, Labria - pożegnał mnie Wuher.

„Labria” to wysoce obraźliwe słowo w moim ojczystym języku - można je przetłumaczyć elegancko jako „zimne jedzenie” lub mniej wytwornie jako „śmierdzące ścierwo”. To drugie tłumaczenie jest znacznie bliższe oryginalnego znaczenia. Jest to jednocześnie jedno z najgorszych przekleństw i śmiertelna obelga.

Prawie dwie dekady żyję wśród ludzi i przyznam, że nadal ich nie rozumiem - choćby tego, jak klną. Jak nie ma to związku z seksem, to na pewno z religią, a w ostatecznym przypadku z odchodami.

Wątpię, bym ich kiedykolwiek zrozumiał.

W Galaktyce jest ze czterysta milionów gwiazd. Większość ma jakieś systemy planetarne, a na połowie z nich istnieją warunki umożliwiające powstanie życia. Mniej więcej na jednej dziesiątej takowe życie powstało, a na co tysięcznej miało tyle czasu, by stać się życiem inteligentnym. Co w szacunkowych obliczeniach daje jakieś dwadzieścia milionów inteligentnych ras. W szacunkowych, ponieważ nikt, nawet uwielbiające statystyki Imperium, nie zdołało ich policzyć i odnaleźć.

Pojęcia nie mam, ilu łowców nagród przewinięło się za moich czasów przez Mos Eislej. Na

pewno paruset, jeśli nie parę tysięcy. I kilkadziesiąt tysięcy innych, którzy dla wystarczająco wysokiej nagrody gotowi byli na wszystko, choć nie byli łowcami. Jako Rzeźnik z Montel-ian Serat wart jestem pięć milionów kredytów i nikt nigdy nawet nie próbował na mnie zapolować. Prawdopodobnie nikt mnie nawet nie rozpoznał.

Łowcy to leniwa banda.

Gdyby nie byli tacy leniwi, wzięliby się za coś, co przynosi pieniądze.

To, że Devaron leży kawał drogi stąd, niczego nie tłumaczy - jestem jednym z niewielu poszukiwanych jego mieszkańców, a nagroda za moje rogi jest jedną z najwyższych w Galaktyce. Faktem jest, że na całej Tatooine znajdzie się może z tuzin istot, wiedzących do jakiej rasy należą. Poza mną na całej planecie jest jeszcze dwóch Devaronian: Oxbel i Ju-bal. Oxbela nawet lubię, kiedyś udawaliśmy braci, by wykręcić dość skomplikowane oszustwo, z którego i tak nic nie wyszło. Nie jesteśmy do siebie podobni - jego przodkowie pochodzili z rejonów równikowych, moi z okolic bieguna północnego, ale ludzie nie potrafią zauważyć różnicy. To, że go lubię, nie znaczy, że mam do niego zaufanie: co prawda opuścił Devaron znacznie wcześniej niż ja i mógł nawet nie słyszeć o Rzeźniku z Montellian Serat, ale z drugiej strony pięć milionów kredytów to naprawdę duża kwota. I lepiej dmuchać na zimne, jak mawiają ludzie, czyli stosować szeroko rozumianą profilaktykę.

Przykrą stroną takiego postępowania jest, że najbliższą kobietę mojej rasy mogę znaleźć po drugiej stronie galaktyki. Ech, lepiej o tym nie myśleć, bo rogi swędzą...

Tak, przygotowanie zawodowe nie jest najmocniejszą stroną łowców.

Toteż do domu poszedłem na skróty.

Moje podziemne lokum znajduje się o dwanaście minut szybkiego marszu od lokalu Wuhera, a raczej Chalmuna, bo to on jest właścicielem. Włamano się do mnie dwa razy - za pierwszym razem przybyłem po fackie, za drugim złapałem złodzieja na gorącym uczynku. Był to mężczyzna. Młody. Okazało się, że ludzie nie są smacznymi.

Światło zapala się automatycznie, gdy otwieram zamek, a klimatyzacja włącza się, gdy wchodzę - tak to ustawiłem zaraz po zamieszkaniu, ponieważ nie ma mowy, żebym zasnął, jeżeli nie jest odpowiednio chłodno. Nie lubię przewracać się po pościeli. Za drzwiami są schody i krótki korytarz prowadzący do pokoi. Jedynej naprawdę cennej rzeczy, jaka się w mieszkaniu znajduje, nie widać i obaj złodzieje jej nie znaleźli. Na szczęście.

Teoretycznie mieszkanie składa się z pokoju, sypialni, łazienki i kuchni. Teoretycznie. Łazienka, do której wejście prowadzi z sypialni, ma prysznic i urządzenia sanitarne przeznaczone dla ludzi, ale mnie także służą całkiem dobrze. Jeśli stojąc w basenie naciśnie się jedną z płytek, jakimi wyłożona jest kabina, ściana się odsuwa i można wejść do następnego pomieszczenia, którego obecności naprawdę trudno jest się domyślić. Jest niewielkie, ośmioboczne i choć poświęciłem mu sporo czasu, nie osiągnąłem doskonałych ścian. Mają przykrą skłonność do odbijania wysokich częstotliwości, a pochłaniania niskich, przez co każdy utwór ma więcej sopranów, a mniej basów niż powinien. Cóż, skoro nie da się tego zmienić, należy się przyzwyczaić.

Drzwi zamykają się automatycznie, a gdy wchodzę, przeważnie już panuje chłód - tu klimatyzacja zaczyna działać jako pierwsza.

A wzdłuż ścian stoją regały z nagraniami.

Część z nich to bezcenne unikatki - nagrania lub pierwsze kopie nagrań, które nie przetrwały nigdzie w Galaktyce. A część jest po prostu bardzo rzadka i bardzo cenna. Mam każdego, czyli coś w wykonaniu każdego, kto jest tego wart, nawet jeśli Imperium dawno zakazało go nagrywać i słuchać.

Mam muzyków zabitych za niewłaściwe słowa czy wykonanie lub za zaśpiewanie nie temu, komu trzeba. Mam takich, których zabito w majestacie prawa, takich, którzy zniknęli i takich, którzy zmarli, zanim wylęgło się Imperium. Maxa Jandovar, Orin Mersai, Telindel, Saerlock, lord Xavad i orkiestra Skaalite, M'Lar'Nkai'Kambric, Janet Lalasha i Miracle Meriko, który zmarł w imperialnym więzieniu cztery dni po koncercie, na którym ostatni raz zagrał „Stardance”. Byłem na tym koncercie. Mam ich wszystkich, podobnie jak starych mistrzów: Kanga, Lubrichsa, Ovido Aishare i zadziwiającego Brulliana Dylla.

Figrina i „Modal Nodes” mam dwa nagrania. Figrin to chyba największy klooiista jakiego widziała Galaktyka, a Doikh Nats... niekiedy bywa zbyt ostrożny, ale czasami gra z takim ogniem, że Janet Lalasha mogłaby mu pozazdrościć. Pozostali członkowie zespołu mogliby sami mieć swoje kapele, gdyby chcieli, i to niewiele gorsze.

Siadłem w fotelu ustawionym w miejscu, w którym dźwięki są najczystsze, otworzyłem butelkę dwudziestoletniego dorian aqill i poczekałem na muzykę. Moja rasa wierzy, że aby coś naprawdę zabić, trzeba to szanować i kochać w momencie, gdy umiera. Wtedy nie ma żadnych barier między tobą a tym, co zabijasz - i sam giniesz zabijając.

Muzyka jest jedyną rzeczą, jaką znam, która daje to samo uczucie.

Muzyka będzie mnie otaczać, jak długo będę żył. I jest to jedyny powód, dla którego żyję.

Całe szczęście, że moi przodkowie są już martwi.

Rankiem udałem się do Jabby.

Jak zwykle ustawił mnie na zapadni i jak zwykle podczas rozmowy drgał mu ogon, co również jak zwykle mnie denerwowało. Drapieźniki mogą zostać zjedzone przez większe drapieźniki, a mimo to miałem nieodpartą ochotę przybić mu ten ogon do podłogi.

- A więc... - zadudnił nieprzyjemnym śmiechem, przyglądając mi się olbrzymimi ślepiami - co za informacje ma na sprzedaż mój najmniej ulubiony szpieg?

Odpowiedziałem w jego języku, czego staram się unikać, bo potem krtań mnie boli, a w dodatku, aby niektóre dźwięki brzmiały właściwie, muszę używać obu zestawów zębów, co przy dłuższej konwersacji zawsze wywołuje ból mięśni od ciągłego chowania i wysuwania tych zewnętrznych.

- W mieście jest pewien najemnik...

Prawdę mówiąc nie wiedziałem o nim zbyt wiele, ale wołałem się pospieszyć: nigdy nie słyszałem „Modal Nodes” na żywo, a jeżeli nie spodobają się Jabbie, to już ich nie usłyszę. Nikt ich nie usłyszy. A na jego gust muzyczny wołałbym nie liczyć.

- Nazywa się Obron Mettlo i jest zawodowcem. Walczył w wielu bitwach, często po zwycięskiej stronie, a teraz szuka zajęcia. To Mo-ovin i ma podejście...

Jabba chrząknął, co przy dobrej woli można było uznać za zainteresowanie. Nie dziwiłem mu się - bandziorów miał ilu chciał, ale zawodowiec ze zdrowym rozsądkiem nie zdarzał się często. A Moovin był kimś takim.

- Jeśli sobie życzysz, mogę się z nim skontaktować i przyprowadzić tu... na rozmowę, na obiad albo na zabawę przy muzyce, jak chcesz. Muzyka dobrze robi Moovinom: uspokaja...

Zamknął oczy, co mogło oznaczać, że jest zmęczony, albo że myśli. W końcu oznajmił:

- Przyślij go.

Ukloniłem się i czym prędzej wycofałem z zapadni.

- Według życzenia. Czy możemy przyjść dziś po zmroku? Jabba uśmiechnął się, a mnie się zjeżył włos na karku.

- Powiedziałem, żebyś go przysłał - sprecyzował. - Ty nie jesteś zaproszony. No i cały plan wziął w łeb - tak mnie to zaskoczyło, że przez moment stałem jak sparaliżowany... otrzeźwił mnie dźwięk, jaki wydał z siebie Jabba. Słyszałem taki dźwięk nieraz na Devaronie, ale moich pobratymców potrzeba było z tuzin, by miał on właściwe natężenie. Tu wystarczył jeden Hutt, by wyprostowały mi się uszy i schowały przednie zęby.

- Możesz odejść.

No to odszedłem.

Wieczór spędziłem u Wuhera spijając się w trupa.

Spodziewałem się, że prędzej czy później Jabba nakarmi zespołem rancora - nigdy dotąd nie miał dobrych muzyków, a to, co reprezentowała kapela Maxa Rebo, trudno było nazwać muzyką i doskonale grali tylko na nerwach słuchaczy.

A tymczasem okazało się, że Rebo szuka zajęcia.

Jabba miał nowych ulubieńców.

Przez cztery dni nie mogłem myśleć o niczym innym i nic nie wymyśliłem. Byli tak blisko i grali, a ja nie mogłem ich słuchać. Doprowadzało mnie to do szału, wzmaganego świadomością, że zawdzięczam to wrodzonej złośliwości tego spuchniętego smarka - Jabba musiał wyczuć, że mi na czymś zależy, więc zrobił, co mógł, żebym tego nie osiągnął. Na szczęście chyba się nie domyślił, na czym konkretnie tak mi zależy...

Piątego dnia poziom mojej krwi w alkoholu stał się tak niski, że koło północy obudziłem się na brzuchu w zaułku na tyłach lokalu Chalmu-na. Ktoś trącał mnie czubkiem buta i już prawie zdecydowałem, że go ugryzę w łydkę za nachalność...

Wuher przyklęknął obok mnie.

- Możesz wstać?

Powoli wracały wspomnienia - cały byłem obolały, a prawą ręką w ogóle nie mogłem ruszać. Kilku typków z solidnymi pałami nasko-czyło na mnie wczesnym wieczorem, gdy wracałem do domu... jednemu chyba udzieliłem ostatecznej Łaski, ale nie byłem pewien. Fakt, że żyłem, świadczył, że był to typowy napad rabunkowy.

- Wątpię - uznałem, gdy sens pytania w pełni do mnie dotarł.

- Pomogę ci...

Jestem cięższy niż wyglądam, toteż Wuher porządnie się namęczył, nim mu się udało. Przy okazji uraził mnie w ramię. Błyskawica bólu całkiem skutecznie zmusiła mój otępiały umysł do pracy.

- Gdzie mieszkasz? - sapnął Wuher.

I tak wspólnymi siłami, ale bardziej jego niż moimi, dotarliśmy do celu. Przez część drogi mnie podpierał, przez część niósł, ale się udało.

- Potrzebujesz lekarza? - spytał, gdy mocowałem się z zamkiem. Nie pamiętam, czy mu odpowiedziałem, czy nie - pytanie było bez sensu, bo na całej Tatooine nie było nikogo, kto znalazłby się na mojej fizjologii na tyle, by móc skutecznie mi pomóc. A nieskuteczna pomoc równała się bolesnemu dobicciu.

Jakoś dotarłem do prysznic i puściłem zimną wodę, zanim osunąłem się po ścianie, całkowicie wyczerpany. Przesiedziałem tak do rana, próbując się zdecydować, jak bardzo chcę żyć.

Rano zdecydowałem, że wystarczająco, by spróbować. Klimatyzację włączyłem na pracę ciągłą, a koło południa siły wróciły mi na tyle, by wyjąć z zamrażarki kawał polędwicy z wompa, podgrzać to do temperatury ciała i zaciągnąć pod prysznic. Przedtem rozebrałem się i bez pośpiechu zjadłem

całe mięso w strugach zimnej wody. Gdy po posiłku zostało wspomnienie, wyłączyłem prysznic i zataczając się dotarłem do łóżka.

Chyba ze trzy tygodnie zajęło mi doprowadzenie się do stanu umożliwiającego bezpieczne wyjście z domu. Ramię nie było jeszcze całkowicie zagojone i musiałem na nie uważać, ale skończyły mi się zapasy żywności i nie miałem innej możliwości. Kilkakrotnie ktoś się do mnie dobijał, ale nie otworzyłem - w Mos Eisley chorzy i słabi mają niewielkie szansę na przeżycie. Ci, którzy na mnie napadli, mogli się tym pochwalić, a wieści w Mos Eisley rozchodzą się szybciej niż można by przypuścić. Jeśli się pochwalili, to ich znajdę i gdyby nawet okazali się niezbyt smacznymi ludźmi, wylądują w mojej zamrażarce. Nie mogę dopuścić, by rozeszła się wieść, że można na mnie bezkarnie polować.

Pewnego ranka ubrałem się, włączyłem system przeciwwłamanio-wy i nie spiesząc się, żeby nie dostać zadyszki, skierowałem kroki ku swemu ulubionemu lokalowi.

Zgodnie z tradycją byłem pierwszym gościem. Wuher na mój widok o mało się nie uśmiechnął i bez słowa sięgnął po szklankę. Nalał do niej złocistego płynu i powiedział:

- Pierwszy na koszt firmy, tylko wypij, zanim ktoś przyjdzie. Spojrzałem na napój, potem na niego i na dłuższą chwilę zabrakło mi słów.

- Dziękuję - wykrztusiłem wreszcie i uniosłem szklankę. I zamarłem. Drapieżniki mają znacznie wrażliwsze nosy niż inni, a mój kategorycznie twierdził, że z alkoholem w tej szklance było coś nie tak. Wuher tymczasem nalał i sobie, uniósł naczynie w milczącym toaście i wypił, zanim jeszcze do mnie dotarło, że nalał mi prawdziwe merenzańskie złoto. Oryginał, a nie wredna podróbka, jaką tu dotychczas spożywałem.

Wuher zakorkował starannie pozbawioną nalepki butelkę, schował ją pod kontuar i jakby nigdy nic zajął się ustawianiem naczyń. A ja ostrożnie zaniósłem szklankę do swojego stolika i wypilem jej zawartość naprawdę powoli.

Nie miałem pojęcia, że na Tatooine jest choćby jedna butelka oryginalnego trunku. Przez te wszystkie lata prawie zapomniałem, jak smakuje. Swoją drogą ciekawe, ile czasu Wuher ją miał...

Nie dało się ukryć, że byłem wyjątkowo marnym szpiegiem.

A to jest coś, z czego można być dumnym.

Ranek upłynął mi na słuchaniu rozmów. Wypadłem z obiegu, a sporo ciekawych rzeczy wydarzyło się w tym czasie. Zeszłej nocy na przykład imperialny krążownik czy niszczyciel zdobył po wymianie ognia rebeliancką fregatę i dziś od rana szturmowcy przetrząsali Tatooine, szukając kogoś, kto im uciekł. To jedna ciekawostka.

Najemnik, którego poleciłem Jabbie, wszczął awanturę z jego ochroniarzami i zabił co najmniej czterech, zanim wylądował u rancora. Wieść niosła, że opłaciła go lady Valarian, aby załatwił Jabbę, tylko spartaczył robotę. To była druga ciekawostka - znacznie gorsza.

Może Jabba zdążył zapomnieć, kto mu go polecił... może Garindan odda mi pięćdziesiąt kredytów... oba zdarzenia były równie prawdopodobne.

Olśniło mnie po południu.

Konkretnie po wizycie Garindana, który wspomniał o planowanym ślubie lady Valarian. Na weselu miał przygrywać Max Rebo ze swoimi rzępołami. Nawet nie zauważyłem, jak sobie poszedł. Długo siedziałem gapiąc się na salę i nie widząc nikogo ani niczego, aż w końcu poukładałem sobie wszystko.

- Wuher - zawołałem niegłośno.

Przerwał rozmowę z dwiema bliźniaczo podobnymi kobietami, które wyglądały jak klony, a przedstawiały się jako siostry Tonnika. Zrobił to z niechęcią, bo według ludzkich standardów były całkiem atrakcyjne.

- Czego? - warknął uprzejmie jak zwykle.

- Jak interes?

- Do dupy - odparł, przyglądając mi się podejrzliwie. - Zawsze taki jest.

- A co byś powiedział, gdyby tu przygrywali porządni muzycy?

- Rebo? Nie stać mnie na niego, on kosztuje więcej niż zarabia! występami.

Uśmiechnąłem się uprzejmie.

- Mówię o muzykach, przyjacielu. Figrin Da'n i „Modal Nodes”: to Bithowie i są naprawdę dobrzy. Muzycy przez duże M.

- A ile by mnie kosztowali?

- Pięćset tygodniowo.

Tym razem przyjrzał mi się jeszcze bardziej podejrzliwie - brzmiało to zbyt zachęcająco, żeby miało nie być kantem. Pytanie tylko, kogo miano okantować.

- Lepsza kapela niż Rebo grająca za mniejsze pieniądze? - mruknął., - Myślę, że mogę to zorganizować.

- Jak?

No to mu powiedziałem.

- Ty to masz zбочzoną wyobraźnię, Lab - przyznał z uznaniem, gdy skończyłem.

- Umowa stoi?

Potrząsnął głową, poskrobał się w ciemność i mruknął:

- Stoi!

I burcząc pod nosem wrócił za kontuar.

Lady Valarian jest czymś w rodzaju konkurencji Jabby na Tatoonie i w okolicach. Chociaż Jabba nie cierpi konkurencji, ją toleruje, ponieważ stanowi coś jakby zawór bezpieczeństwa: zbierają się wokół niej wszyscy niezadowoleni z jego rządów i łatwo jest ich mieć na oku. Valarian pochodzi z Whiphidów, co oznacza, że jest wielka, brzydka, głupia i śmierdzi gorzej niż Jabba. Naprawdę wątpię, czybym ją zjadł, nawet przymierając głodem.

Co nie zmienia faktu, że złożyłem wizytę w jej nieruchomości, czyli hotelu „Lucky Despot”. Prawdę mówiąc hotel to eufemizm - jest to zaadaptowany do celów rozrywkowych stary statek kosmiczny, który już nigdy nigdzie nie poleci.

- Wesele kogoś tak znamienitego powinno mieć godną oprawę - zagaiłem po wstępnych uprzejmościach. - Jeśli na twoim, pani, zagrają „Modal Nodes” Figrina Da'na, będzie się o tym mówić przez lata w tym kącie Galaktyki. Głównie z zazdrością, bo grają naprawdę wspaniale. Nikt nie potrafi muzyką stworzyć tak romantycznego nastroju jak oni. Ci, których nie zaprosiłaś, będą tego długo żałować. Przyjrzała mi się podejrzliwie - przynajmniej tak mi się wydawało, bo przy kaprawych oczkach Whiphidów trudno jest mieć pewność. W końcu spytała:

- Są lepsi niż Max Rebo? Lubię Maxa i jego muzykę.

Byłbym zaskoczony, gdyby nie lubiła. Zasługiwała na podobnie żalną chałę. Nie dałem jednak za wygraną.

- Nie zamierzam krytykować twego gustu, pani, w końcu to twoje wesele - uśmiechnąłem się uprzejmie. - Chciałbym tylko zwrócić twoją uwagę, że „Modal Nodes” są teraz ulubionym zespołem

Jabby, zaś grający tam dotąd Max Rebo wyleciał na zbity pysk po pierwszym ich występie. Ktoś złośliwy mógłby za twoimi plecami powiedzieć, że na twoim weselu, pani, grali muzycy o umiejętnościach zbyt słabych nawet dla Jabby...

Trochę mnie poniosło - zapomniałem, że ojczysty język Whiphidów zawiera nie więcej niż osiem tysięcy słów, toteż nieco potrwało, zanim do mojej rozmówczyni dotarł sens tego, co usłyszała. Kiedy jednak dotarł, wywarł efekt zgodny z moimi oczekiwaniami:

- Nie! - wrzasnęła. - Chcę „Modal Nodes”! Możesz to załatwić?

- Ostrzegam, że będą drogo kosztować. Ryzykują gniew Jabby grając dla ciebie, toteż przekonać ich może tylko honorarium... sędzę, że trzy tysiące kredytów powinno wystarczyć. Jeśli pożyczysz mi jakiegoś droida w charakterze posłańca, to sędzę, że powinno mi się udać...

Rano w dniu ślubu zadzwoniłem do Jabby.

Na mój widok roześmiał się, tym razem chyba szczerze ubawiony.

- Mój najmniej ulubiony szpieg! Może byś wpadł, na kolację dajmy na to. Porozmawialibyśmy o najemniku, którego mi tak polecałeś.

- Każdy może się pomylić, ale nie z tym dzwonię. Mam dla ciebie informację. Wiesz może, że twoi muzycy: Figrin Da'n i „Modal Nodes” zniknęli?

- Hmmmph! - Obraz się zatrzęsł i Jabba zniknął.

Połączenie nie zostało jednak przerwane: z głośnika dał się słyszeć najpierw łomot, potem trzask, a potem wrzask i szczęk stali. A potem więcej wrzasków. Poczekałem cierpliwie, aż rozmówca wróci i się odezwie.

- Gdzie oni są?!

- Dziś jest ślub lady Valarian i wynajęła ich, żeby grali na weselu. W „Lucky Despot”, gdybyś nie wiedział, gdzie ma się odbyć uroczystość.

Zmrużył oczy i zapytał:

- A co mój najmniej ulubiony szpieg chce za tę informację?

- Zapomnijmy o pewnej niefortunnej rekomendacji...

Przez sekundę przyglądał mi się badawczo, a potem zadudnił śmiechem:

- Zadzwonił kiedyś, mój najmniej ulubiony szpiegu! I przerwał połączenie. Otarłem mokre od potu czoło.

Wuher wystroił się na wesele, czyli zmienił koszulę.

I naturalnie zamknął lokal. Dałem mu swoje zaproszenie, które otrzymałem od panny młodej wraz z niedwuznaczną sugestią, że w przyszłości może mi się zdecydowanie bardziej opłacać informowanie o różnych rzeczach jej niż Jabby.

Ktoś kiedyś na pewno Jabbę zabije, ale byłbym naprawdę bardzo zaskoczony, gdyby udało się to Valarian.

- Jesteś pewien, że na weselu będzie zadyma? - chciał koniecznie wiedzieć Wuher.

- Jestem przekonany, że po weselu „Modal Nodes” nie zechcą wracać do Jabby, a z wesela będą ewakuować się raczej szybko. Wszystko, co musisz zrobić, to zaproponować im miejsce, w którym będą mogli przeczekać i trochę zarobić. Zostaną z niczym - Jabba im nie zapłacił, a Valarian nie zapłaci po tym, co się stanie na jej weselu.

- Naprawdę myślisz, że na to pójdą? ^ - Myślę, że wręcz pobiegną.

Wuher przyjrzał mi się dziwnie i powiedział:

- Lab, gdybyś wkładał tyle wysiłku w prawdziwe interesy, byłbyś naprawdę bogaty.

- Widzisz, Wuher, pieniądze to jedyna rzecz, na której mi zależy - odparłem łagodnie.

Jabba nie jest głupi. Jest też niebezpieczny.

I nie lubi sprytniejszych od siebie.

Dlatego siadłem sobie w cieniu budynku stojącego obok „Lucky Despot” od strony lokalu Wuhera i obserwowałem gości przybywających na wesele. Wysłanników Jabby rozpoznałem bez trudu i z zadowoleniem stwierdziłem, że nie planował masakry - gdyby zamierzał pozbyć się Valarian i jej pomagierów, wysłałby większe siły. A to świadczyło, że moje przewidywania okazały się słuszne.

Dotarły do mnie urywki „Tears of Aqvanna”, a potem usłyszałem, jak grają „Warm case”. Dziwne utwory jak na wesele, ale to mógł być koncert życzeń.

A potem pojawili się szturmowcy. Dwie drużyny - cicho, bez świateł, ale w pełnym uzbrojeniu i oporządzeniu. Jedna drużyna obstawiła wyjścia, druga weszła do hotelu. Od momentu, w którym ich zobaczyłem, minęło mniej niż dwadzieścia sekund, kiedy skończyła się cisza - krzyki, strzały, wrzaski i bezładna palba z miotaczy i blasterów. Jeden z obstawiających wejście żołnierzy padł trafiony, a pozostali otwarli ogień do okien, z których ich ostrzelano. Przez noklornetkę widać było, skąd strzelają, a gdzie uciekają - tych drugich było znacznie więcej; ewakuacja trwała w najlepsze. Mnie interesowało pewne miejsce trzy piętra nad ziemią: był tam luk awaryjny, który podałem Wuherowi jako najpewniejszą drogę ucieczki. W końcu kłapa odskoczyła i wyłoniła się duża łysa głowa - Bith. Nawet nie próbowałem zgadnąć który, bo są za bardzo do siebie podobni. Miał instrument, to już nieźle. Za nim wychodzili następni. Bardzo dobrze. Po nich pokazał się Wuher, a więc było wyśmienicie. W rekordowym tempie zeszli na dół i pognali razem w noc. Przebiegli obok nie zauważając mnie, ale o to właśnie mi chodziło.

Nigdy nie podejrzewałem Wuhera, że potrafi tak zwawo przebierać nogami, zawsze jednak uważałem, że odpowiednia motywacja działa cuda. Motywację zobaczyłem po dwóch sekundach - parę szturmowców w pełnym biegu i z bronią gotową do strzału. Udzieliłem odrobinę Łaski, podstawiając pierwszemu nogę. Drugi wywalił się niejako samodzielnie. Zanim zdążyli się pozbierać, ja pozbierałem ich broń. Co prawda dawno nie miałem do czynienia z laserowym karabinkiem szturmowym, a nigdy z tym akurat modelem, ale zasady konstruowania broni długo się nie zmieniają, zwłaszcza jeśli typ się sprawdza. Typ, którego używało Imperium za moich czasów, sprawdził się wielokrotnie. Nie miałem zatem najmniejszego kłopotu z wyjęciem zasilaczy. Rozładowane karabinki wręczyłem szturmowcom, gdy wrócili do pionu, dodając:

- Wydaje mi się, że panowie coś upuścili.

Jeden natychmiast odskoczył unosząc broń i wrzasnął:

- Nie ruszaj się!

Drugi spojrzał na to, co mu wręczyłem, potem na mnie, a potem na kumpla.

- Jesteśmy rozsądnymi istotami, prawda? - spytałem. - Przewróciliście się, a ja wam pomogłem wstać. Zdarza się i nie ma co się niepotrzebnie denerwować. Gdyby któremuś z was coś się stało, to byśmy inaczej rozmawiali: jakieś odszkodowanie albo coś takiego...

Przez chwilę wszyscy trzej przyglądaliśmy się sobie w milczeniu.

- Próbujesz nas przekupić? - spytał z pewnym wysiłkiem ten, który celował.

Wyprostowałem się jak na paradzie i uśmiechnąłem się do nich. Nie był to uprzejmy uśmiech.

- Absolutnie nie zamierzam was przekupywać...

Rano, gdy wszedłem do lokalu „Modal Nodes” byli już na miejscu przygotowując się do występu.

- Omal mnie nie zastrzelił parszywy droid! - powitał mnie ponuro Wuher.

- To się nazywa parszywe szczęście: z zasady nie pudłują. Słyszałeś, jak grają?

- Słyszałem - przyznał niechętnie. - Faktycznie są niezli.

- Są najlepsi - powiedziałem cicho. - I myślę, że o tym wiesz. Mruknął coś niezrozumiale, ale nie zaprzeczył.

- No to możemy pogadać o mojej zapłacie - zaproponowałem.

- No to możemy.

- Darmowe drinki przez rok.

- Jeszcze czego! Żebym poszedł z torbami?! Za nic ich tu przez rok nie utrzymamy. Odlecą, kiedy tylko zbiorą niezbędną do tego kasę. A zbiorą szybko.

Miał rację, ale nie do końca.

- Pobędą tu dłużej, bo Jabba nie pozwoli im tak prędko opuścić planety. Może nawet któregoś dnia zażyczy sobie ich z powrotem.

Tym razem Wuher naprawdę się uśmiechnął. Zdecydowanie wołałem, jak się krzywił.

- Siedem darmowych kolejek codziennie, jak długo będą tu grać - zaproponował. - Od dnia, w którym znikną, zaczniesz płacić. Za każdą kolejkę powyżej siedmiu też płacisz.

Uśmiechnąłem się, odruchowo, co uświadomiła mi dopiero mina barmana.

- Przepraszam. Umowa stoi!

I podszedłem do Bithów, a konkretnie do Figrina. Muzyk z niego doskonały, a tak w ogóle to nadęty dupek. Kiedy się przedstawiłem, zorientowałem się, że zna mnie ze słyszenia i nawet nie próbuje ukryć pogardy: Labria, półpijak, półnaiwniak, a w ogóle nie wiadomo co.

- A, tak - mruknął ledwie zaszczycając mnie spojrzeniem. - Najmniej ulubiony szpieg Jabby.

- Nie zagrałbyś?- spytałem wiedząc o jego słabości, co kart. - Ruch i tak zaczyna się tutaj dopiero koło południa.

- Chyba nie...

- *Sabacc*, dwadzieścia kredytów minimalna stawka - ciągnąłem, jakby się w ogóle nie odezwał.

Jego głowa obróciła się o dziewięćdziesiąt stopni, jakby był droidem.

- Proszę, proszę! Stać cię na tyle?

Uśmiechnąłem się chowając przednie zęby - Bith wiedzą, że ich jadamy.

- Próbujesz mnie obrazić, Figrinie Da'n?Graliśmy moimi kartami, bo Figrin swoje stracił. Jego rasa żyje na ciepłej i jasnej planecie, a Devaronianie pochodzą z ciemnego, ponurego świata. W takim otoczeniu zdolność widzenia w podczerwieni jest wręcz nieoceniona. Nie będę się zakładał; może i istnieje rasa lepiej widząca w podczerwieni, ale ja takiej nie spotkałem.

Karty były chłodne, bo noszę je w specjalnym etui. Na obrzeżach koszulek wszystkie mają znaczki wykonane substancją świecąca w podczerwieni. Przez wszystkie rozdania wiedziałem, jakie ma karty. Zanim zasiadł do gry, był bankrutem. Gdy wstał od stolika, byłem właścicielem wszystkich ich instrumentów poza Fizzem Doikha Na'tsa.

To był naprawdę udany dzień.

Przez długie lata byłem przekonany, że wszystko się sprzysięgło, żeby mnie powstrzymać od przyjemności słuchania na żywo dobrej muzyki. Ten dzień też się tak zapowiadał: Najpierw muzycy mi się pokłócili. Potem, jak im przeszło i zgrali się na tyle, by „Mad about me” zabrzmiało naprawdę dobrze, jakiś stary dureń porąbał dwóch innych i to zabytkowym mieczem świetlnym. Naturalnie utwór przerwano. Potem zjawił się ten wariat Solo i koniecznie musiał odstrzelić tandetną imitację

łowcy imieniem Greedo. Następny przerwany utwór. Gdybym miał miotacz, pewnie strzeliłbym mu w plecy, kiedy wychodził, a tak niestety zmarnowałem dobrą okazję. No, ale też dzięki temu nie przyciągnąłem niczyjej uwagi i nie przerwałem kolejnego utworu.

W miarę jak wieczór się rozkręcał, zespołowi szło coraz lepiej. Goście przestali się nawzajem wyrzynać, a Figrina przestało trząść na mój widok, chociaż przez całe popołudnie co na mnie spojrzał, to gubił rytm. W końcu dotarło do niego, że ja naprawdę podziwiam ich grę, a trudno jest długo się wkurzać na wielbiciela. Im później, tym muzyka stawała się mroczniejsza, a muzycy grali coraz lepiej improwizując jeden przez drugiego. Prym wiedli Figrin i Doikh, uzupełniając się wręcz perfekcyjnie. Wiedzieli, że choć jest to jednoosobowe audytorium, to jednak potrafi rzeczywiście docenić ich sztukę. Zakończyli wieczór „Samotnym Światem”, co było odpowiednie do sytuacji. W finale zagrali doskonałą i bardzo trudną solówkę na Kloo. Utwór zakończyli Doikh i Firgin, zatopieni w muzyce. Obserwowałem ich i wiedziałem, że są bezpieczni, daleko stąd, otoczeni muzyką, w miejscu, którego nigdy nie poznam.

UDANA TRANSAKCJA

Opowieść Jawy

Kevin J. Anderson

Olbrzymi, kanciasty pojazd posuwał się dostojnie po złocistym zboczu wydmy rozgrzanej blaskiem dwóch słońc Tatooine. Jechał z szybkością niewielką, ale za to stałą, a potężne gąsienice ze szczękiem złożyły równoległe ślady w piachu. Za parę godzin wiejący nieustannie wiatr zatrze je, choć są tak głębokie, przywracając Morzu Wydm dziewiczy wygląd. Pustynia jak zwykle opierała się wszelkim trwałym zmianom.

Głęboko we wnętrzu pojazdu była umieszczona maszynownia, w której dwa reaktory pracowały non stop. Wokół nich kręciła się jak zwykle ekipa mechaników, przyzwyczajonych do ciągłego hałasu starych generatorów i całej reszty wysłużonej maszynerii. Jednym z nich był Het Nkik. Jak zwykle w maszynowni, podejrzliwie wąchał powietrze; doświadczenie nauczyło go, że gdy coś się psuje, najpierw zmienia się zapach. Teraz nic nie zapowiadało gwałtownych awarii, ale powietrze pełne było odoru wyciekających smarów i zużytego durasteelu - maszyneria była stara i dawało się to wyczuć.

Ludzie, podobnie jak wiele innych inteligentnych ras, pogardzali Jawami głównie z powodu ich smrodu, od którego wędły nosy. Prawda była nieco bardziej skomplikowana - Jawa nie mył się nie dlatego, że nie lubił, lecz dlatego, że zapachy stanowiły dlań istotne źródło informacji. Po zapachu innego Jawy odgadywał, jak tamten się czuje, kim jest, co i kiedy ostatnio jadł, w jakim jest wieku i nastroju. Dla Jawy zapach był równie istotny jak obraz, toteż nie mył się, by nie utrudniać życia pobratymcom.

Het Nkik martwił się stanem maszyn. Normalnie wszyscy podzielaliby jego troskę, chcąc uniknąć awarii przynajmniej do momentu rozładowania towarów u następnego klienta. Dziś jednak stan maszyn się nie liczył, dopóki działały. Dziś wszyscy byli zajęci zbliżającym się corocznym świętem spotkania klanów i wyduszali z silników, ile się dało, by jak najszybciej przybyć na miejsce tradycyjnej uroczystości. Het potrząsnął głową. Rozumiał, że to ważna okazja, ale jeżeli silniki odmówią posłuszeństwa, to spóźnią się jeszcze bardziej. Nie odzywał się jednak; inni po jego zapachu i tak wiedzieli, co czuje.

Het Nkik jak na Jawę miewał dziwne pomysły i jeszcze dziwniejsze poglądy, a co więcej, przedstawiał je każdemu, kto go tylko chciał wysłuchać. Oczywiście każdemu Jawie - nie był na tyle gupi, by rozmawiać z Obcymi. Sprawiało mu przyjemność obserwowanie reakcji zaszokowanych członków klanu na jego pomysły. Wykombinował na przykład, że Jawa stać było na więcej niż na ukrywanie się przed Ludźmi Piasku i farmerami wodnymi czy najgorszymi ze wszystkich - imperialnymi szturmowcami, którzy już dość dawno doszli do wniosku, że bezbronna rasa stanowi

doskonały, ruchomy cel przy ćwiczeniach na pustyni. Uważał, że jego pobratymcy byli słabi jedynie dlatego, że chcieli tacy być. Ale nikt nie podzielał jego zdania, a co gorsza coraz mniej Jawów chciało w ogóle go słuchać.

Na wszelki wypadek otworzył jeden z paneli technicznych i podregulował elektroniczne sterowanie najbardziej zużytego generatora. Swoją drogą zadziwiające, ile wysiłku i wyobraźni wkładali Jawa w desperacką walkę, której celem było utrzymanie tej starej maszyneryi w jako takim stanie, nie czyniąc nic, by obronić siebie czy swoją własność przed atakiem.

Zabuczał sygnał i załoga maszynowni zapiszczała z radości, rzucając się do wyjścia. Het podkasał brunatny habit i pognął z innymi ku windzie prowadzącej na mostek, będący jednocześnie pokładem obserwacyjnym. Winda jęknęła, załadowana do granic możliwości, ale ruszyła.

Mostek mieścił się na przednim wierzchołku trapezoidalnego kadłuba masywnego sandcrawlera. Normalnie załogę stanowiło piętnastu Jawów, z których większość pełniła rolę obserwatorów, stając na pustych skrzynkach ustawionych wzdłuż panoramicznych okien z trans-paristeelu, wychodzących na wszystkie strony świata. Skrzynki były niezbędne, ponieważ pierwotnie pojazdy były transportowcami rudy, skonstruowanymi dla potrzeb i wymiarów ludzi. W początkowym okresie kolonizacji Tatoonie sprowadziła je grupa górników w nadziei, że na eksploatacji złóż zalegających pod pustynią zrobią fortunę. Pustynia okazała się jednak trudnym przeciwnikiem, a złoża uboższe niż się spodziewali, toteż pewnego pięknego dnia zostawili sprzęt i wynieśli się z planety. Transportowce odnaleźli Jawa, przetrząsający od pokoleń pustynię w poszukiwaniu rozmaitych odpadków, i któryś z bardziej rozgarniętych uznał je za idealny środek transportu dla klanów przemierzających Morze Wydm i Pustkowie Judland. Przy okazji powstał spór, jak je nazwać - pomysłów było wiele: od bezsensownego piaskoczołgu przez łaziki pustynne, pełzacze i inne nazwy, mniej lub bardziej udane, ale najpopularniejszy okazał się sandcrawler albo po prostu pojazd. W ten sposób od ponad wieku potężne gąsienicowe transportery przemierzały pustkowia Tatoonie w poszukiwaniu wszystkiego, co dałoby się ponownie użyć lub sprzedać. Panczerze zbrązowiały i utraciły gładkość pod wpływem warunków atmosferycznych, ale to akurat nikomu nie przeszkadzało. Obserwatorzy zaś mieli podwójne zadanie: po pierwsze szukać śladów czegokolwiek (najlepiej metalu), co mogłoby się jeszcze komuś przydać, po drugie wypatrywać zagrożenia. A mogli napotkać wiele niebezpieczeństw, od Ludzi Piasku zaczynając, poprzez szturmowców, przemysłowców czy farmerów aż do kraytów. Co prawda nikt nigdy nie słyszał, by krayt zaatakował coś większego od siebie, na przykład sandcrawler. Mimo to Jawa się go bali. Jeśli obserwatorzy zauważyli ślad jakiegokolwiek zagrożenia, natychmiast informowali o tym pilota, który czym prędzej zmieniał kurs, zwiększał szybkość i zamykał grodzie, trzęsąc się wraz z innymi i tak jak oni mając nadzieję, że przeciwnik nie podejmie pościgu.

Teraz na mostku zrobiło się tłoczno. Het musiał użyć łokci, by dopchać się do najbliższej skrzynki przy oknie. Już trzeci sezon, odkąd dorósł, był pełnoprawnym członkiem klanu, ale wciąż jeszcze fascynował go widok corocznego miejsca spotkań. Olbrzymią nieckę otaczały ustawione w krąg pojazdy, wyglądające niczym stado metalowych bestii. Z oddali wszystkie wydawały się identyczne, choć przez tak długi okres użytkowania mechanicy każdego klanu pozmieniali różne detale w swych maszynach, dzięki czemu każdy różnił się nieco od pozostałych.

W tym roku, tak jak Het się spodziewał, byli spóźnieni. Dwa dni temu pilot zdecydował się wjechać w odnogę Żebraczego Kanionu, gdzie detektory wykryły ślady stopu używanego do produkcji myśliwców. Zamiast skraksowanej maszyny znaleźli jedynie do cna przerdzewiałe i do

niczego niezdatne wspomnienie po niej, za to w drodze powrotnej złapała ich rzadka o tej porze zadympka, unieruchamiając w skalnym przejściu. Przy szalejącej wichurze i zasłaniających widok tumanach piasku dalsza jazda byłaby głupotą. Musieli poczekać, aż burza ucichnie, a potem jeszcze dodatkowo stracili czas na przekopanie się przez nawiany piasek.

Mimo to nie byli ostatni. Wciąż jeszcze jedno miejsce w kręgu pozostawało wolne, co oznaczało, że ktoś miał gorszego pecha niż oni. Po-wierzchnie między pojazdami wypełniały wyłożone na sprzedaż towary i tłum spieszących się postaci w brunatnych habitach. Uspokoilo to nowo przybyłych - nawet jeśli co lepsze rzeczy zostały już wykupione, i tak znajdzie się jeszcze dość okazji do korzystnych interesów.

Gdy zaczęli zjeżdżać wijącą się drogą w dół zagłębienia, wszyscy, których obowiązki nie zatrzymywały na mostku, pospieszyli do swoich kwater, żeby przygotować towary na sprzedaż. Het Nkik w tym celu musiał przebyć piętnaście pokładów. Sypiał w pustym, ustawionym pionowo pojemniku o prostokątnym kształcie, przytwierdzonym niegdyś do pokładu i pordzewiałym od starości. Miejsca było tam akurat tyle, by wejść i się odwrócić, a przed pójściem spać przyczepić się do uprząży przymocowanej do ściany. Oprócz uprząży znajdowała się tam magnetyczna szafka z szufladami, które zawierały wszystko, co należało do Heta. Tym razem nie przywiózł nic na sprzedaż - miał natomiast kredyty i skrypty dłużne, aby coś kupić. Wsunął środki płatnicze do wewnętrznej kieszeni i pospieszył do głównego luku ładunkowego, którego drzwi były już otwarte.

Mając w perspektywie największe targi roku, wszyscy uwijali się aż furczało, rozkładając wspólne stoisko. Mieli w tym wprawę, jako że robili to samo przy każdej z wodnych farm czy kryjówek przemytników. A nawet przed pałacem Jabby, bowiem Jawa nie byli wybredni - było im naprawdę obojętne, komu sprzedadzą swoje towary. Mając wrodzoną żyłkę do mechaniki i elektroniki, potrafili bezbłędnie uruchomić sprzedawany sprzęt i droidy, choćby tylko na okres wystarczający do dokonania transakcji. Gdy sprzedany droid wybuchał po ich odjeździe, było to już zmartwienie nowego właściciela.

Pustynne przestrzenie Tatoonie stanowiły jedno wielkie śmietnisko. Przez wieki stoczono tu wiele bitew, a suchy klimat pomagał w zakonserwowaniu najrozmaitszych pozostałości po zaginionych ekspedycjach, nieudanych przedsięwzięciach czy kosmicznych kraksach. Het Nkik lubił naprawiać i składać rozbite urządzenia, przywracając im funkcjonalność. Doskonale pamiętał, jak z najlepszym przyjacielem z młodości, Jękiem, przypadkiem trafili na skraksowany myśliwiec. Maszyna eksplodowała przy zetknięciu z ziemią i rozsypała się na tak drobne fragmenty, że nawet Jawa nie umieli znaleźć dla nich żadnego zastosowania, ale kopiąc pod miejscem eksplozji znaleźli poważnie uszkodzonego droida model E522, czyli zabójcę. Droid wydawał się zbyt zniszczony, by dało się go naprawić, ale się uparli i dokonali tego w sekrecie. Część zapasowych elementów „zorganizowali” z magazynu w forticy, ale to już detale techniczne.

Wimateeka, szef klanu, podejrzewał coś i miał ich na oku, co jedynie dodawało atrakcyjności całemu przedsięwzięciu. Przez długie miesiące pracowicie dłubali w kryjówce wśród skał, montując serwomotory i inne drobne komponenty, a potem zmieniając oprogramowanie droida.

W końcu pozbawiony uzbrojenia i oprogramowania bojowo-śledzące-go droid był gotowy. Działał doskonale, tyle, że do niewielu rzeczy się nadawał, więc zrobili z niego po prostu gońca i dumnie zaprezentowali Wimateece. Ten skłął ich za głupotę: nikt nie kupi przeprogramowanego droida-zabójcy, bo bez bojowych funkcji był po prostu bezużyteczny. Het jednak bez trudu wyczuł, że szef tak naprawdę podziwia ich odwagę; nie do końca udało mu się ukryć zapach tego podziwu. Od

tego dnia Het Nkik przestał wierzyć w powszechne przekonania, do czego Jawa się nie nadają, czy też czego nie potrafią.

Miłą niespodziankę przeżyli obaj, gdy okazało się, że naprawionego droida sprzedali za bardzo ładną sumę lady Valarian, głównej konkurentce Jabby. Wywołało to kolejną awanturę ze strony Wimateeki, ponieważ lady Val była uważana za niebezpiecznego partnera w interesach. Kiedy swego czasu poczuła się oszukana, po Jawach, których ten zarzut dotyczył, pozostały jedynie postrzępione resztki habitów przy dziurze Carkoona, gdzie czekał wiecznie głodny sarlacc, zżerający wszystko, co znalazło się w zasięgu jego macek. Het nie miał pojęcia, co się potem stało z droidem, ale ponieważ nikt go nie ścigał z polecenia lady Valarian, założył, że robot musi całkiem nieźle działać.

Dwa lata temu, gdy osiągnęli pełnoletność, zostali z przyjacielem rozdzieleni i każdy z nich zajął się normalnym obowiązkiem dorosłych: przeszukiwaniem pustyni. Teraz Het spotykał kumpla jedynie przy okazji dorocznych spotkań. Potem, gdy przyjdzie pora na uzgadnianie małżeństw, a oni wykażą się i zdobędą majątek, będzie szansa na częstsze spotkania, ale teraz miał okazję zobaczyć Jeka dopiero po raz trzeci. To też było powodem, dla którego chciał jak najszybciej znaleźć się na zewnątrz.

Sandcrawler zatrzymał się wreszcie w wyznaczonym miejscu i rozpoczęto wyładunek - droidy, kawałki wypolerowanych blach poszycia, części urządzeń, fragmenty rur, wszystko, co tylko znaleźli, a uznali za nieprzydatne dla siebie, wędrowało na pospiesznie ustawiane stoiska albo pod rozpinane markizy. Od lat bowiem Jawa postępowali zgodnie z zasadą: „Nie szukaj zastosowania dla znalezionej śmiecia - szukaj klienta, któremu się on przyda”.

Jak zwykle w ostatniej chwili polerowano przeoczone plamy rdzy, upychano po kieszeniach narzędzia na wypadek, gdyby towar przestał działać przed sfinalizowaniem transakcji. Het przepuścił przed sobą parę power-droidów, czyli ruchomych baterii, wyglądających jak masywne pudła na dwóch nogach, i automatyczny kombajn, po czym objuczony częściami do skraplaczy wyszedł na zewnątrz. Części złożył przy najbliższym handlarzu, głośno zachwalającym swój towar, i rozejrzał się. Cały teren otoczony był pierścieniem strategicznie ustawionych strażników, wyposażonych w macronetki i inne poprawiające zasięg widzenia urządzenia. Ich zadaniem było wypatrzenie zagrożenia i wszczęcie natychmiastowego alarmu, gdyby coś takiego zauważyli. Nastąpiłaby wtedy ekspresowa ewakuacja we wszystkie strony świata, z wyjątkiem tej, z której zbliżało się niebezpieczeństwo.

Ponieważ nikt nie zwracał na niego uwagi, Het Nkik dołączył do grupy szczęśliwców, którzy jako pierwsi mieli sprawdzić, co też inne klany oferują na sprzedaż. On oprócz tego chciał odnaleźć Jeka.

W panującym zamieszaniu dominującym zapachem była słodkawa woń setek podnieconych rodaków, podkreślana przez upał. Dla kogoś nie przyzwyczajonego jazgot panował ogłuszający, gdyż poza targowaniem się i okrzykami wyrażającymi najrozmaitsze emocje słychać było elektryczne silniki różnych mocy i stopnia zużycia, posapywania hydrauliki, szczęk gąsienic i odgłosy towarzyszące pospiesznym a ukrywanym naprawom lub regulacjom rozlicznych urządzeń. Het czuł się w tym kłębowisku niczym w domu, ale martwił się, bo brakującym sand-crawlerem okazał się ten, którym jeździł Jek.

W pewnym momencie zauważył Wimateekę rozmawiającego o czymś cicho z szefem klanu zewnętrznej fortecy, położonej w pobliżu ludzkiej osady Bestine. Bez trudu wyczuł w pobliżu obu rodaków strach, troskę i niezdecydowanie - Wimateeka tak był przejęty rozmową, że nawet nie próbował maskować swojego zapachu, a to oznaczało złe wieści. Przyciszony ton rozmowy jasno

wskazywał, że obaj boją się paniki wśród pozostałych, toteż Het opanował odruch ucieczki do wnętrza pojazdu i przepchnął się bliżej rozmawiających.

- Co się stało? - spytał, przerywając beczelnie Wimatee. - Macie wieści o brakującym sandcrawlerze?

Obaj szefowie spojrzeli na niego w osłupieniu: dobry obyczaj zakazywał młodemu zwracać się bezpośrednio do szefów klanów. Powinni korzystać z pośrednictwa skomplikowanych koligacji rodowych - przekazywać wiadomość i grzecznie czekać, aż tą samą drogą wróci odpowiedź. Het Nkik zdążył już jednak wyrobić sobie reputację specjalisty od łamania wszelkich norm.

- Szef klanu Eet Ptaa opowiadał o ataku Tusken Raiders na fortecę swego klanu - odparł zrezygnowany Wimateeka. - Ludzie Piasku wdarli się do środka, zanim mieszkańcy zdążyli uciec. Forteca przepadła wraz z wszelkimi zapasami; uratowali tylko to, co zdążyli wrzucić do sandcrawlera.

Heta na chwilę zatkanęło.

- Skoro byli w fortecy, to dlaczego się nie bronili? - wykrztusił po chwili. - Rozumiem, gdyby to było na otwartej przestrzeni, ale w fortecy?! Dlaczego nie walczyli?

- Jawa nie walczą - odpowiedział z niechęcią Wimateeka. - Doskonale o tym wiesz. Jesteśmy zbyt słabi, by walczyć. Ucieczka to nasz jedyny ratunek.

- Bo sami tego chcemy - Het zaczął się denerwować, ale nie próbował tego ukryć.

- Zmasakrowaliby nas! - wtrącił Eet Ptaa.

- Jesteśmy za mali, a oni są zbyt wojowniczy - poparł go Wimateeka i dodał lekceważąco: - Ten młodzian ma reputację, że mówi szybciej niż myśli. Możemy jedynie mieć nadzieję, że jego mądrość będzie rosła wraz z wiekiem.

Hetowi zapłonęły żółte oczy, ale pohamował się - na razie nie dowiedział się niczego w sprawie, która go najbardziej interesowała.

- Co z moim przyjacielem Jek Nkikiem? - spytał. - Gdzie ostatni sandcrawler?

Wimateeka tak energicznie potrząsnął głową, że aż kaptur zafurkotał.

- Straciliśmy z nimi kontakt, nie przysłali żadnej wiadomości tłumaczącej opóźnienie. Może Ludzie Piasku ich także zaatakowali. Martwimy się o nich.

- Przecież nie możemy wiecznie uciekać i kryć się - jęknął Het. - Zwłaszcza teraz, gdy szturmowcy robią się coraz agresywniejsi. Możemy się zjednoczyć: jesteśmy mali, ale jest nas wielu. Razem stanowimy sporą siłę. Teraz wszyscy zebrali się na dorocznym spotkaniu. Może jako szef klanu przedstawiłbyś na radzie moje pomysły?

Obaj szefowie wybuchnęli nerwowym śmiechem.

- Jakbym słyszał pewnego farmera - oświadczył Wimateeka. - Tylko że to człowiek, więc można zrozumieć, że opowiada bzdury. Chce, żebyśmy wspólnie z ludźmi i z Tusken Raiders ustalili granice naszych terytoriów i wyrysowali je na mapach.

- To taki zły pomysł? - zdziwił się Het.

- Jawa nigdy tak nie postępowali - Wimateeka wzruszył ramionami, uznając to za wystarczające tłumaczenie.

Het poczuł się tak, jakby rozmawiał z droidem, któremu wyjęto zasilacz. Nic się nie zmienia, dopóki jego rasa nie zechce dostrzec, że można parę rzeczy zmienić, w tym własne postępowanie. Może zresztą będzie musiała to dostrzec, ale dopiero po jakimś spektakularnym przykładzie.

Zniechęcony zawrócił w stronę stoisk, kopiąc od niechcenia napotkane kamyki. Zapach

pieczonego mięsa przypomniał mu, że powinien coś zjeść, ale nie chciało mu się. Nic mu się nie chciało. Mijając stanowisko klanu Kkak usłyszał czyjś konspiracyjny szept, odbiegający od radosnych i głośnych reklam sprzedawców.

- Het Nkik! - wymowa była dziwnie ostra, ale całkiem zrozumiała. Odwrócił się i dostrzegł, że sprzedawca sięga pod stół, czyli do swych prywatnych zapasów.

- Ty jesteś Het Nkik? Z klanu Wimateeki? Ten, który zawsze mówi, że Jawa powinni walczyć? Hrar Kkak wita cię i proponuje wymianę dóbr.

Het poczuł nagły chłód, jak po wypiciu źródlanej wody.- Jestem Het Nkik - odparł pozwalając, by podejrzliwość przedostała się do jego zapachu; zawsze dobrze jest okazać sprzedającemu zdrowy sceptycyzm. Okazja do wymiany jest zawsze mile widziana.

- Mam coś specjalnie dla ciebie, ale musisz podejść bliżej.

Het podszedł i teraz już był zobowiązany do wysłuchania propozycji. Hrar rozejrzał się i wywlókł spod stołu ciężki miotacz laserowy produkcji Imperium, model Blaster DL-44, stanowiący wyposażenie piechoty imperialnej. Het odruchowo się cofnął, po czym zaraz przysunął się jeszcze bliżej.

- Nie wolno nam nosić podobnej broni - powiedział na wszelki wypadek.

- Słyszałem plotki, że w Mos Eisley wydano podobny dekret, ale nie dostałem żadnego potwierdzenia - odpalił sprzedawca. - Klan Kkak przemierza odległe obrzeża Morza Wydm i łączność nie zawsze działa jak należy.

Het skinął głową w uznaniu zgrabnego tłumaczenia.

- Działa? - spytał. - Skąd go masz?

- Nie twoje zmartwienie.

Het poczuł się zawstydzony złamaniem zasad handlowych.

- Jeśli mamy poważnie rozmawiać o transakcji... - dodał doskonale zdając sobie sprawę, że musi mieć tę broń bez względu na konsekwencje i że tamten też to wie - ...to muszę wiedzieć, czy jest sprawny.

- Naturalnie, że działa - Hrak wyjął zasilacz. - Jak widzisz, jest załadowany w trzech czwartych. Zasilacz był standardowy, pasujący do wielu urządzeń.

- Sprawdźmy go na tej przenośnej lampie - zaproponował Het. - Tak na wszelki wypadek.

Obaj zdawali sobie sprawę, że nie można sprawdzić miotacza w najprostszy sposób, czyli strzelając, bo gdyby wybuchła panika, przyniosłaby więcej ofiar od niejednej masakry. Hrara włożył więc zasilacz do przenośnego reflektora i włączył go - w niebo wystrzelił jaskrawy słup światła, mimo iż świeciły oba słońca.

- Zadowolony jesteś? - spytał, wyłączając iluminację.

- Jestem. Mój podziw dla twojej oferty jest wielki, ale środki ograniczone - odparł Het kolejnym ceremonialnym zwrotem.

Targowali się tyle, ile trzeba, i choć cena niespecjalnie uległa zmianie, rozstali się zadowoleni. Hetowi pozostało tyle co nic, ale stał się dumnym posiadaczem wysoce nielegalnego miotacza, który czym prędzej ukrył pod habitem i zaniósł do swej kwatery. Pierwszy raz w życiu nie czuł się mały, drobny i bezbronny. Była to ze wszech miar udana transakcja.

Resztę spotkania Het Nkik spędził na poszukiwaniu przyjaciela, ale atni sandcrawler w ogóle nie przybył.

Po zakończeniu spotkania klany rozjechały się w różne strony, obładowane nowymi towarami,

nabytymi po zaciętych targach. Het stracił godzinę, ale przekonał pilota do zbrocenia w rejon, w którym powinien znajdować się zaginiony sandcrawler. Skierowali się ku łańcuchom farm wodnych, wśród których zwykle przemieszczał się pojazd Jeka.

Het Nkik wrócił do maszynowni, aby przekonać protestującą maszynierę, że jeszcze tylko parę miesięcy dzieli ich od sezonu burz, który spędzą w fortecy na przeglądach i dokładnym remoncie. Należało się to zwłaszcza pompom jonowym i generatorom. Tym razem inni również zwracali uwagę na obsługiwane urządzenia, więc Het był nieco spokojniejszy.

Około południa ogłoszono alarm - jeden z obserwatorów zauważył dym. Wprawiło to wszystkich w stan silnego podniecenia. Dym oznaczał wrak, a wrak oznaczał znalezisko. Het nie podzielał ogólnego entuzjazmu - coś mu mówiło, że z tego wraku nie będzie pożytku, ale pozostali byli zbyt zaafekowani, by zauważyć zmianę w jego zapachu. Tym razem mało kto wybrał się na mostek, więc bez trudu znalazł miejsce przy oknie i obserwował rosnący słup dymu.

Już wkrótce można było dostrzec, co się pali - sandcrawler, rozstrzelany z ciężkich laserów i zniszczony w sposób uniemożliwiający naprawę. Het Nkik wiedział, że jego przyjaciel nie żyje. Obserwatorzy byli przerażeni perspektywą, że napastnik może jeszcze czaić się w pobliżu, ale pilot, zdając sobie sprawę z ogromu znaleźnego przysługującego im zgodnie z prawem, przewyciężył strach i połączył się z fortecą, informując o sytuacji.

Obserwując podziurawiony pojazd, wokół którego snuł się tłusty dym, Het poczuł złość większą nawet niż żal. Szturmowcy traktujący fortecę jako cel ćwiczebny, atakujący ją dla wprawy i nie przejmujący się jej mieszkańcami; Ludzie Piasku zajmujący mieszkania Eet Ptaa; a teraz znowu ktoś większy i silniejszy zaatakował i pozabijał jego braci dla sportu albo; dla zabawy. Bo wiedział, że Jawa są bezbronni i nic mu z ich strony nie grozi. Jedyne, na co ich stać, to zabranie najcenniejszych rzeczy i uciezka. Nic się nie zmieni, jeśli ktoś nie pokaże im, że można postępować inaczej. I nie wiedzieć czemu przypomniał mu się świeżo zakupiony miotacz...

Zatrzymali się, zapewniając sobie najlepszą drogę uciezki na wypadek jakiegokolwiek zagrożenia. Otwarto drzwi i opuszczono rampy załadunkowe. Pełni obaw z jednej strony, a ciekawości z drugiej, Jawa ruszyli ku wrakowi. Pilot przymocował do burty nadajnik informujący, czyją własnością jest wrak i wszystko, co się w nim znajduje, i odetchnął z ulgą. W następnej chwili podskoczył przerażony, słysząc pełne paniki wrzaski najbardziej ciekawskich pobratymców, którzy zauważyli, że bynajmniej nie są sami przy wraku i że wcale nie przybyli tu pierwsi. W cieniu rzucanym przez burtę stał starszy człowiek z białą brodą, ubrany w brunatną szatę, a obok niego dwa droidy. W pobliżu płonął niewielki stos pogrzebowy, od którego dolatywał znajomy, niemiły zapach - najwyraźniej mężczyzna rozpoczął już grzebanie zabitych, używając zgodnie z rytuałem rasy Jawa oczyszczających płomieni.

Mężczyzna uniósł dłonie w uniwersalnym geście pokoju, co uciszyło spekulacje, że to on może być odpowiedzialny za napad; ten pomysł zresztą Het uznał za szczyt idiotyzmu. Stojący obok niego złoty droid protokolarny był nieco odrapany, a na szczycie głowy miał okazałe wgniecenie, ale poza tym wydawał się zupełnie sprawny. Drugi droid w kształcie beczki na kółkach, widząc, z jakiej rasy pochodzą goście pisnął zaalarmowany, a potem zabuczał coś, co dziwnie przypominało serię inwektyw.

- Mogę tłumaczyć, jeśli trzeba - zaofiarował się złoty. - Posługuję się płynnie ponad sześcioma milionami form porozumiewania się.

- Nie ma takiej potrzeby - odparł spokojnie mężczyzna. - Zbyt długo tu żyję, by nie nauczyć się

języka mieszkańców tej pustyni. Witajcie! Oby dobrze się wam handlowało! Przykro mi z powodu tragedii, jakiej jesteście świadkami.

Powitanie zostało wypowiedziane w języku Jawów i to z użyciem zwyczajowych zwrotów.

Odpowiedzią były histeryczne wrzaski - to kilku przeszukujących teren odnalazło ślady banth i wszczęło panikę, twierdząc, że Ludzie Piasku wypowiedzieli wojnę i zabijają każdego napotkanego Jawę. Het Nkik nie był bynajmniej o tym przekonany. Dziury we wraku może i pochodziły z prymitywnej, choć silnej broni Tusken Raiders, ale trafienia były dziwnie dokładne, jakby strzelający doskonale wiedzieli, gdzie należy strzelać, by skutecznie unieruchomić wielki bądź co bądź transporter. Zaczął starannie wąchać powietrze, oddzielając poziomy poszczególnych zapachów. Najwięcej było naturalnie zapachu spalonych ciał i roztopionego, a potem stygnącego metalu; były też obecne zapachy świeżych smarów, pancerzy z plasteelu i jakichś maszyn, co wskazywałoby na mechaniczną formę ataku. Gdzieś w tle dała się wyczuć pieprzowa woń banth, ale dziwnie słaba. Natomiast nigdzie nie było ani śladu charakterystycznego, ciężkiego zapachu Ludzi Piasku.

Nie omieszkał ogłosić swego odkrycia, co wywołało ironiczne i niecierpliwe komentarze, gdy niespodziewanie poparł go mężczyzna.

- Wasz młody brat ma rację. To szturmowcy zniszczyli pojazd i zabili waszych braci, nie Ludzie Piasku. Okupacyjnych sił Imperium nic by bardziej nie ucieszyło niż wojna między wami, farmerami i Ludźmi Piasku. Nie możecie uwierzyć w ich oszustwo, bo o to właśnie im chodzi.

- Kim jesteś? - spytał Het. - Skąd znasz nasze ceremonie pogrzebowe i dlaczego nie zgłosiłeś prawa do znaleźnego?

- Wasze rytuały znam dlatego, że próbuję zrozumieć tych, wśród których mieszkam. Wiem, że według waszych wierzeń po śmierci wszystko, co macie, staje się własnością klanu. Uważacie też, że wasze ciała są pożyczone od pustyni, więc ich resztki powinny być zwrócone piaskom, by spłacić dług zaciągnięty na czas życia.

Większość obecnych westchnęła zaskoczona. Zawsze byli przekonani, że te kanony wiary znane są tylko innym Jawa.

- Jeśli tak dobrze nas rozumiesz, to wiesz, że żaden Jawa nie odpowiedziałby atakiem nawet po takiej masakrze jak ta. Tusken Raiders są bezpieczni, bo Jawa to tchórze - wyrzucił z siebie Het. - Nic nie zmusi ich do walki, nawet gdyby miała to być walka o przeżycie.

Stary uśmiechnął się niespodziewanie, a jego jasnoniebieskie oczy zdawały się spoglądać przez kaptur prosto w żółte źrenice Heta.

- Być może uważasz za tchórza kogoś, kto nie został jeszcze nigdy zmuszony do walki... albo nie pokazano mu, jak to się robi.

- Generale Kenobi - przerwał mu protokolarny droid. - Pana Luke'a nie ma już zbyt długo. Powinien już wrócić, miał dość czasu, aby dojechać stąd do domu i z powrotem.

- Musicie ostrzec inne klany o podstępach imperium - Kenobi zignorował go całkowicie. - Garnizon Mos Eisley został poważnie wzmocniony, a szturmowcy poszukują... czegoś, czego nie znajdują. Natomiast i Prefekt, i Gubernator będą nadal podsycali spory między wami a Tusken Raiders... Jawa wcale nie są bezbronni... muszą tylko zechcieć się zmienić.

Het Nkik poczuł się, jakby go ktoś podłączył do prądu - ostatnie zdanie skierowane było bezpośrednio do niego. Nagle przypomniało mu się coś, co napełniało go równocześnie strachem i dumą. Mniej więcej na rok przed osiągnięciem pełnoletności wybrał się sam do wąskiego, nie nazwanego dotąd skalnego kanionu, by dokładniej obejrzeć rozbity speeder, który wykrył na

skanerze. Maszyna okazała się modelem T-16. Het dlatego poszedł sam, bo chciał mieć coś własnego, coś, czym nie musiałby się dzielić nawet z Jękiem. Obok wraku leżał trup młodego człowieka, a sądząc po położeniu jego i rozbitej maszyny, silnik nie mógł skompensować nagłej dziury zimnego powietrza, w którą wpadli i najpierw trzepnęli o dno wozu, a potem, gdy ich okręciło, jeszcze o skałę. Pilot wypadł przy pierwszym wstrząsie. Musiało to być jakiś czas temu, bo stał się już obiektem zainteresowania rozmaitego robactwa. Het zignorował trupa i zajął się oglądaniem speedera. Tak go to pochłonęło, że zapomniał o całym świecie. Kiedy się zorientował, że nie jest sam tylko w towarzystwie sześciu młodych Tusken Raiders, nie miał już szansy na ucieczkę. Widać było, że są wściekli i gotowi do bohaterских czynów, o których mogliby opowiadać przy ogniskach, gdy dorosną. Jednocześnie unieśli gaffi i zawyli, a jemu zrobiło się nagle bardzo zimno.

Zrozumiał, że umrze - był bez broni, sam i nie miał żadnych szans, by pokonać choćby jednego przeciwnika, a co dopiero sześciu. Jednak gdy go zaatakowali, natrafił wzrokiem na system alarmowy speedera i stwierdził, że sądząc po kontrolce, nadal jest sprawny. Nie mając nic do stracenia, uruchomił syrenę; rozległ się tak przeraźliwy i mocny dźwięk, że potrafiłby zapewne przestraszyć nawet dewbacka. Sześciu młodych Ludzi Piasku przeraził tak, że uciekali szybciej niż atakowali.

Het nagle został sam, trzęsąc się ze strachu i z zaskoczenia. Dużo czasu minęło, nim mógł się znowu poruszyć i nim naprawdę do niego dotarło, że sam przestraszył skutecznie sześciu Tusken Raiders i przegonił ich, ratując życie i znalezisko. Wniosek był równie krzepiący co niespodziewany - mając odpowiedni sprzęt i odpowiednie podejście, Jawa wcale nie muszą być płacziwą bandą uciekających wiecznie tchórzy.

A teraz miał miotacz.

- Wiem, że nie jesteśmy bezsilni - powiedział cicho do bacznie obserwującego go mężczyzny. - Ale moi bracia tego nie dostrzegają.

- Może kiedyś dostrzegą.

Nagle Het Nkik zrozumiał, co ma zrobić.

Udał się do pilota i zrzekł się swojej części znaleźnego w zamian za sprawny pojazd, zdolny przetransportować go do portu kosmicznego Mos Eisley, gdzie znajdowała się kwatera główna wojsk imperialnych.

Zanim Het Nkik dotarł do celu, pojazd zepsuł się dwukrotnie. W palących promieniach obu słońc zdołał go naprawić - bardziej dzięki swoim umiejętnościom niż dzięki skromnemu zapasowi części - na tyle, żeby powoli dotrzeć do Mos Eisley.

Umieszczony w przerobionej i wzmocnionej kieszeni miotacz wydawał mu się równocześnie gorący i lodowaty. Het był zanadto wściekły, by odczuwać ciężar swojej nowej broni.

Pojazd na szczęście nie odmówił posłuszeństwa na ulicach Mos Eisley. Het jechał tak długo, dopóki nie dostrzegł innego Jawy. Okazało się, że jest to członek odległego klanu, który od dość dawna przebywał w mieście. Het sprzedał mu maszynę śmiesznie tanio; nie spodziewał się co prawda pożyć wystarczająco długo, by wydać zarobione kredyty, ale oddanie czegokolwiek za darmo było sprzeczne z jego naturą.

Dalej pomaszerował piechotą. Było dopiero wczesne popołudnie, więc ulice były wyludnione, bo nikt, kto nie musiał, nie ruszał się z domu przed wieczorem. Het wiedział, co zamierza zrobić, ale nie bardzo się orientował jak. Miał broń i obsesję, brak mu było jedynie właściwego celu. Bez trudu zauważył zwiększoną obecność sił Imperium - posterunki przed stanowiskami, na których parkowały

statki kosmiczne, i przed punktem odprawy celnej. Nigdzie nie było więcej niż dwóch żołnierzy w jednym miejscu. Doskonale zdawał sobie sprawę, że życie w Mos Eisley nie jest specjalnie cenną rzeczą i zabicie pojedynczego szurmowca nie wywoła specjalnego wrażenia. Zabić dwóch naraz chyba nie da rady.

A przecież musiał zginąć w walce i to z takim rozgłosem, żeby Jawa śpiewali o nim przez wiele lat.

W centrum miasta zwrócił jego uwagę wrak „Dowager Queen”, służący za schronienie wszelkiej maści żebrakom, uchodźcom i rozmaitym innym mętom z kilkudziesięciu ras. Wyglądał na znakomite miejsce na zasadzkę.

Wiedział, że powinien czuć się bezradny i zagubiony, ale odrzucił tę świadomość. Miał dość sił i jeśli tylko starczy mu odwagi, stanie się przykładem, który na zawsze zmieni życie Jawa... albo da się zabić bez sensu jak ostatni kretyn. Z trudem opanował rosnącą panikę. Miał ochotę ukryć się w jakiejś ciemnej alejce, poczekać aż zapadnie zmrok i jak najprędzej wynieść się z miasta. A potem wrócić do swoich i zakopać się na zawsze gdzieś, gdzie będzie bezpiecznie... Tylko że nigdzie nie było tak naprawdę bezpiecznie.

Zamiast ukryć się w jakimś ciemnym kącie, Het wszedł do lokalu położonego prawie naprzeciw „Dowager Queen”. Już od progu ogłuszył go niesamowity konglomerat zapachów, często nawzajem się zwalczających. Czuł woń ras, z którymi nigdy się dotąd nie zetknął, chemikaliów w tak dziwnych mieszankach, że nie umiał nawet domyślić się ich przeznaczenia, a przy tym najrozmaitsze tłumione uczucia, intencje i przeżycia. Gwar specjalnie mu nie przeszkadzał, choć też był potężny i w dodatku podbudowany jakąś niby-muzyką.

Przyszło mu do głowy, że skoro ma pieniądze, może sobie kupić coś stymulującego - coś, co pomoże mu zebrać myśli i odwagę. Podbudowany tym odkryciem wszedł do lokalu, odruchowo trzymając się ciemniejszej strony schodów, aby w miarę możliwości stać się niewidzialnym. Bezcenny miotacz, choć ukryty, cały czas trzymał w garści. Do baru dotarł bez trudu, ale zamówienie musiał powtórzyć trzy razy, nim zaganiany barman zrozumiał, o co mu chodzi. Zapłacił i przycupnął z drinkiem przy niskim stoliku, wdychając bogaty aromat związków chemicznych unoszący się z naczyń. Sądząc po zapachu, wypicie tej mikstury powinno świetnie podziałać na odwagę.

Póbował ułożyć plan działania, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Spontaniczna reakcja nie gwarantowała sukcesu, zwłaszcza że nigdy z niczego nie strzelał i nie wiedział, czy potrafi w cokolwiek trafić. Plan nie musiał być finezyjny - wystarczyło znaleźć się w dobrej pozycji i mieć przewagę zaskoczenia. Zanim go zabiją, zawsze zdąży paru położyć.

Ucieszył się, kiedy ujrzał wkraczającego do lokalu starego mężczyznę, który przy płonącym stosie pogrzebowym rozbudził w nim odwagę. Za nim szedł jakiś chłopak wyglądający na farmera i oba znane już Hetowi roboty. Barman zmusił przybyszów do zostawienia droidów na zewnątrz. Normalnie Het zacząłby się natychmiast zastanawiać, jak by tu skutecznie ukraść dwa nie pilnowane droidy, ale teraz miał ważniejsze zmartwienia.

Stary go nie zauważył, ale dla Heta sama jego obecność była jakimś znakiem. Stanowił dla niego uosobienie siły. Pociągnął machinalnie wymarzonego drinka, nawet nie czując co pije. Nie spuszczał wzroku z tego dziwnego mężczyzny. Ten najpierw porozmawiał z jakimś pilotem, a potem z jedynym w pomieszczeniu Wookiem. Wreszcie uratował swego młodego towarzysza, kiedy naskoczyło na niego jakichś dwóch osobników. Zrobił to przy użyciu zdumiewającej broni, jakiej Het Nkik nigdy w życiu nie widział, mianowicie pulsującego słupa światła, który ciał ciała i kości jak dym. Het

wiedział, że broń ta nazywa się „miecz świetlny” i jest bardzo rzadko spotykana.

Na ten widok przypomniał sobie o swoim miotaczu. Wyciągnął go z kieszeni i zaczął dyskretnie oglądać pod stołem. Tak go to pochłonęło, że nie widział, czy ktoś nie stoi obok. Dopiero ostry zapach Ranata uświadomił mu, co się dzieje. Jawa i Ranaty często ze sobą konkurowały, ale równie często współpracowały. Jawa woleli pustynie, a te długo-pyskie i ogoniaste gryzonie - rejony zaludnione. Chociaż ze sobą handlowali, traktowali się nawzajem z dużą podejrzliwością.

- Reegesk wita Heta Nkika i proponuje wymianę nowin lub dóbr - odezwał się Ranat, używając tradycyjnego powitania.

Het nie był w nastroju do pogawędki, ale odpowiedział jak należy, by nie obrazić niczemu niewinnego przybysza. Kiedy lepiej mu się przyjrzał, oniemiał - Ranat oferował mu bojowy talizman Tusken Raiders!

Ludzie Piasku byli wielkimi wojownikami. Walczyli z istotami dużo większymi od siebie, wyrzynali całe osady, oswajali banthy... taki talizman powinien dać mu niezbędną przewagę. Zresztą i tak nie miał nic do stracenia... Ranat zorientował się, że zależy mu na talizmanie, więc Het przystał na wysoką cenę, zakładając, że teraz da zaliczkę, a resztę później, doskonale wiedząc, że gdy przyjdzie do jej zapłacenia, będzie już martwy, czyli niewypłacalny.

Na nalegania gryzonia podał mu pod stołem miotacz do obejrzenia. Miał już w dłoni talizman, a w oczach Ranata widział podziw. Poczł wreszcie neodpartą potrzebę zemsty. Jego przyjaciel, wrak sandcraw-lera, trupy w brązowych habitach... to było dzieło szturmowców. Takich samych szturmowców jak ci, którzy już nieraz atakowali fortece i sandcrawlery. Imperium zacieśniało władzę nad Tatooine; być może jego czyn popchnie do działania inne rasy... Gdyby to miał być początek rewolucji, po której Tatooine znów stałaby się wolną planetą, żadna ofiara nie byłaby zbyt wielka...

Rozmyślenia przerwał mu nagły huk i błysk pod przeciwległą ścianą. Opanowując odruch wejścia pod stół obejrzał się - z wnęki, w której strzelano, wychodził właśnie wysoki człowiek, a na stole leżały dymiące jeszcze zwłoki Rodianina o wyjątkowo specyficznym zapachu. Het zamarł, a Ranat wydawał się rozbawiony tym, co zaszło. Mężczyzna rzucił barmanowi monetę i wyszedł, zanim Het się otrząsnął z wrażenia.

W Mos Eisley i na całej Tatooine życie było tanie, ale Het chciał dostać za swoje cenę, którą uważał za uczciwą. Wokół trupa nagle się zaroilo - Jawa jak zwykle rzucili się, aby przetrząsnąć kieszenie nieboszczyka i zabrać ciało, kłócąc się przy tym zawzięcie. Przy innej okazji może by do nich dołączył. Teraz odebrał Ranatowi miotacz, który wydał mu się dziwnie lekki. Rozpierała go energia - nigdy nie będzie bardziej gotów!

Nawet się nie zegnając wyskoczył z lokalu i ściskając talizman pognął ku wrakowi „Dowager Queen”. Ledwie tam dotarł, zaczął wspinaczkę po rozgrzanych płytach poszycia; chciał znaleźć się wysoko, żeby mieć lepsze pole ostrzału. W głowie mu dzwoniło. Miał niezachwianą pewność, że oto nadeszła jego chwila.

Znalazł zacienioną niszę z dobrym widokiem na ulicę i siadł trzymając broń na kolanach. Jakby na zamówienie, zza narożnika wyłonił się szereg szturmowców, maszerujących miarowym krokiem w kierunku lokalu, który przed chwilą opuścił. W białych pancerzach odbijało się słońce; sądząc po sposobie trzymania broni, nie spodziewali się zagrożenia. Raczej sami siebie uważali za zagrożenie.

Było ich ośmiu i szli gęsiego... Gdyby jeden Jawa zabił ośmiu szturmowców, wszedłby do legend swojej rasy. Po wsze czasy Jawa pamiętałiby o istnieniu Het Nkika. Gdyby dali taki przykład,

wszyscy wzięliby się za walkę z Imperium i Tatooine byłaby wolna szybciej niż można sobie wyobrazić. Podniesiony na duchu przykucnął, ściskając miotacz i płonącym wzrokiem obserwując zbliżających się żołnierzy.

Najpierw zastrzeli tego, który idzie na przedzie, najprawdopodobniej dowódcę, bo on jeden ma pomarańczowy naramiennik. Potem któregoś w środku, a wreszcie ostatniego, aby wrócić do początku szeregu. Nie od razu się zorientują, skąd padają strzały, czyli powinno mu się udać zabić przynajmniej pięciu. Istniała niewielka szansa, że załatwi wszystkich, zwłaszcza że oni szli po otwartej przestrzeni, a jego do pewnego stopnia chronił kadłub. Jeśli przeżyje, zaatakuje znowu. Jeśli mu się poszczęści, może nawet zostać wodzem swojej rasy. Het Nkik, wielki generał zjednoczonych Jawa!

Szturmowcy znaleźli się dokładnie przed nim, ignorując całkowicie wrak. Interesowało ich tylko wejście do lokalu. Arogancka banda!

Ujął oburącz miotacz i wrzeszcząc dziko na podobieństwo Tusken Raiders zerwał się na równe nogi mierząc do niczego nieświadomych, nadal nie reagujących szturmowców. Oto nadeszła jego chwila sławy!

I nacisnął spust... a potem jeszcze raz... i jeszcze...

HANDEL PONAD WSZYSTKO

Opowieść Ranata

Rebecca Moesta

Zręcznie unikając szturmowców, po których zawsze się można było spodziewać kłopotów, Reegesck wpadł w mroczny zaułek obok swego najbardziej w całym Mos Eisley ulubionego lokalu. A lubił ten lokal bynajmniej nie ze względu na serwowane w nim napoje, lecz dlatego, że zawsze znalazł się tam ktoś, z kim można było pohandlować. W niewielkim, choć rosnącym w siłę i liczebność plemieniu Ranatów, wywodzących się od gryzoni, on właśnie odpowiadał za handel. Do niego należało organizowanie przedmiotów, niezbędnych do przeżycia na tym niegościnnym świecie. Większość uzyskiwał drogą uczciwej wymiany, ale zdarzały się wyjątki...

Ruszając z satysfakcją wąsami siadł pod ciepłą jeszcze od słońca ścianą, owinał się łysym ogonem (był dość długi, a strasznie nie lubił, gdy ktoś po nim deptał) i zabrał się do oglądania łupów handlowych zdobytych od rana. Z głębi alejki gorący wiatr niósł całkiem przyjemne aromaty śmieci i mniej przyjemne zapachy odchodów rozmaitych gatunków zwierząt. Reegesck zaczął dzień dysponując garścią oszlifowanych wielobarwnych kamieni i zbiorem raczej przypadkowych informacji; teraz dysponował małą anteną, kawałkiem niezłego materiału (było w nim ledwie z pół tuzina dziur, ale niedużych) i pękiem cienkich przewodów, idealnie nadających się do niewielkiego skraplacza, który budował w tajemnicy. Te przedmioty nie podlegały dalszej wymianie, a miał jeszcze kilka do zdobycia: źródło zasilania do skraplacza, kawał liny i kilka sztabek stali narzędziowej.

Na szczęście przeważnie udawało mu się uzyskać to, czego potrzebował. Na wymianę miał pęknięty hełm oddziałów szturmowych, pakiet racji polowych i talizman wojenny Ludzi Piasku wyrzeźbiony z rogu banthy. To wszystko dostał za przerdzewiały nieco ogranicznik i kilka przedwczorajszych informacji. Naprawdę udany interes. Miał wprawdzie niejasne podejrzenia, że upał i kurz nieco otumaniły kontrahenta, ale jako ktoś nietutejszy powinien bardziej uważać. A jeśli się jest imperialnym oficerem, konkretnie porucznikiem, jak ten cały Alima, powinno się być podwójnie czujnym. Wszystkich, a tym bardziej obcych, obowiązywała stara handlowa zasada: „Uważać przy interesach”, czasami przytaczana dosłownie jako: „Widziały gały co brały”.

Mniej skrupulatni handlarze stosowali rozmaite sztuczki albo wmawiali klientom konieczność całkowicie zbytecznych zakupów. Reegesck do takich nie należał. U niego klient dostawał co chciał (może nie zawsze za tyle, ile chciał, ale nie można mieć wszystkiego). Pomimo że Imperium przyznało rasie Ranatów status jedynie „podinteligentnej,” Reegesck cieszył się w Mos Eisley reputacją sprytnego i trudnego, ale uczciwego kontrahenta. Jeśli nie liczyć przeszkadzających wszystkim żołnierzy Imperium, praktycznie nikt nie rezygnował z handlu z nim, jeśli Reegesck miał to, czego tamten potrzebował.

Reegesek uśmiechnął się, ukazując śnieżnobiałe uzębienie gryzonia. Wiedział, czego potrzebuje i gdzie to można znaleźć. Czas było przystąpić do kolejnych interesów.

W lokalu było względnie chłodno, a panujący półmrok stanowił miłą odmianę od wysysającego z ziemi wilgoć żaru słońca. Powietrze pachniało przewietrzonym futrem i przypaloną łuską, dymem nic-tain i kosmicznymi skafandrami, nie odkażanymi od miesięcy. Nie licząc naturalnie aromatów paru dziesiątek mikstur oszałamiających, podawanych mieszkańcom mniej więcej tyluż światów.

Reegesek zamówił kubek rydiańskiego naparu. Rozglądał się, podczas gdy Wuher przygotowywał trunek. Devaronianin?... Lepiej nie ryzykować: podobno są mięsożerni... Bith z zespołu... akurat mają prze-rwę w grze... po tym, jak zadarli z Jabbą, nie zostanie im nic... Aha, znajoma postać: Jawa.

Doskonale. Odebrał kubek, naciągnął luźno kaptur na głowę i podszedł do stolika. Jawa cenili sobie prywatność i wierzyli, że osiąga ją jedynie ten, kto jest grubo ubrany, nawet w zamkniętym pomieszczeniu. Re-egesek z doświadczenia wiedział, że stosowanie się do zwyczajów kontrahenta bardzo pomaga w interesach. Nosem wyczuł dodatkowy atut: znał tego Jawę - to był Het Nkik, z którym już nieraz handlował.

Figrin Da'n dał znak zespołowi, że przerwa dobiegła końca. Re-egesek stanął przy niskim stoliku i odezwał się, nim rozległy się dźwięki kolejnego utworu:

- Reegesek wita Heta Nkika i proponuje wymianę nowin lub dóbr.

Było to najformalniejsze powitanie handlowe dla Jawa i chyba najwłaściwsze. Jednak ten Jawa wydawał się tak pogrążony w myślach, że nawet nie wyczuł jego obecności. Het nie odpowiedział natychmiast, ale za to równie formalnie:

- Okazja do wymiany jest zawsze mile widziana.

Ton głosu i dziwnie rozbiegany wzrok wyraźnie jednak wskazywały, że to nie handel go teraz najbardziej zaprzęta.

- W takim razie oby obie strony były zadowolone z transakcji - zakończył Reegesek formalne powitanie.

Het nie chwycił tej ironii - Jawa nigdy nie byli zainteresowani zadowoleniem kontrahenta. To oni powinni być zadowoleni. Reegesek uznawał takie podejście za duży błąd, ponieważ zmniejszało to krąg odbiorców. On sam nie handlował czym popadnie, celem nadrzędnym było zawsze uzyskanie czegoś potrzebnego plemieniu.

Ranaty nie mają tak czulego powonienia jak Jawa, ale od Het Nkika zniecierpliwienie i oczekiwanie aż były w nos, więc Reegesek nie zwlekając siadł i przystąpił do handlu. Zaczął od barwnych opisów dokonanych już tego dnia interesów, ale ku jego zdziwieniu Het niezbyt się tym zainteresował. Co jeszcze dziwniejsze, nie pochwalił się transakcją, której wynik trzymał pod stołem - imperialny miotacz laserowy typu Bla-ster DL-44, i to w doskonałym stanie. Reegesek nie musiał udawać podziwu i zazdrości - Ranaty w Zewnętrznych Terytoriach nadal miały zakaz posiadania broni, a DL-44 był doskonałą bronią.

Do Heta najwyraźniej podziw jednak dotarł, toteż przeszli do wymiany informacji. Tak się tym zajęli, że Reegesek zauważył Rodianina imieniem Greedo, który uważał się za łowcę, dopiero wtedy, gdy ten cofając się omal nie wyrzucił ich stolika. Desperackim chwytem zdołał uratować kubek z napojem przed upadkiem na podłogę i parsknął pogardliwie - takie zachowanie nie zasługiwało na nic innego, nawet jeśli ofermą był jakiś nowy gość.

Greedo odwrócił się zamierzając przeprosić, ale rozmyślił się, kiedy zobaczył, kto siedzi przy potrąconym meblu. Zrobił się ciemnozielony i parsknął patrząc pogardliwie na Ranata:

- Wamp!

Jeszcze raz popchnął stolik, odwrócił się z pogardą i poszedł do baru.

Reegeska zatkało z oburzenia: Ranaty wcale nie były spokrewnione ze szczurami, a w dodatku wampa nikt nigdy nie widział - nazywano tak mitycznego piaskowego szczura, który miał zamieszkiwać Tatooine, zanim pojawiły się tu inteligentne rasy z kosmosu. Greedo był chamem i nieukiem i Reesk miał nadzieję, że ktoś da mu kiedyś solidną nauczkę.

Kiedy się uspokoił, przeszedł do następnego etapu handlu, czyli do dyskretnego pokazania oferowanych towarów. Heta nic nie ruszało, dopóki nie zobaczył talizmanu - wtedy nie wiadomo dlaczego podniecił się tak, że nie sposób było tego nie dostrzec. Reesk w pośpiechu przypomniał sobie, co wiedział o tego rodzaju przedmiotach i przekazał to Hetowi - dodatkowe informacje przeważnie podnoszą cenę towaru. Ludzie Piasku wierzyli, że talizmany wykonane z rogu banthy dają im fizyczną siłę tego zwierzęcia i jego odwagę w spoglądaniu śmierci w oczy. Het Nkik oglądał go na wszystkie strony, mamrocząc coś w dialekcie nie znanym Ranatowi. Widać było, że nie ma zamiaru go wypuścić z rąk.

Reesk starannie ukrył uśmiech - to było zbyt piękne: Jawa entuzjastycznie się czymś, czego jeszcze nie kupił. Nie tracąc ani sekundy, zaczął negocjacje:

- Talizman ma wielką wartość, więc nie wymienię go na byle co.

- Dziś mam przy sobie niewiele - odparł Hett. - Nie sądzę, aby cokolwiek z tego nadawało się do wymiany.

Reesk omal nie spadł ze stołka. Het właśnie tak jakby przyznał, że musi mieć talizman, co jak na Jawę było prawie równoznaczne z oddaniem czegoś za darmo. Opuszczając skromnie oczy na ukryty pod stołem miotacz, odparł cicho:

- Czas na okazję jest teraz.

Het chwycił konwulsyjnie miotacz, jakby obawiając się, że nawet spojrzenie może mu zaszkodzić, i powiedział ostrożnie:

- Nie jestem w stanie zapłacić takiej ceny... dziś.

Nie patrzył w oczy Reeskowi, co też było nietypowe, ale po kolejnej rundzie targów przystał na kwotę znacznie wyższą niż właściciel talizmanu spodziewał się osiągnąć.

- Masz tu zadatek - Het podał mu niewielką kwotę - jako znak mojej dobrej woli. Jutro rano będę mógł zapłacić ci resztę.

- W takim razie jutro dokonamy wymiany. - Reesk miał nadzieję, że zapach nie zdradzi jego niecierpliwości i chęci, by natychmiast dokończyć transakcję.

- Nie! Talizman muszę mieć dziś! - uparł się Het. - Zapłacę ci jutro, ale muszę go mieć dziś... Jeśli zgodzisz się poczekać, pozwolę ci użyć mojego miotacza. Oczy Reeska rozblęsnęły prawie tak samo jak świecące w mroku kaptura żółtawe oczy Heta, co ten naturalnie natychmiast zauważył i dodał:

- Nie boję się uzbroić Ranata. Zrób mi uprzejmość dziś, a odwiedzę ci się jutro lepiej niż ktokolwiek.

Reeskiem targały sprzeczne uczucia. Z jednej strony bał się stracić niepowtarzalną okazję, by choć przez parę chwil mieć broń, z drugiej strony niebezpiecznie było ryzykować towar polegając jedynie na honorze Jawy. W końcu podjął decyzję, w czym wydatnie pomógł mu chłodny kształt miotacza, który gładził pod blatem. Zanim jednak zdążył się odezwać, po przeciwnej stronie sali ktoś strzelił, coś się zaczęło palić i nagle zapadła cisza. Gdy dym się rozwiał, Reesk dostrzegł Greeda

na wpół leżącego na stole, przy którym nikogo nie było. Plecy Rodianina jeszcze dymiły, a w powietrzu unosił się specyficzny odór spalonego mięsa.

- Zgoda - powiedział, wracając do codzienności, ale Het jak urzeczony wpatrywał się w martwego łowcę nagród.

- Zatrzymaj talizman, a jutro zapłać mi cenę, jaką uzgodniliśmy - sprecyzował Reegesck.

Jego słowa jakby wytrąciły Heta z transu - bez jednego dźwięku zabrał miotacz, poderwał się i wyszedł z lokalu.

- Obie strony są zadowolone z dzisiejszego handlu - zawołał za nim Reegesck, ale bez żadnego efektu: Het zdawał się go w ogóle nie słyszeć.

Reegesck uśmiechnął się, obserwując wychodzącego Heta. Miał powody do zadowolenia. Dopił drinka i wstał, głęboko wciągając powietrze w płuca - smród spalonego Rodianina nadal unosił się w powietrzu. Bardzo zadowalający dzień.

Chwilę później wyszedł z lokalu i odruchowo pomacał się po wewnętrznej kieszeni płaszcza. Tkwił w niej zasilacz wyjęty z miotacza Heta. Jeśli tamten jutro przyniesie pieniądze, to mu go naturalnie odda; jeśli nie, będzie miał doskonałe źródło energii dla nowego skraplacza.

Tak, dziś Reegesck handlował bardzo skutecznie.

KIEDY WIEJE PUSTYNNY WIATR

Opowieść szturmowca

Doug Beason

Davinowi Felthowi trzydzieści sekund zajęło zdecydowanie, że służba w siłach zbrojnych Imperium nie jest tak romantyczna jak sobie wyobrażał. Było to pierwsze trzydzieści sekund pobytu na wojskowej planecie treningowej Carida.

Zarzucił granatowy worek zawierający wszystko co posiadał, ustawił się wraz ze stu dwudziestoma pozostałymi rekrutami w kolejkę wypełniającą wąski korytarz promu klasy Gamma i poczekał na otwarcie drzwi. W trzydzieści sekund później przestał mieć złudzenia. Większość kolejki stanowili rozmaicie ubrani i ostrzyżeni, ale jednakowo zdenerwowani osiemnastolatki, z których większość pierwszy raz opuszczała rodzinną planetę. Otwarcie drzwi poprzedził krótki brzęczyk, a zaraz potem do wnętrza wpadło czyste, nie filtrowane powietrze i światło słoneczne. Przez pół minuty wszystkim wydawało się, że krążące po Galaktyce wieści o Caridzie są, mówiąc łagodnie, nieco przesadzone. Ostatecznie normalny osiemnastolatek gdzieś musiał zacząć samodzielne życie - równie dobrze mógł to zrobić na planecie, na której szkolono między innymi osobistą gwardię Imperatora. A potem zaczęły się wrzaski. Efekt ich wśród nerwowych rekrutów przypominał wybuch granatu. Krzyki, zamieszanie i chaos zapanowały wszędzie wokół, gdy kilkunastu oficerów w oliwkowozielonych mundurach i podoficerów w białych pancerzach darło się jednocześnie ile sił w płucach, domagając się kilkunastu rzeczy naraz. Rekruci próbowali w tym samym czasie stać na baczność, odpowiadać, salutować i nie zgłupieć. A że było to fizycznie niemożliwe, większość ogłupiałych młodzików stała się celem kolejnej fali ryków ubarwionych kwiecistymi przekleństwami, które wydawały się ulubionym przerywnikiem kadry.

Kilkunastu z lepszym refleksem albo instynktem samozachowawczym zareagowało podobnie jak Davin. Próby odpowiedzi były niewykonalne, bo nim zdążył zacząć, pytający ryczał już na kogoś innego, a na niego wrzeszczał jeszcze inny. Wobec tego Davin też zaczął ryczeć, udzielając bzdurnych, ale krótkich odpowiedzi. Sposób okazał się skuteczny, ponieważ w panującym zamieszaniu odwrócił od niego uwagę, a kardynalną zasadą obowiązującą w wojsku było nie zwracać na siebie uwagi przełożonych. Ale to był dopiero początek sześciu miesięcy rekruckiego treningu, którego celem było złamanie normalnego osobnika i przerobienie go na ludzki automat, gotów wykonać każdy rozkaz. Właśnie tacy stanowili podstawę władzy

Imperatora.

Po godzinie (jak się rekrutom wydawało) wrzasków wypuszczono ich z promu i ścieżką zaprowadzono do jednego z baraków. Wszystko to odbywało się biegiem i tak miało być przez dłuższy czas. W połowie korytarza przechodzącego przez barak, w otwartych drzwiach stało coś co wyglądało na małpoluda i miało dystynkcje sierżanta. Należało więc przyjąć, że jest to człowiek.

Sierżant gardłowym rykiem wstrzymał biegnący rząd rekrutów, którzy przylepili się ze strachu plecami do ściany, i kolejno rzucał w nich sortami mundurowymi i innym niezbędnym ekwipunkiem. Szereg truchtał powoli do przodu, tak by każdy dostał co mu się należy. A według Sił Zbrojnych Imperium należały się: zielonkawy mundur, hełm, skarpety, bielizna, chusteczka, racja awaryjna, medpakiet, zestaw przetrwaniowy i komplet toaletowy.

Nikt naturalnie nie miał odwagi spytać, co trzeba z tym wszystkim zrobić, a jedyny, który pisnął, że ma tego dość, stał się obiektem wzmożonej uwagi kilku podoficerów. Co się dalej z nim stało, Davin nie zauważył, ponieważ kolumna objuczonych rekrutów ożyła nagle w rytm zgranego ryku:

- Ruszać dupy!

W kolejnym baraku zostali rozdzieleni na pokoje. Davin z ulgą zrzucił cały ładunek na pierwsze wolne łóżko. Pokoje były trzyosobowe. Rozejrzał się i przedstawił, wyciągając rękę do bliższego współlokatora:

- Cześć, jestem Davin Felth.

- Geoff F'Thuns - uścisk był mocny. - Chcesz gryzą? Davin spojrzał na tłustą, mało zachęcającą papkę i odmówił.

- Jak masz coś do zjedzenia, to lepiej zjedz od razu, bo zabiorą i jeszcze ci karę wlepią - wyjaśnił Geoff, idąc za własną radą i w ekspresowym tempie pochłaniając zawartość torebki.

Wysoki i masywny rudzielec wyglądał na zbyt dużego nawet na maksymalny rozmiar pancerza, ale może do gwardii biorą większych...

- Mychael Ologat - przedstawił się drugi ze współmieszkańców, przerywając Davinowi rozmyślenia.

- I co powiesz o tym wszystkim?

Stanowił przeciwieństwo Geoffa - pewnie mógłby spokojnie zmieścić się do worka z wyposażeniem. Jednak pod skórą grały mu mięśnie uprzedzając, że nie jest takim chucherkiem, na jakie wygląda.

Davin nie odpowiedział. Nadal był w lekkim szoku - od wylądowania minęło może kwadrans, może pół godziny, a jego w tym czasie zmuszono do zrobienia tylu różnych rzeczy, ile zwykle załatwiał w pracowity tydzień.

- Uprzedzali mnie, że wojsko zmieni moje życie, ale nie myślałem, że aż tak... - mruknął wreszcie. - Powinni dać człowiekowi czas na aklimatyzację...

I - Na to nie licz - Geoff przełknął resztki tłustej papki. - Jesteśmy tu od wczoraj i czasu dla siebie nie mieliśmy ani trochę. A z tego, co słyszeliśmy, prawdziwe kłopoty zaczynają się później.

- Chyba właśnie się zaczęły... - bąknął Mychael, odwracając się ku drzwiom.

Geoff czym prędzej upuścił torebkę po przekasce i próbował wkopać ją pod łóżko, ale źle wycelował i opakowanie wylądowało na samym środku pokoju. A w następnej sekundzie drzwi otworzyły się z trzaskiem, wpuszczając masywnego mężczyznę w antygravitacyj-nych butach, czarnych szortach, białym podkoszulku i hełmie szturmowca. Na kimś innym taki zestaw wyglądałby komicznie, na nim wyglądał groźnie.

- Wasze odżywianie jest dokładnie regulowane dietą zdrowotną - rozległ się nie pasujący do całości mechaniczny głos, dobywający się z głośniczków po bokach hełmu. - Czyja ta kontrabanda?

Geoff przełknął ślinę, a Davin zdecydował, że kumpli nigdy za wiele, toteż odezwał się pierwszy:

- Moja.

- Jesteś tu nowy?

- Zgadza się.

- Właściwa odpowiedź brzmi: „Yes, sir!”. Nauczysz się... albo wylecisz. Uważaj to za ostatnie ostrzeżenie - Przybysz zgniótł torebkę pod podeszwą i ryknął: - Nie stójcie jak kołki! Macie pół minuty na przebranie się w dresy i zbiórkę przez barakiem z resztą drużyny! Albo dobiore się wam do dupy, pustynne glisty!

Pokój wypełniły trzy gorączkowo miotające się ciała i kłęb wojskowych ubiorów.

- Dzięki, stary! - mruknął Geoff, wbijając się w wysokie, biegowe buty.

Davin mruknął coś, podskakując na jednej nodze i naciągając na tyłek spodnie. A były to ostatnie w miarę spokojne chwile w ciągu najbliższych sześciu miesięcy szkolenia.

Piętnaście funtów lżejszy, ale nieporównywalnie silniejszy Davin przystosował się do wojskowego szkolenia, choć nie było mu łatwo. Spali pięć godzin dziennie, a dni mieli wypełnione do granic możliwości: zaprawa, a potem codzienne wycieczki superorbitalnymi promami na południe lodowca albo na Pustynię Forgofshar. Każda trwała tydzień. Potem były ćwiczenia w pobliżu obozu, trzydniowe manewry w równikowych lasach tropikalnych, a wreszcie górską wycieczką, gdzie zmagali się z naturą, a nie z innymi rekrutami. W końcu stracił rachubę, który to dzień którego tygodnia...

Wszyscy w pokoju szybko nauczyli się wstawać przed pobudką, którą regularnie oznaczało otwarcie przez sierżanta drzwi kopniakiem i gwizdek ultradźwiękowy, który umarłego postawiłby na nogi. Jeżeli wstało się pół godziny wcześniej, starczało czasu, by spokojnie posprzątać, ubrać się i wleźć z powrotem do łóżek, bowiem zbytnia gorliwość także nie popłacała. Rekruci złapani na nogach przed pobudką bywali przez tydzień obiektem wzmożonego zainteresowania sierżanta, czego im wszyscy serdecznie współczuli.

Ranek regularnie zaczynał się od wysłuchania (w pozycji zasadniczej, ma się rozumieć) rozkazów na cały bieżący dzień; plany na dzień następny nigdy nie były ujawniane. Davin prywatnie był przekonany, że to przez małą złośliwość sierżanta, ale zatrzymał to podejrzenie dla siebie.

Tego ranka zdołał wyprężyć się na stałym miejscu korytarza dobre pięć sekund przed innymi i usłyszał:

- Davin, weź dupę w troki i zamelduj się w sekcji AT-AT na końcu korytarza. Reszta wypierdków przygotować się do inspekcji!

Geoff szturchnął go w bok i szepnął:

- Powodzenia, narwańcu! Będzie nam cię brakowało!

Sierżant jakoś tego nie zauważył, a Davin nie miał czasu odpowiedzieć, bo zajął się nim kapral dowodzący sekcją AT-AT, a raczej rekrutami mającymi do tej sekcji trafić.

Grupa wybranych stała na drugim końcu korytarza i Davin bez specjalnego zdziwienia zauważył, że składa się z najbardziej zaradnych i mających najlepsze wyniki na kursie rekruckim. Przyglądali się sobie w milczeniu - żaden nie miał ochoty, by kapral zaczął się na nim wyżywać, więc we względnej ciszy zrobili w prawo zwrot i opuścili barak. Następnie przemaszerowali przez plac apelowy i minęli budynki z syngranitu, w których odbywały się szkolenia taktyczne. Mieściła się tu też administracja bazy, pod nieustannym nadzorem kamer i systemów alarmowych. Doszli aż na niewielkie lądowisko, używane zwykle przez dowództwo. Teraz parkował tam prom z opuszczoną rampą. Ledwie się załadowali, rozległ się sygnał i maszyna wystartowała. Po paru sekundach lotu na przodzie kabiny pasażerskiej pojawiła się holoprojekcja wysokiego i chudego jak śmierć oficera o

zapadniętych oczach. Ubrany był w czarny uniform wyjściowy pułkownika sił lądowych i odezwał się normalnym dla starszych oficerów, ostrym tonem:

- Jestem pułkownik Veers, dowódca imperialnych oddziałów AT-AT. Zostaliście wybrani z uwagi na większe niż przeciętne zdolności szybkiego uczenia się i adaptacji do nowych warunków. Niezależnie od przewagi, jaką dysponują nasze siły kosmiczne i powietrzne, teren mogą zająć i utrzymać jedynie wojska lądowe. Na nich też spoczywa zadanie wypłoszenia przeciwnika z kryjówek i zdobycia umocnionych stanowisk obronnych, bez czego nie sposób wygrać tego konfliktu. Zostaliście wybrani, by kierować bezpośrednim wsparciem piechoty i chlubą wojsk lądowych - uniwersalnymi ziemnymi transporterami opancerzonymi, których oficjalna nazwa brzmi Ali Terrain Armorer Transporters, w skrócie AT-AT.

Pułkownik zniknął, a na jego miejscu pojawił się obraz czworonożnego, pancernego potwora wędrującego przez bezdroża. Maszyna w minutę pokonywała odległość, która piechocie zajęłaby godzinę. Dwa działa laserowe umieszczone pod łbem-sterownią zapewniały wsparcie ogniowe ataku, a całość obsługiwało zaledwie dwóch członków załogi, widocznych przez pancerne szyby sterowni. Rekruci wpatrywali się w obraz jak urzeczeni.

Ponownie rozległ się głos pułkownika Veersa:

- Odbędziecie sześciotygodniowy trening na symulatorach wirtualnej rzeczywistości, zanim będzie wam wolno przejechać się w charakterze obserwatorów prawdziwym transporterem. Jeśli zdacie test, zostaniecie przydzieleni do jednego z bojowych batalionów AT-AT. Powodzenia życzę wszystkim, ale weźcie pod uwagę, że mniej niż jeden na dziesięciu zakończy trening przydziałem bojowym.

Spojrzał przenikliwie na słuchaczy, którzy odruchowo się wyprostowali, i zniknął.

Podnieceni rekruci wymieniali półgłosem uwagi. Rzeczywiście wiedzieć, a widzieć to coś zupełnie innego: obraz olbrzymiej maszynywędrującej przez skalisty teren robił wrażenie. Davina nic dotąd tak nie podnieciło, zupełnie jakby ujawniono przed nim jego własne najskrytsze marzenia, z których dotąd nie zdawał sobie sprawy. Dał sobie słowo, że znajdzie się wśród tych wybranych, o których mówił oficer.

Sterownia AT-AT wydawała się Davinowi niewspółmiernie wielka, gdy pierwszy raz się w niej znalazł. Wielobarwne kontrolki, podświetlone sensoryczne przyciski, czytniki, przełączniki i pokręta zajmowały wraz z prostokątnym oknem, umieszczonym z przodu, całe ściany i sufity. Piloci mieli do nich łatwy dostęp. Niezwykły był widok z okna - cóż, znajdowali się dobre pięćset metrów nad ziemią, w doku bazy treningowej.

Davin odetchnął i ostrożnie przekroczył próg, sam nie wiedząc, dlaczego tak się zachowuje. Dotknął oparcia prawego fotela i ze zdumieniem stwierdził, że pokryta jest autentyczną skórą dewbacka - jak na wojsko luksus wręcz niewyobrażalny.

- Podoba ci się? - głos był dziwnie spokojny, więc Davin odruchowo nastawił się na wrzask, jaki zaraz powinien nastąpić.

- *Yes, sir* - szczechnął odruchowo.

- Nie sądzę, abym kiedykolwiek przyzwyczaiał się do wrażenia, jakie wywołuje to wnętrze, choć przyznaję, że nie jestem tu pierwszy raz - instruktora nadal mówił spokojnie. - To jedna z cech, jakich szukamy u rekrutów: jeśli nie szanują AT-AT i traktują ten przydział jako jeden z wielu, nigdy nie zasiądą za sterami czegoś innego niż symulator. Potrzebujemy najlepszych. W polu, gdy coś się zacznie psuć, nie da się wszystkiego wyłączyć jak gry komputerowej. Tam trzeba wyobraźni, by

przetrwac.

Siadł w fotelu pierwszego pilota i przesunął palcem po dwóch rzędach sensorów. Z dołu rozległo się ciche buczenie, w miarę jak generatory kolejno podejmowały pracę. Instruktor odwrócił się wraz z fotelem i spytał:

- Chcesz go wyprowadzić?

- *Yes, sir* - Davin pospiesznie usadowił się w drugim fotelu i czekał na instrukcje.

Panowała cisza, więc przypomniał sobie zajęcia w symulatorze i zabrał się za sprawdzanie gotowości pojazdu, pomagając w ten sposób instruktorowi, który był pierwszym pilotem. W ciągu paru minut byli gotowi do drogi. AT-AT sterowany był przez komputer, ale polecenia wydawał pilot. Davin, obserwując jak instruktor wycofuje maszynę z doku, uświadomił sobie po raz kolejny, że nie jest to łatwe zadanie. W obserwacji manewrów pomagały ekrany umieszczone nad oknem, pokazujące AT-AT z różnych stron - obrazy nadawano z kamer umieszczonych w różnych miejscach bazy.

- Jedziemy na wzgórze - poinformował instruktor. - Chcę poćwiczyć z tobą strzelanie. Przejmij stery, a ja zawiadomię bazę. Aha, nasz kod to Landkiller One.

Widok z wysokości kabiny był niezwykle i zapierający dech, a prędkość, z jaką się poruszali, naprawdę godna podziwu. Ledwie po paru minutach syngranitowe zabudowania bazy zniknęły z pola widzenia i otoczyły ich coraz wyższe wzgórza, stopniowo przechodzące w poszarpane skalne ściany. Mimo to jazda przebiegała bez wstrząsów i zakłóceń, nawet gdy przekraczali rozpadliny, których dna skrywały ciemności. Wspięli się na zbocze niewysokiego łańcucha górskiego i zeszli w dolinę, zgrabnie omijając leżące na stoku głazy. Mimo swej masy i rozmiarów AT-AT doskonale słuchał sterów i okazał się całkiem zwrotną maszyną. Daleko mu wprawdzie było do zwinności, ale w końcu nie po to go skonstruowano.

Znaleźli się na środku płaskowyżu, z prawej strony ograniczonego dziwną czerwonożłocistą formacją skalną, wyglądającą niczym las kamiennych igieł. Davin spojrział na zegarek - od opuszczenia bazy minęło zaledwie dziesięć minut. Prowadzenie maszyny niczym nie różniło się od tego w symulatorze, ale cały czas miał świadomość, że najmniejszy błąd mógł tym razem okazać się katastrofalny w skutkach, więc całą uwagę skoncentrował na instrumentach i na kierowaniu transporterem.

- Nieźle ci idzie - pochwalił instruktor przerywając milczenie. - Niewielu zachowuje się tak spokojnie w czasie pierwszej jazdy.

- Dziękuję, *sir* - odparł z uczuciem Davin, nie odrywając wzroku od instrumentów.

- Trzymaj ten kurs, ja muszę sprawdzić przedział uzbrojenia: coś w nim ostatnio było nie tak, technicy twierdzą, że poprawili, ale wolę sam obejrzeć, zwłaszcza że zbliżamy się do strzelnicy. Teren będziesz miał mniej więcej taki sam, więc możesz włączyć autopilota.

- *Yes, sir*.

- Gdyby coś było nie tak, to mnie zawołaj. I pod żadnym pozorem nie oddalaj się od sterów, jasne?

- *Yes, sir*.

Sierżant sapnął, uniósł się z fotela i zniknął w tylnej części sterowni.

Na autopilocie AT-AT prowadził się sam, jednak świadomość, że pierwszy raz w pojedynkę siedzi za sterami, działała na Davina niczym alkohol. Rozglądając się po górzystym pustkowiu, bez trudu mógł sobie wyobrazić, że jest dowódcą co najmniej kompanii podobnych maszyn i właśnie

prowadzi je do ataku na bazę Rebelii.

Sny na jawie przerwał mu nagły ruch w górnym rogu panoramicznego okna - pojawił się tam czarny punkt, który rósł błyskawicznie, dzieląc się na cztery i lecąc prosto na niego. Spojrzał na przyrządy - ekran radaru pusty, żadnych wskazań na grawimetrze, spektrum neutrino czyste...

- Widzę jakieś myśliwce na kursie zbieżnym, ale instrumenty ich nie rejestrują, *sir* - zawołał po chwili namysłu.

Odpowiedziała mu cisza. Odwrócił się razem z fotelem - drzwi od przedziału uzbrojenia były zamknięte, więc instruktor nie miał prawa go słyszeć. Davin wduślił przycisk wewnętrznego systemu łączności i zameldował:

- Panie sierżancie, zbliżają się cztery nie zidentyfikowane myśliwce. Proszę do sterowni!

Jego głos powinien być rozbrzmieć we wszystkich pomieszczeniach AT-AT, do których ludzie mieli dostęp w czasie jazdy. Coś musiało być jednak nie w porządku z intercomem, bo instruktor się nie odezwał ani nie pojawił.

Tymczasem nadlatujące maszyny rozdzieliły się na dwie pary i leciały prosto na sterówkę. Davin nie potrafił rozpoznać ich typu, ale to o niczym nie świadczyło - z równym powodzeniem mogły to być nowe typy maszyn imperialnych, testowanych na planecie-poligonie, jak i nowa broń Rebelii, która jakimś cudem zdołała się przedrzeć przez kosmiczne posterunki otaczające Caridę. W następnej sekundzie skończył się czas jałowych rozmyślań - myśliwce otworzyły ogień z działek laserowych.

- Sierżancie, strzelają do nas! - wrzasnął, czując pierwszy raz w życiu autentyczny strach.

Myśliwce przemknęły po obu stronach i transporterem nieco zakłużyła od turbulencji.

- Co tu się dzieje do cholery?! - zdziwił się Davin. - Wleźliśmy na poligon lotniczy, czy co?

Ponieważ nadal jedyną odpowiedzią była cisza, wstał. Rozpinając pasy, przypomniał sobie, że dostał wyraźny zakaz ruszania się z fotela. Może by go zignorował; nie było to pierwsze głupie polecenie, jakie mu wydano - ale widok zawracających maszyn skutecznie go unieruchomił. Sierżant pewnie wiedziałby co zrobić, ale nie było czasu go szukać - cztery myśliwce przygotowywały się do kolejnego ataku. Davin uruchomił radiostację i przełączył na częstotliwość bazy.

- Tu Landkiller One, uwaga baza! Jesteśmy atakowani przez cztery nie zidentyfikowane myśliwce! Wszystko wskazuje, że to atak Rebeliantów!

Jedyne, co usłyszał w głośniku, to szum. Żadnych pisków, zgrzytów... nic. Awaryjny holoprojektor też był ciemny i głuchy.

Na kadłubie prowadzącego myśliwca rozjarzyły się ponownie wyloty działek, a AT-AT zatrząsło od laserowego ognia - tym razem dostali. Sterownię wypełnił dźwięk alarmowego brzęczyka, a w następnej chwili tłusty, duszący dym.

- Sierżancie, pomocy!

Do zamieszania dołączył pisk kolejnego sygnału alarmowego. Klimatyzacja rozproszyła nieco dym, ale za to odezwała się mechanicznym głosem informacja o uszkodzeniach, co jedynie powiększyło zamieszanie. Wszystko działo się jednocześnie. Davin zdołał zauważyć, że myśliwce idą ostro w górę, mając najwyraźniej zamiar dokonać następnego, ostatecznego ataku...

Nagle poczuł gniew - to miała być dla niego pierwsza z wielu jazd, a nie ostatnia. Co prawda cały czas wbijano mu do głowy, że jedynym sposobem przeżycia jest trzymanie się regulaminów, ale jego wojskowa kariera trwała zbyt krótko, by zdążył utracić zdolność samodzielnego myślenia. Zresztą takiej sytuacji jak ta nie napotkał w żadnym podręczniku, o regulaminach nie wspominając. Był sam i chociaż wyglądało to na szaleństwo, musiał się bronić. Prawdę mówiąc niewiele go

obchodziło, czy to atakowali Rebelianci, którzy się tu jakimś cudem zjawili, czy piloci Imperium, którzy dostali grupowego obłądu. Jedno było pewne: nie da się tego załatwić bez walki!

Uzbroił działka i wyłączył autopilota - skoro żadne instrumenty nie rejestrowały napastników, mógł liczyć jedynie na własne umiejętności. Automatyczny system obrony przeciwlotniczej po prostu nie widział celu, więc przełączył działa na sterowanie wzrokiem - broń celowała tam, gdzie spoglądał.

I nacisnął spust.

Naturalnie chybił, ale atak przeciwnika zakończył się bez ostrzału - myśliwce rozprysnęły się na wszystkie strony, jakby sam fakt, że cel się broni, wypłoszył pilotów. Dwa przeleciały obok AT-AT wywołując turbulencję, która zakłócała nieznacznie transporterem. Davin włączył sygnał autoalarmu, choć wątpił, by coś dotarło do bazy przez zagłuszanie. Inny powód braku łączności jakoś nie przychodził mu do głowy. Następnie zatrzymał maszynę. Skoro nie mógł liczyć na pomoc techniki, nie powinien się rozpraszać i jeszcze uważać, którędy AT-AT idzie. Kolejnymi poleceniami doprowadził do tego, że metalowy olbrzym przyklęknął, a potem położył się na brzuchu. Po ostrych, jakby wymuszonych ruchach maszyny wyczuwał, że takiego manewru konstruktorzy nie przewidzieli, ale to akurat go nie martwiło. Teraz myśliwce nie mogły atakować od dołu, a bezpośrednie sąsiedztwo skalnych iglic osłaniało mu bok. Zanim myśliwce rozpoczęły kolejny atak, AT-AT leżał płasko na ziemi z uniesioną w stronę napastników sterownią i umieszczonymi pod nią działami laserowymi.

Jedyne, co zostało przeciwnikom, to atak z dużej wysokości lotem nurkowym - albo od przodu, albo od tyłu, z boku bowiem skończyli-by na skałach. Jeśli chcieli szybko z nim skończyć, musieli atakować od czoła, inaczej szansę trafienia w kabinę były minimalne. Okazało się, że chcieli.

Davin poczekał, aż zaczną nurkować i zacisnął palec na spuście. Działa nie były przeznaczone do ciągłego ognia, ale nastawiając maksymalną szybkostrzelność i manewrując w poziomie zdołał postawić na drodze atakujących kurtynę ognia. Dwie pierwsze maszyny wpadły w nią i prawie równocześnie trafione eksplodowały, trzecia odbiła w bok, chcąc uchronić się od latających szczątków, ale zbyt gwałtownie - pilot zahaczył skrzydłem o jedną z iglic i nie był w stanie już nic zrobić: trzecia ognista kula wykwitła wśród skał, zwalając dwie skalne iglice. Czwarty myśliwiec wyszedł z nurkowania tuż nad ziemią i ruszył do czołowego ataku. Davin obniżył nieco ogień, by promienie laserów trafiały w ziemię przed myśliwcem. Wytworzona w ten sposób kurtyna kurzu, pyłu, ziemi i kamieni miała oślepić pilota i swoje zadanie wykonała - kolejny ognisty kwiat oznaczał koniec ostatniego napastnika.

Davin strzelał jeszcze przez chwilę, nim dotarło do niego, że wygrał. Z trudem oderwał ręce od spustu. W kabinie zapanowała cisza, po dymie nie pozostał ślad, głośnik radiostacji nawet nie pisnął...

Ale z tego zdał sobie sprawę dopiero po kilkunastu sekundach. Czuł się tak wyczerpany, że nie chciało mu się wywoływać bazy, by zameldować, co się stało. Wiedział, że musi to zrobić, bo skoro na niego polowały cztery rebelianckie myśliwce, to strach pomyśleć, ile ich mogło być w okolicy. Musiały przecież być rebelianckie, bo jeśli nie, to jakie? Sięgnął do radiostacji, gdy usłyszał za sobą chrząknięcie.

- Sierżant... - bąknął niepewnie, uświadamiając sobie nagle, że w ogniu bitwy kompletnie zapomniał, że nie jest sam. Odwrócił się niepewnie.

Instruktor stał w rozkroku, podparty pod boki, i uśmiechał się niczym wilk na widok biegnącego

po łące śniadania.

- Dobra robota, Felth - pochwalił go niespodziewanie. - Mamy gości z dowództwa, będą lądowali za chwilę, więc otwórz górny właz i chodź.

- *Yes, sir...* - wykrztusił oszołomiony Davin i odblokował zamek wjazdu awaryjnego.

Obaj z sierżantem wydostali się na zewnątrz i Davin z niejakim zdumieniem stwierdził, że nic się nie pali, iglice stoją jak stały, a na ziemi nie ma śladu po jakimkolwiek ostrzale.

- Jesteś pierwszym, który zestrzelił wszystkie myśliwce - odezwał się sierżant. - Ten AT-AT jest specjalnie przystosowany do realnej symulacji walki. Rzeczywistość wirtualna i inne takie w kabinie.

Davin nie miał czasu, by zastanowić się nad jego słowami, bo prosto od słońca nadleciał ślizg zwiadowczy przerobiony na maszynę dyspozycyjną i wylądował na korpusie AT-AT. Drzwi otwarły się z sykiem, rampa zjechała na miejsce i wyłoniła się para szturmowców w białych zbrojach antyuderzeniowych. Zeszli i znieruchomieli po obu stronach rampy. Dopiero wówczas w otworze luku pojawił się oficer, którego Davin z niejakim zaskoczeniem rozpoznał od razu.

- Pułkownik Veers! - sapnął i wyprężył się salutując. Veers odsalutował, obejrzał go od góry do dołu i spytał:

. - Rekrut Felth?

- *Yes, sir*

- Skąd ten pomysł z położeniem AT-AT?

Davin otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

- No? - warknął Veers. - Czekam...

Davin odruchowo wzruszył ramionami, zbity z tropu pytaniem.

- Cóż...

- Wykrztuś wreszcie! - zdenerwował się instruktor.

- W porządku, sierżancie. - Veers uspokoił się, odszedł na bok i gestem przywołał do siebie Davina, dodając: - Wyjaśnij mi, dlaczego tak ważne było według ciebie niedopuszczenie myśliwców od dołu.

- Nie... nie wiem, sir. Wydawało mi się to logiczne, ponieważ ograniczało możliwość manewru myśliwców i uniemożliwiało im przelot pod AT-AT.

- Dlaczego uznałeś to za takie ważne?

- Po pierwsze dlatego, że wtedy ich w ogóle nie widać, po drugie nic nie można im zrobić, bo są w martwej strefie ostrzału, a one mogą działać jak im się tylko spodoba...

- Jak na przykład?

Davin poczuł, że się czerwieni, zły na oficera i na siebie. Na siebie bardziej - za to, że nie potrafił logicznie wytłumaczyć decyzji, co do której miał pewność, że jest słuszna. Musiała być słuszna, skoro dzięki niej osiągnął tak doskonały wynik.

- Nie wiem dokładnie, *sir...* mogą na przykład ostrzelać spodnią część kadłuba, którędy prowadzą przewody hydrauliczne... albo oplatać nogi AT-AT. - To ostatnie było rezultatem natchnienia. - Jeśli mają do dyspozycji harpun i wyciągarkę z liną holowniczą, a większość ma, to mogą opleść nią nogi i doprowadzić do nie kontrolowanego upadku AT-AT.

Davin skończył. Pułkownik Veers miał dziwną minę. Po naprawdę długiej chwili mina zniknęła, a pojawił się pozbawiony ciepła uśmiech.

- Pouczające - przyznał. - Cała ta sprawa ma być ściśle tajna, dopóki mój sztab nie przeanalizuje

konsekwencji takiego niebezpieczeństwa. Jasne?

- *Yes, sir* - wyprężył się Davin. Veers odwrócił się i dodał głośno:

- Sierzancie, Felth ma po powrocie zgłosić się po przydział bojowy... Ktoś o takiej wyobraźni i zdolnościach zasługuje na właściwe wykorzystanie i to natychmiast. Mój sztab znajdzie mu coś odpowiedniego...

- *Yes, sir* - tym razem wyprężył się sierżant.

- I proszę przesłać wszystkie nagrania tej symulacji do mojej kwatery głównej, jasne?

- *Yes, sir*

- I proszę się pospieszyć. Zostałem przydzielony do naziemnej ochrony nowej Gwiazdy Śmierci, a chcę mieć te nagrania przed odlotem.

I wszedł do ślizgu, a szturmowcy za nim.

Kiedy maszyna zniknęła z pola widzenia, instruktor wyraźnie się odprężył i z uznaniem klepnął Davina w ramię.

- Nie wiem jak ci się to udało, ale coś mi mówi, że masz przed sobą nadzwyczajną przyszłość!

Według zapieczętowanych rozkazów, które otrzymał po powrocie do bazy, Davin znalazł się w transportowcu, który natychmiast wystartował. Davina denerwowało nieustanne brzęczenie silników, chociaż w AT-AT nie przeszkadzało mu w ogóle, tak samo jak smród rozgrzanego oleju maszynowego i ostre światła. Czuł się tam jak w domu, ale cóż - rozkaz to rozkaz. Na statku były dwie pełne kompanie szturmowców, a jego przeznaczeniem był jakiś położony na obrzeżach sektor. Davin nie kwestionował oczywiście rozkazów, ale też nikt nie wytłumaczył mu dokładnie celu i powodu tej wyprawy. Coś tu nie miało sensu. Teraz jakieś dwieście lat świetlnych od Caridy, Davin próbował uzyskać wyjaśnienia od kapitana, dlaczego właśnie on znalazł się wśród szturmowców. Kapitan Terrik w milczeniu wpatrywał się w rozłożone na stole rozkazy, nie reagując, więc zdesperowany Davin zaczął tłumaczyć po raz trzeci:

- Panie kapitanie, chyba mnie pan nie zrozumiał. Ostatni dzień spędziłem próbując dowiedzieć się, co jest grane, ale nikt nie odważył się otworzyć tych rozkazów. Kazano mi się zgłosić do pana, więc zrobiłem to, ale... pułkownik Veers zapewnił mnie, że dostanę przydział godny moich umiejętności, a ja jestem pilotem AT-AT, a nie... piechociarzem.

Ogolona głowa oficera podniosła się nagle, dzięki czemu Davin mógł wreszcie przyjrzeć się jego głęboko osadzonym, czarnym oczom. Były kompletnie pozbawione wyrazu.

- Szturmowcy nie są piechociarzami! - oparł się o blat biurka i wstał, ledwie panując nad wściekłością. - Gdyby to ode mnie zależało, już bym cię wypuścił główną śluzą bez skafandra, wszarzu, ale znam rozkazy pułkownika Veerrsa i wypełnię je co do mikrona!

- Doskonale - ucieszył się Davin z autentyczną ulgą i rozejrzał po kabinie udekorowanej proporcami jednostek, plakietkami pamiątkowymi, obrazami batalistycznymi i hologramem lorda Vadera. - W takim razie, jaki jest mój przydział?

Terrik nie wiedząc dlaczego z sekundy na sekundę coraz bardziej czerwieniał.

- Baczość! - warknął nagle. - I przestań się wreszcie uśmiechać, parszywa przynęto na mynocki! Straciłem pół dnia na potwierdzenie tych rozkazów i pojęcia nie mam, co ty narozrabiał, ale twoja dupa należy do mnie! Mam miesiąc, nim dotrzemy na Tatooine i mam zamiar przez ten czas zrobić z ciebie uczciwego szturmowca, nawet wbrew twojej woli!

- Tatooine? - Davin zbladł. - To... to musi być jakaś pomyłka...

- Nie ma żadnej pomyłki! - Kapitan Terrik uśmiechnął się ze złośliwą satysfakcją. - Mój oddział

ma zluzować 37. Samodzielną Kompanię stacjonującą w Mos Eisley na planecie Tatooine. Stanowimy oddział wydzielony, nie podlegający gubernatorowi, a mój przełożony będzie w następnym sektorze, oddalonym o dwa lata świetlne. Będę miał cały długi miesiąc, by zająć się takimi wypierdkami jak ty. Szybko się przekonasz, co to znaczy być piechociarzem, ty przemądrzały cwaniaczku! Masz jeszcze jakieś pytania, były pilocie AT-AT?

Davin spojrzał na jego twarz, powoli tracącą buraczkową barwę, i zrozumiał, że ma przechlapane.

Kiedy transportowiec zbliżał się do Tatooine, David Felth był w najlepszej kondycji fizycznej, jaką udało mu się osiągnąć w życiu, i dokładnie wiedział, co znaczy mieć naprawdę przechlapane. Wszystkich dwudziestu członków jego plutonu robiło przez miesiąc co tylko mogło, by mu pomóc w dokładnym poznaniu sensu tego słowa. Fakt, że trzymiesięczne szkolenie zostało skrócone do miesiąca, jedynie im w tym pomagał, podobnie jak to, że Davin był po szkoleniu pilotów AT-AT. Szturmowcom, uważającym się za elitę sił zbrojnych Imperium (naturalnie nie licząc Gwardii) zwykły pilocina musiał najpierw udowodnić, ile jest wart, zanim go zaakceptowali.

Dzięki temu Davin praktycznie nie miał okazji zatęsknić za domem, poczuć się samotny czy uzależnić nad sobą. Za to utwierdził się w przekonaniu, że został haniebnie oszukany i ukarany bez powodu.

Na dziesięć godzin przed lądowaniem wszyscy pobrali od kwatermistrza pustynne wyposażenie i Davin ledwo dotarł do łóżka, objuczony niczym muł pancerny. Na wyposażenie pustynne składały się: odbijający ciepło pancerz, comlink, maska z filtrami, karabin laserowy, miotacz, kontrolująca temperaturę bielizna, pas-przybornik i zasilacz. Jako niespodziankę dostał jeszcze granatnik plus dwanaście granatów ogłuszających.

Kiedy wbił się w część ekwipunku, a resztą poobwieszał i spojrzał w lustro, stwierdził z niejakim przygnębieniem, że w końcu jest szturmowcem. Brodą wdusił przycisk łączności dostrojonej do sieci kompanii i pierwsze, co usłyszał, brzmiało:

- Ładownia otwarta! Drugie natomiast:

- Oddział wydzielony Tatooine gotów do wylądowania!

Potem na chwilę zapadła cisza, a jeszcze później rozległ się głos Terrika:

- Dziesięć dwadzieścia trzy, jesteś gotów?

Davinowi parę sekund zabrakło zrozumienia, że to o niego chodzi.

- Dziesięć dwadzieścia trzy gotów, *sir*!

- Zamelduj się przy ładowniku trzecim. I pospiesz się!

- *Yes, sir*!

Szturmowcy nie posługiwali się nazwiskami, jak robiono w innych formacjach, lecz numerami, co stanowiło część procesu indoktryna-cyjnego i jednocześnie swoisty powód do dumy, czego Davin zupełnie nie pojmował. Ich zaciekle (bo trudno o właściwsze określenie) oddanie obowiązkom i ślubowanie wierności jedynie Imperatorowi stanowiło uzupełnienie wyrzeczenia się własnej osobowości. Otaczała ich groza i tajemniczość, co im nadzwyczaj odpowiadało. Davinowi nie odpowiadało; w ogóle coraz mniej odpowiadała mu służba w siłach zbrojnych Imperium.

Swoje osobiste rzeczy miał już spakowane, więc momentalnie znalazł się na korytarzu. On jeden z całej grupy zachował coś prywatnego, toteż inni uważali go za dziwaka. Był solidnie objuczony, więc wolał trzymać się przy ścianie, bo na korytarzu panował spory ruch, w dodatku wojskowi nigdy nie poruszali się normalnie, zawsze biegiem. Właśnie zza zakrętu wypadło sześciu szeregowców Floty Kosmicznej z podoficerem na czele i przegalopowało obok niego.

Na pokład lądowiskowy nie było daleko, więc szedł normalnym krokiem doskonale wiedząc, że zdąży. Nigdy tu przedtem nie był, bo podczas lotu w nadprzestrzeni pokład trzymano zamknięty - ten ogrom zrobił na nim wrażenie. Z trudem dostrzegł boczne ściany gigantycznego hangaru, a jego wysokości nawet nie próbował określić - dro-idy techniczne przesuwały się po metalowej pajęczynie kratownic, usytuowanej wyżej niż czubek korpusu AT-AT, a i tak do sufitu zostało dużo miejsca. Davin bez trudu odszukał ładownik numer trzy i dołączył do czekających przy nim postaci w białych pancerzach.

- Dziesięć dwadzieścia trzy?

- Obecny, *sir*.

- Masz przydział do drużyny zwiadu w plutonie Dwa Eta. Nie meldujemy się bezpośrednio w garnizonie, więc wyposażenie dodatkowe załadujecie do ładowni. Pełne pogotowie bojowe. Ruszamy, jak tylko przyjdą dokładne rozkazy.

- *Yes, sir*.

Po dobrych paru minutach, gdy Davinowi zaczynało się już solidnie nudzić, w słuchawkach zaćwierkało, co znaczyło, że przechodzą na zabezpieczony kanał łączności z losowo zmienną częstotliwością, do czego przystosowane były jedynie comlinki szturmowców. Rzeczywiście po sekundzie rozległ się głos Terrika:

- Łądujemy na pustyni, by wziąć udział w misji poszukiwawczej.

- A czego szukamy, *sir*? - spytał czyjś głos.

- Kapsuły ratunkowej z koreliańskiej korwety. Odstrzelono ją tuż przed zajęciem okrętu przez oddział abordażowy z Gwiezdnego Niszczyciela lorda Vadera i wylądowała gdzieś na Tatooine.

Chociaż szturmowcy szczylicili się swoim opanowaniem, wywarło to na nich spore wrażenie. - Lord Vader jest tu?

- Jest - przyznał oficer ponuro. - Rozpocząć załadunek!

Davin podejrzewał, że wszyscy, tak jak on, poruszali się automatycznie, zaprzątnięci bliskością Dartha Vadera. Co *Dark Lord the Sith* robił na takim wygwizdowie jak Tatooine? Nie miał pojęcia, ale z żołnierskich plotek wiedział, że jego obecność jest niechybną oznaką kłopotów. Z tejże nieoficjalnej, a skutecznej sieci informacyjnej dowiedział się w końcu, za co oberwał: otóż pułkownik Veers nigdzie i nikomu słowem nie pisał o jego popisowym manewrze, najwyraźniej nie zamierzając przyznawać, że jego ukochane AT-AT mają jakieś wady. Davin okazał się za mądry, a ponieważ „przypadkową” śmierć rekruta dość trudno jest wytłumaczyć rodzinie, dostał przydział do formacji ponoszącej największe straty i na maksymalnie odległą planetę.

W ładowniku panowała cisza. Wszystkim na wizjerach wyświetlały się obrazy i informacje o planecie, na którą lecieli, pochodzące z danych wywiadu, którego satelity okrążały Tatooine. Komputer określił najbardziej prawdopodobny rejon lądowania kapsuły ratunkowej i tam właśnie skierowały się ładowniki. Drużyna zwiadu plutonu Dwa Eta miała za zadanie spenetrowanie skalistego obrzeża pustyni, a Davin nieco abstrakcyjnie zastanawiał się, co też w tym ładowniku było takiego istotnego, że szukała go co najmniej kompania wojsk uderzeniowych.

Wylądowali z lekkim wstrząsem. Śluza otworzyła się z sykiem, wysuwając rampę rozładunkową i wpuszczając gorące powietrze i jaskrawy blask obu słońc. Chwilę trwało, nim się wylądowali i ustawili w szeregu przed kapitanem Terrikiem. Znieruchomieli, kiedy jego głos rozległ się w słuchawkach.

- Niszczyciel lorda Vadera przeprowadził skan planety, ale kapsuły nie wykryto. Albo zagrzebała

się w piasku, albo została odkryta przez lokalnych sympatyków Rebelii. Mamy jej pozycję z momentu wejścia w atmosferę i projekcję komputerową miejsca upadku. Jeśli będzie trzeba, przesiejemy tę pustynię, ale ją znajdziemy!

- Dlaczego ta kapsuła jest taka ważna, *sir*? - Davin sam się zdziwił, słysząc siebie; miał jedynie nadzieję, że ponieważ nie on pierwszy o coś pytał, oficer nie rozpozna jego głosu.

- Zawiera tajne informacje, to wszystko, co musicie wiedzieć! A odnaleźć ją trzeba, bo w przeciwnym wypadku będziemy musieli zameldować lordowi Vaderowi, że samodzielna kompania wojsk szturmowych Imperatora nie wypełniła zadania. Są ochotnicy do złożenia takiego meldunku?... Nie? Tak też myślałem... Teraz wszystko jasne?

- *Yes, sir*

- To dobrze. Kompanie Alvien i Drax przeszukują sąsiednie kwadraty, ja będę z waszą kompanią. Z Mos Eisley przyślą nam trzy dewbacki do pomocy, po jednym dla każdej kompanii. Jeśli złapią ślad, doprowadzą nas prosto do kapsuły. Przeszukujemy według wzoru spirali. Jasne?... Wykonać!

Skały, a właściwie skałki sprawdzili szybko i pozostała im jedynie pustynia, przygnębiająco jednakowa, w jaką stronę by nie spojrzeć. Davin przedzierał się przez wydmy nie bardzo wiedząc, jakich śladów ma szukać. Jak wyglądała kapsuła ratownicza, wiedział, bo wszyscy wiedzieli - model był standardowy dla wszystkich statków i okrętów latających w Imperium. Wdrapał się na wyższą od innych wydmy i rozejrzał - jak okiem sięgnąć widać było jedynie piasek. I niewielkie wzniesienie pod wydmy, na której stał.

Pospiesznie zbiegł po zboczach i rozgarnął je kolbą karabinu. Kolba stuknęła o coś twardego, więc włączył się do sieci i zameldował:

- Kapitanie Terrik, Dziesięć Dwadzieścia Trzy melduje coś twardego w piasku. Myślę, że to kapsuła.

- Jesteś pewien?

- Tak... nie, *sir*... to tylko skała... - dodał zawiedziony. Wstał i dołączył do reszty.

Dewbacki przeszukiwały znacznie większy teren niż szturmowcy na piechotę, ale Davin był zadowolony, że nie przydzielono go jako jeźdźca na tego olbrzymiego jaszczura. Nie wiedział, jak się na nim jeździ, ale wątpił, by było to wygodne, skoro każdy krok dewbacka wstrząsał podłożem.

Poszukiwania zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Oprócz dew-backów przywieziono destylowaną wodę. Davin stracił rachubę przerw, był tylko pewien, że nadal trwa ten sam dzień. W pewnym momencie zauważył kątem oka błysk słonecznego światła, odbitego od czegoś w piasku. Nauczony doświadczeniem ze skałą, nie odezwał się jednak słowem, tylko ruszył w tym kierunku.

Obiekt powoli nabierał kształtów, aż stał się nadpaloną po przejściu przez atmosferę i w trzech czwartych zagrzebaną w piasku kapsułą z czerwono-niebieskimi oznaczeniami pojazdów ratunkowych.

- Kapitanie Terrik, tu Dziesięć Dwadzieścia Trzy - zameldował. - Znalazłem kapsułę.

- Jeżeli ci się znowu przywidziało, Dziesięć Dwadzieścia Trzy...

- Nic mi się nie przywidziało, *sir*. Nie wiem, czy to ta kapsuła, której szukamy, ale na pewno kapsuła ratunkowa.

Chwilę później zdyszany oficer dołączył do niego, a na szczycie najbliższej wydmy zatrzymał się szturmowiec na dewbacku, czekając na sygnał.

- Ktoś był wewnątrz - ocenił kapitan Terrik. - Ślady prowadzą w tamtym kierunku...

Davin wyciągnął z kapsuły wyrwaną obejmę. Została zamontowana w kapsułach, ponieważ

używały jej najpopularniejsze w kosmosie dro-idy - automaty klasy R-2.

- Jeden z pasażerów na pewno był droidem, *sir* - odezwał się, pokazując obejmę.

- Na pewno... Zbiórka kompanii, poinformuję lorda Vadera o znalezisku. Teraz dopiero się zacznie...

- Tu Dziesięć Dwadzieścia Trzy, nie ma ich w warsztacie, *sir* - zameldował Davin, kończąc przegląd pomieszczenia pełnego droidów w różnym stanie rozbiórki.

Znajdowali się głęboko we wnętrzu sandcrawlera, w sali, w której Jawa naprawiali i przemontowywali znalezione i ukradzione droidy. Stoły montażowe wypełniały części zamienne, a pod sufitem zwisała plątanina kabli zasilających, przewodów prowadzących do ręcznych lamp i większych narzędzi.

- Przeszukaliście cały pojazd? Zgłosić się i meldować!

Chwilę potrwało, zanim zgłosił się cały pluton. Wynik był taki sam, czyli żaden.

- Zbiórka na zewnątrz - rozkazał nieco zde gustowany oficer. Davin przekroczył wybebeszonego 79 Roche, leżącego na podłodze i podszedł do drzwi, za którymi czekała para niewielkich, zakapturzo-nych postaci. Już stojąc w progu, rozejrzał się ostatni raz po warsztacie - z rozpoznawalnych automatów były tu: Arakyd BT-16, droid saperski i wartownicy R-4 agromech, WED 15 przeznaczony do zadań wysiłkowych, ale prostych, EG-6, czyli samobieżny zasilacz - ale ani śladu R-2 czy C-3, które najczęściej towarzyszyły astromechom. Ponieważ Jawa niczego nie wyrzucali, brak choćby części korpusu któregoś z nich definitywnie dowodził, że droidów w warsztacie nie ma.

Wyszedł na zewnątrz, obserwując rosnącą grupę postaci w brązowych habitach - Jawa byli niezadowoleni z zatrzymania i z rewizji, ale przejawiało się to jedynie w gestykulacji i komentarzach, jakie wymieniali, bo na cokolwiek innego brak im było odwagi. Pojazd obstawiony był przez pluton Alvien, choć Davin nie miał pojęcia po co - nikt nigdy nie słyszał, by Jawa kogokolwiek zaatakowali. Szturmowcy zresztą nie trzymali broni w pogotowiu - po prostu czekali, aż pluton Zeta zakończy rewizję. Pluton Drax czekał przy skiffach na wzniesieniu.

Przechodząc obok Davin, usłyszał fragment rozmowy kapitana z wodzem sandcrawlera.

- Jesteś pewien, że te właśnie droidy sprzedaliście farmerowi na ostatniej farmie wodnej, którą mijaliście?

Odpowiedzią była seria wysokich pisków, charkotów i ćwierknięć, po której kapitan Terrik przeszedł na sieć łączności kompanii:

- Dołączyć do plutonu Drax!

Oba pododdziały skierowały się ku skalnemu wzniesieniu; parkowały za nim ślizgacze, którymi tu przybyli. Gdy dotarli do czekającego plutonu Drax, Davin stwierdził, że oprócz skiffów transportowych typu Arunskin 32 znalazły się tam trzy banthy i latająca forteca Ubrikkian HAVrA9, której głównym uzbrojeniem była para ciężkich dział laserowych.

Wrzaski i wygrażania właścicieli sandcrawlera przybrały na sile na widok odwrotu szturmowców, ale szybko umilkły, bo większość z nich zabrała się za sprzątanie i przygotowanie przetrząsniętego pojazdu do drogi. W głośnikach hełmu rozległ się głos kapitana Terrika:

- HAVr, strzelajcie, kiedy będziecie gotowi! Po zniszczeniu celu doprowadzić banthy w pobliże i narobić śladów. Aha, i porozrzucić to, co skonfiskowaliśmy Ludziom Piasku. To ma wyglądać na ich robotę. No i naturalnie żadnych świadków! Reszta do skiffów. Lecimy na farmę.

Forteca w ostrym zwrocie uniosła się nad wzniesieniem i Davin docierając do skiffu dostrzegł

błysk pierwszej salwy, a sądząc po okrzykach radości wśród szturmowców, masakra właśnie się zaczęła.

Davin świadomie trzymał się w ogonie oddziału przeszukującego budynek mieszkalny farmy. Dzięki temu nikomu nie podpadł, a nie musiał niczego tłuc, przewracać i demolować, co reszcie sprawiało ewidentną przyjemność. Było to niszczenie dla samego niszczenia, bo nawet największy kretyn nie mógł podejrzewać, że w kuchennej szufladzie ukrył się droid typu R-2, a jednak szuflada została wraz z innymi wyciągnięta i rzucona na podłogę, gdzie już poniewierała się zawartość wszystkich szafek i co większych pojemników. Podobnie wyglądało w pozostałych pomieszczeniach. Szturmowcy niszczyli wszystko na co natrafili - jeden z nich, idący przed Davinem, wychodząc z kuchni kopnął pojemnik z oliwą, która rozlała się po usłanej rumowiskiem podłodze.

- Zbiórka na górze! - polecił kapitan Terrik, gdy ostatni ze szturmowców zameldował się z negatywnym wynikiem poszukiwań.

Davin wyszedł na zewnątrz, dołączył do formacji i przełknął ślinę - Ubrikkian HAVrA9 był już na miejscu, a to mogło oznaczać tylko jedno. Kapitan Terrik stał przed farmerem i jego żoną obok głównego wejścia do podziemnych zabudowań. Mężczyzna był czerwony ze złości, kobieta płakała, a Davin włączył zewnętrzne mikrofony hełmu. Sam nie wiedział, dlaczego to zrobił, ale nie mógł się powstrzymać.

- ...jesteście zwykłą bandą kryminalistów! Powiedziałem ci, że od wczorajszego wieczoru nie widziałem tych droidów, a wy zmieniliście mi dom w śmietnik! Po co? Gubernator będzie się cieszył jak nie wiem co, gdy mu wystawię rachunek! - dokończył farmer.

- Ten wasz siostrzeniec - kapitan Terrik zignorował jego wybuch całkowicie. - Gdzie zabrał tego R-2?

- Na słuch ci padło, cymbale?! Mówiłem ci już, że nie zabrał, a poleciał szukać. Nie wiem gdzie jest, bo jeszcze nie wrócił! Zresztą po tym, co zrobiliście, nawet gdybym wiedział, to bym wam nie powiedział. Jesteście gorsi od Tusken Raiders! Gorszi niż sobie kiedykolwiek wyobrażałem! - Na zakończenie splunął oficerowi na wizjer.

Ten nawet nie drgnął.

- Ostatni raz pytam: gdzie jest chłopak?

- Nigdy nie byłem za Rebelią, ale teraz mam nadzieję, że znajdą was i wyduszą do ostatniego, wy... - widocznie zabrakło mu wystarczająco mocnego epitetu, bo objął żonę i oboje odwrócili się, kierując ku wejściu.

Kapitan Terrik też się odwrócił i podchodząc do podkomendnych oznajmił:

- Jest tylko jedno miejsce, gdzie chłopak mógł zabrać droidy: port kosmiczny Mos Eisley. Pewnie szukają sposobu wydostania się poza planetę. Ładujcie się do skiffów. HAVrA9, standardowa procedura przy kryjówce Rebeliantów. Możecie strzelać według uznania. Davin odwrócił się pospiesznie i pomaszerował ku skiffowi, ale i tak dostrzegł błysk pierwszej salwy.

W gardle miał kluchę, a w ustach smak popiołu - najpierw wymordowali kilkunastu czy kilkadziesiąt Jawa, teraz dwoje ludzi. Dlaczego?! Dlatego, że nie znaleźli tych droidów? A przecież gdyby znaleźli, też by ich zabili, co do tego nie miał złudzeń.

Wstąpienie do wojska wydawało mu się kiedyś niezłym pomysłem. Carida przyniosła pierwsze wątpliwości, ale to, co zobaczył teraz, otworzyło mu oczy - tak nie postępuje wojsko. Przynajmniej nie to, do którego chciałby należeć.

Startujący skiff dał mu okazję obejrzenia z góry miejsca egzekucji - z zabudowań unosił się dym, a

przy samym wejściu leżały spalone resztki dwóch ciał... Największym zmartwieniem Davina w drodze do Mos Eisley było: co zrobić, jeśli każą mu zabijać...

Wylądowali na przedmieściach Mos Eisley i podzieleni na drużyny spędzili kilka godzin, przekopując się przez dane kapitanatu portu, przesłuchując właścicieli wycarterowanych statków i przeszukując warsztaty. W końcu kapitan Terrik miał dość i zarządził regularne przeszukanie miasta.

- Pluton Alvien zorganizuje patrole kontrolne na wszystkich ulicach, prowadzących do i z miasta. Pomoże wam w tym aktualny garnizon. Szukamy pary droidów i chłopaka. Plutony Drax i Zeta sprawdzą kolejno wszystkie domy, miasto jest podzielone na kwadraty. Drax zaczyna od tego, w którym jesteście, Zeta od centrum. Wykonać!

Zapachy egzotycznych przypraw, brudu i paliwa przenikały nawet do hełmów, a Mos Eisley wyglądało jak niechlujne zbiorowisko zakurzonych, niskich budowli w różnych odcieniach brązu, zaprojektowanych przez jakiegoś nałogowego zwolennika juvi. Tyłu obcych w jednym miejscu Davin nie widział od transmisji olimpiady galaktycznej. Domy były pozamykane na głucho, by uchronić wnętrza przed piaskiem (tak przynajmniej głosiła teoria), a cała zabawa nie miała sensu, ponieważ nie wolno było im wejść, jeśli ktoś im nie otworzy. W takiej sytuacji nie znaleźliby nawet montowni droidów, a co dopiero pary głupich robotów.

Jednak rozkaz święta rzecz, więc należało go wykonać. Minęli sklep sieci Lup, targowisko, grilla sieci Gap i dotarli do tego, co szumnie nazywało się centrum miasta. Davin, przebywający na planecie od samego rana, nagle stwierdził, że nie miał okazji przyjrzeć się lokalnemu kolorytowi czy w ogóle czemukolwiek, piachu naturalnie nie licząc.

Rozważania przerwały mu wrzaski dochodzące ze starego blokhau-zu. Z odprawy przed lądowaniem Davin zapamiętał, że wszystkie budynki stawiane tu na początku były zaprojektowane tak, by w razie ataku Tusken Raiders mogły służyć za schrony. Ten wyglądał, jakby był ich pradziadkiem.

Nikt oprócz niego najwyraźniej nie słyszał zamieszania, bo na nie nie zareagował, a Davin stwierdził, że jest to doskonała okazja do urwania się od kretyńskiego zajęcia choćby na chwilę.

- Dziesięć Dwadzieścia Trzy prosi o zezwolenie zbadania zamieszania w blokhauzie - zameldował.

- Zezwolenie udzielone - odezwał się kapitan Terrik. - Dziesięć Czterdzieści Siedem, daj mu osłonę.

Obaj odłączyli się od szyku i ruszyli ku wejściu, nad którym wisiał nie rzucający się w oczy, wyblakły napis „Kantyna”. Z wejścia wyczołgał się mierzący prawie trzy metry insektoid zielonej barwy i wybałuszył na nich ślepią na szypułkach.

- Wynoszę się stąd z moimi przyprawami - zachrzęścił. - Jak można handlować, skoro nikt nie gwarantuje bezpieczeństwa.

. - Dziesięć Czterdzieści Siedem, chyba mamy kłopoty...

- Tu nie obsługują droidów, Dziesięć Dwadzieścia Trzy, marnujemy czas.

Davin zignorował go, bo i tak chciał na wszelki wypadek trzymać się możliwie daleko od tych poszukiwań. Nie odzywając się, wszedł do wnętrza. Wizjer przestawił mu się automatycznie na niski poziom oświetlenia, więc bez trudu rozejrzał się po lokalu i wśród obcych mętów dostrzegł starszego mężczyznę z młodzieńcem w stroju farmera, zmierzających ku tylnemu wyjściu. Nie zareagował na to, a gdy jego towarzysz wszedł do wnętrza, po „uchodźcach” nie pozostało już śladu. Pozostali klienci knajpy stanowili typową mieszanię rzezimieszków, przemytników, łowców i innych szumowin.

Davin pierwszy raz znalazł się w podobnej mordowni, ale starał się nie dać tego po sobie poznać. Podszedł do baru.

- Co to było za zamieszanie? - spytał barmana.

- Normalne - tamten wzruszył ramionami. - Bez zadymy nie ma zabawy, tak uważa większość gości. Nikogo nie zabito, więc to nic poważnego. Proszę się rozejrzeć i samemu sprawdzić.

- Dobra, rozejrzę się...

Nie opuszczając trzymanego na wszelki wypadek oburącz karabinu, Davin przespacerował się wzdłuż kontuaru. Dwie dziewczyny, niebrzydkie i wyglądające na siostry... śmierdzący Rodianin, którego wyczuwał nawet przez hełm, co samo w sobie było ewenementem... Devaronianin, który nie wiedzieć czemu skinął mu rogatą głową i ustąpił z drogi... W końcu dotarł do wnęki, z której ewakuowali się na jego widok stary i chłopak. Przy stole siedział Wookie i młody mężczyzna z bliźną na podbródku. Obaj milczeli i zignorowali go całkowicie.- Miałeś rację, Dziesięć Czterdzieści Siedem, to strata czasu - powiedział Davin, odwracając się.

- No to wracamy do plutonu.

Davin mruknął na znak, że usłyszał, ale nie spieszył się do wyjścia. Prędzej czy później znów będzie świadkiem jakiejś bezsensownej, niepotrzebnej egzekucji...

Już miał zaproponować koledze, by poszukali droidów na własną rękę zamiast przyłączać się do pozostałych, gdy zza narożnika wyma-szerowała reszta drużyny zwiadu plutonu Zeta, najwyraźniej po przeszukaniu kolejnego kwadratu. Zanim zdążył się odezwać czy cokolwiek zrobić, usłyszał wysoki, przeraźliwy okrzyk, brzmiący jak wściekły Jawa.

Odruchowo przyklęknął, unosząc broń i rozglądając się - i rzeczywiście postać w brązowym habicie wyskoczyła z jakiejś kryjówki na kadłubie wraku naprzeciwko, szarpiąc się z wojskowym miotaczem, co wyglądałoby śmiesznie, gdyby nie to, że mogło okazać się tragiczne.

Jawa wreszcie wycelował w drużynę zwiadu trzymaną oburącz broń, wrzasnął jeszcze raz i prawdopodobnie nacisnął spust, ale strzał nie padł.

Jawa zawył ze złości i zaskoczenia, i wyglądało na to, że znów próbuje strzelić. Davin przyglądał się temu nie wiedząc, czy wybuchnąć śmiechem, czy odetchnąć z ulgą. Nie miał zamiaru strzelać, ale broni nie zdążył jeszcze opuścić.

- Pomyłony pokurcz! - usłyszał w głośnikach głos Dziesięć Czterdzieści Siedem, a sekundę później nad głową przeleciała mu wiązka laserowego światła.

Trafiła niedoszłego strzelca w pierś i posłała go na kadłub wraku, na którym stał. Miotacz z łomotem spadł na piach, a chwilę później bezgłośnie wylądowało tam ciało w brązowym habicie, zsuwając się po burcie.

- Jednego śmierdziela mniej - mruknął z satysfakcją Dziesięć Czterdzieści Siedem, zabezpieczając broń.

Davin powoli wstał. To była przysłowiowa kropla, która przepelniła naczynie. To nie było wojsko, w którym chciał służyć, i nie miejsce, w którym chciał żyć... Imperium było złe - to była jedyna, logiczna przyczyna tego wszystkiego, co dziś zobaczył. On sam z całą pewnością nie pasował do Imperium ani do jego sił zbrojnych.

Problem polegał na tym, że nie bardzo mógł zrezygnować z tego związku, bo za dezercję jedyną karą była śmierć, a inaczej ze służby nie mógł się uwolnić przez najbliższych parę lat...

Davinowi wydawało się, że wraz z drużyną maszeruje już kilka godzin, co nie mogło być prawdą, bo słońca jeszcze nie zaszły, gdy w głośnikach rozległ się podniesiony głos:

- Kłopoty na lądowisku. Stanowisko Dziewięćdziesiąt Cztery! Znaleźliśmy droidy i potrzebujemy wsparcia! Wszystkie jednostki proszone o pomoc! Stanowisko Dziewięćdziesiąt Cztery!

Drużyna zwiadu pognała klusem na wezwanie. Nie zostało mu nic innego, jak zrobić to samo, co dość skutecznie pomogło mu obudzić się ze stanu otępienia, w jaki wpadł po egzekucji Jawy.

W głośnikach rozległ się głos kapitana Terrika:

- Wszystkie plutony na lądowisko! Słyszeliście wezwanie: udzielić wsparcia i za żadną cenę nie dopuścić, by Rebelianci uciekli z droidami!

Zanim jeszcze dotarli do wejścia oznaczonego numerem Dziewięćdziesiąt Cztery, usłyszeli kanonadę - brzmiało to niczym regularna bitwa, tyle że bez ciężkiej broni wsparcia. Jak należało się spodziewać, przed wejściem zebrał się spory tłumek ciekawskich, żądnych krwi gapiów.

- Rozejść się! - zagrzmiało z przodu, najwyraźniej któryś z pierwszych szturmowców włączył głośniki zewnętrzne hełmu.

Tłum powiększył się zamiast rozejść, ale posłusznie rozsunął się przepuszczając drużynę zwiadu. Przebiegli przez długą bramę w szerokim murze antyodblaskowym, otaczającym całe lądowisko, przy wtórce coraz silniejszych odgłosów strzelaniny z miotaczy i z blasterów. Davin zaczął się poważnie zastanawiać, ilu tam jest Rebeliantów, że tak bezczelnie próbują wystartować w środku dnia.

Wybiegł z bramy i zdębiał: w centrum półodkrytego hangaru stał sobie nie pierwszej młodości frachtowiec, trudnego do ustalenia typu, bo dokonano w nim licznych przeróbek i modyfikacji. Po opuszczonej rampie załadunkowej wbiegał do jego wnętrza chłopak, którego pierwszy raz widział wychodzącego pośpiesznie z lokalu. Powietrze wokół niego gotowało się od ognia laserowego, a rykoszety tylko gwizdały na wszystkie strony, odbijając się od rampy i okolic. Mimo to młodzian zniknął wewnątrz nietknięty. Frachtowiec otaczało półkolem kilkunastu szturmowców strzelających jak opętani, kilku leżało na płycie i właśnie dołączył do nich kolejny, trafiony z tyłu rykoszetem. A najbardziej zaskakujące było, że ostrzeliwał się im jeden człowiek - mężczyzna z blizną na podbródku, którego Davin widział w mordowni zwanej „Kantyną”. Davin nie mógł wyjść z podziwu - jeśli jeden Rebeliant trzymał w szachu tak na oko trzy drużyny szturmowców, uważanych za elitę, co by było, gdyby tak na planecie znalazł się ich z tuzin? Wyszło mu, że odbiliby Tatooine Imperatorowi... I poczuł dziwną sympatię do Rebeliantów, walczących przeciw takiej przewadze. I wygrywających. Prawdę mówiąc, nie czuł takich emocji, odkąd odleciał na Caridę...

Zamieszanie przed nim zamiast się uspokajać, ku jego cichej satysfakcji rosło błyskawicznie - palba była ogłuszająca i oślepiająca, a straty od ognia własnego, czyli rykoszetów, większe niż od ognia przeciwnika. W sieci słyszał mnóstwo sprzecznych rozkazów i okrzyków, które wzajemnie się zagłuszały, a na dodatek w kilku miejscach coś się zaczęło tlić, zasnuwając okolicę gęstym, tłustym dymem. Jako obserwator zabawę miał przednią, a jako świeży sympatyk Rebelii satysfakcję jeszcze większą - do momentu, kiedy zauważył, że kapitan Ter-rik przestał się miotać, przyklęknął i starannie celuje w jedyne przeciwnika, który podbiegał właśnie do rampy załadunkowej.

Davin rozejrzał się i z ulgą stwierdził, że za nim nie ma nikogo, a żaden z pozostałych żołnierzy nie zwraca nań uwagi. Nie wahając się podrzucił broń do ramienia, wycelował i nacisnął spust. Oficer trafiony w sam środek pleców zwałił się bez jednego dźwięku, a ten, do którego celował, zniknął wewnątrz okrętu trafiając na pożegnanie jeszcze jednego szturmowca. Rampa natychmiast się uniosła, za to na częstotliwości sieci kompanii coś przeraźliwie zawyło i obcy, pełen autorytetu głos oznajmił:

- Zarządzam natychmiastową ewakuację! Start awaryjny na pełnym ciągu! Zebrać rannych i

natychmiast opuścić stanowisko!

Sądząc po zachowaniu pozostałych, ogłuszający głos rozbrzmiał we wszystkich hełmach. Zgodnie z oczekiwaniami mówiącego instynkt samozachowawczy zadziałał. Najbliżej stojący sprawdzili trafionych, zebrali dających oznaki życia i pospiesznie pognali ku bramie. Trudno się było dziwić - start awaryjny na pełnym ciągu oznaczał spopielenie wszystkiego, co znajdzie się wewnątrz ścian antyodblaskowych w chwili odpalenia silników.

- Gdzie kapitan Terrik? - czyjś głos przebił się przez wypełniające sieć komentarze, gdy znaleźli się już w bramie.

- Zabity. Dostał w plecy rykoszetem! - odparł inny i Davin odetchnął z ulgą.

Znaleźli się na ulicy. W głośnikach słyhać było głównie przekleństwa. Kilku bardziej sfrustrowanych cisnęło broń w bezsilnej złości. A Davin przyglądał się temu z rosnącą satysfakcją. Znalazł sens dalszego istnienia w Siłach Zbrojnych Imperium. Miał tylko jeden mały kłopot: jak nawiązać kontakt z Rebeliantami i przekonać ich o szczerości swoich intencji. Wiedział jednak, że z czasem rozwiąże ten problem...

A miał im już teraz sporo informacji do przekazania - choćby jak skutecznie niszczyć AT-AT.

Wiedział, że im dłużej będzie szturmowcem, tym więcej zgromadzi równie pożytecznych informacji.

Miał teraz konkretny cel w życiu - cel, w który wierzył. I świadomość, że najlepiej przysłuży się Rebelii, starając się być wzorowym szturmowcem.

ZUPA PODANA

Opowieść palacza

Jennifer Robertson

Ból/rozkosz... rozkosz/ból. Nierozłączne. Nieopisywalne. Nieuchronne.

- *podejść bliżej, trochę bliżej* -

Tatooine, Mos Eisley. Zabita deskami, jak mawiają ludzie, planeta i takie samo miasto, w którym można było jedynie stracić pieniądze, kończynę lub życie. Bogate wyłącznie w ryzyko, nielegalne, niezdrowe i odurzające.

- *bliżej, jeśli łaska* -

Dla mnie i dla innych, zrodzonych w gnieździe po starannej selekcji krwi, takie miejsca stanowią bogaty potencjał: ciała, krwi, uczuć i przede wszystkim ryzyka - już podjętego i tego przyszłego. Niemożliwą do zdefiniowania mieszaninę, którą moja rasa nazywa zupą.

Rozkosz/ból... ból/rozkosz. Ukryte w osłoniętych i zamaskowanych niszach na policzkach moje zwinięte ssawki drgnęły.

- *bliżej* -

Po to żyję, na to poluję. Zapach zupy, a potem sama zupa, rozgrzewająca siły i umysł. Słodka i odurzająca.

Wyglądem podobny jestem do człowieka. Wysokiego, chudego człowieka. Nawet bardzo podobny. Stąd zresztą wzięły się legendy, w których zrobiono z nas demony snów. Jak się nie będziesz zachowywał, zjawi się Anzat i wyssie ci całą krew.

Ale tu nie chodzi tylko o krew.

- *prawie w zasięgu* -

Kiedy oba słońca Tatooine są w zenicie, nie istnieje tu coś takiego jak naturalny cień. Jest tylko jaskrawy dzień pełen upału, blasku i pustki.

- *prawie w zasięgu* -

Mos Eisley nigdy nie było zatłoczone. Ci, którzy rozumieją naturę Tatooine, rozumieją też złośliwą intencję tej planety, by upiec, ugotować czy usmażyć. Uciekają więc do ponurych, lecz zapewniających przeżycie schronów przeciwsłonecznych, spłowiałych od słońca i po-żłobionych przez niesiony wiatrem piasek.

Na co potrzebny mi cień, kiedy wystarczy jasny dzień i bezmyślna, pospieszna ucieczka wszystkich?

- *jeszcze trzy kroki* -

Humanoid. Czuję go, mogę wymierzyć na wszelkie sposoby, których używamy: zapach, szept, pocałunek - talerz średniej pojemności i jakości, pełen zupy o temperaturze ciała, nie wykrywalny dla żadnej huma-noidalnej rasy poza moją.

- *jeszcze dwa* -

Nie jestem idiotą, przynajmniej nie kompletnym: kompletni idioci giną na długo przed spotkaniem takich jak ja, co oszczędza nam kłopotów. Proces selekcji zawsze najlepiej przeprowadzało samo życie. Kompletni idioci ginęli przed osiągnięciem Tatoonie. Ci, którzy się tu zjawili, musieli posiadać minimum sprytu, talentu, siły fizycznej czy możliwości, no i znacznie więcej Szczęścia.

Ciekawy atrybut to Szczęście: nie da się go kupić, ukraść czy zrobić. A przecież istnieje i jest go pewna określona ilość. Tylko nigdy nie będziecie o tym wiedzieć.

Jedynie ja to wiem - bo ja jestem Dannik Jerriko, Zjadacz Szczęścia.

- jeszcze jeden krok - TAK-

Niezły jest, szybki. Ale ja jestem lepszy i szybszy.

Przelotny obraz: jestem zagubiony i bardzo głodny... przesłaniający wszystko szok w jego oczach na mój widok w pełnej okazałości... on nie rozumie, nie pojmuje niczego. Nie wie, kim jestem ani co mnie interesuje, wie jedynie, co robię - łapię go za uszy i trzymam jego głowę w nieruchomym uścisku, przybliżając swoją twarz do jego twarzy. Jestem zagrożeniem.

- gorąca zupa -

Gdyby mógł, walczyłby, więc daję mu taką możliwość niczym otwarte zaproszenie. Czyste przerażenie psuje smak zupy, więc musi myśleć, że jest lepszy, że Szansa nadal jest jego kumplem, a Szczęście kochankiem. Co prawda ma tak myśleć jedynie przez moment, ale to wystarczy: nie chcę strachu i tchórzostwa, chcę odwagi. Dobrowolnej decyzji, by zaryzykować życie, wierząc, że Szczęście i Szansa tak jak dotąd zapewnią ratunek.

Jest dobry, szybki i chętny... i zaryzykował atak... ale nikt nie jest szybszy niż ja, a w mojej obecności Szansa i Szczęście nie liczą się ani osobno, ani jako jedna całość. W końcu jestem przecież Anzatem.

Rzecz zostaje załatwiona szybko i prosto, zwyczajem mojej rasy - ssawki wypryskują z policzków, trafiają bezbłędnie w jego nozdrza i błyskawicznie docierają do mózgu. Paraliż jest natychmiastowy.

Zjadłem jego Szczęście, wypilem jego zupę i puściłem ciało.

Kiedy go znajdą, i tak się nie zorientują. Nigdy się nie orientują na początku, zrozumienie przychodzi znacznie później i jedynie wtedy, kiedy ktoś, komu zależy, zacznie myśleć i zeskanuje ciało. To też jest część legendy: szybka, czysta śmierć.

Rzecz w tym, że zawodowi zabójcy nie mają nikogo, komu by na nich zależało, a szansa, że ktoś inny niż zleceniodawca zacznie o nich myśleć, jest minimalna. Dlatego zabijam właśnie ich.

Eksterminator. Zabójca zabójców.

Zupa z pojemnika, w który wrzuci się więcej przypraw, jest lepsza. Tym lepsza, im dłużej stoi.

- jest doskonała -

Doskonałość niestety, podobnie jak Szczęście i Szansa, jest ograniczona. Zawsze. Dlatego cały cykl powtarza się w kółko i zawsze jest jakiś nowy początek.

Jestem Anzatem z rodu Anzati. Znać mnie jako Dannika Jerriko, ale mam wiele innych imion. Znaliście je wszystkie jako dzieci, zapomnieliście jako dorośli. Legendy to fikcja, mity nie są realne - łatwo jest zapomnieć dziecięce przekonania, uznając je w fałszywym świetle dorosłości za brednie. Tyle że strachy dzieciństwa zawsze oparte są na prawdzie. A nie wszystkie prawdy są sobie równe. Niektóre ludowe opowieści są bardziej przerażające od wielu prawd.

Ale nie bójcie się - strach nie jest tym, czego pragnę i czego szukam. Smakuje jak ocet zamiast wina.

Odwaga zamiast tchórzostwa, arogancja zamiast strachu, pewność siebie zamiast wątpliwości. I chęć ciągłego sprawdzania własnych możliwości, niemożność usiedzenia beczynnym. Ciągłe wyzwanie rzucone Szansie.

Nie trudźcie się przewidywaniem ani nie sugerujcie się przepowiednią. Pozwólcie mi zabrać to, co w was najlepsze. Pozwólcie mi to uwolnić. We mnie będzie żyło wiecznie.

To nie jest tak, że ja chcę zabijać żywe istoty.

Tak, wiem - słyszeliście opowieści. Uwierzcie mi choć raz, prawda jest taka: żywe stworzenia są ozdobą świata.

Nie zwariowałem. Jak również nie skradam się i nie piję krwi. Jestem dumny ze swej spuścizny i ze swojej pracy. Traktuję ją poważnie - nie ma w niej miejsca na błędy ani lenistwo czy zaniedbania.

Gdybym znalazł skuteczny sposób, by przestać, przestałbym zabijać... Próbowałem narkotyków; są nieskuteczne, krótko działające i bezproduktywne, jeśli nie szkodliwe. Syntetyczne napary i używki są całkowicie bezużyteczne - wywołują jedynie chorobę. Przynajmniej u mnie. Tak więc pozostaje mi, tak jak innym Anzati, tylko jedna możliwość: czysta, świeżo wyekstrahowana zupa. Co oznacza, że muszę zabijać.

Mos Eisley stanowi magnes przyciągający przeróżne istoty, zajęte różnymi nielegalnymi interesami, przy których zupa zyskuje na jakości. Dlatego w przerwach między zajęciami albo podczas wakacji zjawiam się tu, żeby poszukać najlepszego naczynia, zawierającego najsmakowitszą zupę. Jeśli chcecie, możecie mnie nazwać smakoszem - nie widzę powodu, dla którego miałbym w czasie wolnym odmawiać sobie przyjemności. Wystarczy, że w czasie pracy stosuję metody i podejmuję działania wyłącznie dla przyjemności zleceniodawców.

Mam czas i bogactwo, które niewiele dla mnie znaczy: pieniądze to naprawdę wulgarny temat. Jeśli nie będzie cię stać na to, by mnie wynająć, nawet nie będziesz wiedział o moim istnieniu.

Jedynie mój pierwszy zleceniodawca miał zastrzeżenia co do ceny. Prosty człowiek o ograniczonej wyobraźni... Wypiłem za karę jego zupę, ale nie sprawiła mi żadnej satysfakcji. Ci, którzy mnie wynajmują, najczęściej są tchórzami, niezdolnymi do niczego poza pragnieniem władzy i związanych z nią korzyści finansowych. Ich zupy są tak rzadkie, że obrzydliwość bierze. Ale ta śmierć spełniła swoje zadanie: nikt już nigdy nie narzekał na cenę.

Lojalności, podobnie jak Szczęścia, nie można kupić, lecz w przeciwieństwie do Szczęścia można ją wypożyczyć na określony czas. W tym czasie służę sobie i pomagam innym w spełnianiu ich ambicji lub rozwiązywaniu problemów. Czasami bywają to problemy wielu istot, ale zawsze są trywialne i błahe.

Jest to całkowicie satysfakcjonujące rozwiązanie - moi zleceniodawcy mają komfort płynący ze świadomości, że określony „kłopot” przestanie być kłopotliwy. Ja wypijam zupę owego kłopotliwego kłopotu, a moi zleceniodawcy płacą mi za to.

Nie zdają sobie tylko sprawy z jednego drobiazgu - że tak naprawdę lojalny jestem jedynie w stosunku do zupy, a zabijam wyłącznie dlatego, że w inny sposób nie mogę do niej dotrzeć.

Inni Anzati ograniczają sobie życie, poświęcając się wyłącznie polowaniu. A polowanie to nie wszystko - w życiu jest wiele innych przyjemności, trzeba tylko mieć wyobraźnię, by je dostrzec i znaleźć sposób, by to osiągnąć.

Niech egzystują jak chcą, pijąc byle co z byle czego. To, co najlepsze, nadal będę spijał ja. Bogata, starannie leżakowana zupa jest znacznie smaczniejsza, a w dodatku starcza na dłużej.

A w tym czasie zdarzają się inni, za których wypicie jeszcze mi płacą.

Tak, chyba istotnie mam to, co najlepsze z obu światów.

Porty kosmiczne i bary to od zawsze najlepsze miejsca do wyszukiwania naczyń. Ktoś mógłby uważać, że podobnym celom służą burdele, ale tam załatwia się całkowicie odmienne interesy i poza wyborem partnera i sposobu trudno mówić o jakimkolwiek ryzyku. W barach grają, piją i załatwiają transakcje. To tu zjawiają się, ledwie tylko wylądują, piraci, łamacze blokady, przemytnicy, zabójcy do wynajęcia, łowcy nagród, nawet Rebelianci, choć tych jest niewielu. Szukają rozrywki, towarzystwa i odurzenia. Imperium skutecznie przegoniło Rebeliantów z takich miejsc, zmieniając spokojne istoty w zaciekle wojowników, wierzących w to, o co walczą, równie mocno jak świecą tutejsze słońca. Otaczająca ich rzeczywistość nie ma na tę wiarę żadnego wpływu.

Kiedy ktoś jest tak bezwzględnie i bezkrytycznie o czymś przekonany, jest także niepodatny na przeciwieństwa. Taki ktoś ma naprawdę dobrą zupę.

Piasek dławi. Piasek też jest istotą - równocześnie groźną i miłą. Perwersyjną. Niszczy buty, brudzi materiał, włazi w zagłębienia skóry, przegania każdego - nawet Anzati zmuszony jest do szukania schronienia i dlatego przesiaduje tutaj wewnątrz, a nie w palącym blasku słońca.

Nie ma co liczyć na to, że właściciel tego lokalu zainstaluje więcej świateł albo poprawi Queblux, który nie dość, że jest mało skuteczny, to jeszcze zaczyna wyć z przeciążenia. Byłoby to sprzeczne z naturą Chalmuna, ponieważ jest oszczędny do przesady, nieufny i przekonany, że interesy załatwia się w półmroku, nie w pełnym blasku, obojętnie - lampy czy Tatio I i Tatio II, które błyszczą jaskrawo niczym oczy Imperatora w ukrytej w cieniu kaptura twarzy.

Wewnątrz nie ma piasku i upału, ale są zapachy, zmieszane i obiecujące. Zwłaszcza jeden...

- zupa -

I to o takim aromacie, że aż trudno w pierwszej chwili uwierzyć. Tyle warstw, tyle smaków i odcieni, szeptów i przypraw... można jąpic przez wiele dni i zawsze będzie to coś nowego... tyle istnień, tyle Szczęść i Szans. Symfonia zupy, jej esencja, że tak powiem, kipiąca pod delikatną powłoką ciał różnych ras. Prawdę mówiąc zapomniałem, że na Ta-tooine zdarzają się aż tak gęste bukiety...

- zupa -

Ten aromat, wywołujący odruchowe drżenie ssawek, wyczuwalny jest jedynie dla Anzati. Nikt inny, niezależnie od rasy i płci, nie zdaje sobie z niego sprawy. Za wszystko jednak trzeba płacić... Zmusiłem ssawki do bezruchu i cofnięcia się na właściwe miejsce, otrzepałem ubranie z piasku, obciągnąłem kurtkę i zszedłem po czterech stopniach dzielących wejście od poziomu sali.

Zupy nie brakuje -

Cierpliwość przeważnie popłaca. W pierwszej chwili mi nie wierzył. Ponury typ z ponurą miną, ponury nawet jak na człowieka. I blady mimo wściekle świecących obu słońc. Wyglądał jak nie dokończony - toporny i miejscami bezkształtny, z kulfoniastym nosem nad wąskimi ustami... albo może uszkodzony w rozmaitych drobnych konfliktach, w jakie obfituje życie. Ubranie miał niechlujne, a włosy brudne i w nieładzie. Był tu barmanem i nie pamiętał mnie.

- Chcesz czego? - warknął podejrzliwie; uprzejmości w miejscu takim jak to, w dodatku należącym do Chalmuna, nikt rozsądny się nie spodziewa.

- Wody - powtórzyłem.

- Czy ty wiesz, gdzie jesteś? - spytał jeszcze podejrzliwiej, mrużąc oczy.

- Owszem - odparłem z uśmiechem.

- Tam jest urządzenie zdolne zmieszać tysiąc sześćset odmian napojów spirytusowych - warknął,

wskazując za siebie paluchem. - O nie-spirytusowych nie wspomnę.

- Mogę sobie wyobrazić. Ale ja chcę wypić coś, czego ten tam nie potrafi zmieszać.

- Woda nie jest tania - skrzywił się. - To Tatoonie. Masz kasę? Jego zupa jest wolna i słaba, o ledwie wyczuwalnym aromacie. Jest służącym, a nie panem i nie wie, co to znaczy ryzyko. Wypicie go dałoby mi niewiele przyjemności, a jeszcze mniej satysfakcji.

Ale są też inni. Tutaj. Obok mnie.

Wyjąłem z kieszeni płaski krążek, połyskujący czystym, rudawym złotem. Nie monetę, ale coś, co bez wątplenia wystarczy za zapłatę. Na Tatoonie każdy wie, co to takiego. W Mos Eisley każdy nauczył się tego bać

- Znak Jabby to nie forsa - mruknął barman, ale przestał się wykrzywiać. Nie patrzył mi w oczy, piorunując wzrokiem jakąś Chadra-Far, która zjawiała się po dolewkę. - Złoto jest...

Jednak sięgnął do ukrytych rezerw i wyjął oszroniony kontener drogiej, krystalicznie czystej i nie filtrowanej wody.

Złoto zostawiłem na ladzie: mówiło samo za siebie. Jabba płacił dobrze, a ci, którzy mają takie znaki, pracują dla niego albo dla tych, którzy pracują dla niego i cieszą się łaskami Hutta. Ten złoty krążek był symbolem łask Jabby.

Co prawda było to dawno temu, po nim byli niezliczeni zleceniodawcy w rozmaitych sektorach Galaktyki, ale Jabba... wbił mi się w pamięć. Może nadszedł czas, by przyjąć od niego drugie zlecenie: zawsze znajdują się jacyś łowcy, których będzie chciał się pozbyć, gdy im się nie uda. Jabba nie lubi niekompetencji.

Wiele razy zastanawiałem się, jak smakowałaby jego zupa, ale jest zbyt dobrze strzeżony, a zresztą nawet Anzati mógłby mieć problemy ze znalezieniem właściwego otworu w jego cielsku, by wprowadzić ssawki i dotrzeć do mózgu.

Ująłem pojemnik i poczułem mrowienie zimna w dłoni. Na Tatoonie to luksus. Woda jest równie jak zupa potrzebna do życia. Napełniłem szklanę i piłem drobnymi łykami, rozkoszując się chłodem, gdy barman zaczął wrzeszczeć na jakiegoś człowieka, któremu towarzyszyły dwa droidy. Przy wejściu jest wykrywacz droidów, mnie natomiast wpuszcza się bez kłopotów. Śmieszne: Chalmun nawet nie ma pojęcia, że są na świecie rzeczy znacznie bardziej godne pogardy niż droidy, zupełnie niekłopotliwe, a w wielu wypadkach użyteczne. Cóż, na rasi-stów nie ma lekarstwa, a nie wszyscy mogą być podobni do Rebe-liantów, choćby pod względem honoru.

Alkohol mąci umysł - zamula go, spowalnia, ogarnia ciepłem i utrzymuje w słabości. Anzati unikają go, podobnie jak narkotyków i syn-tetyków. To, co naturalne, jest zawsze najlepsze - nawet dla zupy. Siła jest w tym, co czyste.

W uzależnieniu jest słabość, a ja akurat wiem coś o tym. W moim życiu jest takie uzależnienie: więzienie bez krat, wart, pól siłowych, ale jeszcze skuteczniejsze. I obrzydliwsze.

Wypiłem kiedyś zupełnego nałogowca i przejąłem jego nałóg - potrzebuję jedną porcję dziennie stosunkowo niegroźnego środka, który nie na wszystkich światach jest zakazany, a tu po prostu nie rośnie: nazywa się fbac, a środkiem odurzającym jest zawarta w nim nic-i-tain.

Jestem Dannik Jerriko, Anzat z rodu Anzati. Zjadacz Szczęścia.

Ale nigdy nie mówiłem, że jestem doskonały.

Konfrontacja skończyła się równie szybko co tutejsza burza piaskowa. Bójki w barach przeważnie tak się kończą. Nie zwróciłem na nią specjalnej uwagi, koncentrując się na nabijaniu fajki. Jest to rytuał, który uspokaja i daje satysfakcję, zanim jeszcze weźmie się ustnik w zęby.

Pierwsze zaciągnięcie aromatycznym dymem zawsze jest głębokie. Przyznaję: godny to pożałowania nałóg, ale nawet ja nie byłem w stanie z nim skończyć.

Za moimi plecami coś zaczęło wyć i jęczeć - Chalmun od mojej ostatniej wizyty sprężył się i najał kapekę. Ich muzyka w sam raz pasowała do tego lokalu na skraju pustyni, na planecie takiej jak Tatooine. Nie wiadomo dokładnie, co gorzej wyje - oni czy wiatr. Na szczęście zacząłem już palić, a dym przytłumia zmysły.

- zupa -

Odwróciłem się głęboko wciągając powietrze.

- zupa - Gęsta, nie osłonięta, czysta i gwałtowna. Chwila wystarczyła, by zidentyfikować istotę - człowiek i do tego młody. Strach, zaskoczenie, niepewność i sporo odwagi... ale jest zbyt młody, zbyt niedoświadczony. Pomimo upartego podbródka i błysku brawury w błękitnych oczach, nie przeżył jeszcze wystarczająco wiele, by wiedzieć, co ryzykuje. Jeszcze nie dojrzał.

Młodzian nic nie wiedział o życiu, o jego dużych czy małych niebezpieczeństwach. Młodzi żyją chwilą, są ślepi na alternatywy i możliwości, a do czynu pcha ich nie odwaga, lecz głupota. W przypadku samców należy do tego dodać jeszcze upór niczym u banthy, zmieszany z nierównowagą hormonalną. Ich zupa jest zbyt świeża i całkowicie niesatysfakcjonująca. Zdecydowanie lepiej jest pozwolić im dojrzeć.

Wciągnąłem dym, zatrzymałem go i powoli wypuściłem. W małych lokalach, takich jak ten, konfrontacje są gorsze niż gdzie indziej. Teraz dwie istoty wyzwalały chłopaka - człowiek i Aqualianin. To typowe zachowanie barowe - zrodzona z alkoholu i braku bezpieczeństwa głupia chęć ustalenia dominacji, w tym wypadku nad nie doświadczonym chłopakiem, co jest marną rozrywką. Nawet dla tych, którzy w takich rzeczach gustują. Jak należało się spodziewać, wywiązała się szarpanina i chłopak wylądował na stoliku.

Jeden był plus tego incydentu: muzyka ucichła. Widocznie muzycy byli niezwyčajni grać w takich miejscach jak to, inaczej wiedzieliby, że nie należy w żadnym wypadku przerywać. Doświadczony zespół użyłby krzyków, strzałów i innych towarzyszących bójce dźwięków, by na nich zbudować nową melodię, nie zwracając przy okazji niepotrzebnej uwagi na siebie.

A potem rozległ się zupełnie nieoczekiwany dźwięk. Dźwięk, którego nie słyszałem przez wiele lat: niski, basowy pomruk włączonego miecza świetlnego.

- zupa -

Odwróciłem się, z trudem zmuszając ssawki do cofnięcia. Gdzieś w lokalu było cudowne naczynie. Wiedziałem o tym. One też.

Walka była krótka i nierówna - po jednym cięciu Aqualianin stał się bezbronny. I jednoręki.

Chłopak nadal pachniał, ale już inaczej. Dzikość i brak kontroli ustąpiły miejsca mocy doskonale się kontrolującej i potężnej, tak potężnej, że skutecznie się hamującej... Zobaczyłem, jak starszy człowiek gasi miecz i nagle wiedziałem, że to Mistrz, choć Imperator twierdził już dawno, że zabił wszystkich. Tak doskonale zamaskowany i osłonięty nawet przed Anzati umysł mógł należeć tylko do Mistrza Jedi. Ostrożnego, nie szukającego wojny czy sławy. Mistrza, którego nikt nie podejrzewał, a ten, kto podejrzewał, zyskiwał pewność ginąc.

Zostawiłem go w spokoju. Niech jeszcze chwilę nikt go nie podejrzewa. Natomiast zapamiętałem chłopaka: jeśli naprawdę byli razem, to tę informację należało zapamiętać. Jeśli Mistrz ma ucznia, to każdy z Imperium może zacząć się bać, że wrócą dawne czasy.

Dla pozostałych powrót tych czasów nie stanowi zagrożenia. I nie jest istotny, chyba że ma się

ochotę policzyć, ile zapłaciliby Jabba... albo inni, włącznie z Darthem Vaderem.

Włącznie z Imperatorem.

Braggadocio. - Przekleństwo takich miejsc jak to. Rytuał, w którym każdy każdemu musi przechwałkami w mowie lub czynie udowodniać, że jest kimś, kto ma swoje miejsce na tym świecie. Albo że może stać się kimś innym, większym niż jest w rzeczywistości.

Istnieją tacy, którzy rzeczywiście są więksi niż na to wyglądają, na przykład Anzati, ale się z tym nie ujawniają. W obecności kogoś takiego jak Mistrz Jedi mogliby jednak poczuć się zmuszeni do tego. Gdyby wiedzieli...

Skończyłoby się to dla nich nieprzyjemnie, jako że Mistrz potrafi najsilniejszych sprowadzić do poziomu kołyski, używając niewielu słów i jeszcze mniej czynów.

Muzycy wrócili do roboty - albo doszli do siebie, albo przestraszyli się, że mniej im zapłacą. Muzyka była jakby przyjemniejsza i głośniejsza, dzięki czemu zagłuszyła rozmowy, poza prowadzonymi naprawdę blisko mnie. Nie muszę się uciekać do podsłuchiwania, by dowiedzieć się tego, co najważniejsze - przy przechwałkach bardzo często zupa zyskuje na aromacie i atrakcyjności.

Powoli wypuściłem dym i rozejrzałem się. Mistrz i chłopak przeszli do położonej z tyłu wnęki, ale już mnie nie obchodzili. Teraz interesowali mnie ci, z którymi rozmawiali: Wookie i człowiek.

- zupa -

Zawrzała tak szybko i mocno, że nie sposób było jej nie zauważyć. Prawie odebrało mi oddech. A jej źródłem nie był Wookie, bierny, choć lojalny, lecz człowiek. Nie człowiek - Korellianin.

Anzati żyją długo. I mają dobrą pamięć.

Uśmiechnąłem się przez dym unoszący się z cybucha. Był poszukiwany, podobnie jak Wookie, ale wszystkie obecne tu istoty były gdzieś poszukiwane. Nawet ja byłem poszukiwany, przynajmniej jako Anzati; nikt nie wie, że nim jestem, ale na moją rasę od dawna trwa polowanie. Zawsze jestem dokładny, zwracam uwagę na szczegóły, które inni ignorują i często dlatego właśnie giną. Nie zrobię niczego, dopóki nie uzyskam pewności, a nawet wtedy sprawdzę jeszcze raz.

Ledwie Jedi z towarzyszem się oddalili, ich miejsce zajął Rodianin. Zupa Rodianina jest tak rzadka, że praktycznie nie istnieje. Jeszcze jeden z rasy służących. Niekompetentny tchórz nie chciał się do końca zadeklarować, więc zginął od strzału z blastera całkowicie zadeklarowanego przemytnika.

- zupa -

Jest tu i teraz... gotowa: gęsta, aromatyczna... i szept, i krzyk... przebogata esencja zupy...

Muszę tylko wstać i ją sobie wziąć. Zatańczyć z Korellianinem taniec śmierci. To będzie zupa cieplejsza i lepsza od wszystkich, jakie kiedykolwiek piłem...

Teraz.

Pośpiech szkodzi delektowaniu się. Na wszystko jest właściwy czas. Niech nastąpi, a wtedy degustacja będzie prawie doskonała. Trochę cierpliwości.

- taka zupa -

Muzycy zawodzą, w powietrzu unosi się ostry zapach dymu i potu, charakterystyczna woń pustynnego piachu i piasku miejskiego, posmak świeżej śmierci, zepsuty tchórzostwem i głupotą Rodianina. To zła śmierć, niewarta komentarza; nie pożałuje go nawet ten, kto go wynajął.

A był nim naturalnie Jabba. Nikt inny nie ośmieliłby się wynająć zabójcy w Mos Eisley na planecie Tatooine.

Naturalnie nie licząc Dartha Vadera i Imperatora.

Ale ich tu nie ma, a zresztą oni nie wynajęliby takiego partacza.

A Jabba Hutt tu jest i wynajmuje rozmaitych fachowców. No i Jabba jest wszystkim na Tatooine, a zwłaszcza w Mos Eisley...

- *taka zupa* ~

Ostatnie głębokie zaciągnięcie t'bac. Przelotny promień oślepiającego blasku słońc oświetlił wnętrze, akurat, gdy Korellianin i Wookie wychodzili, świadomi reperkusji ze strony Imperium. Ten port kosmiczny jest własnością Jabby, choć nosi imię Imperatora. Imperator nie musi wiedzieć, co robią tacy jak Hutt. Może zresztą wie i nic go to nie obchodzi.

Na zewnątrz zapadł zmrok. Wyniosą ciało i zameldują Jabbie. Albo już zameldowali. Tak, to znacznie bardziej prawdopodobne - wie, jak zginął i kto go zabił.

- *taka zupa* -

Dlaczego miałbym za nią płacić z własnej kieszeni? Kieszeń Jabby jest większa.

Jabba płaci dobrze, ale to ja wypijam zupe.

- *taka zupa* -

Wypuściłem ostatni dym powoli, z cichą satysfakcją i oczekiwaniem. Ssawki też czekają, drżąc niecierpliwie.

- *zupa Hana Solo* -

To naprawdę będą łowy, na które warto poczekać... a nagrodą będzie taka zupa, jakiej nawet ja, Dannik Jerriko, Anzat z rodu Anzati, Zjadacz Szczęścia i Szansy, nigdy dotąd nie piłem.

NA ROZDROŽU

Opowieść pilota

Jerry Oltion

„Infinity” miał powody do dumy, podobnie jak Bo Shek siedzący za jego sterami. Pilot uśmiechnął się przygotowując do wyjścia z nadprzestrzeni: właśnie pobił rekord Hana Solo w przelocie z Kessel.

Co prawda leciał bez ładunku, bo chodziło tylko o zmianę kodów pokładowego transpondera, ale nawet w tych okolicznościach nie mógł się doczekać, żeby ujrzeć miny chwalipięty i jego kudłatego pomagiera, gdy ich poinformuje, że stracili rekord.

Kokpit pasował jak rękawiczka - do wszystkich przełączników mógł sięgnąć nie wstając z fotela, wszystkie instrumenty widział nie kręcąc głową, a okna były tak umieszczone, że dawały widok prawie dookoła; lukę wypełniał hologram wyświetlany na przedniej szybie. Od trzech lat pilotował rozmaite jednostki przemycając towar dla monasteru, ale nigdy dotąd nie leciał tak dobrze zaprojektowaną.

Komputer odliczył ostatnie sekundy i przełączył napęd na podświetlony. Linie zmieniły się w punkciki oznaczające gwiazdy, a wysoko z lewej pojawił się bladożółty dysk Tatooine - tym razem mało brakowało. Żeby to bantha obsrała! Jeszcze sekunda w nadprzestrzeni i wyszedłby pod ziemią. W postaci atomów.

Zrobił ostry zwrot, by komputer nawigacyjny mógł namierzyć orbitujące radiolatamie, ale gotów był się założyć, że wie, gdzie jest. Po paru sekundach na ekranie nawigacyjnym pojawił się komputerowy obraz planety, pocięty równoleżnikami i południkami i upstrzony punktami oznaczającymi osady i farmy. Tak jak sądził, Mos Eisley była mniej więcej o jedną trzecią orbity od jego aktualnej pozycji. Już miał przyspieszyć, gdy w głośniku zagwizdało ostrzeżenie komputera nawigacyjnego, a zza płaszczyzny planety wysunęły się dwa białe kliny. Okręty Floty Imperium klasy „Gwiezdny Niszczyciel”. Bo Shek zerknął przez okno i zaklął - niszczyciele były tak wielkie, że mógł je bez trudu dostrzec gołym okiem. która poleciała po prostej i rąbnęła w ścianę, eksplodując widowiskowo. Nie spuszczał wzroku z holo - żaden myśliwiec nie wyleciał z chmury ognia. Albo zniszczyła je niespodziewana eksplozja, albo zdołały jej uniknąć i teraz piloci z satysfakcją obserwowali koniec upartego przemytnika, biorąc płonące szczątki kapsuły za szczątki „Infinity”.

W każdym razie miał spokój. Odpalił na moment silniki wylatując z kanionu na wschód i zgasił je, ledwie znalazł się na odpowiedniej wysokości. Po krzywej balistycznej z tą prędkością spokojnie powinien dolecieć do Mos Eisley, a przy wyłączonych silnikach myśliwce nie miały prawa go dostrzec. Musiał w duchu przyznać, że jest Hanowi winien uczciwego drinka.

Bo Shek uśmiechnął się z zadowoleniem - skoro „Sokół” był na Tatooine, to Solo i Chewbacca ani chybi siedzieli w knajpie, zwanej z jakichś tajemniczych powodów „Kantyną”. Albo obaj, albo przynajmniej jeden z nich, próbując skrócić jakiś ładunek. Zostawił więc „Infinity” ukrytego w

monasterze, gdzie natychmiast zabrali się za niego technicy, i okazją podleciał do Mos Eisley. Okazja nadarzyła się tak szybko, że nawet nie zdążył się przebrać i nadal był w kombinezonie. Wysiadł przy wraku „Dowager Queen”, na którym przybyli pierwsi osadnicy, odszukał znajomego żebraka i przekazał mu informacje dla opata, z którym minęli się w monasterze.

A potem skierował się do znajomego lokalu. Na ulicach pełno było szturmowców, ale nie wyglądało na to, żeby właśnie jego szukali. Akurat, gdy przechodził, zatrzymali jakiś stary landspeeder, którym lecieli stary pustelnik z uczniem i dwoma droidami. Szturmowców było czterech, ale najwyraźniej tamtymi też się za bardzo nie interesowali, bo tylko ich wy-pytytali i puścili. Zanim znudzone wojsko miało okazję poszukać kolejnej rozrywki, Bo Shek dotarł do wejścia i wszedł do lokalu. Chwilę potrwało, nim wzrok przyzwyczaił się do mrocznego wnętrza, ale Chewbacca był łatwy do zauważenia, jako że zdecydowanie górował nad pozostałymi klientami przy barze. Bo Shek przecisnął się do niego i oparł obok o kontuar.

- Pobiliem wasz rekord - oznajmił bez wstępów.

Chewbacca warknął coś, co można było przetłumaczyć jako „Odwal się”, po czym rozpoznał mówiącego i zainteresował się, jaki rekord.

- Trasę z Kessel - poinformował go Bo Shek, uśmiechając się z satysfakcją. - O jedną dziesiątą czasu, a tu na miejscu musiałem się jeszcze bawić z czterema TIE.

Wookie chrząknął z uznaniem, po czym ostrzegł go, że jak będzie dalej tak zarzynał swoje statki, może szybko nie mieć na czym latać.

- Nie bój nic - uspokoił go ostrzeżony i kiwnął na barmana. - Jak długo nie odda się imperialnym statku, niewiele może człowiekowi zepsuć reputację. Jak tam „Sokół”? Nie potrzebujecie czasem nowych kodów?

Chewbacca potrząsnął głową i stwierdził z uśmiechem, że przy cenach, jakich Bo Shek sobie życzy, bardziej popłaca uczciwość. A poza tym nie mieli jeszcze okazji narazić się Imperium od czasu ostatniej zmiany.

- Traktujcie to jako polisę - poradził mu Bo Shek. - Za ubezpieczenie na życie trzeba płacić.

Miał właśnie objechać barmana za opieszałość, gdy poczuł za sobą czyjąś obecność. Było to uczucie tak wyraźne jak nigdy dotąd. Odwrócił się szybko, starając się, by wypadło to naturalnie. W wejściu stał pustelnik z uczniem. Stary napotkał jego wzrok i uśmiechnął się lekko. Zostawił chłopaka i droidy i podszedł prosto do pilota.

- Niech Moc będzie z tobą, przyjacielu - pozdrowił go zaskakująco głębokim głosem.

Moc? Czyżby faktycznie w końcu ją poczuł?

- Dziękuję... - wykrztusił zaskoczony Bo Shek. - Skąd wiesz...?

- Twoje wysiłki są równie jasne jak słowa... dla kogoś, kto ma właściwy trening. Mógłbym cię wiele nauczyć, gdybyśmy się wcześniej spotkali, ale obawiam się, że mój czas na tej planecie jest raczej ograniczony. Muszę stąd odlecieć, i to szybko, a jeżeli dysponujesz statkiem, możemy na tym obaj skorzystać. I to natychmiast.

Bo Shek ledwie mógł uwierzyć w to, co słyszy - ten stary praktycznie czytał mu w myślach. Przecież nigdy nikomu nie przyznał się do swego zafascynowania Mocą, a tu kompletnie obcy facet traktował go, jakby się znali od lat.

- Dobrze by było, gdybym miał statek - przyznał Bo Shek. - Niestety, jestem tylko pilotem.

- Szkoda. Może kiedy wrócę, będziemy mieli okazję podyskutować o Mocy.

- Może.

Chewbacca warknął cicho i Bo Shek zrozumiał aluzję.

- Znam kogoś, kto ma statek i byłby skłonny wziąć pasażerów - powiedział, wskazując Wookiego.

- Rozumiem i dziękuję. - Stary przyjrzał się Chewbacce i dodał: - Zostawię ci, młodzieńcze, jedną radę: uważaj na ciemną stronę. Jesteś na obrzeżu społeczeństwa, na planecie, na której uczciwość jest wadą, nie zaletą, i w związku z tym znajdujesz się w niepewnej sytuacji. Musisz się na coś zdecydować, zanim będziesz mógł kontynuować swoją podróż. A jedynie ci o czystym sercu mogą mieć nadzieję na skuteczne posługiwanie się siłą, jaką daje Moc.

- Dziękuję... zastanowię się.

- Miło, że mogłem ci pomóc. - Było to definitywne pożegnanie, więc Bo Shek skłonił się i odszedł łapać barmana, dając staremu i Wookiemu okazję do spokojnej rozmowy. Kiedy w końcu dostał piwo i zaczął się rozglądać za Solo, przy barze wybuchła awantura, której finał miał okazję podziwiać - stary wyciągnął miecz świetlny i odciął rękę Aqualianinowi, który próbował go zastrzelić. Przy okazji oberwał jeszcze ten zboczeniec Evazan, o gębie wyglądającej jakby ktoś po niej orał. Jeden i drugi zasłużyli na to, co ich spotkało, a stary zyskał sobie szacunek, ale Bo Shek był chwilowo najbardziej zainteresowany wytarciem z kombinezonu zawartości szklanki, którą jakaś oferma wytrąciła mu z ręki, uciekając przed mieczem świetlnym.

W ogólnym zamieszaniu nawet nie zauważył, kto go tak urządził, a piwo na ubraniu pachnie mocno i długo, co podczas długiego lotu może denerwować, zwłaszcza jak się człowiek nie może napić. Zamieszanie szybko się uspokoiło; bójki czy pojedynki były tu rzeczą normalną, a miecz świetlny nie wzbudził aż tak wielkiej ciekawości, by ktoś jeszcze chciał go obejrzeć z bliska. Przy okazji rozlano jednak tyle drinków, że stracił prawie dziesięć minut, nim dostał następne piwo. Tym razem na wszelki wypadek połowę wychylił natychmiast. Zaraz potem dostrzegł Hana, pogrążonego w rozmowie ze starym i jego uczniem, więc Bo siadł przy barze, by poczekać na swoją kolej. Jeśli się chciało pożyć, nie należało przerywać handlowych negocjacji. Kiedy tamci skończą, może dowie się czegoś od Korellianina o tym starym.

Z braku lepszego zajęcia wypytywał, skąd w mieście tylu szurmowców, ale nikt nie chciał się przyznać, że coś o tym wie. Żołnierze zjawili się właściwie dziś, ustawili patrole na rogatkach i zaczęli przetrząsać miasto. Wieść niosła, że podobnie dzieje się w innych miejscowościach otaczających Pustkowie Jundland, ale nikt nie wiedział, czego konkretnie szukają. Dwóch szurmowców zresztą zjawilo się jakby na zamówienie, rozglądając się po lokalu i obserwując ich. Bo Shek zauważył, że Solo został przy stoliku sam. Wstał, by doń podejść, ale uprzedził go zielonoskóry Rodianin. Solo cieszył się dziś niebywałą wręcz popularnością.

Rodianin trzymał Hana na muszce miotacza, więc Bo Shek dyskretnie dobył swojego, gotów do interwencji, gdyby okazała się potrzebna. Schował go jednak widząc, jak Han wolno wyciąga swój blaster pod osłonę blatu stolika, przy którym siadł z natrętem. Wyjął go, wrzucił lekko ramionami i strzelił przez blat, wywalając w nim i w naiwniaku ładne, dymiące dziury. Rodianin zwałił się na blat, Solo wstał, rzucił barmanowi zwrot kosztów mebla i wyszedł, zanim Bo Shek zdołał go złapać. Czym prędzej więc dopił piwo i ruszył w ślad za nim. Ledwie zdążył wyjść na zewnątrz, gdy ktoś złapał go za ramię i oznajmił:

- Stój i żadnych gwałtownych ruchów!

Głos był obcy, ale przyzwyczajony do rozkazywania, więc Bo Shek powoli się odwrócił. I spojrzał w lufę miotacza trzymanego przez policjanta.

- O co chodzi? - spytał, starając się, by nie zabrzmiało to prowokująco.

- O to, że ktoś przełamał imperialną blokadę, przy okazji rozwalił cztery myśliwce i wylądował niedawno gdzieś niedaleko - skrzywił się policjant. - Na pokładzie jednego ze zrobionych w konia niszczycieli był Darth Vader i teraz chce czyjejs głowy. Mnie wychodzi, że twoja się nada, bo jesteś w kombinezonie. Może byśmy tak poszli na posterunek i pogadali?

Jedynie lata praktyki w rozmowach z celnikami pozwoliły Bo Sheko-wi zachować obojętny wyraz twarzy. Jeśli wsadzą mu sondę w mózg nie będzie cienia wątpliwości, że to on, a przy okazji jeszcze wsypie całą operację, od lat działającą pod przykrywką monasteru.

- Obawiam się, że źle ci wychodzi - odparł, wzruszając ramionami. - Tam jest pełna sala, gotowa zaświadczyć, że byłem w lokalu całe popołudnie.

Zadziałało jak powinno - policjant odruchowo obejrzał się w stronę mrocznego otworu, a czekający tylko na to Bo Shek wykopał mu miotacz z dłoni. Zanim broń stuknęła o ziemię, rąbnął go pięścią w bok głowy, wkładając w cios całą swoją siłę. Policjant odbił się od ściany i opadł na ulicę, jakby oberwał belką stropową. Do miotacza Bo Shek już nie *2Ad^j*- Jawa byli szybsi. Para brązowo odzianych mikrusów porwała broń i zniknęła w tłumie, jeżeli można tak nazwać jakiś tuzin przechodniów. Nie gonił Jawów, bo i po co - miał własny miotacz, chodziło mu nie o dozbrojenie siebie, a o rozbrownienie stróża porządku. Nie tracąc czasu, odwrócił się i ruszył ku centrum miasta, gdzie zawsze było najwięcej ruchu na ulicach.

Dochodził do wraka „Dowager Queen”, kiedy usłyszał za sobą okrzyk. Nie zareagował nań, jako że wrzaski przed barami należały do rzeczy normalnych, ale na wszelki wypadek przyspieszył kroku. Powyginane wręgi i pordzewiałe blachy poszycia wraku zostawiały dość dziur, by spokojnie wejść do cienistego wnętrza. Nie był pierwszym, który wpadł na ten pomysł. Z wyższych pokładów od dawna produkowali się domorośli prawnicy i kaznodzieje rozmaitej maści, a na ziemi zbierały się codziennie tłumy ich zwolenników albo po prostu nie mających nic lepszego do roboty przedstawicieli różnych ras. Do wnętrza wpadało sporo światła, ale najbardziej błyszcząły oczy pod brunatnymi kapturami, dokładnie wskazując, którzy ze zgromadzonych to Jawa. Ich smrodek zresztą dokładnie wypełniał wnętrze, ale Bo Shek nie zwracał nań uwagi, przepychając się w głęboki cień, gdzie odpoczywało kilka postaci. Tam pospiesznie zdjął kombinezon i cisnął go w mrok. Sądząc po piskach, jakie od razu wybuchły, ktoś się już klócił o jego posiadanie. Zapiął na biodrach pas narzędziowy, w którym od lat nosił co cenniejsze ruchomości, i zastanowił się co dalej. Miał na sobie szare wdzianko, używane zwykle w kosmosie jako bielizna, ale od biedy można było w nim chodzić i po ulicy. Nie rzucało się tak w oczy jak kombinezon, ale też łatwo je było skojarzyć, jeśli ktoś choć trochę się na tym znał. Przykucnął więc przy najbliższym leżącym i szepnął:

- Dziesięć kredytów za twój płaszcz.

Było to znacznie powyżej jego wartości, ale o tym obaj doskonale wiedzieli, więc szorstka, brunatna tkanina błyskawicznie zmieniła właściciela. Bo Shek zapłacił i owinął się śmierdzącym przyodziewkiem, po czym przepchnął do najbliższego wyjścia. Okazało się, że nie docenił gliniarza: nie dość, że łeb miał twardszy niż na to wyglądało, bo już odzyskał przytomność, ale chował też za cholewą drugi, kieszonkowy miotacz. Musiał zauważyć, gdzie Bo Shek wszedł, bo stał na zewnątrz i uważnie obserwował kadłub, a raczej wyjścia z niego. Tutaj także zbierali się gapie, jako że część proroków występowała z pokładu obserwacyjnego, a nie dla wszystkich starczało miejsc od zaciętej strony. Obecność poirytowanego stróża prawa przerzedziła jednak szeregi słuchaczy i to tak znacznie, że pomysł ukrycia się w tłumie z góry skazany był na fiasko. Rad nie rad cofnął się,

szukając innego sposobu opuszczenia wraka - gliniarz nie mógł być równocześnie ze wszystkich jego stron. Jedyne, co znalazł, to rampa prowadząca na wyższy poziom, więc wspiał się po niej i znalazł na pokładzie obserwacyjnym, skąd pół tuzina kaznodziejów perorowało zawzięcie do-słuchaczy w dole. Dobrze stąd było widać, co się na tym dole dzieje, toteż bez trudu zauważył posiłki przybywające najwyraźniej na wezwanie pierwszego policjanta. Gdyby go skopał, miałby spokój. Cóż, jak ktoś ma miękkie serce, to kończy tak jak on - w pułapce. Najwyraźniej obecność Vadera w pobliżu gwałtownie wpłynęła na policyjną gorliwość. Musieli kogoś dostarczyć żołnierzom i najwidoczniej zdecydowali się na niego, a to oznaczało, że przeszukają wrak. A on nie bardzo miał się gdzie ukryć - pokład obserwacyjny był jeszcze bardziej pusty niż najniższy poziom. Wszystko, co dało się wyjąć, wyrwać czy odrąbać, dawno zniknęło, pozostawiając jedynie pustą podłogę i dziury po drzwiach w ścianach. Przed każdą z nich - z wyjątkiem jednej - stał prorok i prorokował. Żaden nie był z monasteru i Bo Shek zgrzytnął zębami - pewnie dzięki informacji, jaką przekazał zebrakowi, opat odwołał ich na konferencję. Tak więc niejako w efekcie własnych działań został sam.

Jedyne, co mu pozostało, to upodobnić się do otoczenia. W szparach podłogi, jak się spodziewał, znalazł sporo brudu, który wraz z odrobiną śliny stał się niezłym kamuflażem. Pozostali prorocy wyglądali jak wyciągnięci ze śmietnika; on przy nich prezentował się wręcz nieprzyzwoicie świeżo. Teraz, kiedy się umazał, pasował do otoczenia. Następnie podszedł do ostatniego wolnego otworu w ścianie i niepewnym głosem (który, miał nadzieję, zostanie uznany za starczy) zaintonował:

- Bracia, siostry, przyjaciele i obcy: strzeżcie się ciemnej strony Mocy!

Kilka zgromadzonych w dole postaci uniosło głowy, mrużąc oczy przed blaskiem. Bo zrozumiał, dlaczego to okno pozostało puste - oba słońca Tatooine znajdowały się dokładnie za jego plecami, co skutecznie zniechęcało słuchaczy do przyglądania się mówcy. A że kaznodziejom zależało na popularności, woleli inne lokalizacje. Jemu nie zależało, a dawało dodatkową korzyść - skutecznie utrudniało rozpoznanie. Dla lepszego efektu nasunął kaptur na głowę i zaczął kazanie.

Chociaż tak długo przebywał w monasterze, prawda była brutalna - o religii miał mniej niż mgliste pojęcie, o prorokowaniu żadne. Nie interesowało go to nigdy, a w dodatku mieszkał w podziemnym kompleksie monasteru, poświęconym naprawom i przeróbkom statków kosmicznych, a nie w kościołach, w których przebywali nieliczni prawdziwi zakonnicy. Z tego, co się orientował, podstawę kazania sąsiada stanowiło uznanie banth za święte, co zresztą też nie było oryginalne, tylko ściągnięte od jakiejś grupy autentycznie nawiedzonych, żyjących gdzieś na pustyni. Za mało o tym wiedział, żeby ruszać ten temat... choć z drugiej strony, kto słucha ulicznego kaznodziei? Musiał coś powiedzieć, żeby nie wzbudzić podejrzeń, więc wykrzyczał to, co przyszło mu do głowy:

- Jedyne ci, co moją czyste serca, mogą oczekiwać prawdziwego władania Mocą! - Na tym przynajmniej trochę się znał, więc poszło łatwiej. - Musicie się oczyścić, musicie dojść do ładu sami ze sobą i przyjąć Moc jako podstawę postępowania. Jeśli nie zaczniecie żyć uczciwie, nie macie po co próbować. Moc trzeba przyjmować taką, jaka jest, a jest z natury czysta. Zmienić jej się nie da, za to jej ciemna strona może zmienić was.

Mimo słonecznego blasku uniosły się następne twarze, a nawet najbliżej stojący prorok zamilkł i wydawał się słuchać. Bo Shek uśmiechnął się doń nerwowo i ciągnął:

- Kiedy poddacie się Mocy, oddacie życie największej sile Wszechświata. Za jej pomocą można przenosić góry, widzieć przyszłość i znaleźć wieczne życie! - Im dłużej mówił, tym łatwiej mu szło.

Kolejny prorok zamilkł, ale Bo Shek nie miał czasu się nad tym zastanawiać - policja otoczyła wrak, a sądząc po zamieszaniu piętro niżej, zaczęła go też przeszukiwać. Naturalną kolejną rzeczy

ściągnięty hałasem zjawiał się patrol szturmowców - cóż, jak wszyscy to wszyscy...

- Żałujcie! - zawołał, otulając się szczelniej opończą. - Poszukajcie głęboko w swych sercach, a prawda uczyni was wolnymi.

- Zamknij się! - warknął niespodziewanie ten z prawej, który zaczął go słuchać jako pierwszy.

Dopiero w tym momencie Bo Shek dostrzegł, że prorok jest czyściej-szy niż pozostali, a palce i nadgarstki obwieszane ma złotymi ozdobami - temu kaznodziejstwo i prorokowanie najwyraźniej się opłacały.- Sam się zamknij! - poradził mu, ale słysząc ciężkie kroki, łomoczące po stalowej rampie, dodał: - Albo lepiej zacznij gadać, bo inaczej obaj dokończymy występów w tutejszym pierdłu!

I czym prędzej sam poszedł za własną radą, zwracając się do słuchaczy w dole:

- Są między wami niedowiarki, są tacy, którzy zaprzeczają istnieniu Mocy albo twierdzą, że osłabła z czasem i już teraz nie może być do niczego przydatna. A ja powiadam wam, że każda żywa istota, jaka się rodzi, zwiększa potencjał Mocy.

Posiadacz złotej biżuterii spojrział w kierunku wyjścia, usłyszał tupot i natychmiast odwrócił się w stronę swojego okna, podejmując dokładnie w miejscu, w którym przerwał:

- Pomyślcie zatem o banthach z piaszczystych pól. Nie szkodzą, nie gryzą i są najświętszymi zwierzętami, jakie...

Bo Shek pogratulował sobie w duchu, że zostawił banthy w spokoju, inaczej prawdopodobnie dostałby w łeb. W ten sposób nie stanowił dla nikogo konkurencji. Drugi ze słuchających go dotąd kaznodziejów także podjął swój temat, obiecując uleczyć każdego, kto go wspomocze finansowo. Obaj mieli donośne i wytrenowane głosy, więc prawie go zagłuszyli, ale pilotowi to akurat nie przeszkadzało - spokojnie mógł opowiadać, co mu ślina na język przyniesie.

Nie miał innego wyjścia, bo za plecami miał dwóch policjantów z bronią gotową do strzału, którzy niepewnie rozglądali się po pokładzie obserwacyjnym. Tę nieco statyczną scenę przerwał nagle wysoki, przeraźliwy okrzyk - jakiś Jawa wydzierał się gdzieś z boku i nieco niżej. Odpowiedzią był pojedynczy strzał z karabinu laserowego i Bo Shek ledwie powstrzymał się przed skokiem przez okno, zanim dotarło do niego, że strzelano na zewnątrz, a nie za jego plecami. Wychylił się zaciekawiony, podobnie jak pozostali, i za rogiem kadłuba dostrzegł na ziemi niewielki kształt w brązowym habicie - Jawa. Drużyna szturmowców utworzyła obronny krąg na środku placu, celując we wszystkie strony, ale następne strzały nie padły.

Tupot za plecami dowodził, że policja pognęła sprawdzić, co się dzieje, a pod Bo Shekiem ugięły się nogi - cokolwiek ten Jawa narozrabiał, nieświadomie uratował mu życie, odwracając uwagę policjantów i umożliwiając mu ucieczkę. Z ulgą odwrócił się, by odejść, gdy nagle upierścieniona pięść trafiła go w podbródek, posyłając na pokład.

- Będziesz się nabijał, co? - warknął obwieszony biżuterią kaznodzieja, częstując go kopniakiem w żebra.

Bo Shek ledwie tego kopa uniknął, ale z następnymi poszło gorzej, bo do napastnika przyłączyli się pozostali kumple po fachu.

- Masz za robienie z nas pośmiewiska! - następny dołączył życzenie do ciosu.

- I za sprowadzenie tu glin! - dodał jeszcze jeden.

Bo Shek pozbierał się czym prędzej na nogi i spróbował wyjaśnić:

- Poczekajcie, oni nie...

Był to błąd, bo wyjaśnienia ich kompletnie nie interesowały, co dali mu namacalnie odczuć. Zmienił więc taktykę, rzucając się szczupakiem ku wyjściu i w rezultacie staczając po rampie.

Wylądował w piasku na dole i wstał mając nadzieję, że dadzą mu spokój. Nic biedniejszego. Dwóch najbardziej zawziętych zbiegło za nim i kontynuowało pogoń na zewnątrz. Oczywiście natychmiast zwrócili uwagę policjantów, skupionych przy trupie Jawy.

- To on! - ucieszył się pobity policjant i unosząc miotacz strzelił.

Wiązka przeleciała o centymetry od głowy Bo Sheka, trafiając w jeden z przerdzewiałych silników korekcyjnych i odłączając go od kadłuba wśród gradu odłamków. Bo Shek przeskoczył silnik i pognał przed siebie. Po paru krokach osłoniła go krzywizna kadłuba, a wreszcie cały kadłub, więc ruszył w najbliższą uliczkę, kierując się ku największemu tłumowi.

Kaznodzieje okazali się bardziej uparci niż sądził, miał zatem motywację do szybkiego biegu, ale na szczęście policjanci, widząc kto go goni, w ogóle przestali strzelać, prawdopodobnie z obawy, że publiczne odstrzelenie niewinnego proroka może wywołać kłopoty ze strony jego wyznawców.

Bo Shek skorzystał z tego i pognał prosto na parking używanych landspeederów, który przed sobą dostrzegł. W pierwszym momencie sądził, że zgubi prześladowców między pojazdami, ale gdy się zbliżył, spostrzegł arkoniańskiego handlarza oglądającego najnowszy nabytek i zaświtał mu skuteczniejszy sposób ratunku.

Arkonianin oglądał stary, ale popularny pojazd typu XP-38A z dwoma silnikami na burtach i trzecim na stateczniku pionowym. Bo Shek rzucił mu zwitek kredytów i wskoczył do otwartej kabiny.

- Jazda próbna! - wrzasnął, z trudem tłumiąc śmiech na widok miny kupca, i włączył silniki.

- Poczekaj! Co ty sobie wyobrażasz, że... - resztę protestów zagłuszył wizg turbin. Chmura pyłu uniosła się, gdy dał pełną moc i wyprysnął na ulicę, omal przy tym nie rozjeżdżając jakiegoś cylindrycznego droida.

Pogoniło za nim kilka strzałów, ale bardziej na postrach, gdyż policjantów zaskoczył rozwój wydarzeń tak samo jak handlarza. Strzały umilkły, gdy ściał najbliższy zakręt i zasłoniły go mury.

Dwie przecznice dalej zwolnił, biorąc zakręt z prawie normalną szybkością i spokojnie poleciał dalej, próbując wtopić się w niewielki o tej porze ruch. Dalsza chaotyczna jazda wyprowadziła go pod ścianę antyodblasko-wą otaczającą port kosmiczny. Uświadomiło mu to, że lepiej byłoby zostawić gdzieś pojazd, który pewnie już jest poszukiwany, i dostać się w inny sposób do monasteru. Niestety, kolejny zakręt wyprowadził go prosto na patrol czterech szturmowców stojących na środku drogi. Podoficer z pomarańczowym naramiennikiem uniósł dłoń, każąc mu się zatrzymać i Bo Shek znalazł się w kropce. Miał bowiem dwa wyjścia - posłuchać, ryzykując, że to jego szukają, lub pryskać, licząc na szczęście. Przy opuszczonej broni szturmowców i rutynowym zachowaniu istniała pewna szansa, że się uda, ale ulica jak okiem sięgnąć nie miała żadnych skrzyżowań, co tę szansę właściwie przekreślało. Rad nie rad zwolnił i zatrzymał się przy podoficerze, gorączkowo próbując wymyślić, jak by tu się wyłgać.

- Co tu robisz? - głos był zniekształcony przez elektronikę hełmu, a nieprzezroczysty wizjer uniemożliwiał zorientowanie się, na co szturmowiec akurat spogląda.

- Jestem w drodze do knajpy.

- Aha... To twój pojazd?

- Przeprowadzam jazdę próbną.

- Mhm. Może to i prawda, pokaż... - ciąg dalszy zagłuszył ryk startującego statku, więc wszyscy odruchowo spojrzeli w kierunku portu.

Bo Shek omal nie przetaił sobie oczu, widząc, co tak po wariacku startuje - był to „Sokół Milenium” Hana Solo. A pośpiech mógł wskazywać tylko na jedno - że staremu udało się znaleźć

środek transportu i dostać na pokład. Miał szczęście... chociaż nie: on miał Moc, widać było po tym, jak o niej mówił i jak posługiwał się mieczem świetlnym. Ten, kto dysponuje Mocą, nie musi liczyć na szczęście. Na przykład przez taki patrol jak ten przejechałby na pewno bez kłopotu...

Cóż, on nie władał Mocą i patrol sprawiał mu kłopoty. Co prawda chwilowo szturmowcy gapili się na odlatujący statek, ale zaraz sobie o nim przypomną... bardzo pragnął, żeby sobie gdzieś poszli, zainteresowali się kimś innym albo zrobili cokolwiek, byle dali mu spokój. I wtedy przypomniał sobie ostrzeżenie i radę starego. - No to ładnie - kradzież landspeedera pewnie do reszty pogrzebała jego szansę na użycie Mocy kiedykolwiek!

Prawdę mówiąc nie ukradł go, rzucił przecież arkonianinowi co najmniej pięćdziesiąt kredytów. Fakt, dlatego żeby nie wszczął alarmu, ale jakiś pieniądz dostał. A pojazd miał zamiar zwrócić i tak.

No dobra, stwierdził kierując myśli gdzieś w pustkę, gdzie, jak sobie wyobrażał, powinna znajdować się Moc, oddam pojazd jak tylko będę mógł, przestanę pilotować przemytnicze statki i posprzątam resztę życia, jeśli dasz mi okazję i wyciągniesz mnie z tego bagna.

Prawdę mówiąc nie spodziewał się, żeby to zadziało - w końcu Moc nie była bóstwem, z którym można się było dogadać, ani nie kierowała niczymi losami. Jak mówił tamten człowiek, Moc po prostu była, tylko nie każdy mógł jej użyć. Obietnice poprawy psu na budę się zdały - ważna była wewnętrzna harmonia, a tej w ciągu ostatnich paru sekund na pewno nie osiągnął.

Skoncentrował się jak mógł na szturmowcach, pragnąc, by go puścili. Był już prawie pewien, że poczuł drgnienie czegoś... szturmowcy też chyba zareagowali, jakby już kiedyś byli wystawieni na działanie Mocy. Zdawali się czuć jego dotyk: jak na komendę odwrócili się, wpatrując w niego, a Bo Shek najintensywniej jak potrafił próbował im wmówić, by zapomnieli o jego istnieniu.

- Jak długo masz te droidy? - spytał nagle podoficer.

- Hę...?- Bo Shek zaskoczony zerknął za siebie, zastanawiając się, jakim cudem nie zauważył jakichś droidów, ale we wnętrzu siedział zupełnie sam.-Ja...

- Pokaż mi swoje dokumenty.

Bo Shek najwolniej jak mógł sięgnął do pasa, nie bardzo wiedząc, czy złapać za miotacz, czy wykonać polecenie, ale następne słowa podoficera dosłownie wmurowały go w fotel.

- Nie musimy oglądać jego dokumentów - oznajmił pozostałym. - To nie są te droidy, których szukamy.

- To... dobrze - wykrztusił Bo Shek.

- Możesz jechać - szturmowiec machnął ręką przyzwalająco. - Ruszaj.

Tego pilotowi nie trzeba było dwa razy powtarzać - odruchowo ruszył do przodu, jakimś cudem w nic nie trafiając. Wzrok i zdolność myślenia wróciły mu dopiero za rogiem, gdzie skręcił w najbliższy cień i zatrzymał pojazd. A potem osunął się bezwładnie na fotel.

Pojęcia nie miał, co się dokładnie stało - jednego był pewien: Moc naprawdę istniała i w jakiś sposób zdołał jej użyć dla siebie. Teraz trzeba było zapłacić obiecaną cenę: wydawało mu się, że stary, oddalony teraz pewnie z pół roku świetlnego od Tatooine, w jakiś sposób go obserwuje i czeka, czy dotrzyma słowa.

Z punktu widzenia Bo Sheka sprawa była oczywista. Miał oto okazję zaznać przez moment czegoś niezwykłego, co było równocześnie cudowne i przerażające, i rozumiał, że człowiek ostrzegał go absolutnie szczerze. Nie miał zamiaru zrezygnować z okazji poznania tego zjawiska. Mógł użyć swych nowych sił dla własnego dobra lub zła, ale gdy raz podejmie decyzję, odwrotu już nie będzie. Znalazł się jakby na rozdrożu - to, co wybierze, przesądzi o całym jego dalszym życiu.

Bo Shek uśmiechnął się pierwszy raz od naprawdę długiego czasu i wyleciał z cienia, kierując się w ten rejon Mos. Eisley, gdzie znajdował się punkt sprzedaży używanych landspeederów oraz ich parking.

Należało oddać pojazd właścicielowi.

DOKTOR ŚMIERĆ

Opowieść doktora Evazana i Ponda Baby

Kenneth C. Flint

Dziwne drapanie dało się słyszeć pomimo odgłosów nadciągającej burzy i jedna z dwóch siedzących przy długim stole postaci odwróciła się nasłuchując.

- Co to było? - spytał szorstki głos. - Rover, sprawdź!

Coś drgnęło w mrocznym rogu i w kręgu światła z mokrym mlaśnięciem pojawiła się żelatynowata masa ociekająca śluzem. Połyskliwy, trupiozielony stwór, machając na wszystkie strony gąszczem cienkich, okrągło zakończonych czułek, wieńczących jego bezkształtne cielsko, przesunął się ku jednemu z wysokich okien zostawiając na posadzce śluzowaty ślad.

- Nie sądziłem, że Meduzę można tak dobrze wyszkolić - przyznał z zaskoczeniem drugi z siedzących.

Pierwszy przyjrzał mu się przez stół.

- Wręcz przeciwnie, Senatorze, bardzo łatwo się uczy. To jeden z po-jętniejszych gatunków, przydałoby się takich więcej. - Twarz mówiącego zniekształcała potężna blizna po prawej stronie; prawe oko ledwie się uchylało, a spłaszczony nos nadawał mu zdecydowanie świński wygląd.

Nie ulegało jednak wątpliwości, że jest człowiekiem - w przeciwieństwie do tego drugiego, który, choć humanoidalny, był Aquali. Jego rysy przypominały raczej morsa, a podobieństwo podkreślały okrągłe czarne oczy i wystające, zakręcone kły. Krótkie i szorstkie wąsy otaczały gruby, mięsisty nos nad szerokimi, ale cienkimi ustami.

- Mogę sobie doskonale wyobrazić, do czego by się panu przydały, doktorze Evazan - zauważył z niesmakiem Senator ujmując kielich.

Dłoń przypominała płetwę i nie licząc kciuka pozbawiona była palców, co szeregowało go j ako członka rasy bardziej prominentnej z dwóch zamieszkujących planetę Ando i stanowiącej jej warstwę rządzącą. Upił solidny łyk zielonego, andorańskiego wina i obserwował nerwowo poczynania Rovera.

Ten dotarł do wysokiego, łukowato zwieńczonego okna i stanął słupka, o ile można użyć takiego określenia wobec rozległego kisielu, poruszając czułkami, jakby węszył i nasłuchiwał równocześnie. Okno wychodziło na zajmujący większość powierzchni Ando ocean, rozciągający się aż po szaroczarny horyzont, gdzie kotłowały się sztormowe chmury, co chwila oświetlane błyskawicami.

Głęboki odgłos gromu przetoczył się nad spienionymi falami i odbił i) d pionowych skał, na których zbudowano strzelisty kamienny zamek, gdzie się właśnie znajdowali. Ze sto metrów poniżej okna, potężne grzywacze z hukiem rozbiły się o skalistą wyspę, bryzgając białą pianą. Wrażenie monumentalnego widoku dzikiej przyrody psuł nieco ograniczający widok migotliwy ekran, przesłaniający wszystkie okna. Było to subtelne, ale wytrzymałe pole energetyczne, założone przez przewidującego gospodarza wkrótce po wprowadzeniu się.

Rover zapadł się w siebie i skierował czułki w stronę Evazana, po czym machnął nimi energicznie, jakby przekazując jakiś ważny sygnał. Ten uniósł brew nad lewym okiem i był to jedyny objaw emocji na jego pokierszowanej twarzy.

- Pewnie da pan nura pod stół, Senatorze - oznajmił rzeczowo. - Zaraz.

Gość z zaskoczeniem zobaczył, jak prawa dłoń Evazana wyłania się spod stołu trzymając blaster, a lewa wdusza dwa przyciski na niewielkiej konsolce stojącej przed nim.

Zgasły wszystkie światła.

Prawie równocześnie zza trzech okien rozległo się dziwne bzyczenie i trzy postacie wpadły przez zneutralizowane pole ochronne. Senator zatrąbił cienko i zanurkował pod masywny stół.

Napastnicy z wprawą wylądowali na posadzce i zerwali się z bronią gotową do strzału. Byli humanoidalni i gotowi na wszystko, tyle że ich celu nie było już na fotelu - Evazan zerwał się z podłogi, skierował w stronę korytarza, strzelając w biegu. Jeden z atakujących dostał w pierś i z cichym jękiem osunął się na posadzkę, pozostali nacisnęli spusty. Ciemne pomieszczenie wypełniły krzyżujące się wiązki energii, rozbijając meble i rykoszetując od ścian.

Żaden z napastników nie zwrócił uwagi na ciche mlaskanie. Ten, który był najbliżej, zorientował się w pewnym momencie i odwrócił, ale za późno - Rover właśnie zaatakował. Ofiara nie miała cienia szansy. Gdy czułki dotknęły jego głowy i piersi, każdy poczęstował go niewielkim ładunkiem energetycznym. Razem stanowiło to dawkę aż nadto wystarczającą - ciało wyprężyło się, stężało i zważyło na podłogę bez jednego dźwięku.

- Doskonale, Rover - pochwalił Evazan, prezentując upiorny uśmiech, który po sekundzie zniknął ustępując miejsca irytacji. - Ponda, do cholery, gdzie się szlajasz?!

W pomieszczeniu zapanowała cisza - Rover nie ruszał się, a obaj mężczyźni usiłowali dostrzec przeciwnika w mroku, by wykończyć go celnym strzałem. Napastnik dostrzegł gospodarza pierwszy i starannie wycelował, ale zanim zdążył wystrzelić, drzwi prowadzące na korytarz otwarły się z trzaskiem i wpadła przez nie nowa postać, strzelając, ledwie przekroczyła próg.

Promień laserowy powalił ostatniego napastnika na ułamek sekundy wcześniej, nim tamten nacisnął spust. Jego strzał przemknął Evaza-nowi nad głową.

Ledwie ciało znieruchomiało, Evazan wstał i otrzepał się.

- Najwyższy czas, Ponda - warknął, podchodząc do stołu i zapalając światła.

W ich blasku okazało się, że przybysz także jest Aqualianinem, tyle że broń trzymał nie w dłoni, ale w topornej, metalowej protezie, nie osłoniętej nawet bioskórą. Proteza kończyła się tuż przed łokciem, a wygląd lewej dłoni, a raczej porośniętej futrem łapy o palcach zakończonych pazurami, jasno świadczył, że należy do niższej rasy zamieszkującej planetę.

- Masz szczęście - warknął głucho do Evazana, chowając broń. - Miałem ochotę zobaczyć, jak sam sobie poradzisz. Niewiele brakowało...

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i wyszedł. Senator ostrożnie wynurzył się spod stołu. Evazan schował blaster i powiedział łagodząco:

- Przepraszam, dawniej Ponda Baba znalazłby się tu, jak tylko bym zastrzelił pierwszego. Kiedyś stanowiliśmy naprawdę zgrany zespół...

- On... hm... pracuje dla pana?

- Byliśmy współnikami - wyjaśnił enigmatycznie zapytany. Senator zastanowił się nad tą rewelacją, po czym stwierdził z rezerwą:

- Wie pan, że oni tu, na Ando, należą do najniższej kasty. Mają co najmniej wątpliwe zasady

moralne i są niezwykle brutalni i gwałtowni.

Przez pozostałe kasty traktowani są tak pogardliwie, że doprawdy niewielu decyduje się tu pozostać. Przytłaczająca większość kończy jako przestępcy gdzieś w Galaktyce.

- Może i tak, Ponda był jednak doskonałym kumplem. - Evazan zajął się rozlaniem do dwóch szklaneczek środka uspokajającego o zdecydowanie większej mocy niż wino. - Tak było aż do pewnego parszywego dnia na Tatooine. Jakiś dziadek z mieczem świetlnym Jedi odciął mu rękę za to, że chciał mi pomóc... Potem jakoś przestaliśmy się dobrze rozumieć.

- Ale jednak jest tutaj - zauważył Senator. - I zdaje się, że właśnie uratował panu życie.

- Cóż, nadal jestem mu winny rękę. Ponieważ ma kłopoty z zebraniem kwoty potrzebnej na dobrą bioprotezę, zawarliśmy coś w rodzaju sojuszu; dopóki mu nie pomogę z tą ręką, pracuje jako mój ochroniarz... przynajmniej teoretycznie.

- A co z nimi? - spytał Senator, wskazując zabitych.

- A co ma być? - zdziwił się Evazan, unosząc szkło w niemym toastie. - Jacyś nachalni łowcy nagród. Pewnie przyplłynęli tu i wspięli się w nadziei, że mnie łatwo zaskoczą...

Odstawił opróżnione naczynie i podszedł do najbliższego z leżących. Wszyscy byli ubrani w ciemnoszare kombinezony i hełmy, a wyposażenie mieli na pasach używanych przez mechaników. Evazan przewrócił ciało na plecy i przyjrzał się twarzy należącej bezsprzecznie do człowieka - mężczyzny o ciemnej karnacji i ostrych rysach. Zaraz potem skupił uwagę na czarnym pudełku przymocowanym do pasa nieboszczyka.

- Mieli indywidualny wygaszacz pola - mruknął z namysłem. - Nowego typu. Będę musiał zwiększyć moc osłony... Prawdę mówiąc, Senatorze, nie powinienem się w ogóle martwić takimi sprawami. To wy mieliście mnie chronić i zapewnić całkowite bezpieczeństwo, prawda?

- Przecież nie możemy odciąć całej planety i zakazać lądowań! Niemożliwe jest też dokładne prześwietlanie albo przeszukiwanie wszystkiego, co do nas dociera - obruszył się Senator. - Zabezpieczenia, jakie tu założyliśmy, są naprawdę dobre i niewiarygodnie kosztowne.

- Ale niewystarczające - potrząsnął głową Evazan. - To trzeci zamach, odkąd tu jestem. I za każdym razem są lepsi.

- Założyliśmy, że samo umieszczenie pana w takiej fortecy na ściśle izolowanej wyspie będzie głównym elementem ochrony - odparł nieco urażony Senator. - Naturalnie nie wiedzieliśmy wówczas, że połowa Galaktyki na pana poluje.

- Twierdzi pan, że nie jestem tego wart?

- W tej właśnie sprawie tu przybyłem - odparł spokojnie Senator.

- Skoro tak, to pogadajmy. Chyba że chce pan najpierw dokończyć kolację? - zaproponował Evazan. - A co z nimi? ‘

- Nimi zajmie się Rover.

Ruchoma galareta wpadła już na najbliższego z zabitych i rozmieściła się tak, że przykrywała całe ciało. Po paru sekundach przy akompaniamencie stłumionych cmoknięć i siorbnięć zaczęła się trząść.

- Idealnie sprząta resztki - oznajmił rzeczowo gospodarz. - Między innymi dlatego tak łatwo go wyszkolić. To strasznie żarłoczny osobnik.

- Prawdę mówiąc nie jestem specjalnie głodny. - Senator duszkiem wychylił kielich wina i dodał: - Przejdźmy do rzeczy. Nie chciałem... chciałem powiedzieć, że nie mam zbyt wiele czasu.

- Dobra - gospodarz też usiadł. - To w czym problem?

- W kosztach. Ten projekt zupełnie wymknął się nam spod kontroli. Już samo utrzymanie i zaopatrzenie laboratorium zgodnie z pańskimi wymaganiami pochłania majątek. Koszty zabezpieczenia są wręcz astronomiczne i prawdę mówiąc naszego rządu po prostu na to nie stać.

- Fortunę to jest wart wynik moich badań. Zbyt długo byliście sługami Imperium, bezmyślnie wykonującymi rozkazy. Straciliście dumę i instynkt samozachowawczy. Ile jest dla was warta wolność?

Przez ten czas Rover przeniósł się na drugie ciało - po pierwszym pozostała jedynie mokra plama na podłodze.

- Żadna suma nie jest zbyt duża, by uwolnić się od władzy Imperium - przyznał Senator, starając się nie spoglądać w kierunku meduzy. - Ale nie mamy jak dotąd żadnych wyników. Moja podkomisja musi przedstawić jakieś konkrety, jeśli mamy uzyskać środki na dalsze finansowanie pańskich badań. Przy obecnych cięciach budżetowych...

- Mam gdzieś wasz budżet i jego cięcia! - wrzasnął poirytowany Eva-zan. - Jak skończę, dostaniecie taką niespodziankę, że Imperium w zamian za nią da wam nie tylko wolność, ale wszystko, czego zażądacie.

- Już pan nas o tym wielokrotnie zapewniał, ale poza zapewnieniami nie mamy żadnych dowodów, że zbliża się pan do końca badań. Gdyby tylko dał mi pan jakikolwiek dowód, coś, co mógłbym zabrać ze sobą, spróbowałbym przekonać pozostałych.

- Niech będzie - mruknął Evazan po chwili. - Pokażę panu, jak bliski jestem sukcesu. Prawdę mówiąc potrzebuję tylko jednego. Muszę znaleźć egzemplarz mężczyzny, czyli ludzkiego samca, spełniającego określone parametry. Przede wszystkim musi być silny, zdrowy i bez żadnych deformacji.

- Dlaczego? - spytał Senator, mrużąc oczy.

- Zobacz pan - Evazan wstał. - Idziemy do laboratorium!

- Słucham? - Senatora prawie unieruchomiła ta propozycja. - To chyba nie jest niezbędne. Mówiąc o dowodzie, nie miałem na myśli eksponatu anatomicznego, ale dane, które można zweryfikować...

- Nalegam. Zobacz pan na własne oczy, czego już dokonałem.

Senator westchnął i nie mając wyboru wstał, choć nie ukrywał, że robi to z prawdziwą niechęcią.

- Tędy proszę - Evazan ruszył przodem.

Rover tymczasem skończył drugiego zabitego i przesunął się na trzeciego, leżącego na boku w skulonej pozycji. Do jego pasa oprócz wy-gaszacza pola był przytroczony miniaturowy radiotelefon, na obudowie którego paliła się zielona mikrodioda, wskazująca na to, że urządzenie cały czas działa...

Na zewnątrz tkwił jak przyklejony do pionowej ściany powyżej okien mężczyzna o takiej samej cerze i rysach jak trójka napastników. Różnił się od nich jedynie czarnym wąsem, pasującym do brązowych oczu i potężnego, orlego nosa. Obiema nogami i lewą dłonią wczepiał się w szczeliny muru, natomiast prawą przyciskał do ucha miniaturowy radiotelefon, dzięki któremu słyszał całą rozmowę po ataku. Teraz słuchał, jak meduza wchłania ostatniego z jego towarzyszy.

Gdy w słuchawce trzasnęło i zapadła cisza, przyczepił urządzenie do pasa i z ponurą miną ruszył w górę, ku spadzistemu dachowi. Tam, w plecaku przytwierdzonym przyssawką do śliskich dachówek, znajdowała się radiostacja. Mężczyzna wklinował się w narożnik między dachem a

strzelistą kopułą, aby osłonić się od wiatru, i nałożył słuchawki z mikrofonem.

- Matka? Tu Gurion, słyszysz mnie? - zerknął zaniepokojony na zachmurzone niebo. - Jesteś tam jeszcze?

- Nadal na orbicie, Gur. Jak sytuacja?

- Wszyscy poza mną martwi. Ścierwo musi mieć niezłą ochronę, oni naprawdę byli dobrzy.

W słuchawkach zapanowała ciężka cisza, przerwana dopiero po chwili przez głos, który nawet nie próbował ukrywać żalu:

- No to koniec, ewakuuj się stamtąd. Podejmiemy cię z morza.

- Nie! Wchodzę. Znam sposób, jak się do niego zbliżyć. To jedyna możliwość, żeby go dostać.

- Samotnie? To nie jest możliwość, to samobójstwo!

- Jeśli nie ma innego sposobu... a myślę, że mój będzie skuteczny!

Evazan poprowadził gościa długimi, krętymi schodami. Im głębiej schodzili, tym Senator stawał się uprzejmiejszy, a jego głos brzmiał przeprasząco.

- Proszę mnie właściwie zrozumieć, osobiście nigdy nie kwestionowałem pańskiej wiarygodności - zapewniał coraz bardziej piskliwym tonem. - Ale moi koledzy słyszeli rozmaite plotki, jak to w Senacie. O, na przykład taką, że ma pan wyrok śmierci w dziesięciu systemach...- Dwunastu - poprawił go Evazan. - Ostatnio mogło coś przybyć, nie sprawdzałem.

- Dddoprawdy? A te opowieści o pańskich specyficznych praktykach... hmm... medycznych?

- Nie będę zaprzeczał, że jest w nich nieco prawdy, ale za nic nie zamierzam przepraszać.

Wszystko, co zrobiłem, miało na celu rozwój nauki i pożytek dla wszystkich.

Dotarli do końca schodów. Evazan odblokował i otworzył masywne metalowe drzwi, osadzone w równie masywnej metalowej futrynie. Wewnątrz znajdowała się olbrzymia piwnica, rozciągająca się praktycznie pod całym zamkiem. Wysokie sklepienie podtrzymywały nieliczne kolumny, świadczące o kunszcie dawnych budowniczych. Piwnica, przynajmniej z miejsca, w którym się znajdowali, zdawała się wypełniona rzędami szklanych cylindrów, lekko połyskujących i pełnych złocistego płynu. W każdym z nich oprócz płynu znajdowało się coś jeszcze.

I właśnie zawartość cylindrów przyprawiła Senatora o ciężki szok - w każdym znajdowała się bowiem jakaś inteligentna istota. Obecne były prawie wszystkie rasy zamieszkujące Galaktykę - Jawa, Wookie, Givin, Abbyssin, wyglądający jak cyklop, Devaronianin, insektoidalny Kibnon...

- Wszyscy są martwi? - spytał nerwowo Senator, spoglądając na gadopodobnego Arconę, patrzącego przed siebie pustymi, przypominającymi klejnoty oczyma.

- Niestety tak. Zakonserwowani w balsamującym płynie mojego pomysłu. To część pacjentów, którzy nie przeżyli mimo zastosowania chirurgii. Nie zdołałem im niestety pomóc, ale to, czego się przy okazji dowiedziałem, okazało się dla mnie wielką pomocą.

Bliższe oględziny zwłok istotnie wskazywały na to, że ktoś je kroił, ale określenie „chirurgia” nie było tu może najwłaściwsze - znacznie bliższe prawdy byłoby słowo „rzeźnictwo”. Ciała były zmasakrowane, niekompletne, pocięte w najdziwniejszych miejscach i albo byle jak zszyte, albo nie zszyte w ogóle. W wielu przypadkach próbowano na miejsce wyciętych organów lub odciętych kończyn przeszczepić inne, pochodzące od obcych ras.

- Najbardziej skorzystałem ucząc się na błędach. - Evazan ruszył wzdłuż jednego z rzędów. - Mogłem się dzięki nim zorientować, że za-brnąłem w ślepą uliczkę, co przy eksperymentalnych badaniach jest na porządku dziennym.

- Eksperymentował pan na pacjentach? - w głosie Senatora słychać było czyste przerażenie.

- Naturalnie, że nie - oburzył się Evazan. - Chciałem im pomóc stosując kreatywne techniki medyczne. Zamierzałem dać im dłuższe życie i lepsze zdrowie niż mieli dotąd. Tak powinno to wyglądać w teorii. -

Poklepał z uczuciem cylinder, w którym unosił się wypatroszony Ro-dianin, i dodał: - Całe życie poświęciłem pomaganiu innym, a ochrzcili mnie mianem szaleńca i kryminalisty. Nikt nie rozumiał, że używam swych umiejętności tylko po to, by zreformować życie na rozmaite sposoby, że staram się stworzyć coś lepszego... Ale to i tak było za mało.

- Co... za mało? - wykrztusił Senator, spoglądając na długie rzędy cylindrów.

- Zmiany fizyczne to za mało - wyjaśnił cierpliwie Evazan podchodząc do następnego pojemnika, w którym tkwił potwór poskładany z elementów kilkunastu różnych gatunków. - Jak pan widzi, nawet zebranie w jednej istocie części najlepszych w Galaktyce ciał nie dało efektu, o jaki mi chodziło. Kluczem bowiem jest umysł, nie ciało, i gdy to zrozumiałem, moje badania poszły wreszcie we właściwą stronę. Proszę tutaj.

Za rzędami cylindrów, mniej więcej na środku piwnicy, bezładnie poustawiano piramidy elektronicznego wyposażenia, połączonego girlandami przewodów, kabli i drutów. Całość iskrzyła i trzeszczała nawet teraz, czyli pod minimalnym natężeniem prądu. W półkolu utworzonym przez te elektroniczne konstrukcje stały dwa stoły operacyjne z pasami do przytrzymywania ofiar. Nad każdym znajdowało się coś, co przypominało durszlak, do którego podłączono pęk różnobarwnych kabli i umocowano na ruchomym ramieniu. Kable biegły do jednego z urządzeń, a potem ginęły w gąszczu innych.

- Oto aparat służący do transferu - oznajmił z dumą Evazan. - Główne części pochodzą ze zmodyfikowanego badawczego testera do trans-mogryfikacji, przeznaczonego niegdyś do zmian oprogramowania dro-idów. Ponda i ja zdobyliśmy to urządzenie z pewnej bazy badawczej Imperium. Modyfikacja polega głównie na tym, by dało się stosować do żywych organizmów.

- To znaczy?

- Mózg także składowe wiedzę elektronicznie, w sposób zbliżony do nagrania. A każde nagranie można skasować, zmienić lub przenieść. Przy użyciu tego, co pan tu widzi, można to obecnie zrobić z każdym organicznym umysłem.

- I co to da?

- A no coś, o czym wszyscy marzymy, a nikt dotąd nie osiągnął: praktyczną nieśmiertelność!

- Pan żartuje, doktorze! - dotąd tylko oszołomiony, Senator przeszedł na radykalną niewiarę.

- Ja nie żartuję, tylko pan mnie nie rozumie! Proszę chwilę pomyśleć: nawet najwięksi Mistrzowie Jedi ze swą władzą nad materią nie osiągnęli prawdziwej nieśmiertelności. Owszem, zdołali przedłużyć sobie życie i to znacznie, ale nadal starzeli się i umierali. A dzięki mojej metodzie można transferować czyjąś inteligencję, czyjs umysł do nowego ciała, kiedy tylko będzie taka potrzeba, i to za pomocą zwykłego przestawienia przełącznika. Proszę spróbować sobie wyobrazić, jaką to będzie miało wartość dla Imperium... a raczej dla Imperatora.

- Taaak... za to zapłaci każdą cenę - przyznał Senator. - Pod warunkiem, że to działa.

- Działa, działa, a wkrótce będę to w stanie udowodnić. Co za ironia, prawda? Ten, kogo nazywają doktor Śmierć, stworzy wieczne życie.

Z pobliskiej konsoly łączności rozległ się sygnał alarmu, a na ekranie pojawiła się twarz Pondy.

- Ktoś jest pod drzwiami! - rozległ się jego zaniepokojony głos.

- Pod naszymi drzwiami? - upewnił się Evazan.

- Konkretnie przy bramie morskiej na poziomie morza. Mówi, że łódź mu się popsowała i chce zadzwonić po pomoc.

- Tak mówi? Pokaż go.

Na ekranie pojawił się widok z kamery ustawionej na morską bramę, do której prowadziło pojedyncze nabrzeże. Cumowała przy nim niewielka grawitacyjna tratwa ratunkowa, przed bramą zaś stał mężczyzna, a raczej okaz męskiej urody i krzepy gatunku ludzkiego: atletycznie i proporcjonalnie zbudowany, co podkreślał opięty kombinezon, o twardych, ale szlachetnych rysach i z szopą blond włosów nad wysokim czołem. Evazan przyglądał mu się długą chwilę, po czym przełączył obraz na twarz Pondy.

- Wpuść go, ale tylko do korytarza - polecił. - I uważaj na niego.

- Jesteś pewien, że to dobry pomysł?

- Zrób, co mówię! - warknął Evazan i dodał zwracając się do Senatora: - Może pan, dzięki szczęśliwemu przypadkowi, zobaczyć znacznie więcej niż się pan spodziewa. Dziś moje badania mogą zakończyć się sukcesem!

I wymaszerował z laboratorium.

Senator podążył za nim i obaj znaleźli się w holu, gdzie obok głównego wejścia umieszczono pulpit kontrolny wraz z ekranem łączności. Był już przy nim Ponda Baba. Obraz na ekranie ukazywał niewielkie, puste pomieszczenie i stojącego cierpliwie na jego środku mężczyznę.

- Doskonały - oznajmił radośnie Evazan, wpatrując się w niego roziskrzonym wzrokiem. - To się nazywa mieć szczęście!

Przełączył coś na pulpicie i z sufitu spomiędzy kręgu lamp wystrzelił cienki zielonkawy promień. Promień trafił stojącego człowieka w głowę i natychmiast powalił na posadzkę.

- Zabił go pan, doktorze? - spytał słabo Senator.

- Ogłuszyłem - poprawił Evazan. - Pomóż mi znieść go na dół. Złapał za kłamkę, ale na jego dłoń opadła kosmata łapa.

- Momencik. Chcesz się do niego transferować? - spytał Ponda.

- A bo co? Wygląda idealnie, nie?

- Może i wygląda, ale najpierw ja!

- Co ci chodzi po głowie, Ponda?

- Obiecałeś, że będę pierwszy. Obiecałeś mi ciało ze wszystkimi kończynami. Tylko dlatego sprowadziłem cię tu, utrzymuję przy życiu i pomagam. Kosztowałeś mnie rękę na Tatooine i jesteś mi to winien. Teraz płac.

- Jak? Moje ciało zjawiało się tu przypadkiem, czy mam go może wypuścić i czekać na następnego? Dla ciebie na razie nie mamy ciała.

- Błąd - poprawił go Ponda. - Obaj mamy dziś szczęście! Spojrzeli na Senatora, któremu z przerażenia odebrało nie tylko zdolność ruchu, ale i mowy.

- Nie jest pierwszej młodości - ocenił rzeczowo Evazan.

- Ale należy do wyższej kasty - uzupełnił Ponda. - Nie dość, że będę kompletny, to jeszcze ważny.

- Nie... nie możecie tego zrobić! - pisnął Senator.

- Możemy i zrobimy - zapewnił go Evazan, wyjmując miotacz. - Moje gratulacje! Pomoc w rozwoju nauki to dla polityka naprawdę rzadka okazja. Idziemy.

- Nie wolno wam! - protestował, schodząc jednak grzecznie ze schodów. - Co z waszymi

pieniężdami? Co z ochroną?

- Nie będziemy potrzebowali ani jednego, ani drugiego, mając nowe ciała i nowe tożsamości. Będziemy bezpieczni, a dla tak epokowego wynalazku wykorzystanie zawsze się znajdzie. Galaktyka jest naprawdę duża, Senatorze.

- Planowaliście to od samego początku, tak? - Do polityka w końcu dotarło. - Zrobić wszystko, żeby sobie pomóc. Tylko sobie.

- Nikt tak dobrze o nasze sprawy się nie zatroszczy jak my sami - zapewnił go Evazan. - Na lewe łóżko, jeśli łaska. I proszę się pośpieszyć!

Senatorowi jakoś nie szło, więc obaj z Ponda pomogli mu i już po chwili leżał przymocowany do stołu operacyjnego z ażurowym hełmem przypiętym do głowy. Ponda czym prędzej zajął drugi stół, Evazan na wszelki wypadek przypiął go, umieścił na jego głowie drugie durszlako-podobne urządzenie i przeszedł do pulpitu kontrolnego.

Przestawił dźwignię uruchamiając całe urządzenie, które zaczęło trzeszczeć i iskrzyć całkiem głośno, a potem wpadło w wibrację grożąc runięciem sztucznej konstrukcji. Gdy wskaźniki dały znać, że moc osiągnęła maksimum, Evazan przestawił czerwoną dźwignię. Po przewodach przeleciało stado błękitnych minibłyskawic, koncentrując się na obu ażurowych hełmach. Przypięte do stołu ciała zadygotały, ale Evazan nie zwrócił na to uwagi, wpatrzony w dwa zegary pod czerwoną dźwignią. Ten z lewej poruszał się w normalną stronę, ten z prawej w przeciwną, ale oba pokazywały takie same wartości i błyskawicznie doszły do końca skali. Evazan, mrużąc z zadowoleniem, wyłączył zasilanie - aparatura znieruchomiała i przestała świecić.

- Gotowe! - ucieszył się Evazan. - Ponda, udało się! Jak się czujesz? Oba ciała, choć uwolnione z pasów, spoczywały bezwładnie, nie zdradzając najmniejszego zamiaru powrotu do przytomności.

- Zaraz dojdiesz do siebie - Evazan poklepał eks-Senatora po policzku. - Pewnie musi to chwilę potrwać, więc poleż tu na razie, a ja się zajmę swoim nowym ciałem.

Prawie biegiem wrócił do holu i wpadł do korytarzyka, w którym leżało idealne ciało. Oczy błyszczały mu podnieceniem.

- Wszystko... - mruknął w ekstazie. - Młodość, siła... i nie oszpecona twarz. Mam nadzieję, że nic mu się nie stało.

Wyciągnął dłoń, by ją położyć na sercu leżącego. Dłoń przeleciała przez masywną klatkę piersiową jak przez dym. Eva-zan cofnął ją pośpiesznie, wytrzeszczył oczy i jęknął:

- Holozasłona!

Sięgnął po broń, ale ledwie jego dłoń zacisnęła się na kolbie, mężczyzna usiadł i na odlew poczęstował go prawym sierpowym, który rozciągnął gospodarza na podłodze. Zanim zdążył wstać, tamten był już na nogach. Masywny blondyn zadrgał i zniknął, ukazując człowieka w ciemnoszarym kombinezonie, o śniadej cerze i wydatnym nosie. Lewą dłoń opierał na holoprojektorze, w prawej ścisnął granat termiczny - odbezpieczony, bo kciuk opierał się na przycisku detonatora.

- Rzuć broń - polecił doktorowi - albo obaj się usmażymy. Evazan pośpiesznie odrzucił miotacz.

- Kim jesteś?

- Nazywam się Gurion i próbowałem cię dostać naprawdę długo.

Wstawaj!

- Sprytny pomysł z tym holo - przyznał Evazan, zbierając się do pionu. - Inaczej nigdy byś się tu nie dostał.

- Też tak sobie pomyślałem. Teraz ruszaj się, rzeźniku: na dach. Kilku starych znajomych wręcz

nie może się doczekać, żeby się z tobą zobaczyć. Jazda! - Poleceniu towarzyszył wymowny gest granatem, więc Evazan nie zwlekając je wykonał.

Wrócili do holu i głównymi schodami zaczęli się wspinać na górę. Gdy mijali pierwszy podest, Evazan dostrzegł piętro niżej kawałek Ro-vera wysuwający się z za drzwi i uśmiechnął się do siebie.

- Słuchaj no - odezwał się, chcąc by tamten nadal skupiał na nim uwagę. - Będę bogaty. Nie wiem, jaką nagrodę ci obiecali, ale na pewno zapłacę więcej.

- Nie robię tego dla nagrody - warknął Gurion. - Pochodzę z rodu Silizzar. Brzmi znajomo? Evazan zbladł.

- Ja... mogłem mieć pacjenta... albo dwóch...
- Leczyłeś cały ród na niedyspozycje żołądkowe wywołane trucizną, jaką im przedtem zaaplikowałeś, ty sukinsynu! Wybebeszyłeś ich kolejno, jak ryby... siedem osób! Nie, łajdaku, nie robię tego dla nagrody, tylko dla zemsty!

W końcu dotarli do kłapy prowadzącej na dach. Wiało już całkiem solidnie, błyskawice były bliższe, a pomruki burzy głośniejsze; otoczenie przybrało groźny wygląd. Gurion podprowadził Evazana w pobliże radiostacji umieszczonej przy krawędzi dachu i rozkazał:

- Zamień się w posąg, bo jak nacisnę ten guzik, żadnemu z nas nie zostanie więcej niż trzy sekundy życia. Wolę dostarczyć ci żywego, żeby cię sprawiedliwie osądzili przed wiwiseksią, ale mogę z tobą skończyć tu i teraz.

- Jestem posągiem - zapewnił go Evazan pospiesznie.
Gurion kucnął przy nadajniku i nie spuszczać wzroku z więźnia założył słuchawki.

- Matka, tu Gurion, słyszysz mnie?
- Słyszemy cię. Co się stało?
- Mam go żywego na dachu. Możecie nas zdjąć?
- Już lecimy! - ucieszyły się słuchawki. - Matka kończy.

Kątem oka Evazan dostrzegł, jak z otworu przysłoniętego poprzednio klapą wysuwa się czulek Rovera i ostrożnie bada otoczenie.

- Za kilka minut przyleci po nas prom - odezwał się Gurion, składając radiostację.
Evazan zrobił szybko trzy kroki w bok, by utrzymać tamtego plecami do kłapy w dachu.
- Musisz mnie wysłuchać - powiedział pospiesznie. - Mam coś wielkiego... dokonałem odkrycia, wielkiego odkrycia... zbyt cennego, by je zaprzepaścić...

- Nic mnie nie obchodzą twoje odkrycia ani płynące z nich korzyści - przerwał mu beznamiętnie Gurion. - Interesujesz mnie tylko ty!

Lekko połyskujące cielsko Rovera precyzyjnie przesuwało się na dach i powoli zaczęło przesuwac w ich stronę. Słabe szuranie skutecznie maskowała burza.

- Dzięki temu odkryciu można żyć wiecznie! Prawdziwa nieśmiertelność, coś, czego każdy pragnie - upierał się Evazan.
- Myślisz, że przekupisz mnie dając życie w zamian za siedem, które ukradłeś? Jesteś bardziej szalony niż podejrzewałem - w głosie Gurio-na slychać było niedowierzanie.

Rover znalazł się o dwa metry za nim i zaczął ustawiać czułki do ataku. Przy świetle kolejnej błyskawicy Gurion dostrzegł zagrożenie, odbite w źrenicach Evazana. Odskoczył, odwracając się równocześnie, na sekundę przed atakiem Rovera, który zdołał go dosięgnąć tylko jedną wypustką w kolano. Wyładowanie było silne, ale nie śmiertelne - jednak ból i zaskoczenie spowodowały rozluźnienie uchwytu na granacie, z czego natychmiast skorzystał Evazan, wczepiając mu się w

nadgarstek i wydlubując termiczny granat z dłoni. Nadal nie uzbrojony ładunek potoczył się po dachu, aż znieruchomiał przy klapie wjazdu.

Evazan spróbował się odsunąć, by Rover mógł skończyć z napastnikiem, ale ten ani myślał ustępować, sięgając ku jego szyi.

- Gołymi rękoma cię załatwię! - warknął.

Evazan cofnął się odruchowo, widząc jego minę, i stanął na krawędzi dachu. Rozpaczliwie zamachał ramionami próbując odzyskać równowagę, ale mu się nie udało i runął w dół pociągając za sobą Guriona. Napastnik puścił jego szyję, kiedy zadziałało ciężenie, a Evazan młóćąc rozpaczliwie rękoma zdołał zahaczyć się palcami o biegnącą wzdłuż krawędzi dachu rynnę. W dole ciało Guriona machnęło kilka koziołków i uderzyło o poszarpane skały. Odbiło się, ponownie uderzyło i stoczyło się nieruchomiejąc, wkliniwane między dwa skalne zęby.

Evazan chrząknął z satysfakcją i zajął się tym, co zawsze było dlań najważniejsze, czyli własnym bezpieczeństwem, co tym razem okazało się dość skomplikowanym przedsięwzięciem. Ręce miał za słabe, by się podciągnąć na krawędź dachu, a rozpaczliwie drapiące nogi nie znajdowały na gładkiej ścianie żadnego oparcia...

Z góry rozległ się jakiś dźwięk. Uniósł głowę i pół metra nad swoim nosem zobaczył czubki butów, a potem resztę Ponda przypatrującego mu się w milczeniu.

- Ppponda! - jęknął z ulgą, która błyskawicznie ustąpiła zwątpieniu. - Jak to...? Transfer się nie udał?

- Udał się - odparł znajomy, ale nie należący do Ponda Baby głos. - W drugą stronę, ty nieuku!

- W... w drugą stronę?

- Właśnie. Dzięki temu wylądowałem w ciele najmarniejszego śmiecia, i to jeszcze z protezą!

Zniszczyłeś moje życie, więc odpłacę ci tym samym! - Uniósł mechaniczne ramię, zaciśnięte na granacie termicznym.

- Nie! Nie możesz...! Poczekaj!...

- Żegnaj, doktorku! - przerwał mu tamten i nacisnął mechanicznym kciukiem przycisk.

A potem upuścił granat, odwrócił się i odszedł.

- Nie! - z siłą zrodzoną z przerażenia Evazan zdołał unieść się na tyle, że jego oczy znalazły się na jednej linii z pulsującym ostrzegawczo granatem i z nieruchomą meduzą tuż za nim. - Rover! Pomóż miiii!

Prom przebijając się przez atmosferę leciał niezbyt wysoko nad falami, kierując się prosto ku skalistej wysepce, z której cały czas transmitowano namiar. W kabinie siedziało dwóch mężczyzn budowy i rysów Guriona.

- Widać zamek - ucieszył się jeden. - Bądź gotów zawisnąć nad dachem, a ja wyjdę pomóc...

Potężny błysk przerwał mu, zmieniając noc w dzień i obejmując prawie natychmiast górne piętra budowli. Obaj wpatrywali się w niemym osłupieniu w natychmiastowy prawie rozpad połowy zamku, która zmieniła się w ognistą kulę. Po paru sekundach wyspą wstrząsnęła kolejna eksplozja, po której reszta zamku zapadła się w sobie zmieniając w dymiącą, a tu i ówdzie jeszcze płonąca stertę gruzu.

- Biedny Gurion - wykrztusił pierwszy, spoglądając na rozpościerające się w dole rumowisko.

- Lepiej się stąd zabierać - poradził mu drugi - takie bum musieli zanotować nawet po drugiej stronie planety. Zaraz się tu zleci ochrona.

I poderwał nos promu ku górze.

- Przynajmniej chłop się zemścił na tym maniacu - dodał pierwszy, gdy ruiny zostały z tyłu...

Mniej więcej w połowie zbocza na skalnej półce spoczywała niewielka śluzowata kupka o barwie trupiozielonkawej. Wypływał spod niej żółtawy tłuszcz, ściekając grubymi kroplami poza półkę. Trwało to dobrą minutę, potem galaretowata masa zatrzęsała się i wybrzuszyła ku górze. Z wybrzuszenia nagle wyłoniła się ręka, potem druga, a w końcu głowa Evazana. Ledwie znalazł się na powierzchni, zaczerpnął potężny haust powietrza - niczym nurek, któremu skończył się tlen.

Z pewnym trudem i znacznie większym obrzydzeniem wygrzebał się z resztek meduzy, która lojalnie uratowała mu życie amortyzując upadek, choć sama go nie przeżyła.

- Dzięki, Rover - mruknął, próbując obetrzeć śluz z włosów. - Szkoda że tobie nie wyszło...

Spojrzał w górę na dymiące pogorzeliisko.

- W drugą stronę... cholera!... No cóż, może następnym razem się uda.

I rozpoczął mozolną wędrówkę ku brzegowi morza.

KARTOGRAFIA TO NIEŁATWA RZECZ

Opowieść właściciela farmy wodnej

M. Shayne Bell

Dzień 1: Nowy kalendarz

Tym razem byłem pewien, że się z tego nie wywinę. Zawsze latam szybko - teraz też wypadłem z wydm i zobaczyłem ośmiu Ludzi Piasku przy skraplaczu, który przyleciałem naprawić. Na podjęcie decyzji zostały mi sekundy: próbować uratować skraplacz, który był mi potrzebny, czy zawrócić do ufortyfikowanego domu i pary obronnych droidów. Nie zawróciłem.

A Ludzie Piasku rozbiegli się na wszystkie strony, jakby w skraplaczu była bomba. Obserwowałem ich, żeby wiedzieć, z której strony spodziewać się ataku - wyszło mi, że mogli zaatakować z każdej. I o co to wszystko? O pół litra wody, bo skraplacz był uszkodzony. Ryzykowałem życie za pół litra wody. Powinno być półtora, ale właśnie dlatego przyleciałem go naprawić. Farma była na krawędzi - jeśli ten skraplacz będzie dawał dziennie normalną porcję, to się utrzymam, jeśli nie - przyjdzie zwinąć interes.

Zahamowałem wzbijając kurz i wyskoczyłem na piasek. Po Tusken Raiders zostały tylko ślady i ciężki, trochę przypominający piżmo zapach, szczególnie silny w bezpośrednim sąsiedztwie skraplacza. Na razie w porządku, tyle że cienie rzucane przez ściany wąwozu wydłużały się i wkrótce zrobi się ciemno, a wtedy mieszkańcy pustyni tu wrócą i to ja będę samotny i z dala od domu.

Ludzka technika od zawsze napędzała im strachu - tym razem przerażał ich mój landspeeder, ale strach przeważnie szybko im przechodził, więc nigdzie nie ruszałem się bez blastera.

Uszkodzenia były minimalne: rozbity wskaźnik poboru mocy i zadrapania przy klapie zamykającej dojskie do pojemnikaz wodą. To było wszystko. Tylko co dalej? Nie mogłem przecież pilnować wszystkich porozstawianych na obrzeżach farmy skraplaczy. Miałem ich dziesięć, a każdy potrzebował półkilometrowego promienia piachu i skał, by dać półtora litra wody dziennie. Moja farma leżała prawie na pograniczu Morza Wydm, więc skraplacze potrzebowały znacznie większej przestrzeni w związku z suchszym powietrzem. Jeśli Ludzie Piasku zorientowali się, że skraplacze zawierały wodę i uprą się, by ją zdobyć, to nie ma cudów - czeka mnie ruina. Mogłem wymieniać rozbite podzespoły, zwłaszcza raz na jakiś czas, ale nie byłem w stanie pilnować dziesięciu maszyn.

O północy zza wydm dobiegły głuche pomruki, więc prawie się przylepiłem do skraplacza. Brzmiało to jak dziki bantha mający dość upału, ale wiedziałem, że to nie bantha - to Ludzie Piasku wrócili.

I byli zdecydowani dostać tę wodę.

Trudno się zresztą było temu dziwić - w końcu zanim ja się tu zjawiłem, była to ich woda, prawda, że zbierana inaczej i może mniej efektywnie, ale ich własna. Musieli naprawdę być zdesperowani, skoro odważyli się dotknąć ludzkiej maszyny... Na południu rozległo się więcej głosów, dołączyły do nich ryki ze wschodu i zachodu, a ja już wiedziałem, że jestem otoczony i że atak nastąpi lada chwila.

I nagle zrozumiałem, co należało zrobić - jak mawiał Eywind, właściciel sąsiedniej farmy,

leżącej o trzy doliny dalej: należało stracić zysk. On co prawda dodawał, że dzięki temu kupi moją ziemię za grosze od wierzycieli, ale nie o to chodziło. Otworzyłem pokrywę komendą głosową i wybrałem kod, który wcześniej zaprogramowałem. Po chwili osłona pojemnika z wodą odsunęła się i wyjąłem z wnętrza hermetycznie zamknięty woreczek, w którym było pół litra wody. Zamknąłem pierwszą pokrywę, kazałem mu zamknąć drugą, postawiłem worek na piasku w cieniu skraplacza, i lekko naciąłem w górnej części. Ludzie Piasku bez trudu mogli wyczuć, co jest wewnątrz.

A potem pognałem do speedera i przeleciałem na szczyt wydmy leżącej na południowy wschód od skraplacza. Napastników jak dotąd nie zauważyłem, ale wiedziałem, że są doskonali w kamuflażu i specjalizują się w niespodziewanych atakach. Słyszałem masę opowieści o tym, jak dobrze potrafią posługiwać się gaffi - ulubionym toporem o dwóch ostrzach, wykonanym z metalu znalezionej na pustyni. Używali go także jako broni miotającej, i ponoć bardzo celnie, dlatego nie odlatywałem dalej - nie uśmiechała mi się perspektywa lotu bez głowy albo z siekierą w plecach, a słyszałem ich wszędzie naokoło. Miałem nadzieję, że zapach wody będzie na tyle silny, żeby nie tracili na mnie czasu, a potem cóż - może zrozumieją, co zrobiłem i w ten sposób do czegoś dojdziemy.

Z boku dostrzegłem ruch-jeden z nich nadchodził od północy, przygarbiony nisko przy ziemi. Gdy dotarł do stojącego przy skraplaczu woreczka, przyklęknął, starannie obwąchał folię i jej zawartość, a potem uniósł głowę i zawył przeciągle, aż echo zagrało w wąwozie. Po paru sekundach ze wszystkich stron gnało ku niemu z dziesięciu innych, przy czym czterech ominęło przy tej okazji szerokim łukiem mnie i pojazd. Wody spróbował tylko najmniejszy - nie wiem, może najmłodszy, a może jego zajęcie polegało na ryzykowaniu; resztę po degustacji przelali do cienkiego bukłaka nie roniąc ani kropli, a gdy skończyli, spojrzeli w moją stronę. Nie wydali żadnego dźwięku ani się nie poruszyli. Nagle ten który obwąchiwał worek, uniósł prawą rękę z zaciśniętą pięścią. Tknięty impulsem wyskoczyłem na piasek i powtórzyłem jego gest. Staliśmy tak nieruchomo jakiś czas - nigdy dotąd nie byłem tak blisko nich i wątpiłem, by oni kiedykolwiek znaleźli się tak blisko człowieka. W pewnej chwili ze wschodu powiał łagodny wiatr, chłodząc rozpalone powietrze, i nagle wszyscy odwrócili się i zniknęli wśród wydm.

Nie zniszczyli skraplacza ani nie próbowali mnie zabić. Przyjęli moj podarunek i zostawili nas w spokoju. Rozsądnie więc było dawać im wodę z tego skraplacza, jeśli miało to dawać gwarancję spokoju całej farmie Owszem, potrzebowałem tej wody, by nie zbankrutować, ale na krótką metę byłem w stanie poradzić sobie z pozostałymi dziewięcioma, a przez ten czas odkupić i naprawić dwa skraplacze wcześniejszej generacji od Eywinda. Jeśli je naprawię, będę miał tyle wody, że nie zagraża mi bankructwo, a za perspektywę pokoju z Ludźmi Piasku była to i tak znikoma cena.

Od tego dnia zacząłem nowy kalendarz dziejów farmy.

Dzień 2: Losy się ważą

Eywind twierdził zawsze, że zwariowałem zapuszczając się tak daleko, bo nikt nigdy tego nie robił, a te wszystkie wzory wilgotności, na jakich się opierałem, to bzdura albo inne oszustwo. Wąwóz czy kanion owszem, pomagają w zbieraniu wilgoci, ale nie wtedy, jeśli leżą praktycznie obok Morza Wydm.

On wiedział swoje, ja swoje - tym bardziej że dokładnie sprawdziłem wzory rozkładu wilgotności powietrza. Farma w tej okolicy miała sens i miała przyszłość - pewnie nie tak świetlaną jak te wokół Bestine, ale miała. Gdy robiąc pomiary obozowałem pod gołym niebem, nieraz koc i ubranie miałem nad ranem wilgotne, a odczyty tylko to potwierdzały - możliwa do zebrania woda jakoś przelatowała nad górami i osiadała tu w wąwozach, zamiast wyparować na patelni Morza Wydm dalej na zachodzie. I tak było codziennie, a sprawdzałem bite dwa tygodnie. Co prawda od pierwszego dnia, gdy obudziłem się z wilgotnymi włosami, wiedziałem, że będę miał farmę właśnie tutaj.

Miesiącami trwało wypisywanie papierków i czekanie na przydział ziemi, potem wypisywanie kolejnych papierków i czekanie na przyznanie pożyczki. A przez cały ten czas pozostali farmerzy wmawiali mi, że zwariowałem. W końcu wyniki badań przekonały dyrektora zygiańskiego banku. A może nie tyle wyniki, ile mój upór... nieważne, grunt, że przeczytał wyniki swoich badań, sprawdził, czy wiem cokolwiek o farmach wodnych, a kiedy okazało się, że wiem - pożyczył mi pieniądze.

Dając dziesięć tysięcy dni na spłatę.

Dziesięć tysięcy dni to aż za dużo, by zrealizować marzenie - tak mi się przynajmniej wydawało.

Teraz, leżąc po ciemku w łóżku po wybitnie urozmaiconym dniu, przypominałem sobie to wszystko i nagle przestał to być taki długi termin. Uświadomiłem sobie też coś jeszcze - coś, o czym nigdy dotąd nawet nie myślałem, nazywając okolicę moją farmą: ktoś tu był przede mną. Ktoś oprócz mnie był od tej ziemi uzależniony.

Wstałem i kazałem komputerowi wyświetlić mapę, którą zrobiłem, ledwie skończyłem budowę farmy. Była to uczciwa holomapa obejmująca farmę i okolicę.

- Dane mogą być udostępnione jedynie po specjalnej procedurze sprawdzającej tożsamość użytkownika - oznajmił zgodnie z poleceniem komputer. - Proszę przygotować się do sprawdzenia siatkówki.

Przez kilka sekund wpatrywałem się w oślepiająco białe światło, które nagle wystrzeliło z projektora. Od początku wiedziałem, że muszę pilnować mapy - sam ją zrobiłem po roku pomiarów, fotografowania i zdobywania półlegalnego oprogramowania. Robienie map mogło okazać się niebezpiecznym zajęciem, jako że Imperium było zdecydowane utrzymać monopol na ich posiadanie. Dlatego zaprogramowałem komputer tak, bym tylko ja miał dostęp do jego części zajmującej się kartografią. Informacje o nich nie istniały w pozostałej pamięci, w indeksach, w odnośnikach czy spisach programów. Pytanie o ich istnienie zadane czyimś innym głosem napotkałoby jedynie

negatywną odpowiedź, a próba wejścia przez część ogólnodostępną skończyłaby się wymazaniem całości wraz z fizycznym zniszczeniem nośników.

- Sprawdzenie siatkówki zakończone - odezwał się komputer. - Witaj, Ariq Joanson, oto dane, które chciałeś obejrzeć.

Część ściany specjalnie nie była niczym zastawiona i pomalowana na biało, bo na takim tle najwyraźniej widać holoprojekcje. Teraz też zamiast ściany ujrzałem obraz farmy i okolic widziany z powietrza. Budynki oznaczone były na niebiesko, skraplacze na zielono, piasek, góry i wąwozy pozostały w neutralnych kolorach. Czerwony punkt w głębi Kanionu Bildor na północny wschód od farmy oznaczał fortecę Jawa, zaś białe prostokąty zabudowania najbliższych farm. Najbliższa z nich, czyli Eywinda, była oddalona, jak to ładnie ujął jej właściciel, „o trzy kaniony i tyleż kilometrów”. Na czarno wyrysowane były granice farm. Na ścianie wyglądało to ładnie i skrzyło się różnobarwnymi kropkami reprezentującymi (poza jedną) ludzkie siedziby i technikę. Jakoś nigdy nie przyszło mi na myśl, by wyznaczyć granice terenów Ludzi Piasku - terenów, nie osiedli, jako że byli nomadami.

- Komputer, wyrysuj granicę od północno-wschodniej farmy w Kanionie Bildor wzdłuż grani po obu stronach kanionu na kilometr nad fortecą.

- Gotowe - zameldował zgodnie z prawdą.

- Oznacz miejsce wewnątrz nowych granic jako „Enklawa Jawa”.

- Gotowe.

Istotnie było gotowe, ale coś mi się tu nie podobało.

- Zmień nazwę na „Jawa...” - ale co Jawa? Ziemia, Rezerwat, Protektorat...? wszystko bez sensu.

Tylko „Jawa”.

- Gotowe.

Pod czerwoną kropką pozostało jedynie „Jawa”. Też ładnie.

- Teraz wyrysuj granice na zachód od północno-zachodniej farmy do Morza Wydm i na zachód od północnej granicy ziemi Jawa do Morza Wydm.

- Gotowe.

- Nazwij ten teren „Ludzie Piasku”.

- Gotowe... Czy Jawa i Ludzie Piasku uzyskali prawa do tych terenów?

- Nie. To bardziej fantazja niż rzeczywistość.

- Chcesz zachować te zmiany? i Zastanowiłem się nad tym krótko, ale dokładnie.

- Nie - zdecydowałem. - Wymaż zmiany i wyłącz się! Wykonał polecenie.

Położyłem się z powrotem i zająłem pracą koncepcyjną. To, co przed chwilą zrobiłem, było znacznie gorsze niż zwyczajne wyrysowanie fizycznej mapy okolicy. Trafiłem do dwóch kolejnych Gubernatorów ze sprawą sporządzenia map okolicy i od obu dostałem tę samą odpowiedź: „Nie ma pieniędzy”. Na ludzki język oznaczało to, że Imperium nie chce, by mieszkańcy mieli dokładne mapy tego, co leżało poza zasiedlonymi rejonami, a ja, jeśli chcę żyć w spokoju, powinienem przestać zajmować się podobnymi bzdurami. No to przestałem - oficjalnie.

Natomiast zacząłem myśleć, co, przyznając, idzie mi powoli, ale w końcu dochodzę do właściwych wniosków. Teraz też doszedłem. To nie przemytnicy czy inni przestępcy mi zagrażali, zagrażała mi przemoc ze strony Ludzi Piasku i oszustwa oraz kradzieże ze strony Jawa. Takie ich zachowanie - co zrozumiałem jeszcze później - było w znacznej mierze spowodowane stałym kurczeniem się ich tradycyjnych terenów. Mapy były pierwszym krokiem do zapewnienia farmerom

spokoju, pozostałym rasom zresztą też. Gdyby doprowadzić do spotkania wszystkich zainteresowanych stron i wynegocjować przebieg granic, które byłyby generalnie respektowane, liczba kłopotów radykalnie by się zmniejszyła. Farmerzy nie próbowaliby zasiedlać terenów, których nie powinni, a o których dotąd nawet nie mieli pojęcia, że należą do kogoś. Tu-sken Raiders przestaliby zabijać w obronie tego, co tylko oni uważali za nietykalne. A ja miałem naprawdę dość zabijania.

Tylko że aby z nim skończyć, potrzebowałem mapy, której władze nie chciały sporządzić.

No więc sam ją sobie sporządziłem.

Tej nocy zdecydowałem pokazać ją Jawa mieszkającym w pobliżu i pogadać z nimi o sposobie pokazania jej Ludziom Piasku. Jeżeli sami się dogadamy między sobą, jak współżyć w tych górach, to może kiedyś jakaś władza oficjalnie to potwierdzi.

- Komputer - poleciałem siadając - pokaż mapę, którą ostatnio poprawialiśmy, i wrysuj granice, które poleciałem usunąć. I skopiuj tę mapę do podręcznego holoprojektora.

Dzień 3: W fortecy

Przed bramą tej akurat fortecy byłem już wielokrotnie, zwłaszcza podczas pierwszego roku pomiarów wilgotności, i jej mieszkańców znałem nieźle. Zawsze wychodzili pohandlować - wodę dostawałem za śmieci znalezione na pustyni i za informacje o Imperium i obcych rasach. Co do Imperium, głównie interesowały ich miasta; chcieli też poznać słabą stronę każdej rasy i dowiedzieć się, jak z nimi handlować. Starłem się być wobec nich uczciwy i jakoś te interesy nam wychodziły - raz mnie się bardziej opłacało, innym razem im, ogólnie wychodziło na zero. Z kilkoma się nawet zaprzyjaźniłem; głównie ze starymi, od których można się było wiele dowiedzieć i którzy mieli cierpliwość, by nauczyć mnie najpierw swojego języka, a potem zastosowań tutejszych roślin czy wiedzy geograficznej, którą mieli naprawdę dużą.

Forteca zlewała się ze ścianami wąwozu, ale wiedziałem, jak bezpiecznie dotrzeć do jej ukrytych bram. Spokojnie podleciałem do najbliższej i unosząc holoprojektor zawołałem:

- Witajcie! Przybyłem do was wymienić informacje!

Brama otworzyła się natychmiast - słowo „wymiana”, niezależnie od kontekstu, miało już taki zgoła magiczny efekt, zarówno w przypadku pojedynczych Jawa, jak i całych zbiorowości. Z uchylonych wrót wypadło osiem postaci w brązowych habitach i tym razem także nie zdołałem wewnątrz nic zobaczyć. Zawsze było tam ciemno, a nigdy mnie do środka nie zaprosili, tak że nawet nie potrafiłem sobie wyobrazić, co też tam może być. Wiedziałem jedynie, że ta forteca stoi zaledwie sto lat i że mieści cały klan, czyli piętnaście rodów, to znaczy że cztery-stu osobników. Jawa zazdrośnie strzegła wszelkich sekretów, zwłaszcza przed obcymi. Ja byłem trochę mniej obcy, ale nie szkodzi - można było ze mną pohandlować, pogadać godzinami, ale na zewnątrz.

Pierwszym, który się zjawił, był Wimateeka, stary znajomy, który uczył mnie ich języka. Teraz też odezwał się w nim, tyle że wolniej, abym mógł bez trudu go zrozumieć.

- Nadal chcesz od nas wody mając całą farmę, która ją daje? - spytał, na co wszyscy się roześmieli.

- Nie, ale przyniosłem wam wodę w prezencie jako podziękowanie za to, co w przeszłości dla mnie zrobiliście - odparłem i wręczyłem mu ciepławy worek.

Ostrożnie odstawił go na piasek i dotknął, jakby wyczuwanie wewnątrz ruchów płynu sprawiało mu przyjemność.

- A co jeszcze przywiozłeś? - spytał.

- Wiedzę map. I wiedzę o tym, jak wykorzystuje ją Imperium, by decydować w sporach o ziemię. Możemy wykorzystać ją w ten sam sposób.

Ustawiłem holoprojektor na płaskim obszarze piasku w pobliżu bramy, ubitym przez wielokrotne przejazdy sandcrawlerów, i wyświetliłem na nim mapę. Nie licząc Wimateeki, reszta z wrzaskiem rzuciła się do ucieczki. Wimateeka pilnował wody i dlatego nic nie było w stanie zmusić go do odwrotu.

- Co to takiego, Arią? - spytał, spoglądając na holoprojekcję. No to zabrałem się za wyjaśnienia.

Zacząłem od tego, co to jest mapa i na co ona może się przydać. Potem zacząłem tłumaczyć, co jest pokazane na tej konkretnej i szybko ciekawość wzięła górę nad strachem - pozostali wrócili i zaczęli słuchać, a potem pokazywać znajome punkty orientacyjne. A później wytłumaczyłem im wszystkie znaczki, kolory i przede wszystkim granice oraz ich znaczenie, tak dla nich, jak i dla nas, farmerów. Wyjaśniłem im, że jeśli zgodzimy się respektować tę umowną w rzeczywistości linię, to nie będę rozszerzał farmy w kierunku ich fortecy, a przeciwnie - pomogę im wypełnić stosowne dokumenty, aby ta ziemia stała się ich własnością. Powiedziałem, że wtedy będą mogli kupić sobie skraplacze i ustawić aż do granicy mojej farmy, a jeśli nawet nie będą chcieli tego zrobić, to będą mieli ochronę prawa własności i wytyczonej granicy. Na koniec wyraziłem nadzieję, że Imperium może kiedyś zaakceptuje granice, które wyznaczymy, i że sami farmerzy zrobią to szybciej niż władze.

Gdy skończyłem, pospieszyli do środka przedyskutować to, co usłyszeli. Wodę zabrali, ale Wimateeka został, bo go o to poprosiłem. Siedli-śmy w cieniu landspeedera obserwując zachód słońca i gawędziliśmy.

- Możesz mnie nauczyć powitania Ludzi Piasku? - spytałem w pewnym momencie.

Spojrzał na mnie zaskoczony, ale po chwili powiedział:

- *Koroghh gahgt takt*. Niech będzie błogosławione twe odejście.

- Powitanie, nie pożegnanie - powtórzyłem wolno i wyraźnie.

- To jest powitanie, i to najuprzejmiejsze. Oni się tak witają, bo zawsze są w drodze, a w jednym miejscu pozostają na krótko i z rzadka.

Istotnie na krótko, skoro zamiast się przywitać błogosławią się na dalszą drogę. Cóż, co kraj to obyczaj - było kiedyś podobno takie powiedzenie.

- Mógłbyś to powtórzyć? - zaproponowałem. Powtórzył.

A ja za nim - tyle razy, ile było konieczne, by zaczęło brzmieć właściwie.

- Po co się uczysz ich powitania? - zainteresował się w końcu. Wyjaśniłem mu, co zamierzam, i tym razem milczał naprawdę długo, spoglądając na mnie w zamyśleniu.

- W nadchodzących dniach młodzi Ludzie Piasku będą niebezpieczni - odezwał się w końcu. - Muszą dokonać wielkich czynów, by mieć o czym opowiadać, gdy dorosną. Często zabijają, żeby się wykazać, zwłaszcza tych, którzy nie są Ludźmi Piasku. Wszystkie nasze pojazdy wracają teraz, by przeczekać ten okres w fortecy. Powinieneś zebrać ludzi i zrobić to samo w Mos Eisley.

I opowiedział mi, jak to niedawno armia młodych Tusken Raiders zaatakowała położoną na południu fortecę, zabijając i grabiąc. Forteca dotąd stała pusta i wypalona... Miałem szczęście, że ci koło skraplacza byli dorośli i nie musieli się wykazywać.

Z kolei Wimateeka spytał, jak obsługiwać holoprojektor, więc przeprogramowałem go tak, by reagował na jego głos, ale tylko wyświetlając mapę. Po trzeciej udanej próbie Wimateeka poprosił, żebym pozwolił mu go zabrać i wziąć udział w dyskusji w fortecy. Zgodziłem się, ale zaznaczając, że projektor nie podlega żadnej formie handlu i że chcę go z powrotem. Obiecał, że odniesie osobiście.

I poszedł - z holoprojektorem, ma się rozumieć.

Zjadłem kolację, rozłożyłem koce i śpiwór i na wszelki wypadek położyłem pod poduszką blaster - ci młodzi Ludzie Piasku naprawdę działali na wyobraźnię, a może tylko Wimateeka miał ukryty talent dramatyczny. Zanim jednak zdążyłem zasnąć, z fortecy wymaszerowała grupa z pochodniami i Wimateeka na czele. Zgodnie z obietnicą odniósł holoprojektor. Postawił go na piasku

i oznajmił uroczyście:

- Zaszczyciłeś nas. Przesuń granicę tak, by obejmowała dolinę na zachód od tej ku Morzu Wydm, a przyjmujemy twoją propozycję.

Uruchomiłem holoprojektor i naniósłem zmianę, o której mówił. Z komentarzy, jakie się posypały, dowiedziałem się, że tamtędy prowadzi droga sandcrawlerów na Morze Wydm. Trudno było nie przyznać im racji - Jawa faktycznie potrzebowali tej doliny.- Tu na piasku nie jest bezpiecznie - stwierdził Wimateeka. - Weź rzeczy i pojazd, i chodź z nami. Będziesz spał wewnątrz.

Tego, przyznam się, nie oczekiwałem. Spakowałem czym prędzej posłanie, broń i holoprojektor i powoli wprowadziłem maszynę przez oświetloną pochodniami bramę, którą za mną natychmiast zamknięto.

Tej nocy nie zmrużyłem oka - w wielkiej sali, w migotliwym świetle pochodni długo rozmawialiśmy o mapach, o wodzie, o Ludziach Piasku i o tym, jak się z nimi porozumieć.

Dzień 5: Powitanie

Obaj z Eywindem siedzieliśmy na wydnie w cieniu pojazdów i obserwowaliśmy skraplacz, w cieniu którego stał sobie'codzienny woreczek z wodą dla Ludzi Piasku.

- Zawsze tu przychodzą? - spytał Eywind.

- Codziennie.

- I nie uszkodzili ci żadnego skraplacza?

- Od tamtego dnia nawet do nich nie podchodzą.

- Nadal mi się to nie podoba. Twoja farma leży najdalej i jesteś oddzielony od nas wąwozami, więc pewnie musisz się jakoś z nimi dogadać, ale moja jest następna w kolejce i nie mam zamiaru robić czegokolwiek, by ich zachęcić do pojawienia się w okolicy. Nie dam im wody... tylko ciekawe, ile czasu minie, zanim po nią przyjdą...

- O, tam: widzę jednego! Obserwuj wydmy na północnym zachodzie... najczęściej przychodzą z tamtej strony. Pewnie mają gdzieś tam obóz.

- A ty ich przywabiasz tutaj.

Nie odpowiedziałem - dyskutowaliśmy już na ten temat przez ostatnie dni i nie zamierzałem się z nim kłócić przy Tusken Raiders. Muszę przyznać, że on też nie zamierzał, bo zamilkł. Nie było wiatru, w wąwozie panował idealny bezruch. Nie słyszałem też żadnego dźwięku, a po raz pierwszy przyprowadziłem kogoś ze sobą. Nie wierzyłem, żeby chcieli mnie skrzywdzić - mieli dotąd aż nadto okazji. Wstałem więc i położyłem Eywindowi rękę na ramieniu. - Skoro byliśmy tak blisko, powinni zrozumieć, że nie chcę, aby jemu coś się stało. Miałem zamiar dotrzymać tego, co postanowiłem, pomimo że zmieniało to zasady międzyra-sowego współistnienia w okolicy. Miałem nadzieję, że na lepsze, ale to mogła okazać jedynie przyszłość.

Nagle jeden z Ludzi Piasku wstał w cieniu skraplacza - jak się tam znalazł, nie zauważyłem, choć teren był otwarty. Uniosłem zaciśniętą pięść, ale nie odwzajemnił gestu.

- To nie był chyba najlepszy pomysł - mruknął cicho Eywind. - Mam odlecieć?

- Jeszcze nie. - Nie opuszczając pięści, nabrałem w płuca powietrza i krzyknąłem: - *Koroghh gahgt takt*.

Tusken Raiders gwałtownie się cofnął, wychodząc z cienia na pełne słońce. Wyglądało, jakby miał zamiar zaraz rzucić się do ucieczki.

- *Koroghh gahgt takt* - wrzasnąłem ponownie, mając nadzieję, że wymawiam poprawnie i nie wyszła mi jakaś obelga czy inne wyzwanie do walki.

A może Wimateeka coś pokręcił?

Powoli dłoń przybysza zacisnęła się w pięść i uniosła.

- *Koroghh gahgt takt* - odkrzyknął.

Odetchnąłem z ulgą: sprawy zaczynały się wreszcie układać po mojej myśli.

Kolejne pozdrowienie rozległo się gdzieś pośród wydm na wschodzie, a potem następne

posypały się praktycznie zewsząd, odbijając się echem od ścian.

- Jesteśmy otoczeni! - Eywind poderwał się jak oparzony.

Nadal jednak widzieliśmy tylko jednego z nich - tego przy skraplaczu, który spokojnie już podniósł woreczek z wodą i zniknął pośród wydm. Nie zwlekając, obaj odlecieliśmy do mnie, gdzie rozmawialiśmy do późnej nocy.

Przekazałem wszystkim farmerom w okolicy ostrzeżenie Wimateeki i wszyscy zgodziliśmy się, że nie możemy uciec do Mos Eisley. Gdybyśmy tak postąpili, byłoby to równoznaczne z ogłoszeniem, że nie mamy zamiaru tu pozostać na stałe. Żeby jednak móc pozostać, musieliśmy mieć spokój, a większość była przekonana, że to zapewnić może jedynie broń i ochrona sił Imperium. Ledwie kilku słuchało moich wypowiedzi o granicach i pokojowym sąsiedztwie - Eywind do nich nie należał.

I słowem też nie wspomniał, że ma zamiar się ożenić, ścichapek jeden.

Dzień 15: Eywind i Aviela

Kiedy przyleciałem na farmę Eywinda po jeden z jego starych i uszkodzonych skraplaczy, powitał mnie w towarzystwie pięknej dziewczyny, którą pierwszy raz w życiu widziałem.

- To Aviela, moja narzeczona - przedstawił. - Pobieramy się za pięć tygodni.

Tak po prostu.

Jak się potem okazało, nikomu o niczym słowem nie pisałem. Przyznaję, nie sądziłem, że jest aż tak zamknięty w sobie.

- Miło mi poznać - wykrztusiłem. - I te... no... gratulacje.- Słyszałam, że masz wielkie plany dotyczące nas wszystkich - powiedziała z uśmiechem.

- Teraz rozumiesz, dlaczego nie chcę, by Ludzie Piasku pojawili się w okolicy? - spytał Eywind..

I zaczęła się dyskusja, która różniła się od pozostałych jedynie tym, że brały w niej udział trzy osoby, z których jedną ledwie zdążyłem poznać.

- Posłuchaj, mówiłem ci już tyle razy, że powinieneś wreszcie zapamiętać, nawet jeśli się z tym nie zgadzasz: uważam, że bez pokoju z Jawa i Ludźmi Piasku nie przetrwamy. A w ogóle to uważam, że na nieć tygodni przed ślubem macie ważniejsze sprawy niż kłótnie ze mną - stwierdziłem uczciwie. - Sprzedaj mi ten uszkodzony skraplacz i już znikam.

- Ale ja uważam, że masz rację, Ariq - oświadczyła dziewczyna i przyznaję że mnie zatkało. - Myślę, że powinniśmy ci pomóc i wierzę, że znam sposób, przynajmniej na pierwszy ruch - dodała. - Czy Jawa przy-szliby na nasz ślub? Możesz ich zaprosić w naszym imieniu.' lo przecież nasi sąsiedzi, a ty znasz ich znacznie lepiej niż my.

- Nigdy żadnego nie wachała - bąknął Eywind wyjaśniająco.

- Ale ja wachałem, ty też - zgasilem go. - Przyjdą. Dziś jeszcze ich zaproszę.

I zaprosilem.

Najpierw zawiozłem skraplacz na farmę, spakowałem zapasy na noc i poleciałem do forticy. Dotarłem na miejsce jak zwykle tuż przed zachodem słońca.

- Znowu nas zaszczycasz! - ucieszył się Wimateeka, gdy wytłumaczyłem mu, co mnie tym razem sprowadza. - Ale co z prezentami? Powinniśmy im coś dać z tej okazji, a mamy niewiele. Nasze prezenty będą wyglądały tandetnie i tanio.

- Będą zaszczyceni, cokolwiek im dacie - uspokoilem go mając nadzieję, że tak będzie.

Noc ponownie spędziłem w wielkiej sali narad - tym razem dyskusja dotyczyła prezentów. Propozycje były rozmaite: sól skalna, która zawsze się przydaje; woda, której sami zbyt wiele nie mieli; tkanina, której wiecznie było za mało; regenerowany droid, co byłoby prezentem eleganckim, ale niesamowicie drogim. Zaproponowałem im, by ich nauczyli swego języka, co byłoby użytecznym podarkiem, ale pomysł ze skalną solą podobał im się znacznie bardziej.

Tej nocy nie rozwiązaliśmy problemu podarków.

Dzień 32: Sąsiedzka wizyta

Zakończyłem instalowanie ostatniego odkupionego od Eywinda skraplacza tuż po zmierzchu. Jeśli testy sprawdzą się w warunkach polowych, powinien dać solidny litr wody dziennie - może nawet jeden i jedną trzecią litra. Będę miał przynajmniej dwa litry wody ponad dotychczasową produkcję, nie licząc wody oddawanej Ludziom Piasku. Wychodziło na to, że nie zbankrutuję.

Spakowałem narzędzia i niespiesznie poleciałem do domu na kolację. Leciłem powoli, bo było ciemno, a po ciemku łatwo wpaść na coś mało przyjemnego, choć spotkanie z największą zmorą pustyni, czyli z Ludźmi Piasku, akurat dla mnie nie byłoby groźne. Wleciałem w kanion, w którym znajdowały się zabudowania farmy i ze zdziwieniem stwierdziłem, że wokół domu pali się mnóstwo świateł. Przyspieszyłem i wylądowałem czym prędzej.

Czekali na mnie Eywind, Aviela, Jensenowie sąsiadujący z Eywindem, Clayowie, Bjornsonowie i z pół tuzina farmerów, których nie znałem.

- Co się stało? - spytałem wysiadając.

- Przybyliśmy prosić cię jako twoi sąsiedzi, abys przestał dawać wodę Ludziom Piasku - Eywind wystąpił jako rzecznik. - Nie wiesz, co wywołujesz.

Odetchnąłem z ulgą, bo już myślałem, że stało się naprawdę coś poważnego - dajmy na to Imperium zaczęło walkę z korupcją i przy okazji zniszczyli Mos Eisley, więc trzeba przenocować uciekinierów, albo coś w tym rodzaju.

- A co, zrobili coś komuś, odkąd zacząłem im dawać wodę? - spytałem.

- Zabili mi syna... pięć lat temu - odparła Bjornsonowa.

- Nie wiesz tego na pewno - powiedziała cicho Aviela.

- Znalazłam go w wąwozie na północy, porąbanego na sztuki. Imperialni śledczy powiedzieli, że to Ludzie Piasku. Kto poza nimi używa siekier?

Nikt się nie odezwał, nie chcąc mówić tego, co oczywiste: każdy mógł użyć topora, chcąc skierować podejrzenia na Tusken Raiders. A śledczym idealnie pasował zbiorowy zabójca, którego postawić przed sądem jest fizyczną niemożliwością.

- Włamali mi się do magazynu i zniszczyli narzędzia - odezwał się Clay.

- Zniszczyli mi pięć skraplaczy - zawtórował mu Jensen.

- Jeden rzucił we mnie gaffi, na szczęście trafił w tylny stabilizator - dodała Sigurde. - Ledwie doleciałam do Mos Eisley.

- No więc zdarzają się wypadki, ale to nie dowód, że wszystkiemu są winni Ludzie Piasku - przerwała tę litanię Aviela. - Dowód nie dowód - zirytował się Olafsen - ale wszystkie kłopoty są przez przybyszów, takich jak ty z tego tam... Alderaana, albo takich jak Arię, którzy lepiej wiedzą, jak my tu powinniśmy żyć.

- Nie jestem tu nowy - przypomniałem mu spokojnie, wiedząc, że nie w tym rzecz: to moje pomysły są nowe i zanim się sprawdzą, mogą wywołać problemy, a farmerzy nie lubią problemów.

Zagrożenie ze strony Ludzi Piasku było stare i znajome, a więc do przyjęcia. Zaczęło mi świtać, że kłopoty będą nie tylko ze strony nomadów. I nie wiadomo z czyjej większe.

- No dobra, pracowałeś na farmie wodnej jako dzieciak - przyznał Eywind. - Doprowadziłeś do tego, że twoja własna farma przynosi dochody, ładnie. Ale czy to znaczy, że możesz się mianować ambasadorem w imieniu nas wszystkich i negocjować cokolwiek z Ludźmi Piasku czy z Jawa?

- Ludzie Piasku zrujnowaliby moją farmę, a ty doskonale o tym wiesz. Musiałem znaleźć sposób, by z nimi współżyć, i znalazłem. Nie wzięło się to z nadmiaru wolnego czasu czy innej fanaberii, i o tym też wiesz.

- Większość nas nie zgadza się z tym, co robisz, Ariq.

- Tak? McPhersonowie, Jonsonowie i Jaçuesowie zgadzają się, a jakoś nikogo z nich tu nie widzę. A Owen i Beru: rozmawiałeś z nimi? A Darklightery - wiesz, co o tym myślą?

- Za dwa dni będziecie się mogli o tym przekonać osobiście - dodała Aviela. - Poprosiliśmy Ariqę, by zaprosił w naszym imieniu na ślub Jawa i z tego, co wiemy, przyjęli zaproszenie i zjawiają się jako nasi goście!

To oświadczenie wywołało taką pyskówkę - bo dyskusją się tego w żaden sposób nie dało określić - jakiej w życiu nie słyszałem. Korzystając z sekundowej przerwy, dolałem oliwy do ognia:

- Jawa byli zaszczytni zaproszeniem i sami zobaczycie, że można z nimi spokojnie żyć. Może się też okazać, że z Ludźmi Piasku również.

I tak nikt mnie nie wysłuchał. Aviela wyglądała na przestraszoną, Eywind na niezadowolonego, a ja miałem dość - wychodziło na to, że ponieważ ona nie podziela jego zdania na temat moich pomysłów, to będę powodem ich pierwszej, naprawdę poważnej kłótni, i to zanim jeszcze się pobiorą.

W końcu uspokoiło się jakoś i zaczęli się rozjeżdżać pomstując, że tak tego nie zostawią i polecą do Mos Eisley albo i do Bestine do władz. Chwilowo było mi to naprawdę serdecznie obojętne, więc zająłem się czymś pożytecznym: wprowadzaniem landspeedera do garażu i pozamykaniem wszystkiego na noc. Gdy skończyłem i wyszedłem na zewnątrz, Aviela nadal tam stała. Sama.

- I co zamierzasz zrobić? - spytała, ledwie mnie zobaczyła. Chciałem ją spytać o to samo, ale była szybsza.

- Nie wiem - przyznałem siadając na ciepłym piasku. Siadła obok i pomilczeliśmy sobie długą chwilę.

- Naprawdę pochodzisz z Alderaana? - spytałem cicho.

- Naprawdę.

- I nie brak ci niczego?

- Jestem zakochana, więc wszystko się wyrównuje... chociaż nie: brak mi wody. Tam jest jej tyle, że nikomu nawet do głowy nie przyjdzie, by ją oszczędzać.

- Tego akurat nie potrafię sobie wyobrazić. Zawsze strzegłem jej jak największego skarbu.

- Tam byś nie musiał. Jest jej w bród. Co byś zrobił, gdybyś się znalazł na Alderaan?

- Pływałbym cały dzień.

- A potem?

- Wziął godzinny prysznic. I miałbym w domu masę roślin, które bym codziennie podlewał.

Przyjrzała mi się z uśmiechem i niechętnie wstała.

- Nie pozwolę Eywindowi narobić ci kłopotów w Mos Eisley czy Bestine - obiecała. - Ale za pozostałych nie mogę ręczyć.

- Dzięki - też się uśmiechnąłem i poczekałem, aż odleci.

Potem wpadłem do domu - wewnątrz było gorąco, apetytu nie miałem, więc wziąłem holoprojektor i wyszedłem na niewysoką grań górującą z jednej strony nad zabudowaniami. Zgasilem wszystkie światła farmy i wyświetliłem mapę nad skałami. Wyglądała naprawdę ładnie, zwłaszcza że nad nią świeciły gwiazdy. Stwierdziłem, że zbyt rzadko spoglądam w niebo - w ciągu dnia zbyt dużo zajęć, a w nocy za bardzo jestem zmęczony.

Trzeba by to zmienić, ale zobaczymy, jak się sprawy ułożą.

Dzień 50: Wesele

Na weselu pojawiło się trzydziestu jeden Jawa, a jako prezenty przynieśli parę worków skalnej soli, litr wody, belę brązowego sukna własnego wyrobu i diagnostycznego droida tak miniaturowego, że mieścił się w dłoni. Ponieważ do końca nie mogli zdecydować się na jeden prezent, przynieśli po trochu ze wszystkiego, o czym mówiliśmy. Droid posługiwał się językiem binarnym jak skraplacze, a Jawa wypolerowali go tak, że gdy leżał na słońcu, oczy bolały od blasku.

Ludzie byli pod wrażeniem liczebności delegacji i bogactwa podarków, a ja robiłem za tłumacza między młodą parą a Wimateeka, będącym kimś w rodzaju kierownika wycieczki. Eywind dopadł mnie prosząc o pomoc, gdy stałem przy wazie z ponczem wraz z Jensenami oraz matką i siostrą Avieli, które przyleciały z Alderaana. Zanim odszedłem, Jense-nowa stwierdziła, że być może mam rację postępując tak jak postępuję. Uśmiechnąłem się i poszedłem pomóc Eywindowi w podziękowaniach. Potem Jawa zasypali mnie pytaniami w takich ilościach, że momentami brakowało mi słów. Ot, dla przykładu: tak, wszyscy obecni są ich potencjalnymi klientami, a droid diagnostyczny zrobił na nich duże wrażenie; nie, nowożeńcy nie będą publicznie konsumować małżeństwa, pomimo że wszyscy życzą im zdrowych dzieci; tak, ludzie robią specjalne jedzenie na wesele, żeby dłużej pamiętać taką uroczystość. Chcąc mieć chwilę wytchnienia, zaproponowałem, by spróbował ponczu, z którym dotąd się nie zetknął. Nalałem mu czarkę i okazało się, że nie doceniłem stopnia, w jakim Jawa są ciekawi świata. Poncz był prawie bezalkoholowy, więc nie powinien mu zaszkodzić.

- Naczynie jest zimne - zdziwił się biorąc czarkę.
- Na ważnych uroczystościach przeważnie podajemy zimne napoje - poinformowałem go.
- Dlaczego jest czerwony? Zawiera krew?
- To barwa jednej z przypraw. Ludzie nie piją krwi.

Wimateeka spojrzał na mnie dziwnie - może Jawa akurat piją. Jak go znam, to wkrótce da mi okazję, abym się o tym przekonał. Nadal jednak nie próbował, więc go zachęciłem.

- Jest całkiem smaczny, przynajmniej my tak uważamy.
- A ile kosztuje? - spytał w końcu.

A, więc o to chodziło! Musieli się nieźle nagłowić, czy im starczy pieniędzy, zwłaszcza że nie mieli pojęcia o cenach. Stąd ta wstrzeźliwość.

- Wszystko, co jest podane do picia i do jedzenia, jest podarunkiem dla gości weselnych - uspokoilem go najlogiczniej jak umiałem.

Poskutkowało - wypił i oczka mu silniej błysnęły. O dolewkę sam poprosił, więc musiało mu zasmakować. Nalałem pozostałym i okazało się, że miałem rację - tak im przypasowało, że przez najbliższy kwadrans opróżnili dwie wazy, a ja miałem pełne ręce roboty.

Potem pojawił się podenerwowany i niespokojny Eywind.

- Chciałbym zacząć część oficjalną, ale nie ma Owena i Beru, chociaż powiedzieli, że będą.

- Nie wiadomo, co ich zatrzymało - spróbowałem go uspokoić. - Lepiej zacznij w miarę szybko, bo będziemy mieli trzydziestu urzęniętych gości przed weselem.

Wszyscy się roześmiali.

I zaczęła się strzelanina.

Wszyscy zaparkowali pojazdy na zachód od budynków i tam zaczęło się zamieszanie - kilku mężczyzn krzycząc zaczęło strzelać do maszyn i przez moment zastanawiałem się, dlaczego robią coś tak głupiego. Potem przestałem: zobaczyłem Ludzi Piasku. Musieli wpaść na pomysł, żeby korzystając z uroczystości ukraść jeden lub więcej landspeederów. Cholerne młokosy!

Strzelanina przybrała na sile, w powietrzu zaświstały gaffi i wśród wrzasków i krzyków ludzie rozbiegli się szukając kryjówek. Eywind pognał ku pojazdom - nie wiem, czy chciał dołączyć do strzelających czy przerwać strzelaninę... Pobiegłem za nim, ale straciłem go z oczu w tłumie. A potem prawie potknąłem się o Avielę trzymającą kogoś w objęciach.

Był to Eywind zalany krwią.

Przykleknąłem obok. Wokół rozpętała się kanonada, Ludzie Piasku wyrastali jak spod ziemi... Wstałem, licząc na to, że może mnie rozpoznają, co powinno mnie i jej zapewnić bezpieczeństwo. Rzeczywiście paru cofnęło się na mój widok. A potem coś huknęło mnie w plecy i znalazłem się na ziemi, nie mogąc złapać tchu. Oberwałem płazem gaffi, ale nie straciłem przytomności. Usłyszałem krzyk Avieli, ale nie mogłem się ruszyć. Wokół widziałem jedynie nogi Ludzi Piasku, a potem ludzkie. Ktoś szarpnięciem postawił mnie na nogi i warknął:

- To wszystko twoja wina! Tak się kończy dawanie im wody! I puścił mnie.

Zwałem się na piasek, ale już mogłem oddychać, więc szybko się pozbierałem. Właśnie wynosili Eywinda.

- Nie żyje! - krzyknął jeden z niosących i te słowa trafiły mnie tak jak przed chwilą gaffi.

- Zabrali Avielę! - krzyknął ktoś inny. - Złapali ją i zabrali ze sobą! Matka Avieli złapała mnie za ramię:

- Musisz ją uratować! Inni będą ich gonić, żeby zabić, a jak zaczną strzelać, to Ludzie Piasku ją zabiją. Ratuj ją!

- Zaraz lecę, tylko znajdę Wimateekę. Potrzebuję tłumacza, żeby się z nimi dogadać.

Ustaliliśmy, że mam dwanaście godzin na odnalezienie Ludzi Piasku i przekonanie ich, by oddali mi dziewczynę. Reszta zajmie się w tym czasie zorganizowaniem odpowiednio wyposażonej ekspedycji-jeśli nie wrócę za dwanaście godzin, wyruszą na poszukiwania.

I będą zabijać Ludzi Piasku.

Wimateekę i pozostałych zastałem skulonych w pojeździe, którym przybyli. Wytłumaczyłem mu co zamierzam i poprosiłem, by ze mną poleciał. Zatrzęsło nim ze strachu, ale wstał i poszedł ze mną. Gdy odlatywaliśmy, nadal dygotał.

A ja zastanawiałem się, dlaczego sam nie trzęsę się ze strachu.

Dzień 50: Wczesne popołudnie: ostatnia woda

Czekałem przy skraplaczu, ponieważ uważałem, że Ludzie Piasku zabrali Avielę do swego głównego obozu, a ten - jak sądziłem - znajdował się na północny wschód od skraplacza. Landspeeder porusza się znacznie szybciej niż bantha, nie wspominając już o kimś, kto wędruje piechotą, więc musiałem ich wyprzedzić. Na pewno będą tędy przechodzić, a istniała spora szansa, że sprawdzą, czy nie zostawiłem im jak zawsze wody. Wykombinowałem też, jak ich przekonać: skoro potrzebowali dokonać czegoś wielkiego, czym potem mogliby się chwalić i być z tego dumni, mogłem im to zaproponować - niech negocjują ze mną i Wimateeką granice swych terenów. Wiadomo, że ostateczną decyzję muszą podjąć dorośli członkowie plemienia, ale młodzi mogą zacząć i przekonać ich o konieczności takiego postępowania. Z pewnością byłby to wiekopomny czyn.

Miałem nadzieję, że w to uwierzą i że dadzą mi wytłumaczyć, a nie zatłuką od ręki. I przede wszystkim liczyłem na to, że zgodzą się ze mną, iż Avielę jest przy tym wszystkim mało istotna, a woda i materiał, jakie przywieźliśmy z Wimateeką, zrekompensują ją bez problemów.

Tak więc czekaliśmy przy skraplaczu z wodą, materiałem i holoprojektorem.

Zjawili się tak jak się spodziewałem. Wszyscy równocześnie otoczyli nas pierścieniem groźnie połyskujących gaffi. Wydmy aż się roiły od Ludzi Piasku, ale nie widziałem wśród nich dziewczyny. Mimo to wstałem, uniosłem zaciśniętą pięść i powitałem ich: - *Koroghh gahgt takt*. Żaden się nie odezwał i żaden nie uniosł pięści. Wtedy zobaczyłem na jednej z wydm Avielę - była związana, zakneblowana i pod strażą. Kazałem Wimateece tłumaczyć i nie zwlekając zabrałem się za wyjaśnienia; coś mi mówiło, że mogę nie mieć dużo czasu.

Powiedziałem im, że możemy zakończyć dzisiejsze kłopoty i wytłumaczyłem, co by to znaczyło dla nich i dla nas, zwłaszcza gdyby w przyszłości Imperium zaakceptowało naszą umowę. Wimateeką miał trudności z wyjaśnieniem, co to takiego mapa, ale na to byliśmy przygotowani - wcześniej wyrównaliśmy kawałek piasku, więc teraz wystarczyło włączyć holoprojektor. Część z nich cofnęła się gdy to zrobiłem, ale znacznie więcej zbliżyło się zaciekawionych i widać było, że zaczynają rozumieć, o co mi chodzi. Wtedy odmówiłem dalszych negocjacji, dopóki nie uwolnią dziewczyny.

- To, o czym mamy mówić, jest ważniejsze od zabijania - oznajmiłem. - Chcę, żebyście ją uwolnili i oddali pod moją ochronę. To moja przyjaciółka. Jako rekompensatą za kłopoty związane z jej transportem tutaj oferuję wam wodę i materiał, który tu widzicie.

Nie bardzo im się ten pomysł spodobał, więc trochę się potargowaliśmy, ale w końcu stanęło na moim. Wzięli wodę i materiał i przekazali je tłumowi. Potem rozcięli więzy Avieli, pozwalając jej spokojnie do mnie podejść. Co prawda ledwie raczyli jej się usunąć z drogi, ale była od nich wyższa, więc widziała, gdzie jesteśmy i w końcu przepchnęła się do mnie. Uściskaliśmy się we trójkę z Wimateeką i ta sprawa została załatwiona.

A potem zaczęliśmy się targować, negocjować, kłócić i wykreślać granice na mojej mapie. 1

jakoś stopniowo osiągnęliśmy porozumienie.

Ciekawe, co dałyby antropologiczne sławy za okazję obserwowania Ludzi Piasku, którzy od zawsze byli zagadką, w dodatku zagadką niebezpieczną. Teraz napięcie powoli mijało, a moja mapa stawała się coraz realniejsza i coraz piękniejsza.

Skończyliśmy na sześć godzin przed uzgodnioną z farmerami godziną pełnym porozumieniem, wobec czego Aviela, Wimateeką i ja zaczęliśmy się pakować. Ludzie Piasku poobserwowali nas chwilę i zaczęli odchodzić, kierując się na północny zachód od obozowiska.

Aviela wspięła się do landspeedera, podałem jej Wimateekę i sam wsiadłem jako ostatni. W tym momencie wydma na zachód od nas eksplodowała, gdy promień ciężkiego lasera rozwalił mój skraplacz, wypuszczając z niego chmurę pary i rozsiewając wokół szczątki. A zaraz potem w powietrzu zrobiło się gęsto od laserowego ognia, w górę wystrzeliły fontanny piachu i trupy uciekających w popłochu Tusken Raiders.

Sześć godzin przed czasem, po uzyskaniu wszystkiego, o czym można było marzyć, jakiś narwany kretyn urządził sobie ruchomą strzelnicę! W życiu nie byłem tak wściekły jak wtedy, lecąc z maksymalną szybkością prosto ku skalistemu wzniesieniu na południu, skąd prowadzono ostrzał. Tak jak się spodziewałem, do nas nikt nie strzelał; ogień przerwano na całkiem szerokim odcinku, tworząc bezpieczny korytarz, którym spokojnie dolecieliśmy do celu. A tam doznałem kolejnego wstrząsu: skała była aż biała od szturmowców. Mieli ze sobą nawet ręczne działka laserowe! Ci idioci, którzy od początku się ze mną nie zgadzali, nie dość, że nie dotrzykali terminu, to jeszcze sprowadzili tu wojsko! Zahamowałem za wzniesieniem, wyskoczyłem na skałę i wrzasnąłem:

- Przerwać ogień! Strzelacie do gówniarzy!

Zignorowali mnie całkowicie, więc wyrwałem najbliższemu karabin, gdy wtem ktoś złapał mnie z tyłu i przydusił do ściany.

- Przestań! - ten, co mnie trzymał, ryknął mi w ucho, aż zadźwięczało. Rozejrzałem się - wokół było ośmiu czy dziesięciu farmerów, którzy od początku mieli mi za złe to, co robiłem.

- Uspokój się albo szturmowcy cię zabiją! - krzyknął trzymający mnie. - Przeżyjesz, to wieczorem pogadamy spokojnie i sami.

Szarpnąłem się, ale inni mu pomogli, a potem stanęła przede mną zapłakana Aviela.

- Nie przewidzieliśmy, że Imperium się wtrąci - powiedziała cicho. - Nie rozumiesz? Imperium nigdy nie zgodzi się na twój plan: chcą, by na jak największej liczbie planet były kłopoty, bo wtedy większość ludności wita ich jak wybawicieli zaprowadzających pokój. Gdybyś doprowadził do tego, że tu zapanowałby spokój, ich obecność stałaby się zbędna, a na to nie pozwolą. Teraz widzisz, kto jest prawdziwym wrogiem?

Miałem ochotę własnoręcznie sprać się po gębie za głupotę: powinienem był się tego domyślić. Powinienem to wiedzieć od dnia, w którym drugi Gubernator odmówił wysłania ekspedycji kartograficznej!

Kanonada ustała, więc mnie puścili, ale trzymali się blisko. Farmerzy podziękowali szturmowcom za „uratowanie” Avieli, Wimateeki i mnie i wojsko zaczęło się zbierać.

- Będziecie musieli na pewien czas ewakuować się z farm - pożegnał nas oficer dowodzący oddziałem. - Zwłaszcza ci z was, którzy mają najdalej położone farmy. Zanim nie spacyfikujemy tych tam, może być tu trochę niebezpiecznie.

Doskonale wiedziałem, że nie mam się po co ewakuować - musiałem się definitywnie wynieść z farmy, bo Ludzie Piasku nie spoczną, póki mnie nie zabiją. Jedyne ratunek leżał w przekonaniu ich, że

to nie ja zdradziłem, i wytłumaczeniu, kto naprawdę jest ich wrogiem. Tyle że nie miałem pojęcia, jak się do tego zabrać.

- Odstawimy tego Jawę do domu - zaproponował oficer.

- Dziękuję, sam go odwiozę - sprzeciwiłem się stanowczo.

Po tym, co dziś zobaczyłem i zrozumiałem, nie miałem najmniejszego zamiaru puścić Wimateeki samego z nimi. Ani chybi miałby wypadek albo zastrzeliliby go pozorując, że to ja albo Ludzie Piasku, byle tylko zepsuć to, co udało mi się osiągnąć w stosunkach farmerzy-Jawa. Dzięki mojemu uporowi do fortecy dotarliśmy pod konwojem szturmowców, ale Wimateeka zniknął za bramą cały i zdrowy.

Przez cały ten czas, czyli od rozpoczęcia strzelaniny, nie odezwał się do mnie słowem.

Dzień 50. Noc: Zostaję Rebeliantem

Imperialny oficer chciał, żebym zjawił się w Mos Eisley i złożył oświadczenie. Aviela poprosiła mnie, bym odwiózł do portu jej matkę i siostrę, a sama została, żeby wraz z innymi farmerami przygotować się na zemstę Ludzi Piasku.

- Eywind zostawił mi farmę i chciałabym, abys pomógł mi ją prowadzić, kiedy to wszystko się skończy i będziemy mogli normalnie żyć - powiedziała na pożegnanie.

Odstawiłem kobiety do portu, skąd za kilka godzin odlatywał liniowiec na Alderaan. Tam przynajmniej będą bezpieczne. A potem złożyłem zeznanie. Oficer Imperium skonfiskował mój holoprojektor i mapę, a potem pozwolił mi odejść.

Ciekaw byłem, kiedy zmieni zdanie.

Farmę musiałem opuścić, nie chcąc dać się zabić za nie swoje winy. Nadzieje na pokój zarówno z Jawa, jak z Ludźmi Piasku legły w gruzach. Ludzie Piasku będą się mścić, i to nie tylko na mnie. Jak zwykle najbardziej na tym ucierpią niewinni.

Moje mapy, plany i zakończone sukcesem wysiłki poszły na marne tylko dlatego, że Imperium nie chciało, by na Tatooine było spokojnie. Dlatego, że Imperator miał gdzieś bezpieczeństwo, pracę i życie obywateli, a *zależało* mu na tym, by nie czuli się bezpieczni. Byliśmy pionkami do wykorzystania i wyrzucenia, jeśli tylko przestaniemy poruszać się w wyznaczony, wygodny dla Imperium sposób. Wstąpiłem na jednego do lokalu zwanego „Kantyna”.

Siadłem w kącie i obserwowałem otaczający mnie tłum ze wszystkich zakątków Imperium. W sumie każdy z nich w jakiś sposób ucierpiał od Imperium albo od jego przedstawiciela. I wszyscy jakoś to znosili beczynnje.

No, nie wszyscy - była jeszcze Rebelia.

A mnie Imperium wepchnęło prosto w jej objęcia.

Nie wiedziałem, jak nawiązać kontakt, ale lokal powinien być odpowiednim do tego celu miejscem. Jeżeli popytam, to w końcu się czegoś dowiem. Zdecydowałem się porozmawiać z Ithorianinem siedzącym samotnie przy stoliku, gdy do lokalu wszedł siostrzeniec Owena i Beru-luke. Był z jakimś starszym mężczyzną, którego nie znałem, i dwoma droidami, które barman kazał zostawić na zewnątrz.

To mi dało do myślenia. Farma Owena leżała daleko od mojej; może przydałby się im pomocnik, a raczej para pomocników, bo przecież nie zostawiłbym Avieli, aż się sprawy nie uspokoją. Potem zaś moglibyśmy wrócić do swoich farm. A w tym czasie nawiązać kontakt z Rebelią.

Aviela na pewno zdecyduje się do nich dołączyć, a po tym, co dziś zaszło, podejrzewam, że większość farmerów także. Być może Jawa okażą się pomocni, a z czasem nawet Ludzie Pustyni zrozumieją, co się stało i dotrze do nich, że odtworzenie Republiki zakończyłoby podobne praktyki. Wszyscy powinniśmy jakoś walczyć o prawo do spokojnego życia w miejscu, które każda z trzech ras nazywa domem.

Coś mi mówiło, że odnajdę Rebelię w górach i wąwozach Tatooine. Coś mi też mówiło, że sytuacja na planecie zmieni się w sposób, o jakim Imperium nawet się nie śniło. Coś mi także mówiło, że w końcu zapanuje tu pokój.

A wtedy zabierzemy się na serio do kreślenia map.

OSTATNIA NOC W „KANTYNIĘ”

Opowieść Wolfmana i Lamproida

Judith i Garfield Reeves-Stevens

Parę sekund po wyjściu z nadprzestrzeni sytuacja stała się jasna i prosta niczym wynik spotkania drapieżnika i ofiary. Pomimo tajemnic okupionych krwią Bothan, na wpół zbudowana Gwiada Śmierci, unosząca się nad puszciami Endor, była gotowa na teoretycznie niespodziewany atak. A to znaczyło, że flota rebeliancka była skazana.

Sivrak wykonał gwałtowny unik, zanim jeszcze admirał Ackbar dał taki rozkaz. I tak przedłużało to życie jedynie o chwilę - z Sektora 47 nadlatywała Flota Imperium: Niszczyciele Gwiezdne, krążowniki i chmary TIE oznaczały zamknięcie się pułapki, w którą wlecieli Rebelianci.

Sierść odruchowo mu się najeżyła, gdy ruszył do ataku, słysząc przez zakłócenia rozkaz do wszystkich myśliwców: chronić za wszelką cenę większe jednostki. Przy tej liczbie TIE reszta okrętów Imperium mogła z powodzeniem nie wchodzić do walki - w przestrzeni wykwitły już pierwsze eksplozje, a radio wypełniły okrzyki pilotów. We wspólnym języku Sojuszu Sivrak oznaczał Shistavaneńskiego Wolfmana, twór nieznanych inżynierów genetycznych, którzy na stałe połączyli człowieka z wilkiem wzorując się na pradawnych legendach o wilkołakach. Kierując X-winga na najbliższe skupisko myśliwców Imperium zawył zwyczajem swej rasy wyzwanie - nie miał już nic do stracenia; wszystko, co nadawało sens jego życiu, rozsypało się w proch na lodowych pustkowiach Hoth.

Przełączył działko na ręczne sterowanie, biorąc kurs kolizyjny z trójką TIE. W słuchawkach usłyszał, że statek szpitalny znajduje się pod ostrzałem, ale było zbyt późno na zmianę kursu. Endor rósł w oczach, podobnie jak maszyny wroga, więc nacisnął spust ukazując jednocześnie kły we wściekłym grymasie. Prowadzący TIE zmienił się w chmurę ognia, pozostałe zaczęły strzelać. Dał pełną moc i wykrzyknął jej imię niczym pradawne zawołanie bojowe, biorąc na cel kolejny myśliwiec, gdy jego własna maszyna zatrzęsała się trafiona. Wszechświat machnął kozła i Siwak z radością powitał koniec swego istnienia i początek nicości. Ale gdzieś w tym wszystkim usłyszał słabe dźwięki muzyki. Muzyki, którą już wcześniej słyszał: dawno temu - w dniu, w którym po raz pierwszy...

... wszedł do „Kantyny” w Mos Eisley, otrzepując z butów grubą warstwę pyłu Tatooine, męczącego prawie tak samo jak upał obu słońc. Otarł pysk czując pył zgrzytający w sierści i poczekał, aż wzrok przystosuje się do panującego w środku półmroku.

Przez moment poczuł zachwianie równowagi, jakby jego ciało nie spodziewało się powrotu naturalnej grawitacji tak szybko po... po czym? Nie bardzo pamiętał. Zamknął oczy i zawirował mu

przed nimi zielony świat, a w mózgu rozbrzmiało coś o tarczy ochronnej i coś o... Gwieździe Śmierci?

Potrząsnął głową i zszedł po paru prowadzących do lokalu stopniach kierując się do kontuaru.

Bez zamówienia barman podał mu to, co zwykle - kubek tartych gildenów, których ruszające się jeszcze czułki świadczyły o świeżości napoju. Sivrak spróbował go, zastanawiając się równocześnie, jak to może być jego zwyczajowy drink, skoro nigdy dotąd nie był w tym lokalu. Był pogranicznym zwiadowcą, dopóki Imperium nie zamknęło Pogranicza dla nowych eksploracji. Teraz był po prostu kolejnym, pozbawionym swego miejsca osobnikiem, który nie życzy sobie mieć nic wspólnego z Imperium czy politycznymi układami. A w Mos Eisley było zdecydowanie zbyt wielu szturmowców jak na jego gust. Jak tylko zdobędzie odpowiednie fundusze, powinien się stąd wynieść. Odsunął się odruchowo i dopiero potem uświadomił sobie, że zrobił to na moment przed tym, nim zaaferowany Jawa zerwał się od stolika i pognął ku wyjściu.

Spodziewał się tego i to było najdziwniejsze - wiedział, co ten Jawa robi, a zrobił dokładnie to samo co wtedy, gdy znalazł się tu pierwszy raz i spotkał...Spojrzał na tyły sali, w stronę przeciwną niż podwyższenie, na którym grał zespół. I zobaczył ją ponownie. Dokładnie tak jak zobaczył ją tutaj wtedy - za pierwszym razem.

Stał przy jej stoliku chłonąc feromony, których nie sposób było pomylić, i podziwiając sinusoidalne sploty muskularnego ciała owiniętego wokół krzesła: pełne zmysłowości i siły, zdolne zdusić czaszkę banthy. Odwróciła się ku niemu nachylając koralową paszczę o luźno podwieszoną szczękę, dzięki czemu wyraźnie było widać kręgi lśniących kłów, z których zewnętrzne miały długość jego pazurów. Jej receptory ruchowe pojaśniały widząc długości fal, które nawet dla niego pozostawały niedostępne. Sivrak słyszał o rasie, do której należała: lam-proidy z Flom, ale nigdy żadnego nie spotkał. Pochodziła ze świata tak niebezpiecznego, że pojawienie się na nim bez wszczepionych hiperak-celeratorów nerwowych oznaczało natychmiastową śmierć.

- Postawić ci drinka? - syknęła uwodzicielsko, wymawiając słowa w niesamowicie osobisty sposób, jakby polowali i ucztowali razem tysiące razy.

Poczuł, że w lokalu nagle zrobiło się gorąco, więc zdjął kurtkę i siadł naprzeciwko niej. Tak jak za pierwszym razem... Ale przecież to był pierwszy raz? Jak można kogoś spotkać powtórnie pierwszy raz?

- Lak Sivrak - szepnęła jego dziecięce przezwisko.

- Dice Ibegon - odparł zaniepokojony, że zna jej imię i wymawia tak, jakby znał je zawsze.

- Coś cię martwi...

- Spotkaliśmy się już kiedyś. - Wielokrotnie wypowiadał te słowa w najrozmaitszych knajpach na wielu światach, ale tym razem miał na myśli ich dosłowne znaczenie.

Ale jak on - doskonały łowca - mógł zapomnieć spotkanie z doskonałym zabójcą?

- Jesteś pewien? - spytała delikatnie, mieszając czubkiem zabójczego ogona zawartość kielicha z oczyszczoną krwią banthy.

Połykująca powierzchnia płynu kojarzyła mii się z polem siłowym. Czy nie powinien zajmować się czymś innym... być gdzieś indziej?

- Przy barze... wiedziałem, że ten Jawa zerwie się i pobiegnie.

- Często gdzieś się spieszą.

Skoncentrował się i coś jeszcze mu się przypomniało:

- Wkrótce wejdzie tu złocisty droid. Podała mu na końcu ogona kroplę krwi.

- Droidy nie są tu obsługiwane - powiedziała zapraszającym głosem. Przesunął ostrym pazurem po jej chłodnym, różowym ogonie, wpatrując się jak urzeczony w szkarłatne usta i kręgi ostrych jak igły kłów.

- Będzie z nim chłopak wyglądający na farmera - dodał. - Każe mu wyjść.

Zlizał podaną kroplę szorstkim językiem i ścisnął pozbawiony kości ogon w dłoni, czując grę stalowych mięśni pod gładką skórą.

- Wy tłumacz mi, co się dzieje - powiedział.

- Jedyne to, co już się stało - odparła, przesuając w lewo receptor. Spojrzał we wskazanym kierunku i zobaczył rogatego Devaronianina, siedzącego pod ścianą i sennie przytakującego melodii granej przez zespół. I wpatrującego się w wejście. Sivrak przeniósł wzrok na drzwi i zobaczył starszego mężczyznę w brunatnej opończy, chłopaka w stroju farmera i dwa droidy: astromecha R2 i złotego protokolarnego.

Stary podszedł do baru i Sivrak sam nie wiedząc jak zdał sobie sprawę, że tamten ma pod opończą miecz świetlny. Przy barze znajdował się między innymi Aqualianin, który wkrótce będzie miał tylko jedną rękę...

Puścił ogon swej towarzyszki i zaczął wstawać, lecz sploty Dice łagodnie, choć stanowczo utrzymały go na miejscu.

- Takich tu nie obsługujemy! - rozległ się podniesiony głos barmana.

- Powiedz mi! - zażądał.

- Co już wiesz? - odpowiedziała pytaniem.

Chłopak powiedział coś złotemu droidowi i oba wyszły, a on dołączył do starego przy barze. Siwak wzdrygnął się: była tylko jedna odpowiedź, a mimo to nie miała ona sensu.

- To Moc wiąże nas z tym miejscem?

- Moc wiąże wszystko, jeśli tylko się w nią wierzy.

- Ja wierzę jedynie w łowy.

Błysnęła zębami we flornańskim odpowiedniku uśmiechu.

- Co innego mówiłeś, gdy się tu pierwszy raz spotkaliśmy. Byłeś wtedy całkiem elokwentny i dowcipny.

- Czy za to trzeba zapłacić? - spytał, mrużąc podejrzliwie oczy. - Żeby zrozumieć, dlaczego wszystko jest znajome, a równocześnie nowe?

- Biedny Wolfman! Nadal nie rozumiesz obietnicy, jaką ci złożyłam. Chwilowo cena zrozumienia jest taka sama, jak była, gdy spotkaliśmy się tu pierwszy raz.

Wyteżył pamięć próbując przypomnieć sobie to, co ma zająć i ignorując chłopaka, którym właśnie przewrócono stół.

- Należysz do Rebelianckiego Sojuszu, prawda? - spytał, pochylając się ku niej przez stół.

Przy barze zabuczał uruchomiony miecz świetlny, rozległy się wrzaski, a nozdrza Sivraka rozszerzyły się czując świeżą krew. Ogon Dice drgnął - także ją poczuła. Obcięta ręka upadła na podłogę.

- Należę - przyznała. - Podobnie jak ty, gdy zdecydowałeś się za pierwszym razem.

Intensywny zapach krwi uniemożliwiał mu logiczne myślenie, więc pospiesznie wypuściła feromony, dzięki którym stan podniecenia Si-vraka nie był niebezpieczny dla otoczenia. Siwak chciał się wyrwać z jej uścisku, więc gwałtownym skrętem wyprostowała resztę ciała i przesunęła się ku niemu po stole. Oto doskonały łowca spotkał doskonałego zabójcę: wraz ze szczękiem kłów

szcepionych w śmiertelnym pocałunku drapieżców jego zmysły zawirowały - poczuł, że podłoga zaczyna się kręcić coraz szybciej i szybciej, zupełnie jak...

... X-wing w nie kontrolowanym korkociągu, zostawiający za sobą ślad rozmaitych szczątków. Z trudem wyrównał lot i stwierdził, że dwa myśliwce Imperium pozostały z tyłu, a on jakoś przeżył tę szaleńczą szarżę. Odwrócił się chcąc sprawdzić, czy Dice jest bezpieczna i napotkał jedynie swoje odbicie w przezroczystej osłonie kabiny. „Kantyna” była halucynacją - snem, który był... który mógł być... sam nie wiedział - zrealizowany czy nie.

Ponad księżycem Endor rozblęskło nagle drugie słońce. Promień energii o niewiarygodnej mocy, który wystrzelił z Gwiazdy Śmierci i zniszczył rebeliancką fregatę, wyrwał Siwaka ze wspomnień. A więc Gwiazda Śmierci, choć wyglądała niczym koszmarny sen inżyniera, była w pełni sprawna! Poprzez szok i niedowierzanie przebił się radiowy rozkaz admirała Ackbara, nakazujący powrót wszystkich myśliwców do bazy. Natychmiast sprzeciwił mu się generał Calrissian, dowodzący myśliwcami, nakazując atak na Gwiazdę Śmierci. Prawie równocześnie inny głos spytał o zespół uderzeniowy generała Solo, który miał w naziemnym ataku zniszczyć generator pola ochronnego. Siwak nie słuchał już, czy tamtym udało się wykonać zadanie, tylko ściągnął stery, by wziąć kurs na najbliższy Gwiezdny Niszczyciel. Było wiele sposobów, by zginąć w przestrzeni. Jeśli nie uda się zastosować tradycyjnej metody, zawsze można wymyślić nową. Myśliwiec nie zareagował.

Uruchomił więc program diagnostyczny, przeładował zasilanie awaryjne i złożył skrzydła, ale X-wing nadal kierował się ku zalesionej powierzchni Endor, nie reagując na nic. A to oznaczało, że nie uda mu się zginąć w przestrzeni.

Gdy znajdzie się w atmosferze, będzie mógł użyć płatowca i jego ruchomych elementów, by wylądować - w przestrzeni było to niemożliwe, jako że prawa aerodynamiki nie miały tu żadnego zastosowania. Czekala na niego puszcza, w której będzie mógł wrócić do tego, co umiał i rozumiał najlepiej: do polowania. Imperium oraz Rebelia przestaną go obchodzić. Kto wie - może z czasem zdoła nawet zapomnieć Dice Ibegon, wszystko wróci do równowagi i znów stanie się proste niczym równanie życia i śmierci, wolne od bólu miłości i obowiązku.

Kosmiczna bitwa została za jego plecami, coraz bardziej malejąc na ekranie. Wyglądało, że nikt się nim nie interesuje; najwyraźniej imperialni piloci uznali uszkodzony myśliwiec za cel niewart zachodu. Skoncentrował się na zadrzewionej powierzchni tuż przed nosem maszyny. Czekają tam nowe życie.

Jakby życie bez niej miało jakikolwiek sens.

Na ekranie eksplodował myśliwiec najbliższy Gwieździe Śmierci, a to znaczyło, że generator pola usytuowany na powierzchni nadal ją osłaniał. Może jego bitwa jeszcze nie dobiegła końca.

Przełączył sterowanie na atmosferyczne i czekał na pierwsze oznaki wejścia w górne warstwy atmosfery. Mógł bezpiecznie wylądować, ale z drugiej strony... taktycy rebelianccy obliczyli, że udany atak lotniczy na generator ma szansę jedną na milion. Obrona przeciwlotnicza, jaką Imperium zainstalowało wokół niego, była niezwykle silna.

Ujął drążek zastanawiając się, co wybrać, gdy myśliwcem nagle zatrzęsło - starcił tylny stabilizator, a na ekranie pojawiła się para TIE, dotąd ukrytych w emisji jego silników, a teraz zbliżająca się, by go dobić. Były to te same myśliwce, które zaatakował. Najprawdopodobniej piloci mieli zamiar pomścić śmierć dowódcy. Fakt, że X-wing był uszkodzony, nie wydawał się ich zniechęcać.

Siwak poczuł ulgę, że nie musi wybierać - teraz pozostała jedynie walka. Wszystko wróciło do

normy. Nie mogąc w przestrzeni zmienić kursu, odpalił wszystkie miny i pozoranty, dzięki czemu za myśliwcem powstała chmura złożona z zakłócających odczyty pasków włókna węglowego. A potem ustawił tylny celownik na centrum chmury - powinien mieć czas na dwa spokojne strzały, zanim piloci TIE będą w stanie go namierzyć. Może to wystarczy, może nie - było mu to obojętne.

Czując pierwszy opór atmosfery, zerknął przed siebie. Może skończy w postaci meteoru płonącego w atmosferze i sypiącego w dół szczątkami? Byłaby to dobra śmierć - śmierć godna myśliwego. Ale najpierw musiała być walka.

Ekran rozbłysł, gdy wybuchły miny - przynajmniej jeden z napastników przestał istnieć. Chwilę później z chmury wystrzeliła salwa laserowa, oślepiając jego tylne sensory niczym niespodziewana śnieżna zadymka...

...będąca normalną sprawą na planecie Hoth.

Siwak dał nura w okop tuż przed tym, kiedy najbliższa wieżyczka artyleryjska eksplodowała, trafiona z pokładowego działa AT-AT. Stacja Echo - samotna placówka na północnej grani - wyglądała jak trupiarnia i była nią: wszędzie wokół leżeli zabici, a mróz był tak silny, że tłumił nawet aromat krwi. Ale nie był w stanie stłumić jej zapachu. Ziemia trzęsła się w rytm coraz bliższych kroków AT-AT i regularnych salw dział jonowych, strzelających z maksymalną szybkością, by oczyścić drogę startującym prawie nieprzerwanie transportowcom. On jednak zwracał uwagę tylko na jedno - na to, że ona była gdzieś blisko.

Ruszył biegiem omijając innych, jeszcze żywych w pokrytym śniegiem i lodem okopie. Nie było ich wielu i wszyscy poza nim nosili białe, naskujące kombinezony. On nadal miał na sobie pomarańczowy, noszony przez pilotów. W słuchawkach rozbrzmiał przerywany zakłóceniami rozkaz ewakuacji całego naziemnego personelu. Stanowisko dowodzenia zostało trafione... wszyscy z Sektora Dwunastego mieli zgłosić się na południowy posterunek w celu obrony myśliwców. Sivraka rozkazy nic nie obchodziły - dla niego ważne było tylko, by dotrzeć do Dice, by przykleknąć obok niej na śniegu.

Śnieg był purpurowy od jej krwi.

Delikatnie dotknął jej twarzy, bojąc się poruszyć nierówny odłamek, który rozciął izolowany kombinezon i utkwiał w jej krtani. Lśniły na nim purpurowe krople zamrożonej krwi, jakby dla niej czas się zatrzymał.

- Dice...

Receptory oczne drgnęły i spojrzały na niego.

- Idź - powiedziała cicho.

- Nie mogę. Przysięgałem wierność Księżniczce i przywróceniu Republiki.

Jej kły błysnęły w gorzkim uśmiechu, choć syknęła przy tym z bólu.

- Nigdy tak naprawdę nie chciałeś przyłączyć się do Rebelii. Tego dnia na Tatooine, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, przyjąłeś moją propozycję jedynie po to, by wkraść się w moje łaski... i sploty.

Miała naturalnie rację. Pierwszym razem - tym naprawdę pierwszym podkreślał swoje prorebelianckie sympatie wyczuwając, iż dzięki temu będzie w jej oczach atrakcyjniejszy. Z czasem jednak zaczął wierzyć w to, o co walczyła Rebelia i został dobrowolnym jej żołnierzem. Teraz Dice umierała i przeszłość nie miała już znaczenia.

- Czym jest przeszłość? - spytała, jakby czytając w jego myślach któryś raz z kolei.

Sivrak odczepił medpakiet od pasa i spojrzał tępo na jego zawartość - większość specyfików

była przeznaczona dla jego rasy i nie miał pojęcia, jak mogą zareagować na jej metabolizm. Jednak wiedział, że musi coś zrobić.

- Już coś zrobiłeś - powiedziała zupełnie spokojnym głosem i spojrzała w błękitne niebo.

- Jesteśmy do siebie podobni, zawsze to wiedziałeś. Myśliwy i zabójca dobrze wiedzą, że jednostki obce i zakażone muszą być usunięte ze stada, a Imperium jest chore i przegniłe od korupcji. Dlatego musisz mnie zostawić i kontynuować naszą walkę aż do końca.

- Nie mogę! - Zawartość medpakieta wysypała się na śnieg, gdy opakowanie wysunęło mu się z dłoni.

- Wiem, że nie możesz. I kiedyś przestaniesz, ale teraz, kochany, musisz. Sojusz i Imperium: drapieżnik i ofiara.

W słuchawkach rozległ się sygnał ogólnej ewakuacji wraz z krótkim komunikatem, że wojska Imperium wkroczyły do bazy.

- Zginę tutaj razem z tobą - postanowił tuląc jej głowę.

- Czymże jest śmierć w porównaniu z miłością? - spytała słabnącym głosem.

Nie mógł się poruszyć czując, że ją traci.

- Musisz zrobić jedno - szepnęła. - Uwierzyć w Moc.

- Jeśli tego pragniesz... - odparł głucho, nie chcąc się z nią kłócić na temat starej religii. Z najwyższym trudem tłumił rodzące się w piersiach żałobne wycie.

- Nie dlatego, że ja tego pragnę, ale dlatego, że to ty nie masz wyboru.

Zanim zdążył odpowiedzieć, jej ciało drgnęło konwulsyjnie i znieruchomiało, a receptory wzrokowe gasły kolejno, tracąc ostrość. A potem w środku bitwy, o lata świetlne odległej od momentu, który razem dzielili, pobłogosławiła go Mocą, chcąc pozostać z nim na zawsze.

Tulił jej ciało, dopóki nie został zniszczony główny generator i nie rozpoczął się odwrót oddziałów osłonowych. Słuchawki przekazały rozkaz przerwania obrony i rozpoczęcia ewakuacji tylnej straży. W powietrzu było gęsto od krzyżujących się wiązek laserowych i zgęstek plazmy. Z ogłuszającym rykiem wystartowały dwa transportowce równocześnie... Powoli ułożył ją na śniegu w osłoniętej części okopu, starannie otulając jej twarz lamowanym futrem kapturem i ignorując eksplozje. Poruszał się powoli, jakby należał do innego świata, w którym panował spokój...

Żołnierz w białym kombinezonie - człowiek - złapał go za ramię wrzeszcząc, że trzeba się ewakuować, ale wystarczyło raz pokazać kły, by skłonić go do samotnego biegu.

Sivrak wstał i wyjął blaster z kabury. Słyszał różne opowieści o tym, co imperialni biogenetycy wyprawiają z ciałami zabitych członków Rebelii. Tym razem nie będą mieli materiału do badań, klonowania czy rozrywki: ustawił broń na najszerszą wiązkę.

- Niech twoja Moc będzie z tobą - powiedział, używając najbardziej osobistej intonacji w języku drapieżników i poczekał, aż zmienione w parę słowa zniknęły.

Albo zdąży się ewakuować, albo nie - trzeciej możliwości nie było, a spieszyć się nie miał najmniejszego powodu.

Nacisnął spust.

Ciało Dice topiło się błyskawicznie w zetknięciu z plazmą. Stała się najpierw ognista, potem migotliwa, a w końcu ulotna i z jakiegoś powo-ia wydało mu się, że mogła jej się spodobać ta transformacja. A potem pochłaniający ją ogień strzelił wyżej, obejmując go także niczym...

...ostatniego myśliwca TIE, który wypadł z węglowej chmury, strzelając na oślep ze wszystkiego, co miał na pokładzie. Siwak zamrugał zdziwiony, nadal czując w kościach mróz panujący na Hoth, ale odruchowo nastawił celownik na napastnika i nacisnął spust.

TIE rozleciał się trafiony pojedynczym promieniem, który w atmosferze zupełnie wystarczył - opór powietrza rozerwał uszkodzony płato-wiec na strzępy. Łowy były skończone.

Ale problemy nie - w atmosferze X-wing odzyskał sterowność, za to Sivrak musiał walczyć ze sterami, by maszyna słuchała jego poleceń. Ciągłe jeszcze się nie zdecydował, czy bezpiecznie ląduje, czy leci do generatora. Ekran potwierdzał kolejne trafienia jednostek Rebelii, niszczonej przez Gwiazdę Śmierci... Musiał zdecydować, a nie mógł. Atmosfera na zewnątrz zaśpiewała nagle, przypominając mu muzykę...

...z tego nocnego lokalu na Tatooine. Sivrak oparł się o ścianę tuż przy wejściu, próbując zrozumieć to, co właśnie zobaczył na ulicach Mos Eisley: walki, grabieże, pościgi i strzelaniny. A od strony portu kosmicznego miarowe eksplozje.

O mało nie spadł ze schodów, zdjęty nagłą paniką, że czas mu się kończy. Była noc i lokal był pusty. Zamiast zespołu słysząc było nagrania. Coś było nie tak. Oparł się o kontuar, czując jego drgania, jakby lecieli przez atmosferę.

- Jabba nie żyje - powiedziała Dice.

Uniósł głowę i zobaczył ją przy najbliższym stoliku z nieodłącznym kielichem oczyszczonej krwi.

- Jak... - warknął mając na myśli całą sytuację, ale zrozumiała pytanie wybiórczo.

- Uduszony na własnej barce. I to przez ludzką niewolnicę. Łańcuchem, na którym ją trzymał.

Z zewnątrz dobiegł odgłos znacznie silniejszej i bliższej niż dotychczas eksplozji. Stożące za barem szkło zadzwoniło.

- Mos Eisley zostało bezpańskim miastem - dodała, unosząc kielich i rozwijając język.

Sivrak wygładził futro na pysku - wiedział, że musi jeszcze coś zrobić, ale nie bardzo wiedział, co mianowicie. Przede wszystkim chciał odkryć, co tu było nie w porządku.

- Jeśli Jabba nie żyje - powiedział powoli - to Hoth... została już dawno ewakuowana.

- Zgadza się - przyznała, odstawiając kielich. Poczul, jak futro na grzbiecie staje mu dęba.

- W takim razie... ty jesteś martwa. Czubek jej ogona musnął mu przedramię.

- Wyglądam na martwą? - spytała.

Zacisnął koniec ogona w dłoni, koncentrując się wyłącznie na jej nieprawdopodobnej przecież obecności. Teraz usłyszał inne dźwięki: szurania, głosy, kroki. Spojrzał na Dice - siedzieli przy stoliku w rogu, obok Devaronianin kiwał się sennie w takt muzyki, a lokal był pełen gości. Tak samo jak dawno temu.

- Złoty droid wkrótce się zjawi. - Chyba zaczynał rozumieć, co się dzieje i jakiego wyboru musi dokonać. - A potem odejdzie. Znowu.

Receptory wzrokowe Dice stały się bezdenne niczym studnie grawitacyjne,

- A ty? - spytała. - Czy jak zwykle zdecydujesz się odejść?

- Moc - Sivrak wreszcie zrozumiał. - Moc jest ze mną, tak?

- Moc jest ze wszystkim - uśmiechnęła się jak każdy, kto dobrze znał Moc.

- Ale tu i teraz... - podniósł głos i nagle wiedza o tym, co się zdarzyło, zdarzy i może zdarzyć, spłynęła nań równocześnie. - W okopach na Hoth... nad Endorem... Moc wiąże to wszystko.

Puls zaczął mu walić, zabrakło powietrza, a nagły ruch przy wejściu przykuł wzrok. Do sali wszedł Devaronianin i przyjrzał się im z lekkim zdziwieniem.

- Naturalnie - odparła tonem wskazującym, że słyszała to już wielokrotnie.

Na szczycie schodów pojawił się chłopak, starszy mężczyzna i dwa droidy.

- Tym razem, gdy złoty droid wyjdzie, ja też mogę to zrobić? - spytał Siwak.

- Tę możliwość masz od naszego pierwszego spotkania: nic się nie zmieniło i wybór należy do ciebie.

Poczuł, jak różnorodne linie łączą się tworząc jedność... nie czasu i miejsca, ale uczucia i doświadczenia przewyższających wszystko. Zrozumiał, że dzięki jakiejś sztuczce Mocy może wyjść ze złotym droidem na zewnątrz i wszystko potoczy się tak, jakby nigdy nie poznał Dice Ibegon. Ten sam wybór, ale następna szansa.

Z miłości Dice dała mu możliwość ucieczki.

- Takich tu nie obsługujemy! - warknął barman.

Sivrak uważnie obserwował, jak młodzian mówi coś do droidów. Pozostały mu jedynie sekundy na podjęcie decyzji. Albo albo.

- Nie chcę cię opuścić...

- Wiedząc to wszystko co wiesz? Znając przyszłość? Zamiast odpowiedzi przytulił ją na ten jeden bezcenny moment, który trwał i będzie trwał wiecznie. Złoty droid wyszedł, muzycy grali, a Si-vrak czekał na ciche buczenie świetlnego miecza, po którym zapadnie cisza.

- Czasami wybór jest iluzją - powiedział, rozumiejąc wreszcie, że wszystkie możliwości były jedną i tą samą od momentu, w którym tu wszedł i zobaczył Dice, czekającą jak zawsze na niego.

Zmusił się do zamknięcia oczu wiedząc, co się stanie - stary spod opończy dobył miecz świetlny, którego blask odbił się od szkła stojącego za kontuarem. Napastnik krzyknął, lokal zatrzęsł się...

...pod nagłym atakiem prądów powietrznych i Sivrak uniósł nos X-winga, omijając centrum turbulencji i zmniejszając szybkość na tyle, by nie przekroczyć krytycznej. Leciał we własnej fali dźwiękowej i wiedział, że minął już punkt, z którego mógł powrócić. Nie musiał właściwie podejmować decyzji - zadziałały odruchy, gdy kładł maszynę w skręt biorąc kurs prosto na generator.

X-wing z wyciem rozdzieranego powietrza gnał przed siebie z przednią osłoną siłową rozjarzoną do czerwoności. Ekran pozostawał martwy-dla obrony przeciwlotniczej nie był już celem, odkąd jego maszyna nie miała zasilania, a skoro nie był celem, miał szansę. Niewielką, ale miał. Komputer nawigacyjny potwierdził trajektorię, a czujniki namierzyły olbrzymią czaszę anteny transmitującej pole ochronne. Myśliwcem nagle zatrzęsło, niczym znarowionym tauntaunem, a wszystko przed oczyma Sivraka zlało się w jedną masę. Słuchawki nagle ożyły i buchnęła z nich kakofonia dźwięków, w której ledwie dało się odróżnić podniecony głos admirała Ackbara:

- Tarcza zniknęła! Zarządzam atak na główny reaktor Gwiazdy Śmierci!

Z przodu wykwitła ognista kula, pochłaniająca zapadającą się w siebie antenę - grupa uderzeniowa Hana Soło mimo wszystko wykonała zadanie.

- Zaczynamy! - rozległ się głos generała Calrissiana. Odpowiedziały mu radosne okrzyki - ludzi, Bothan, Mon Calamari i Bithów. A nawet jakiegoś droida twierdzącego, że zawsze chciał to zrobić. Sivrak doskonale ich rozumiał - było to typowe zachowanie dla uwiecznionego sukcesem polowania. Rozumiał też coś innego - nie był już w stanie zmienić kursu, a tam, dokąd leciał, ziemia i drzewa gotowały się od żaru...

Płonące ruiny imperialnej bazy pojawiły się i zbliżyły z szybkością przeznaczenia. Spokojnie zdjął dłonie z przyrządów...

...i wszedł w puszcze porastającą księżyc Endor.

Była noc i wiał chłodny wiatr, niosący woń różnorodnej zdobyczy i ognisk. Odległe potrzaskiwania ognia podkreślały rytmiczne uderzenia bębna, do których dołączyły podniecone głosy śpiewające pieśń tryumfu.

Wciągnął głęboko powietrze, usuwając ostatnie ślady wielokrotnie oczyszczonego tlenu, jakim oddychał w myśliwcu. Tym razem nie próbował pamiętać, co się stało. Wiedział, że z czasem i tak pozna wszystkie odpowiedzi.

- To śpiew Ewoków - rozległ się za nim głos Dice. Jak zawsze. Odwrócił się do niej i westchnął urzeczony - jej ciało emanowało wewnętrznym blaskiem, oświetlając błękitną poświatą najbliższe drzewa.

- Świątują śmierć Imperatora - dodała.

- W takim razie bitwa o Endor...

- Została wygrana. Nasza walka dobiegła końca.

Uniósł dłoń, by jej dotknąć i bez zdziwienia stwierdził, że jego ciało także świeci - tak samo jak jej. Owinęła czubek ogona wokół jego ramienia.

- Jesteśmy świetlistymi istotami - powiedziała. - I zawsze będziemy. Nie można odmówić prawdziwej miłości.

Przez długą chwilę stał milcząc, bo wiedział, że nigdy już nie będzie samotny, bowiem zjednoczył się ze wszystkimi istotami w Mocy. Była to równowaga prostsza nawet niż ta, jaka panuje między drapieżcą a ofiarą. Dopiero gdy sobie to uświadomił, usłyszał dźwięki odmiennej muzyki, dobiegające z odmiennego czasu i łączące się ze śpiewem Ewoków.

- To z Mos Eisley - wyjaśniła nie pytana Dice

- Wiem. Ale nie ma potrzeby tam wracać.

- Nigdy nie było.

I połączeni na zawsze ruszyli ku specjalnemu miejscu w pobliżu wioski Ewoków, gdzie czekała trójka przyjaciół, którzy jak zawsze oczekiwa- li i będą oczekiwać na wszystkich, którzy się do nich przyłączy, zjednoczeni przez Moc.

A muzyka dobiegająca z „Kantyny” w Mos Eisley powoli cichła, aż umilkła zupełnie i nigdy już się nie rozległa. Spis treści